480 -

JAK TĘCZA

GABRJELA ZAPOLSKA. JAK TĘCZA

WYDAWNICTWA „LEKTORA"

D'ALCOFORADO. Listy miłosne. (wyczerpane).
BAŃKOWSKA M. Horyńce. Lwów 1920.
BOHOWITYN. Dzieje mężatek. (wyczerpane).
" Kobieta z przeszłością. Kraków 1921.
" Słoneczniki. Warszawa 1920
" Za chimerą szczęścia. (wyczerpane).
BOJANOWSKI H. Vae victis. (wyczerpane).
CONRAD J. Banita. (wyczerpane).
EWERS H. H. Alraune IV. wyd. Lwów 1921.
" Mamaloi. (wyczerpane).
" Pająk. (wyczerpane).
" Uczeń czarnoksięski. (wyczerpane).
FARRÈRE C. Ludzie cywilizacji. Kraków 1921.
" Nasze sojuszniczki. II. wyd. Warszawa 1921.
" Panieństwo Panny Dax. Kraków 1921.
" Opium. (wyczerpane).
FRANCE A. Bunt aniołów. (wyczerpane).
" Czerwona lilja. Warszawa 1921.
GELLA J. Ruski miesiąc. [Obrona Lwowa]. (wyczerpane).
KELLERMANN B. Tunel. (wyczerpane).
KUPRIN A. Miłość Sulamity (wyczerpane).
LOUYS P. Kobieta i Pajac. Warszawa 1921.
PRZYBYSZEWSKI S. Krzyk. II. wyd. Warszawa 1921.
" Na marginesie tworu Ewersa.
" Powrót. (wyczerpane).
RACHILDE. Żonglerka. Lwów 1920.
SINCLAIR U. Emil poszukujący prawdy. (wyczerpane).
SROKOWSKI M. Kult ciała. Lwów 1920.
WIERBICKAJA A. Pierwsze jaskółki. Warszawa 1920.
WILLY. Małżeństwo Klaudyny. Kraków 1920.
ZAPOLSKA G. Antysemitnik. Lwów 1921.
" Córka Tuśki. Kraków 1920.
" Jak tęcza. Lwów 1921.
" Janka. Lublin 1921.
" Kobieta bez skazy. Lwów 1921.
" Rajski ptak. (wyczerpane).
" Przedpiekle. (wyczerpane).
" Sezonowa miłość. Lwów 1921.
" Szaleństwo. Lwów 1921.
" Z pamiętników młodej mężatki. Lwów 1921.
ZBIERZCHOWSKI H. Djabelska przełęcz. (wyczerpane).

W DRUKU:

BARBEY D'AUREVILLY. Plemię djabła.
FARRÈRE C. Człowiek, który zabił.
RACHILDE. Godzina zmysłów.
SROKOWSKI M. Hedone.
ZAPOLSKA G. Fin-de-siécle'istka.

G. ZAPOLSKA.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
L. 843.
JANA BARAN

JAK TĘCZA

POWIEŚĆ.



IV. TYSIĄC.

WYDAŁ „LEKTOR" INSTYTUT LITERACKI SP. Z O. O.
LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
1921.

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU NA WSZYSTKIE JĘZYKI ZASTRZEŻONE.

SKŁADY GŁÓWNE:

we Lwowie:

„Lektor", Mikołaja 23. (dom własny)
„Księgarnia Nauczycielska", Batorego 12.

w Krakowie:
„Lektor", Rynek 22.

w Lublinie:
„Lektor", Szopena 5.

w Warszawie:
„Lektor", Sienkiewicza 5.

w Czerniowcach:
„Lektor", Gregora 3.

we Wiedniu:
„Lektor", Kärtnerring 6.

w Lipsku: F. Volckmar.

Biblioteka Pedagogiczna Biblioteka Główna w Krakowie
128329
Nr.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ I WYKONAŁ ART. MAL. ALFRED ŻMUDA.

ODBITO W DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ" WE LWOWIE.

I.

Gdy Helena wzięła do ręki parasolkę i stanęła przed dużą szafą, w której drzwiach wprawione było lustro, mimowoli uśmiechnęła się radośnie.

Nie — nie zbrzydła wcale przez czas trwania żałoby, przeciwnie — zdawało się jej, że smukłość jej postaci nabrała jakichś artystycznych linji.

Jasna popielata suknia angielska, wybornie skrojona, zapięta szczelnie na dwa rzędy guzików, przylegała do gorsu bioder. Od paska zwieszał się na łańcuszku cały pęk srebrnych drobiazgów, pomiędzy któremi otwarte lusterko połyskiwało jak gwiazda.

Helena odłożyła parasolkę i szybko lusterko zamknęła, poczem znów się do zwierciadła zwróciła i ująwszy fałdy szeroko rozkładającej się u boku sukni, śledziła, czy widać z pod fałd koronkę spódnicy z grubej materji lionskiej, szarej, przeciętej deseniem wielkich, liliowych irysów.

— Czy nie zawcześnie ten lila kolor wmieszany w popielatą barwę stroju — przemknęło jej przez głowę.

— Nie — nie zawcześnie. Cóż znowu! Lila — „demi-deuil", to przecież wiadomo. Och, dosyć tych ciężkich czarnych sukien i czarnych spodniczek! Dosyć tej żałobnej krepy, wlokącej się za nią od półtora roku, jak chmura Zdawało się jej zawsze, że jest poprostu brudną, czarną od tych wełn, które drapały jej delikatne ciało.

Dziś, w to letnie południe, gdy cały Lwów tonął w złocie słonecznem, ona ośmieliła się zrzucić ze siebie szaty wdowie i włożyła po raz pierwszy jasną sukienkę „genre tailleur", która na nią czeka w szafie już dwóch od tygodni.

Chciała ją dopiero włożyć na drogę, gdy już pojedzie do Reichenhallu, ale gdy otworzyła szafę i ręka jej natrafiła na miękką, śliczną, angielską tkaninę, gdy zamigotały przed nią dwa rzędy owych srebrnych, delikatnie ażurowych guziczków stanika, Helena nie mogła oprzeć się pokusie.

Tem gorzej — ubierze się dziś jeszcze jasno.

Ubierze się, napoiwszy przedtem waporyzatorem brzeg sukni, swoim ulubionym Cherry Bloosomem, pomieszanym z ambrą. Weźmie także popielaty Windhorst z białemi skrzydełkami i perłowe rękawiczki. En tout-cas ze srebrną rączką, popielate, mieniące, leży na pułce szafy lustrzanej od dwóch tygodni. Weźmie i en-tout-cas. Tem gorzej. Nie jest w stanie oprzeć się pokusie.

Cóż znowu! Nie jest przecież starą, jakkolwiek skończyła dziś właśnie lat trzydzieści. Ma jeszcze prawo do życia i „on“ był chory — a choroba Brighta wyrabia w człowieku strasznie nerwowe usposobienie.

„Jemu“ się wszystko nie podobało. Nie wolno jej było grać, nie wolno śmiać się, nie wolno przyjmować kogokolwiek, nie wolno nigdzie bywać. Sam jeździł dwukrotnie do Karlsbadu. Jej brać nie chciał. Odsyłał ją wtedy na wieś do swojej siostry. Ciężki był charakter... z pewnością, gdyby ją zobaczył tak ubraną, nie pozwoliłby jej przejechać się po mieście...

I Helena mimowoli ogląda się ku drzwiom. Zdaje się jej, że ciemna portjera podniesie się i w progu stanie „on“ — ten zmarły mąż... zły, chmurny, z oczyma świecącemi fosforycznie, z najeżonemi włosami, z twarzą nadzwyczaj podobną do fotografji Ibsena.

Przejmuje ją trwogą — zdaje się jej, iż rzeczywiście zmarły stoi za progiem, nerwowo więc przyciska guzik elektrycznego dzwonka i stoi nieruchoma, czekając, aż ktoś ze służby pokaże się we drzwiach.

Portjera rozchyla się.

Pojawia się panna służąca, dziewczyna wysoka, płaska, trochę dziobata.

— Wielmożna pani dzwoniła?

— Tak — odpowiada nerwowo Helena — czy Józef zajechał?

— Od kwadransa.

Helena bierze znów parasolkę i kieruje się ku wyjściu.

Przechodząc koło panny służącej, stara się iść pewnym krokiem, bo zdaje się jej, że dziobata dziewczyna gani w duszy ten nieprawidłowy przeskok z żałobnych kirów do jasnej toalety. Lecz Julka jest dawną i układną sługą. To ona umie czytać w oczach Heleny. I natychmiast — układnie:

— Och! Jak wielmożna pani dobrze zrobiła, kładąc jasną suknię — mówi słodkim głosem — na dworze tak gorąco... a potem wielmożnej pani tak w jasnych kolorach ślicznie...

Helena uradowana uśmiecha się łaskawie. Jej niezdecydowany charakter potrzebuje aprobaty nawet sługi. Czem-

prędzej wynagradza Julkę, darowując jej żałobne suknie.

— Zabierz, zabierz, sprzedaj albo zrób, co chcesz... niech ich więcej nie widzę.

Julka kiwa głową.

— Dobrze, zabiorę, rączki całuję... Ja wiem, to może dokuczyć taki karawan. Wielmożna pani i tak za długo w żałobie chodziła.

Helena już wyszła na schody ładnie utrzymane, czyste, zafroterowane. Na wszystkich piętrach drzwi ozdobne, solidne, były zamknięte. Po za drzwiami cisza, na schodach także cisza kościelna. Przez kolorowe szyby okna słońce wpadało całą tęczą i słało się snopem na stopnie. W tęczę tę weszła Helena i wzrokiem ogarnęła całą klatkę schodową.

— To wszystko... moje! — pomyślała z jakąś radością.

I nagle serce jej wezbrało wdzięcznością dla tego męża, który, umierając, zapewnił jej tak dostatni byt, uczynił ją panią pięknej kamienicy, w której nigdy zamożnych lokatorów nie brakło.

Postanowiła pojechać na cmentarz. Tak, pojedzie — zawiezie „mu“ trochę kwiatów, pomodli się. I tak miała być na cmentarzu przed wyjazdem zagranicę. Równocześnie prawie przychodzi jej na myśl, że każe dać na schodach dywan z czerwonemi szlakami. Lokatorowie się ucieszą, bo „on“ nigdy nie chciał zgodzić się na dywan na schodach, nazywając dywany gniazdami mikrobów. Mimo to u nich — w mieszkaniu było — mnóstwo dywanów, makat i portjer.

— Aż dusi! — pomyślała, wychodząc do bramy.

W bramie spotkała stróża Anzelma w brudnej, liberyjnej kurtce. Zgromiła go, bo kupiła mu dwa garnitury płócienne w paski, ażeby chodził czysto ubrany. Anzelm tłumaczył się, iż jest przy „robocie“. Helena pogroziła mu, rada skończyć tę dyskusję, gdyż dziś nie miała ochoty gniewać się na kogokolwiek. Lecz Anzelm zatrzymał ją w chwili, gdy miała już wyjść na ulicę.

— A to, proszę wielmożnej pani gospodyni, ten młody pan z drugiego znów chce, żeby mu zamurować jedno okno.

— Zamurować?

— Tak! On mówi, że mu za jasno i zawsze to okno czarną płachtą zaciąga, ale mówi, że się mu to przykrzy i każe sobie zamurować.

Helena wzruszyła ramionami. Ten młody Weryho sam nie wie, co wymyśleć. Skarży się, że mu za widno. Radby siedzieć w piwnicy. Helena tego nie może zrozumieć. Ona pragnie jasności, słońca — od chwili gdy mąż umarł, odsłania portjery, firanki spina szpilkami, tak ją ciemnica, panująca w jej mieszkaniu, męczy.

— I proszę wielmożnej pani gospodyni, ja nawet nie wiem, czy to się da zamurować? Przecież to trzeba będzie całe okno wyjąć... — mówi stróż, wzruszając ramionami.

Ach ten Weryho! On jeden jej przysparza najwięcej kłopotu ze wszystkich lokatorów. Kawaler ma mały pokoik, do którego jest wchód przez ganek. I ciągle mu coś brakuje. A to... chodzą mu lokatorowie po ganku koło okien, a to znów grają na fortepianie, a on nie może czytać swego d'Annunzia, a to drzewa w sąsiednim ogrodzie zanadto jęczą jesienią po nocy.

— Może by najlepiej wielmożna pani wymówiła mu mieszkanie — proponuje Anzelm.

Wymówić mieszkanie — jemu — temu słodkiemu Jurkowi, temu złotowłosemu chłopcu, który jak promień przesuwa się przez jej życie z ruchami rozpieszczonego, miłego kociaka... nie, cóż znowu!...

— Niech się Anzelm do tego nie wtrąca! — odpowiada Helena sucho, ja pójdę sama obejrzeć, czy okno da się zamurować...

Gdy wypowiedziała te słowa, ogarnia ją jakieś zmieszanie. Nigdy jeszcze nie była u Weryhy nawet w charakterze gospodyni domu. Miałaby ochotę się cofnąć, lecz Anzelm już idzie przez dziedziniec i mówi.

— Proszą za mną... ja mam klucz, bo właśnie posprzątałem u panicza.

Za chwilę są pode drzwiami mieszkania Jurka. Anzelm otwiera drzwi kluczem i Helena wchodzi, ciągle zmieszana jakby popełniała jakiś zły uczynek. W pokoju panuje duża równowaga duchowa, pomimo, że jest pusty i nie ma w nim człowieka ten kąt zamieszkującego. Meble ubogie i banalne, ale rozstawione z jakimś charakterem. Na ścianach rysunki kobiecych główek łagodnie szkicowanych. Nad łóżkiem duża fotografia ślicznego, dwuletniego dziecka, dziewczynki o rozmarzonych oczach. To dziecko ma wyraz tak smutny i rozumny, że odrazu przykuwa do siebie, mówiąc dużo w swem milczeniu.

— To jego córka! objaśnia nagle Anzelm, a Helena niecierpliwym ruchem manifestuje zdenerwowanie, na dźwięk tego brutalnego głosu, przerywającego jej wrażenie, jakie odniosła, przestępując ten pokój. Na stole leży książka. Helena zbliża się. To kult piękna — nazwisko Ruskina powtarza się na każdej kartce. Jedno okno zasłonięte czarną zasłoną — sprawia, że w tym pokoju panuje jakieś wrażenie oddalenia się od świata — czegoś wyodrębnionego od hałasu i rażącego światła. Helena radaby tu zostać sama choć chwilę. I krótko, szybko, nakazuje stróżowi wyjść na ganek.

— Wyjdźcie! — mówi i nie patrzy na Anzelma, aby nie psuć sobie nastroju jego brudną kurtką i wolem gardłem, które mu z pod rozchylonej koszuli wychodzi.

Jest teraz sama, ale nie porusza się z miejsca. Czuje bowiem w tym pokoju to samo, co ją ogarnia zawsze skoro Weryho jest przy niej. Jakie to uczucie, tego określić nie umie. Ot — upalny, skwarny dzień — a nagle zaciemnieje pod stopami czarna smuga cienia.

I w ten cień gdy się wejdzie, następuje dziwne uczucie ulgi. To ją ogarnia, takie uczucie cienia, w które weszła jej dusza. W tym pokoju panuje takie same orzeźwiające uczucie. Tu jest daleko od szpetoty ludzkiej, tu coś dobrego, pięknego panuje w przestrzeni. Co? Niewiadomo. Ot! Może piękność samego Weryhy, może ten łagodny ton jego głosu, wdzięk jego poruszeń, czar dziewczęcy jego uśmiechu. A może jego duchowa strona, przepojona tym ekstraktem piękna, jakie on umiał tak zręcznie z każdego objawu życia wyciągać. Helena nie wie, ale czuje to i mimowoli uśmiecha się. Przymyka oczy, rada pod tem wrażeniem pozostać jak najdłużej tak samo, jak w chwili, gdy Weryho ma odchodzić od niej, zatrzymuje go i prosi „zostać jeszcze chwilkę".

I teraz pragnie „zostać jeszcze chwilkę" ona w tej ciszy pokoiku o zasłoniętem oknie, o książce otwartej na stole, o fotografji smutnego dziecka nad łóżkiem.

Lecz iść musi i wyrywa swą duszę siłą prawie z tego kąta i uprowadza ją w blask słońca, w gwar życia, w rozdrabnianie siebie i tego, co jest najlepsze, na cząstki, które po świecie bez pożytku fruwają i giną gdzieś w odmęcie — na przepadłe — na marne.

II.

Za chwilę Helena jedzie powozikiem w stronę cmentarza Łyczakowskiego.

Wstąpiła do sklepu i kazała uwiązać sobie całą masę purpurowych storczyków i pomieszać je z paprocią.

Kwiaty zrzuciła na dywanik kauczukowy, wyścielający dno powozu i siedzi wyprostowana, rozkoszując się ze zmiennością właściwą jej charakterowi gwarem ulicznym i migającemi sylwetkami przechodniów.

Wjeżdża na ulicę Piekarską pod baldachimem swej jasnej parasolki, żałując, że nie spotkała nikogo znajomego. Teraz, gdy oswoiła się z tą jasną suknią, radaby pokazać się wszystkim i dzielić się z nimi jakąś radością i pragnieniem życia, które się w jej piersiach coraz więcej budzi. Przytem lubi jeździć powozem. Nie zna się na koniach i nie jest sportsmanką. Ale ten ruch — w bezruchomości, to jakieś rwanie się naprzód, co lot przypomina, sprawia jej nerwową ulgę.

Chorowała w zimie na zapalenie opłucnej i pozostało jej pewne zmęczenie ogólne, które czyni ją leniwą. Nie lubi chodzić, jazda jedynie sprawia jej prawdziwą przyjemność. Będąc czystą jak biała kotka, nienawidzi tramwajów i dorożek. Lubi swój powóz tak, jak lubi swoją własną wannę. Zdaje się jej, że wolałaby poprzestać na suchym kawałku chleba, a nie pozbyłaby się swoich koni i powozu. Przytem to ją odcina od tłumu, to ją wyodrębnia, to ją wywyższa niejako i nie dozwala zetknąć się z tymi „nieznajomymi", którzy po ulicach chodzą.

Bo Helena lubi „ulicę", ale zdaleka, jakby z loży teatralnej. I tak ją zna — nie inaczej.

Zajechała przed cmentarz.

Baby, siedzące na niskich stołeczkach, podniosły lament.

— O Jezu! Jezu! wołały — a jakaś zawodzić zaczęła — nad duszami zmarłych ulituj się Boże!...

Helena szybko zebrała fałdy sukni i dzwoniąc brelokami, zawieszonemi u paska, przestąpiła bramę. Zaraz zwróciła się na prawo i pewnym, śmiałym krokiem po dobrze znanych alejach iść zaczęła.

Na cmentarzu ptaki znużone upałem poukrywały się w gałęzie drzew. Kwiaty na grobach rozwijały się lub więdły pod promieniami słońca. Jakaś kobieta w żałobie oczyszczała mogiłkę małego dziecka z chwastów.

Przy niej na ziemi leżały na papierze nasiona nasturcji.

W oddali, bardzo nawet daleko, rozmawiały monotonnie dwie kobiety, dozorujące grobów. W powietrzu była woń nieokreślona, woń właściwa bliskościom garbarń i cmentarzy. Duszą czuło się tu robotę nowego życia z ruin starego istnienia, rozkwit z kałuży rozkładu. Ponad tą pracą rozciągała się tajemnicza skorupa ziemi, zazdrosna i nieprzejednana.

Helena stanęła przy grobie męża.

Był to bardzo porządny, solidny nagrobek, właściwy dla właściciela domu i lwowskiego obywatela. Zamożność zmarłego rozpierała grób i wydostawała sie na zewnątrz. Grobowiec był bezmyślny i banalny.

Helena czuła tę banalność, ale jeszcze wtedy była tak przygnieciona wpływem, jaki na nią nieboszczyk wywierał, iż na inny zdecydować się nie mogła. Przytem Helena była chwilami uparcie logiczna. Zdawało się jej. że grobowiec trochę więcej „śmiały" mógłby nie zgadzać się ze wspomnieniem postaci, którą kryło wieko trumny. I dlatego wybrała płytę gładką, dużą, ciężką, piaskową. Na niej kazała wznieść obelisk z czarnego marmuru i wyryć napis dużemi, złotemi zgłoskami. Na rogach ustawiono dwie latarnie weneckiej roboty i Helena, patrząc na nie, przypominała sobie zawsze latarnie swego powozu.

Grób jednak Gronowicza imponował dostatkiem i przyzwoitością. Miał w sobie coś z porządnej kamienicy, do której „żebrakom i domokrążcom" wstęp wzbroniony. Przed grobem Helena kazała postawić ławkę, na której dawniej siadywała dość często.

Czyniła to jednak niechętnie. Nie doznała bowiem nigdy spokojnej, kontemplacyjnej zadumy, siedząc na tej wygodnej ławce, przed tym burżuazyjnym grobem. Modliła się najczęściej, ale czyniła w tem zadość obowiązkom. Czuła, iż wdowa powinna modlić się przy grobie męża. Czuła i dlatego się modliła.

I dziś usiadła na ławce, złożywszy poprzednio pęk czerwonych storczyków na piaskowej płycie.

Gorąco się wzmagało, słońce biło teraz prosto całym żarem na jej głowę. Lekka materja parasolki nie osłaniała jej dostatecznie. Zaczęła odmawiać modlitwe, ale przerwała

ą natychmiast. Czuła, że krople potu występują jej na twarz. Otarła je chusteczką, poczem odłożywszy parasolkę, odczepiła od breleków srebrną puszkę z pudrem i upudrowała się sumiennie.

— Włosy mi się rozfryzują! pomyślała — poczem, nagle zgorszona swem postępowaniem, przybrała minę poważną, pomimo, że wszystko w niej aż kipiało od życia, nerwowej siły i chęci istnienia.

Zasznurowała jednak usta i wpatrzyła się w czarny obelisk grobowca.

— Jadę! — myślała — jadę do Reichenhallu, bo tak mi kazał doktór, tak mi kazał — inaczej... bym nie pojechała. Szkoda pieniędzy, potem... sama jechać w świat... nie, nie mam ochoty... nie cieszę się wcale.

Urwała tę myśl, bo w myślach jej równocześnie nurtowała druga myśl, która gromiła ją za tę nieszczerość, za to pozowanie przed zmarłym.

— Nie kłam, cieszysz się, że jedziesz, sama tę myśl poddałaś lekarzowi — rada jesteś wyrwać się w świat, podróże były zawsze twojem marzeniem.

Obejrzała się z trwogą.

Zdawało się jej, że ta druga myśl — to on, to ten z trumny, z pod ziemi, mówi do niej swoim trochę ochrypłym głosem.

Wstała i chwilę jeszcze pozostała tak przy grobie niezdecydowana, czując, że razem z jasną suknią zerwał się ostatni węzeł, który ją łączył z wspomnieniem tego człowieka, do którego nie miała nawet czasu przywiązać się, jak należało.

— Nie moja w tem wina! — wyrzekła prawie pół szeptem, a w myśli dodała — zresztą, cóż? byłam mu wierna i cierpliwa, teraz nosiłam żałobę, przyniosłam kwiatów, przyszłam się pożegnać... cóż mogę więcej?...

Pochyliła się jeszcze nad płytą i, jakby chcąc wypełnić ostatnie swe obowiązki, oczyszczała kamień z listków akacji, które wiatr nawiał z sąsiedniego drzewa. Poczem niepewnym wzrokiem ogarnęła cmentarz.

— Tak prędko tu nie przyjdę — pomyślała — muszę się napatrzeć.

Ze stoku góry widać było po za oparkanieniem dolinę i znów piętrowe tarasy wzgórz, na których ciągnęły się czerwone zabudowania fabryczne. Tu i ówdzie strzelała w górę igła kominu. Niebieskawe smugi wlokły się po szarawych wzgórzach. W oddaleniu kępy drzew zdawały się prawie szafirowe. Natomiast niebo było całe aż białe, jak rozpalone żelazne sklepienie.

Helena wzrokiem wybiegła po za ten mur cmentarny nagle uczuła chęć wyrwania się z tego miasta umarłych,

z tej powodzi grobów, krzyży, więdnących kwiatów, płaczących brzóz i akacyj, z tej biednej łzawnicy, z tej urny olbrzymiej, w której rozsypywały się w proch szkielety ludzkie.

— Pójdę... niechcę... niechcę... — wołała w myślach gwałtownie.

I tak, jak z pokoju Weryhy ona wywlokła swą duszę precz, w świat pomiędzy ludzi, tak teraz jej dusza wlokła ją i pędziła zdala od mogił i grobów.

— Nie czas ci jeszcze, nie czas... — mówiła dusza, a Helena, szeleszcząc jedwabiami spódnic, biegła w stronę bramy, za którą widać było na ulicy stojący jej ciemny powozik, parę smukłych koni i sylwetkę stangreta w czarnej, eleganckiej liberji, siedzącego nieruchomo na koźle.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
L.....
JAN BARAN

III.

— Czy wielmożna pani każe podać herbatę?

— Nie, zadzwonię... — odpowiedziała Helena.

Usiadła na fotelu koło okrągłego stołu i zdawała się na coś czekać. Spoglądała na zegar, na drzwi. Nagle wstała podeszła do okna. Ulica Zygmuntowska, przy której mieszkała, była pusta. Wieczór nadchodził powoli, ale miał w sobie jakąś monotonię, rozpaczliwą pustkę, coś, co jej duszę przeszywało boleśnie. Zdawało się jej, gdy przechyliła się przez okno, że jakaś część jej życia ulata nagle i rozprasza się w przestrzeni. Z przeciwległych okien dolatywały ją tony fortepianu.

L' Altalena... pomyślała i przymknęła oczy.

Była to włoska piosenka o dziwnym, niepokojącym motywie. Helena słyszała ją teraz w lecie codziennie o zmroku, gdy z okien otwartych dolatywały dźwięki fortepianów. Kilkakrotnie chciała kupić nuty tej piosenki i grać ją sama, grać do znużenia, tak motyw ten męczył i mordował ją po prostu swoją banalną niezwykłością. Ale nigdy nie odważyła się grać jej sama. Miała jakąś zabobonną trwogę, gdy słyszała tę l' Altalenę; zdawało się jej, że tuż po za nią jest jakaś groźna postać, jakiś czarny płaszcz tragedji jej życia, coś, przed czem uciecby nie mogła, jakaś sieć, w którą dusza jej oplącze się tak, że gdy wyrwie się, pozostaną już tylko strzępy trupie.

Helena słucha l' Altaleny, oczy ma zamknięte, bo nawet w pustkę ulicy patrzeć się boi. A tak bardzo się boi, że zapomina o Reichenhallu, o tem, że ma na sobie nowy lila szlafrok, że ma już pieniądze na drogę... tylko słucha l' Altaleny, którą jęczy w oddali jakiś nieznany fortepian i czuje się bardzo samą, bardzo bezsilną wobec jakiejś groźnej, niewidzianej potęgi.

Nagle łagodny, spokojny głos mówi:

— Jaka pani dziś ładna!

Helena odwraca się szybko.

— Och!... to pan... jakże to dobrze!...

Weryho stoi przed nią, oczy ma trochę zmrużone, patrzy na nią tak z pod rzęs i uśmiecha się dziwnym, sennym, pobłażliwym uśmiechem Buddhy.

— Ładna pani! — powtarza, a ręka jego drobna kobieca, gładzi poufale mięką tkaninę szlafroka.

Prowadzi ją w róg salonu, gdzie sobie urządzili „kąt". Są tam dwa fotele angielskie ciemnozielone, kryte aksamitem i na biegunach. Sam Weryho rysunek ich znalazł w Studio Olone, przyniósł i do zrobienia tych foteli nakłonił.

Pomiędzy fotelami jest niski stolik. Na nim dzienniki, książki, papierosy w ryneczce z saskiej, starej porcelany.

Ten cały kąt oddzielony od reszty salonu wysokim parawanem z zielonego, grubego płótna, pomalowanego w lila irysy.

— Tak! — mówi Weryho, sadzając Helenę na fotelu — w naszym kącie pani się niczego nie boi... Co? ha?...

Helena, już uspokojona, śmieje się cicho.

— Nie... minęło. To resztki mego osłabienia. Gdy wrócę z Reichenhallu, będę już zupełnie zdrowa. Prawda?

Lecz on nie odpowiada.

Zasiadł wygodnie w fotelu i patrzy proszącym wzrokiem.

— A mój papieros? — pyta, przechylając głowę.

Ona, śmiejąc się, powstaje, wyjmuje z ryneczki papieros, wkłada go do ust Weryhy i zapaloną zapałkę przytyka do papierosa.

— Ty... leniwcze!... — mówi z wymówką starszej siostry, karcącej rozpieszczonego dzieciaka.

On pali papierosa powoli i kołysze się na fotelu.

— A pani wie... ja dostałem to miejsce w prokuratorji skarbu!

Helena cieszy się naprawdę. Tak lubi Weryhę, że wszystko, co jego dotyczy, obchodzi ją bardzo. Natychmiast jednak wyobraża sobie to delikatne stworzenie wtrącone w zapleśniałą piwnicę bjurokracyi i żal ją ogarnia wielki za jego swobodą.

— Ale co ty biedaku będziesz tam robić w tej prokuratorji... to nie dla ciebie.

Weryho milczy.

Ładna twarz jego, regularnie ładna z aureolą jasnych włosów, przebija się chwilami przez biały obłoczek papierosowego dymu. Na zielonkawym tle parawanu robi wrażenie bardzo delikatnego pastelu.

Helena mówi dalej.

— Ja chciałabym żeby z ciebie był... artysta.

— Ja jestem nim — odpowiada Weryho.

— Ty?

— Ja. I widzi pani, ze mnie jest może lepszy artysta niż ten, który to miano jak etykietę sobie na czoło przy-

bija... A w dodatku jestem czystej wody renesans. Ja rzeźbię, maluję, cyzeluję, jestem poetą słowa, linji, barw, tonów... O, w tej chwili, ja, patrząc na panią, jestem twórcą arcydzieła. Pani taka smukła w tych lila draperjach, na zielonem tle, po którem strzelają irysy, ręce pani białe, przejrzyste, długie, oparte na ciemno-zielonych poręczach fotelu, stopy toną w fałdach, nad głową cała piana złotawych włosów, z pod nich dwie plamy oczów... Naokoło pani moja myśl poetyzuje, snuje się całemi obłokami i harmonią melodyjną przepełnia mi duszę. Ja w tej chwili panią rzeźbię, maluję, śpiewam i to wszystko jak prawdziwy arystokrata - esteta, nie dla tłumu, wszystko dla siebie, zazdrośnie, w malachitowej czarze na samem dnie mej duszy.

Helena milczała.

On mówił powoli, łagodnie, leniwo z troszką ironicznej domieszki. Ale czuła, że on mówi prawdę. I czuła, że tę prawdę mówił i dalej.

— Czy w prokuratorji skarbu, czy gdziekolwiek, ja nic nie uronię z mego artyzmu... niech mi pani wierzy. Skoro mi przyjdzie ochota tworzyć, jeśli nie znajdę podatnego gruntu dokoła siebie, to ja mam w swej duszy cały magazyn, cały zapas takich mar, z których mogę sobie tworzyć arcydzieła. I to mi najzupełniej wystarczy. Cóż! Mogę siedzieć cały dzień w bjurze a to niema nic do rzeczy. Ja swoje artystyczne „ja“ zachowam i rozwijać będę w cieplarni mej siły twórczej. I w tem cała moja siła.

Tak — bezwarunkowo, on jest silny, pomimo swej pozornej leniwej słabości — myślała Helena. Silniejszy jest odemnie. Umie się zamknąć w sobie, umie sobie wystarczyć, umie uspokoić się, a ja szarpię się, rzucam, trwożę... pragnę. Potrzebuję zewnętrznych wrażeń, a gdy mam je — nie umiem chłonąć ich w siebie i zrobić sobie z nich ów zapas, w którym on czerpie owe estetyczne ciepło, stwarzające dokoła niego ten „spokój“, w jakim żyje.

— Ja panu zazdroszczę! — mówi Helena, jakby reasumując swoje myśli.

— Tak! — odpowiada Weryho — tak... mnie można zazdrościć, ja potrafię cierpliwie żyć... a to nie wszyscy umieją.

— Nie wszyscy... ja pierwsza.

— Tak, pani... i bardzo mi pani żal. Mówiła mi pani, że lubi pani jechać w powozie i patrzeć na ludzi jak z teatralnej loży. Niech pani tak jedzie spokojnie powozem i przygląda się samej sobie i temu, co los z panią robić będzie. Widzi pani, my jesteśmy jak... gałęzie drzew. Wicher nami gnie to w tę, to w ową stronę. Lepiej obserwować wicher, niż walczyć z nim.

— O! — protestuje Helena — ja chcę, ja muszę mieć własną wolną wolę.

Po ustach Weryhy przesunął się uśmiech.

— Wolna wola?... Czy pani wie, co z panią będzie za kwadrans?

— Wiem, wypiję z panem herbatę i będziemy dalej rozmawiać.

— To tylko przypuszczenie... gdzież pewność?

Ażeby go przekonać, Helena dzwoni i za chwilę Julia podaje herbatę, stawiając filiżanki na małym stoliczku. Przyjął się zwyczaj picia tej herbaty popołudniowej tu, w salonie, przy małym stoliczku lakierowanym na zielono.

Weryho bierze filiżankę i krzywi się niesmacznie.

Helena to skrzywienie chwyta w lot.

— A... chodzi o filiżankę.

— Uhm... ciągle ze szkła, ja tego znieść nie mogę.

Helena zakłada ręce wysoko ponad głową, z rąk jej spadają szerokie rękawy szlafroka, cały tors wygina się smukłą, zgrabną linją.

— Czekaj... mówi z uśmiechem — ja to wszystko zmienię. Wszystko przywiozę z Wiednia inne, secesyjne, świeże.

— Pani to wszystko powyrzuca!

W Helenie nagle coś się zrywa, pierś jej rozsadza.

— Tak!... tak!... — woła namiętnie — precz z tem, precz! Mnie tu wszystko dusi, dławi, męczy. Wszystko musi być nowe, inne, świeże, wesołe...

Przymknęła oczy i nagle dodała prawie szeptem:

— Może się wtedy już nie będę bała!

Osunęła się znów na fotel i siedziała tak zapatrzona przed siebie. Weryho postawił filiżankę na stoliku, powstał i bez przyczyny chodził powoli po salonie. Mrok zapadał i z nim jakieś uczucie nadzwyczajnej melancholji wkradało się do tego kąta. Fortepiany w sąsiednich kamienicach umilkły.

Nagle Weryho stanął przed Heleną i, nie pochylając się, oczyma swemi sennemi twarz jej ogarnął.

— Pani nie masz religji pamiątek... — wyrzekł powoli — pani nigdy nie będziesz szczęśliwa...

— Czy w tem szczęście? — rzuciła Helena.

— W pamięci? Tak.

— Ja sądzę przeciwnie. Rzucić wszystko, co dręczyło precz, nawet wspomnienie i biedz tam, gdzie wszystko nowe...

— Oh! Oh!

Weryho umilkł i znów wolno po pokoju chodził. Helena siedziała nieruchoma, z głową przechyloną i oddychała ciężko. Było jej gorąco, nerwy w niej grały.

Wreszcie Weryho znów się zatrzymał naprzeciw niej.

— Dobrze... — wyrzekł, jakby odpowiadając na jakąś myśl ukrytą — dobrze, a kiedyż pani wróci?

Ona śmiać się zaczęła gwałtownie.

— Kiedy? ho! ho!... Nie wiem — skoro mi pieniędzy zabraknie, a może skoro mi sił nie stanie...

On zatopił w nią swój wzrok, który nagle ożywił się i nabrał wyrazu.

— I czego pani będzie po świecie szukała?

Helena milczy. Namyśla się. Prawda — czego ona właściwie szukać będzie? Wrażeń?.. Nie. I nagle, bezwiednie prawie, woła jakby tryumfującym głosem — jakby zwiastującym wreszcie jakieś odkrycie głębi swej duszy.

— Miłości!

I szybka następuje odpowiedź Weryhy:

—Jakiej?

A ona z uśmiechem rzuca mu z oczyma na wpół przymkniętemi:

— Takiej... *jak tęcza!*

Słowa te wpadają pomiędzy nich dwoje pozornie puste i bez znaczenia, lecz coś przed wzrokiem ich dusz migoce całą gamą barw, rozpływa się w przestrzeni.

Jak tęcza!

On nie żąda tłumaczenia, on ją odczuł, zrozumiał.

Wie, że to ma być miłość pełna, złożona po prostu z całej gamy uczuć od purpury namiętności aż do ciemni rozpaczy. Ona także tak zrozumiała to określenie, które wydarła z jej ust jakaś nieznana siła i oboje milczą teraz, a pomiędzy nimi niewidzialna smuga miłości ścieli się niby morze o zachodzie słońca i ciągnie i wabi..

Ściemnia się już prawie zupełnie. W kątach salonu tworzą się jakby ciemne pieczary — tu i ówdzie widać jeszcze szkielety palm.

Pierwsza Helena budzi się z zamyślenia.

— Pal... mówi do Jurka, czemu nie palisz?

Ona sama nie pali, ale lubi upajać się dymem tytoniowym, który rozpływa się po salonie.

Lecz on nie sięga ręką po papierosa — i bardzo wolno odchodzi ku oknu — staje w niem i opiera się o ramę.

— Gorąco ci? pyta Helena — mnie także gorąco...

Nie idzie jednak do okna. Siedzi na fotelu, kołysząc się lekko. Ogarnia ją uczucie jakiejś błogości. Jest u siebie, cisza... spokój. Niedaleko ktoś jej życzliwy. I w tej samej chwili rodzi się w niej niepokój, czy dobrze robi, jadąc od tej ciszy i spokoju, goniąc za tą tęczą...

Uczucie to przejmuje ją wielką przykrością i dawnem wrażeniem trwogi, które powraca z nową siłą. — Przez otwarte okno słychać, jak ktoś znów zaczyna grać l' Altalenę.

— Oh!... — wyrywa się jej z piersi prawie z jękiem.

Nie wie sama, jak wstała, jak podeszła do okna i znalazła się obok Weryhy. Kurczowo chwyciła go za rękę.

— Znów się boję!... — wyrzekła, zaciskając zęby.

On nic nie odpowiedział, tylko bardzo szerokim, pięknym gestem przygarnął ją do siebie, poczem oczy jej, usta, szyję, długo, spokojnie całować zaczął,

Ją w pierwszej chwili ogarnęło uczucie niewypowiedzianej ulgi i błogości — potem chciała się bronić, lecz czuła, iż przerwie bardzo ładną, bardzo szlachetną chwilę swojego i jego życia i instynktem wiedziona nie uczyniła tego. Zamknęła oczy i stała biernie z rękami opuszczonemi wzdłuż ciała.

— Teraz niczego się nie boję! — myślała z radością.

Jego twarz była ciągle marmurowo spokojna, tylko oczy pokryła jakby mgła. Całował tę milczącą kobietę jakby we śnie, pojąc się ekstazą, wrażając w pamięć każdy pocałunek. Oboje byli bardzo bladzi, bardzo spokojni i powoli zupełny cień owinął ich postacie.

Jej zdawało się, że ktoś — pochylony nad nią — czytał rozdział jakiejś bardzo pięknej a nieznanej jej książki.

Nagle zabłysła smuga światła i zbudziła ich z tego rozmarzenia.

Zapalono latarnię, która stała na przeciwległym trotuarze.

Odsunęli się od siebie. Czuli oboje, że na razie nie mogą, nie powinni nic do siebie mówić.

On ujął ją w ramiona i bardzo delikatnie, jak wielką lalkę, oparł o ścianę. Blask latarni padł na jej twarz pobladłą i oświetlił jej ciemne, duże oczy, które zdawały się patrzeć na niego, nie widząc.

I cicho, spokojnie Weryho wysunął się z salonu.

IV.

Gdy Helena pozostała samą i drzwi swej sypialni zamknęła za Julą, zaczęła się szybko rozbierać.

Zrzuciła szlafrok i włożyła długi batystowy *peniuar*, oszyty koronką.

Była niespokojna, niepewna, niezadowolona ze swego z Weryhą postępowania.

— Co teraz? — myślała, siadając na fotelu przed lustrem — cóż teraz zrobić? Jakże ja się z nim zobaczę!

Jak strzała przemknęła jej nagłe myśl możliwego zamążpójścia.

— Co? Za niego?...

Roześmiała się.

— Młodszy odemnie! — myślała — potem nie ma stanowiska.

W tej samej chwili uczuła do siebie niesmak.

Stanowisko!... wstrętny wyraz. Jak mogła nawet myśleć tak brzydko? Wszak szczyciła się zawsze sama przed sobą wielką bezinteresownością swej duszy a tu po pocałunkach... stanowisko!

Zamknęła oczy i starała się odtworzyć przeżytą chwilę.

Nie... to było nie... *to*. Owe pocałunki Weryhy pozostawiły jej wrażenie letniej kąpieli Wszystko w niej nie tylko spało, ale pod tem wrażeniem drętwiało, usypiało jeszcze więcej. Zmysły milczały, żaden nerw nie drgał — bladła, omdlewała prawie.

— Spokojnie mi... nic więcej.

To nie było ani jedno wrażenie z miłosnej tęczy, lecz dla niej, którą tak męczyły owe ciągłe nerwowe trwogi i niepokoje, była to pewna duża ulga i coś bardzo pożądanego.

— Nie boję się wtedy niczego..

— Więc co?... iść zaWeryhę — iść? Znów stanąć przed ołtarzem, przysięgać? Znów żyć we dwoje, znów nie zaznać swobody, nie być wolnym, nieskrępowanym ptakiem, który może lot zwrócić, gdzie tylko zapragnie?...

Porwała się z fotelu. Zdawało się jej, że ją ktoś wiąże, że jej zamyka otwarte drzwi celi, z której śmierć męża ją wydobyła.

— Nie... nigdy! — krzyknęła prawie głośno.

Spojrzała w lustro. Krótkie dość włosy o dziwnym, szarawym połysku spadały jej na ramiona. Zebrała je i spięła na wierzchu głowy w kształtny, duży węzeł. Poczem obcisnęła dokoła siebie cienki peniuar i uważnie z pod brwi ściągniętych zaczęła się sobie przypatrywać.

Była ładna.

Miała w sobie to, co mają w sobie kobiety ładne, a czego nie mają kobiety piękne.

Miała — czar.

W czem? Czy w ustach, czy w uśmiechu, czy w spojrzeniu, czy w pewnem charakterystycznem wyciągnieniu szyi — nie wiadomo. Ale czar ten był tak wielki, że ona sama mu ulegała, gdy zapatrzyła się na siebie w zwierciedle.

Rysy jej twarzy były przecież regularne, owal twarzy bez zarzutu, podbródek prawie przypominał greckie zarysy, a mimo to nikt nie odnosił wrażenia, że Helena jest piękną. Helena była ładną.

Ładne w niej było wszystko.

I wzrost, i linje, i spadek trochę gwałtowny ramion, i kark cokolwiek pochylony, a delikatny, i uszy małe, a tak cieniutkie, że aż od krwi różowe. Linia krzyża była gwałtownie wpadnięta w stanie tak, że gdy Helena obciskała peniuar, zdawało się, iż ciągle jest ściśnięta gorsem. Biodra miała lekko rozwinięte i dziewicze — nogi długie, smukłe, jak u pazia, stopy małe, ładne i inteligentne.

Ręce tylko trochę były duże, ale białe i ostro zakończone, bardzo ładnie i dystyngowanie połączone z ramieniem. Ciało białe, dziwnie białe na tak ciemną szatynkę, iż zdawała się wieczorem prawie brunetką, miało dziwną właściwość.

Helena pachniała cała, jakby ziołami leśnemi. Należała do tej niewielkiej ilości kobiet, które są kwiatami żywemi. Pachniała, jak wielki bukiet leśnych kwiatów i ziół. Ani Cherry Bloosom, ani Ambra nie zdołały zniszczyć tego zapachu, który tryumfalnie przedzierał się przez wszystko. I ten zapach, który całemi smugami biegł za nią, był także ładny i był także jej powabem i wdziękiem. Przytem Helena umiała chodzić, umiała siedzieć, umiała wstać tak, że linje jej ciała były zawsze harmonijne i niezłamane.

Gdy rękę wyciągnęła, gdy zasłuchana przechyliła głowę, zdawała się być rzeźbą lub jakąś postacią ubiegłą z wielkiego, modnego afisza. Było to w niej bezwiedne i od dziecka wrodzone. Mówiono o niej, że zawsze „pozuje".

To nie była poza — to była świadomość tego, co piękne, a co brzydkie. Unikała linji brzydkich, tak jak unikała kolorów, słów, tonów niedobranych. Cierpieć nie mogła swego apartamentu. Czuła, iż to, co w nim było, gromadzili ludzie, którzy byli brzydcy, jedli brzydko, mówili brzydko, wykonywali brzydkie giesta. Ona — chciałaby mieszkać w pałacu, o tak czystych, białych kolumnach, że oślepiałyby wzrok, patrzący na ten las płynący ku górze. Krzesła winny być niskie z marmuru, drzewa różanego i wykładane w mistyczne gałęzie perłową masą. W środku komnaty, z kłąbu róż, wytryska fontanna. Pomiędzy kolumnami w błękitnawem oświetleniu snują się biało udrapowane służebne. Ona — siedzi cicho i marzy. O czem? O tem, czego nie zna, o miłości — i wtedy, wtedy miłość wydaje się jej błękitem, ciszą, spokojem nawet bez szelestu skrzydeł gołębi Afrodyty...

Oto świątynia jej serca. Tę miłość mógłby jej dać Weryho. Lecz równocześnie coś targa się w głębi jej istoty. Nie! Nie! Zęby mimowoli przygryzają wargi. Mała kropla krwi na nich wytryska. Przed oczyma zamiast białej kolumnady błękitnego pałacu mieni się cała kaskada barw płomiennych, splątanych, tęczowych. Coś nieznanego szarpie nią całą z nieopisanym niepokojem. Pragnie, pożąda — w odzyskanej swobodzie rwie się do nieznanego. Marzyć cicho — bezpiecznie... nie!... Już lepiej niech ją pochwyci hydra nerwowego strachu, ale w zamian niech pozna ból! Niech pozna szał! Wyciągnęła w próżnię ręce gwałtownym, szybkim ruchem. W lustrze miała pozór białej brzozy, rozwiewającej na wiatr wiosenny swe gałęzie. Po za nią płonęły świece zapalone w trójramiennym świeczniku, tworząc mistyczny trójkąt gwiazd, z wpół przymkniętego okna płynął lekki wiatr i płomienie świec kołysał.

Z ramion Heleny usunięty peniuar odkrywał ją. Ona — oczy lekko przymknęła i wpatrywała się w lustro, w białą wizyę siebie samej, która zdawała się jej oddalać coraz dalej, niknąć, to znów występować w otoczeniu trzech drgających w przestrzeni świateł.

— Kto ona? — przemknęło jej w tej chwili przez myśl — kto ona, taka biała — taka inna, taka rwąca się gdzieś daleko — rozkołysana, rozciekawiona... Kto ona?

Czuła, że lada chwila ogarnie ją lęk, trwoga przed nią samą. Ta druga, biała i nieznana, w otchłani lustrzanej wydała się jej wrogiem, nieprzyjaciółką, widmem, nieszczęściem jej życia. Ona ciągnęła ją ku sobie temi rozwianemi w przestrzeni rękoma, tą jakąś wolą i chęcią, która płynęła całą falą z jej piersi, z jej ust rozchylonych, z jej oczu, przysłoniętych rzęsą. I Helena zaczęła z trwogą wzrastającą wpatrywać się w tę mistyczną postać nieruchomą i straszną. Chciała zawołać — zostaw mnie! daj mi spokój! nie wlecz

mnie za sobą!... lecz głosu jej brakło — lękała się przemówić, przerwać ciszę — lękała się posłyszeć odpowiedź tej drugiej.

Świece powoli dopalały się — zegar w salonie przejmującym, cichym dźwiękiem bił kwadranse, godziny — Helena i tamta druga stały wciąż naprzeciw siebie nieruchome, zapatrzone, groźne, jak dwa białe widma, jak dwie białe brzozy o rozwianych na wolę wichru gałęziach.

V.

Spotkali się na schodach i ona pierwsza podała mu rękę spokojnie i poważnie.

— Dobrze, że pana widzę — chciałam ci powiedzieć, że jutro wieczorem jadę.

Weryho nie odrzekł ani słowa. Spojrzał na nią sennym i prawie zamglonym wzrokiem.

— Więc pani jedzie! — wyrzekł po chwili, opierając się o rampę schodów.

— Tak... tak... muszę — doktór każe. O, patrz pan, mam całą listę sprawunków, na drogę.

Mówiła szybko, nie patrząc mu w oczy. Czuła, iż sprawia mu przykrość, co więcej, sama czuła jakiś ból, niezadowolenie — jakby wyrzut z popełnionego złego uczynku.

— A pan gdzie idzie?

— Szedłem do pani

— Przyjdź pan wieczorem.

Weryho spojrzał na nią przeciągle i smutno.

— Nie — wyrzekł — ja nie przyjdę.

— Dlaczego? Dlaczego?

Mówiła to bez przekonania, wiedząc dobrze, iż pomiędzy nimi powtórzenie wczorajszego pocałunku nie mogło już mieć miejsca bez jakichś dalszych następstw. Chciała jednak płacić udaną odwagą i pewnym lekceważeniem, które nagle niepoczciwie owionęło ją całą, jak puklerz w chłodnej stali wyryty.

Tak, najlepiej przeciwstawić chłód i obojętność, co więcej — pomiędzy sobą i nim wznieść taką zaporę, ażeby on nie pomyślał nawet nigdy o tej chwili, która ją bezwładną, z rękoma opuszczonemi wzdłuż ciała, z twarzą śmiertelnie bladą, oddała w jego objęcia z bezwzględnością zupełną.

I prostując się w swem długiem, czarnem okryciu, strojnem bogato w koronki — rzuca szybko z jakąś ironią lekceważącą w głosie:

— Choć... przypominam sobie... ja nie będę dziś wieczorem w domu... nie będę... mam jeszcze dużo zajęć.

Czuje całą banalność i nędzę tej wymówki i czuje coś więcej, że on ją rozumie, odgaduje, wie — pogardza nią może.

Chce odejść, odejść jak najprędzej — lecz on stoi ciągle nieruchomy, zastępując jej drogę.

Stoi i nie mówi nic — patrzy tylko na nią uparcie, sennie, z pewną melancholją chorej i smutnej duszy.

Gdyby choć coś mówił, gdyby ironicznie rzucił jej w twarz to, na co zasłużyła — wymówkę, że przyzwoita kobieta nie zbiera z ust mężczyzn pocałunków, skoro później odchodzi od nich, jak obca... gdyby jej choć zrobił taką filisterską scenę, mogłaby ująć w rękę tren swej sukni i odejść, jak obrażona królowa — ale on milczy i patrzy na nią, a co więcej, zaczyna się teraz zagadkowo, smutnie uśmiechać.

Tym uśmiechem smaga ją, jak szpicrutą, lecz trudno jej porwać się na niego za... uśmiech.

Teraz Helena robi wrażenie osaczonego w klatce zwierzęcia. Jak przez kraty nie może się przedostać na wolność przez ten milczący, ledwo zarysowany uśmiech Weryhy. Jeszcze chwila — a wybuchnie spazmatycznym płaczem. Lękała się tej chwili spotkania, lecz nie wyobrażała sobie, że będzie tak ciężka. Nerwy jej buntują się — nie zniosą tej męki dłużej.

— Żegnam pana!

I szybko z szelestem jedwabiu — zwinnie jak wąż czarny, obsypana dżetem, przesuwa się koło ściany, niby dotykając jej nawet brzegiem sukni; biegnie ze schodów i gdy wydostaje się wreszcie z bramy na ulicę — woła prawie półgłosem:

— Pojadę: dziś! dziś!

VI.

Ostatni ton przeciągły, jakby wycie wichru po wzgórzach i potem cisza, prawie grobowa cisza.

I nagle szelest braw, szczęk szkła, hałas, krzyk — nawoływania kelnerów.

Helena wyszła na swój balkonik i oparłszy się o balustradę, patrzyła na dół.

Przed nią roztaczał się ogród Axelmansteinu.

Stała po nad werandą restauracyjną, na której goście jedli kolację. Z werandy bił blask, ktory rozświetlał żółtawą smugą część placyku przed restauracją. Zawieszone w powietrzu mleczne, świetlane kule rozjaśniały kępy drzew seledynowym, czarującym blaskiem. W powietrzu panował tak wielki spokój, że ani jeden liść nie drgał i Helenie zdawało się chwilami, że te drzewa, te lampy, ten cały ogród, ta cała przestrzeń, ciągnąca się przed nią, jest jakimś obrazem z łudzącą mistrzowską perspektywą.

Gdzieniegdzie, pod drzewami, przesuwała się jakaś postać, ciemna i spokojna. I ona zdawała się nie żyć, lecz sunąć jak cień. Chwilę pojawiła się w smudze świetlanej i ginęła w ciemni. Tylko pod swemi stopami, na werandzie Helena czuła pulsujące życie. Tam byli ludzie żywi, ludzie pożerający wiecznie i zawsze ciszę, spokój i uroczysty nastrój takiej martwej, seledynowej Reichenhalskiej nocy. Bo dziwnem, niepojętem zabarwieniem cała przestrzeń zajęta przez drzewa Akselmansteinowskiego ogrodu, cały budynek czytelni, okalający dość zgrabną kolumnadą ten ogród, i dalsza przestrzeń, w której rysowały się kształty olbrzymich gór, była seledynowa, szmaragdowo - blado - zielona, łagodna i przejrzysta choć napozór ciemna. — Jak się to działo, zrozumieć trudno. Księżyca nie było, a przecież niebo tak samo miało seledynową barwę, tak czystą i jasną jak miewa czasem morze o podobnem, letniem popołudniu. Helena kochała te Reichenhalskie seledynowe noce. Czekała na nie z utęsknieniem. Wychodziła wówczas na balkon i kąpała się prawie w tej łagodnej, czarującej barwie.

Nagle z daleka, z kępy drzew, które rzucały ostre cienie na zielonawy aksamit trawnika, rozległ się czysty, dźwięczny głos kobiecy.

Z przeciwległego końca ogrodu, z drugiej takiej kępy drzew, odpowiedział drugi głos, równie czysty, równie dźwięczny. Lecz ten głos był cichszy, był jakby echem pierwszego.

I tak ukryte w liściach drzew i krzaków jak dwa ptaki rozśpiewane miłośnie wśród nocy, śpiewały te dwie jodlerki, nie uczoną, zwykłą piosenkę górską, pełną nawoływania i jęku, który przez szczyty drzew biegł ku górom i w nich ginął.

Helena stała ciągle oparta o balustradę, zapatrzona, zasłuchana. Ta górska pieśń, krzyżująca się w powodzi seledynu, płynąca jak przez olbrzymi pryzmat szmaragdu, wstrząsała nią do głębi, wywołując w niej dziwne wrażenie.

Melodja była tęskna i to zawodzenie jękliwe jeszcze tęskniejsze, a przecież Helena nie czuła się smutną. Przeciwnie. Jakaś rzeźwość, jakieś życiowe pragnienie wstępowało w nią całą. Czuła się silną, chętną do życia, do przyjmowania wrażeń. Z silnych piersi tych jodlerek płynął ku niej w ich głosach ożywiony prąd życiowy. Te dziewczęta pełne, zdrowe, jasnookie, niemające trwożliwych chwil, w których nerwy duszę z ciała w przestrzeń nieznaną a straszną pędzą — z ukrycia swego, z poza wachlarza drzew i liści, kojąco i błogo oddziaływały na nerwy i całą istotę Heleny.

— Śpiewajcie!... — mówiła, wyciągając ku nim ręce — jeszcze! jeszcze!...

Weranda powoli pustoszała i Helena słyszała i czuła, jak tam pod jej stopami gasło to fatalne, zwierzęce życie, to naładowywanie tych zgłodniałych gardzieli i jak kelnerzy sprzątali obrusy, gasili świece w szklanych kloszach, wynosili krzesła. Musieli jednak siedzieć jeszcze jacyś goście, bo jodlerki znów zaczęły zawodzić swe pieśni, teraz już nie echowem oddawaniem sobie głosu wspólnie z dziwną zgodnością, jakby obydwa głosy z jednej piersi dziewczęcej pod stropy nieba, w łono gór płynęły. Helena znała tę pieśń. Wiedziała, że nią kończy się zwykle koncert nocny w Akselmansteinie.

I uczuła straszny żal na myśl, że znów zostanie sama, bez tych świeżych, młodych głosów, które jej stały się teraz koniecznym, codziennym pokarmem. Ze zdwojoną energją wchłaniała je w siebie, jakby pragnąc zaczerpnąć w nich zapas na ten czas, w którym ich słyszeć nie będzie.

Nagle lampy elektryczne pogasły.

Dziewczęta jakby triumfalnie, z całą siłą młodych, zdrowych piersi zanuciły ostatnią zwrotkę. Tak musiały śpiewać tam, wysoko w górach podczas księżycowych nocy.

I nagle urwały na przeciągłej nucie. Ta nuta popłynęła w powietrzu — i zdawało się, że zawisła w przestrzeni pośród seledynowych liści nieruchomych.

Nastała teraz wielka cisza, taka cisza, iż Helenie się zdawało, że słyszy bicie własnego serca i słyszy własne myśli. Seledynowa barwa rozlewać się zdawała coraz szerzej, coraz jaśniej, coraz bezwzględniej. Smuga żółtego światła z werandy zginęła i teraz owa szmaragdowa fala opłynęła cały gmach hotelu, balustradę ganku, oplecioną dzikiem winem i kaskadą śpiących powoi.

Helena spojrzała na swe ręce i spostrzegła, że miały dziwną, zielonawą barwę. Wstrząsnęła niemi, jakby chciała się pozbyć tej fali, lecz barwa pozostała i teraz Helena uczuła, że opłynęła ją całą.

Była to jak kąpiel letnia, bo noc była dziwnie ciepła i wonna.

Ciepło to, barwa, woń przebijały lekką tkaninę białej sukni Heleny i otulały jej nagie ciało, które drżało lekko, jakby muskane pocałunkami. Spokój dziwny, czarowny zaczął przejmować jej serce. Uczuła się nagle bardzo piękną, w tem pięknie zewnętrznem, które przepajało jej istotę. — W tem pięknie doznała także nagle jakiejś dumy słodkiej i zwycięskiej.

Stała niewzruszona, zachwycona, z ustami rozchylonemi lekko, skąpana w zielonawym blasku, czując, że linje szat jej układają się z najwyższą harmonią, widząc się piękną, cichą, jasną, jak zjawisko ustrojone nieziemskiemi blaski. I nagle zrozumiała Weryhę. Można być artystą i ze samego siebie tworzyć arcydzieło dla samego siebie. To zawsze można. A gdy tak możność przebywania w pięknie mamy w sobie i mamy ciągle niewyczerpanie, mogąc każdym gestem własnym, każdym nastrojem dać sobie wrażenie estetyczne i duszę swą wprowadzić w stan podziwu i twórczości artystycznej — życie może być po prostu szeregiem zjawisk uroczych, pełnych zachwytu i niepospolitych wrażeń.

Helena stała tak długo na tym balkonie nieruchoma i zasłuchana w własną piękność. Zdawało się jej, że jest wielką mocarką, tworzącą w tej chwili nieśmiertelne dzieło. Odczuwała swą sylwetkę i mogła w myśli nakreślić wyraz swych oczów, elektryczne, nadnaturalne obwódki konturowe włosów i ramion, harmonijne zgięcie bioder i ręce białe o zielonawych, niepewnych tonach, leżące na podściółce z kamienia pomiędzy aksamitem winnych liści i dzikich powojów. Długa jej biała suknia, opięta na biodrach, rozkładająca się szerokim kołem u dołu, czyniła ją podobną do średniowiecznych kamiennych dziewic, stojących u wrót kaplic, a którym ciche światło księżyca całuje nieruchome

stopy. I w duszy swej Helena uczuła także taki świat cały ciszy i spokoju, takie morze piękna i dobra — taki bezmiar słodyczy, odrywającej ją zupełnie od tego, co małe, niskie, ciemne i brzydkie. Hotel Axelmansteinu ginął zupełnie. Natomiast wytwarzał się jakiś wyniosły piedestał, o który rozbijały się fale zieleni drzew i z tej zieleni podnosił się opar seledynów, który biegł ku górze w kryształowe przestworza.

. . . . . .

„Nie mogę spać — muszę pisać do ciebie, bo mi w tej chwili ciebie, Jurku, brak. Czy będziesz czytał mój list — nie wiem. Postąpiłam z tobą, jak kobieta przeciętna, jak ta, która dba o pozory! Wycałowałeś mi serce na usta — pamiętam, tam w obramowaniu okna, a ja nazajutrz odjechałam od ciebie bez słowa, choć wiedziałam i czułam, że pocałunek taki wiąże chyba dwoje ludzi. Pojechałam w świat, zdawało mi się, że zapomnę. Patrz — dziś jesteś tu przy mnie w tym Reichenhallu, bardziej niż kiedykolwiek — jesteś tu i dziś słyszysz mnie — dziś — ja rozumiem cię!

Gdy mówiłeś do mnie we Lwowie o sobie, jako o artyście, który w każdej chwili umie otoczyć się pięknem, wysnutem z najbanalniejszych objawów życia, słuchałam cię, lecz nie rozumiałam. Widocznie dusza moja musiała pozostać sama, aby próbować działać samodzielnie. I oto dziś w taką cichą noc zdaje mi się, że wchodzę w twe ślady i zaczynam wytwarzać dokoła siebie świat własnego piękna. Czuję, że świat ten daje wielką błogość i uspokojenie, jakiego nie mogą dać światy obce, tworzone innemi artystycznemi myślami — gdyż według mnie wtedy my czujemy to piękno z drugiej ręki... Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Ale — w mej głowie szum, chaos, tak, jakbym stanęła nagle na progu jakiegoś nowego życia. Czy w ten sposób mogłabym wreszcie wypełnić tę pustkę, którą ciągle mam przed sobą, a którą chciałam zapełnić czem innem? wrażeniem sercowem? Pamiętam — owego wieczoru mówiłam ci, iż pójdę w świat szukać miłości. Jakiej? Jak tęcza! — Tymczasem do tej chwili — ani śladu tej tęczy nie znalazłam, a cała moja istota nagle w ciszy nocnej, w roztopionym szmaragdzie górskiej mgły znalazła się wywyższoną ponad ziemię i u progu nieznanego świata, nad którym zawisł napis: Piękno. — Lecz... ja muszę być szczerą. Nie chcę być już podobną do tej, która przed tobą brzydkim, nieszczerym ruchem uciekła na schodach nazajutrz po pocałunku — stoję teraz na progu tego świata niepewna i drżąca. Sama weń iść się boję, lękam się rzucić w to wrażenie, bo choć kojące ono i czyste — to przecież nowe dla mnie i nieznane. Co więcej ci powiem, ono łączy się

z pewnem wrażeniem odniesionem — tam we Lwowie w objęciach twoich. Ta sama cisza, spokój i jakiś bezmiar słodkiego piękna. Czy rozumiesz mnie, Jurku? Czy zechcesz mnie zrozumieć? Och! chciałabym ci te słowa posłać na zielonej smudze górskiej mgły, która aż tu, aż na stół, na którym piszę, się zakrada. Widzę ciebie, tu — stąd — przez te szmaragdowe opary w całej twej wielkiej piękności, widzę dziecięcy wyraz twych ust, który miałeś wtedy, gdy pochylałeś się nademną blady i niosący na wargach swych nieznane mi wrażenie. Dałabym wiele, ażebyś w tej chwili był przy mnie. Dlaczego na mnie taka chwila nie przyszła wcześniej, we Lwowie? — A może to i lepiej, że przyszła ona teraz i w tęsknocie mnie niejako pogrąża, dopełniając tą tęsknotą wrażenie słodkiej melancholji niezmiernie miłej i niezmiernie pięknej. — Posyłam ci ten list bezładny i pisany jakby w somnambulicznej ekstazie. Dopełń go sam — dotwórz to, co w nim brak — będzie to z pewnością wzięte z mej duszy, bo moja ożyła pod wpływem twych słów. — Odpowiedz!"

. . . . . .

Helena skończyła pisać ten list do Weryhy, włożyła go w kopertę i słysząc idącego gaz gasić kelnera, uchyliła drzwi.

— Proszę ten list wrzucić natychmiast na dół do puszki.

Gdy list oddała i zamknęła drzwi, zbliżyła się wolno do stołu i zaczęła układać w teczce papiery.

Sąsiad jej, mieszkający obok, dostał nagle ataku suchotniczego kaszlu. Słyszała go, jak pluł i jęcząc ciężko, opierał się o ścianę. To nią wstrząsnęło całą.

Nędza życiowa rzuciła się jej w umysł z całą brutalnością. Straszny odgłos przegniłych płuc, wypluwanych wśród charczenia niemal zwierzęcego, wionął na nią wspomnieniem zgnilizny i grobu.

Czemprędzej wyszła na balkon, chcąc odnaleść dawne wrażenie piękna.

Oparła się znów o balustradę, nurzając ręce w masie dzikiego wina i powoi.

Lecz — oto zaszumiały kroki pod jej balkonem.

Jakiś mężczyzna ubrany jasno — w popielatych butach przeszedł zwolna wzdłuż werandy. Idąc, podniósł głowę. Helena poznała w zielonawem świetle jednego z mieszkańców hotelu, który przy obiedzie wpatrywał się w nią uparcie wielkiemi, szafirowemi oczami.

— To ten — pomyślała — czy idzie tu dla mnie?

Bezwiednie przechyliła się przez balkon i rękę swą opuściła poza balustradę, starając się ułożyć jak najkorzy-

stniej palce, na których połyskiwały kupione świeżo w Wiedniu pierścionki.

Tymczasem mężczyzna cofnął się trochę w bok i usiadł na ławce, okolonej krzewami. Na ciemnem tle liści odcinał się jasno i wyraźnie.

Zapalił papierosa i siedział tak spokojnie, najwidoczniej pozując dla Heleny i starając się zwrócić jej uwagę.

W Helenie zbudziła się — „przeciętna kobieta".

Szmaragdowa barwa górskiej mgły traciła urok wobec tej galeryi złożonej aż z jednego podziwiającego ją mężczyzny. Choć było ciemno, przemknęło jej przez umysł — czy włosy się nie rozfryzowały. Zapomniała, że przed kilkunastu minutami widziała linje swej głowy kształtne i piękne. Lecz były to linje prawdziwego piękna — te zaś, o które zatroszczyła się teraz jej istota, były konwencjonalną szpetotą uznaną za piękno przez pewne zboczenie smaku, które modą nazywamy. Jasno ubrany mężczyzna, w szarych butach — palący w cieniu drzew papierosa, wzniecał w niej te banalne pojęcia piękna i sprowadził ją z seledynowego piedestału na teren bardziej realny.

Co zaczął kaszel suchotnika, ciągnęły teraz wrażenia wywołane dobrze skrojonym surdutem tego człowieka.

Drzwi sąsiedniego pokoju — po lewej stronie balkonu — otworzyły się zwolna i nagle zaciemniało w przestrzeni. Był to drugi sąsiad Heleny, ten zdrów, ten, który nie kaszlał i nie wypluwał płuc. — Helena nie widziała go nigdy i dziś pierwszy raz dostrzegła jego wysmukłą, wyniosłą postać. Był bardzo wysoki — miał głowę dość kształtną i małą. Ubrany ciemno — rysował się wyraźnie w przestrzeni. Balkony były tak bliskie, że łączyły się prawie ze sobą. Helena dostrzegła, iż ani twarzy, ani rąk, ani całej postaci nieznajomego nie opływała owa seledynowa barwa powietrzna. Zdawało się, że jego postać opiera się tym czarownym wpływom i nie przyjmuje zjawiskowego światła. Ciemno, ostro, surowo jakoś rysował się ten człowiek w przestrzeni.

Palił cygaro, a purpurowy, duży ogień rozświetlił dolną część jego twarzy.

W tym czerwonym ogniu widać było silną, zmysłową, prawie zwierzęcą szczękę, okoloną ciemnym, starannie utrzymanym wąsem, świeże wargi i dwa rzędy białych, wilczych zębów.

Dostrzegłszy Helenę, posunął się ku brzegowi balkonu i wyjąwszy cygaro z ust, wyrzekł niskim głosem:

— Bon soir!

Helena nie poruszyła się. Wydało się jej to nieprzyzwoite i niewłaściwe wdawać się w rozmowę z nieznajomym mężczyzną. — Uczuła jednak wielki niepokój. Wzrok tych dwóch mężczyzn, utkwiony w nią, drażnił jej nerwy

i wprawiał w dziwne uczucie. Był to stan jakiegoś podniecenia, jakieś zdenerwowanie bolesne, a zarazem rozkoszne. — Czuła, że ku niej wśród tych oparów nocnych płynie uwielbienie i pożądanie mężczyzn. — Dawne, spokojne uczucie piękna — wspomnienie Weryhy nikło, rozpływało się w mgłę. — Kobieta przeciętna występowała w całej pełni i tryumfowała w potędze swej płci i urody. — To, za czem biegła po świecie, to jest miłość, była tuż obok niej, ona wrażliwą swą naturą kobiety spragnionej, bądź co bądź, miłości, wyczuwała to pragnienie jej całej, jaką mieć musieli obaj znajdujacy się w jej pobliżu mężczyźni.

I powoli, pod wpływem tej niepokojącej myśli, wyprostowała się w swych białych szatach, które teraz nie przybierały już linij szat kamiennych dziewic, strzegących wejścia wpół rozpadłych w proch kaplic. — Jej sylwetka zarysowała się inaczej — zupełnie moderne — głowa miała przyzywający, bezwiedny ruch wabiącej gołębicy.

I choć barwa seledynu ciemniała powoli — tak, że rysy Heleny ginęły w pomroce, Helena przygryzała usilnie usta, chcąc, aby wargi jej wydały się bardziej czerwone, niż były w rzeczywistości.

I cała ona pod wpływem męskich spojrzeń zmieniała się...

Kobieta kłamała.

VII.

Gdy się jej przedstawił jeden z mężczyzn, uczynił to z taką pewnością siebie, iż Helena przez chwilę stała niepewna, nie wiedząc, jak ma przyjąć to zachowanie się nieznajomego.

Było to w sali jadalnej Axelmansteinu po obiedzie, gdy goście z table d'hôtu się rozeszli.

Duża — banalna sala restauracyjna pusta była już prawie, tylko na brzegu stołu kończyły pić kawę jakieś dwie stare frejliny, tak wysznurowane i upudrowane, że zdawały się być jakiemiś automatami z gabinetu figur woskowych. — Helena pozostała, także pijąc powoli kawę i patrząc w okna na ogród, do którego napływali już bardzo postrojeni goście. — Pozostała głównie dla tej przyczyny, iż ów mężczyzna w popielatych butach widocznie oczekiwał na jej wyjście, stojąc tuż przy drzwiach wejściowych i udając, że przegląda rozwieszone na ścianach wycieczkowe afisze z Berchtesgaden. — Od dwóch dni, od owego wieczoru, gdy przyszedł pod jej balkon, nie opuszczał jej ani na krok, śledząc ją ciągle dziwnem spojrzeniem olbrzymich, trochę w głąb wsuniętych oczów. Zresztą był brzydki, chudy — tylko dosyć zgrabny w ruchach i nadzwyczaj czysty i elegancki w ubiorze. Ogolony zupełnie, miał pozór przebranego księdza lub aktora na urlopie. Ręce nadzwyczaj delikatne o długich, wązkich palcach utrzymywał widocznie z niezmierną starannością. Coś było w tym człowieku kociego, jakiś chód aksamitny, spojrzenie powłóczyste, jakby badawcze. — Niepokoił spojrzeniem i Helenę podbijał właśnie tym niepokojem. I teraz — gdy tak siedzi nad pustą już niemal filiżanką po kawie, czuje, jakby dreszcz przeszywający ją nawskróś, płynący od spojrzenia tego człowieka. Woli już swego sąsiada hotelowego, który trzyma się dalej, oporniej, śledząc ją tylko szybkiemi, urywanemi spojrzeniami, które strzelają z pod jego ściągniętych brwi, jak błyskawica. — Ten nie ma elegancji mężczyzny w popielatych bu-

tach, ale ma jakąś energię — coś, co imponuje Helenie i terrozyzuje ją na odległość. Nie zbliża się wszakże, jakby odstręczony milczeniem, którem Helena przyjęła jego pozdrowienie wieczorne. Niemniej przeto Helena czuje, iż podobała mu się i że pomiędzy nimi istnieje prąd sympatyczny, który jej sprawia miłe wrażenie. Pomiędzy temi dwiema adoracjami Helena nagle ożywia się i nabiera wielkiej, sztucznej energji życiowej Stroi się zapamiętale. — Pod kolumnadą Axelmansteinu kupuje trzy czarujące modele i pewną koronkową bluzkę, całą naszywaną drobniutkiemi kamieniami. — Dokoła niej spadają popołudniu całe kaskady miękkich, jasnych fularów w lila i popielatych tonach. Drobne nóżki w malowanych półbucikach wysuwają się z tych falban, jak kwiaty z osłon porte bouquet'ów. — Rankiem wczesnym biała wełna, klasycznie po angielsku skrojona, drapuje ją, jak skóra rękawiczek. — Angielskie kapelusze kształtnie stroją jej małą główkę.

Jest jedną z najszykowniejszych kobiet sezonu.

Gdy pojawi się pod tężniami lub w parku, ciągnie spojrzenie wszystkich swą elegancją i pewnym wielkopańskim wdziękiem, który ma w sobie wrodzony od dziecka. Lecz głównie ta elegancja, ta chęć okazania się modną i powabną, rozwinęła się w niej od chwili, gdy milcząco ku niej zwróciły się wybitniej adoracje tych dwóch mężczyzn. Roztacza przed nimi swe wdzięki i lekkie tkaniny swych strojów. Za nią płynie smuga delikatnej woni Cherry Blossomu pomieszanego z ambrą. — Przechodzi w obłokach lekkiego szmeru jedwabnych spódniczek i rozpylonej dokoła siebie woni perfum. Cóż dziwnego, że śladem jej, jak cienie widać postacie tych dwóch mężczyzn, znudzonych monotonią miejsca leczniczego.

Lecz ona nie chce wiedzieć o istnieniu sezonowych miłostek. Ona ciągle w swej piersi nosi pragnienie jakiejś wielkiej, gwałtownej miłości, która przeprowadzi ją przez życie, jak przez tęczę wrażeń, smutków i rozkoszy. — Czy się zakończy ta miłość małżeństwem? — Ależ tak — naturalnie. O tem Helena nie wątpi, bo inaczej myśleć jej nie nauczono. Tylko zanim dojdzie do tego ołtarza, musi się dziać coś strasznego. To pragnienie budzi się w niej pod wpływem ciągłego chodzenia jej śladami tych dwóch wpatrzonych w nią ludzi. Zapomniała zupełnie o liście, wysłanym do Weryhy, o szmaragdowej barwie mgły, o pięknie, które opływało ją całą. Teraz, gdy wychodzi na balkon, śledzi ognie papierosów, które płoną ku niej, jak dwie kadzielnice. Kładzie w uszy butony brylantowe, aby połyskiwały w ciemności i stoi tak nieruchoma, kształtna, wonna, mając przy swej głowie na straży dwa zwodnicze, złośliwe ogniki. I ten kadryl płomyków od strony dwóch mężczyzn

i od strony kobiety mieni się fałszywie, gra, błyska w szmaragdowej topieli. Aż biją małe, wązkie płomyki fałszu. Helena tego nie czuje. Od czasu do czasu poruszy nieznacznie głową, aby zagrały promienie w jej uszach na tle ufryzowanych włosów. Odpowiadają jej natychmiast ogniki papierosów.

Milcząca gra blasku ułudnych fałszów.

Lecz teraz oto przyszła stanowcza chwila. Helena czuje, iż pan w popielatych butach postanowił zbliżyć się ku niej i rozpocząć rozmowę. Wstaje wreszcie od stołu i idzie prosto ku drzwiom. Pan w popielatych butach kłania się i patrząc na nią przenikliwie, zapytuje czystym francuskim akcentem — czy nie ona zgubiła kąpielową książeczkę, którą on znalazł. Na Helenę mimowoli uderzają płomienie. Czuje, iż powinna przejść, nie odpowiadając temu śmiałkowi. Lecz równocześnie pociąga ją ciekawość rozpoczynającej się miłosnej przygody. We Lwowie nikt o tem wiedzieć nie będzie, — myśli z błyskawiczną szybkością i wyciąga rękę po książeczkę. W tej chwili już żałuje tego, co uczyniła. Widzi. iż książeczka jest wydana na jego imię i że w ten sposób ten człowiek wywiódł ją w pole i zaprezentował jej się równocześnie.

— Ernest Durantin! czyta — Francuz, dodaje sama do siebie. Powoli odzyskuje przytomność. Czuje, iż powinna okazać się pewną siebie i sprytną, inaczej może odrazu doznać porażki.

— To pana książeczka — mówi, śmiejąc się i starając się mówić jak najlepszym francuskim akcentem — dlaczego pan gra komedję?

Francuz smieje się również.

— Czy pani się o to gniewa?

Śmieje się brzydko, zęby ma żółte, lecz szafirowe oczy mają bardzo wielką głębię i coś marzącego.

— Gniewać się? Za co? rzuca Helena — schodząc po stopniach do parku.

Orkiestra już gra wyjątki z Cavallerii, całe grupy gości stoją przed altanką. Na żółtym piasku alei rozbiegły się dzieci w jaskrawych sukienkach, wielkich różowych, lub błękitnych kapeluszach. Małe nóżki w białych trzewiczkach migają w przestrzeni. Po sadzawce wolno, z wielkim majestatem płyną czarne łabędzie. żłobiąc po wodzie srebrne bruzdy. Grupy kobiet, w lekkich, o pastelowych barwach sukniach pozasiadały brzegi trawników. Tu i ówdzie biją fontanny, rozpryskując srebrny pył wodny na barwne klomby, całe jaskrawe od płomiennych kielichów nasturcji i ciemne od aksamitu bratków.

Helena i Durantin idą powoli aleją, ona cała jasna od swej białej, w wielkie irysy, fularowej sukni, z parasolką

śnieżną jak ogromny powój, rozpiętą po nad głową, strojną w płaski kapelssz, zarzucony całą masą białych maków.

Dochodzą do małej ławeczki cokolwiek na uboczu, niedaleko kolumnady czytelni. Siadają jak dwoje dobrych znajomych. Helena jest prawie rada, że ma jakiegoś towarzysza. Czuła się zanadto sama, zanadto opuszczona w chwili, gdy zbierało się towarzystwo kuracjuszów. I chętnie prawie słucha, co jej opowiada pan Durantin. Z gadatliwością, właściwą Francuzom, w dziesięć minut zaznajamia Helenę z całą swoją przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Jest obecnie sekretarzem Papieża, „secretaire du Pape" — powtarza z naciskiem, ach! jednym z dziesięciu, ale zawsze sekretarzem.

Helena odwraca się ku niemu z ciekawością. Watykan! Wielka pompa biało odzianego zastępcy Chrystusa, tiary złote, wachlarze dokoła tronu, krocie ludu przysiadłe do stóp jednego starca, krocie kobiet czarno odzianych, w welonach koronkowych i ten cały aparat niezwykły, ta bajeczna pompa, te miliony świętopieprza i te trzy tysiące watykańskich pokoi! Wszystko to w tej chwili przedstawia dla Heleny ten pan Durantin, wysuwający z taką wytworną niedbałością swe delikatne, popielate buciki na żółte tło piasku i prezentujący z taką samą niedbałością ślicznie utrzymane, wypieszczone ręce, poznaczone siecią błękitnych żyłek.

— Pan widuje często Papieża? — zapytuje Helena.

Pan Durantin wzrusza ramionami z miną zblazowanego człowieka.

— Ach Boże!... — codzień prawie. Jego Świątobliwość zaszczyca go szczególnemi względami. Często rozmawia z nim w przedmiocie swoich encyklik i stara się wybadać go, jakie to albo owo zrobi wrażenie we Francyi. On naturalnie, musi używać całego sprytu dyplomatycznego, aby z tak delikatnej sytuacyi wybrnąć odpowiednio, ale jakoś mu się udaje.

I oto — Francuz mówi dalej, mówi bez przerwy, mówi ciągle o sobie, nie pytając wcale o nią, o jej dzieje i jej sytuacyę. Helena woli to, bo ten sekretarz Papieża zaczyna jej imponować potrosze. Nadaje sobie takie tony, potrąca ciągle o jakieś wielkie, zaufane misye, które często spadają na jego barki, że Helena zaczyna w panu Durantin widzieć jakąś tajemniczą, dyplomatyczną rękę rządu francuskiego, przydzieloną do Watykanu. Po dwóch godzinach siesty na ławeczce parku, gdy muzyka zakończyła swój koncert zaproszeniem do walca, Helena miała minę bardzo dumną i starała się dostroić do wysokiego tonu swego towarzysza.

Kilkatrotnie dostrzegła, jak jej sąsiad hotelowy przeszedł mimo ich ławki i błysnął ku niej płomiennem spoj-

rzeniem, lecz Helena odpowiedziała mu zimnym, obojętnym wzrokiem. Pan Durantin opowiadał jej właśnie, jak najczęściej posyłają po niego, po „petit Durantin" — aby z samego rana Ojciec św. nabrał trochę dobrego humoru, bo on jeden, jako Francuz potrafi tak odpowiedzieć Jego Świętobliwości, że troszkę wesołego usposobienia już Leonowi XIII pozostaje na resztę dnia. Helena widzi mimowoli p. Durantin stojącego w pokoju Papieża — z miną pełną szacunku, lecz jako już zaufanego ulubieńca. — Francuz coraz więcej zaczyna jej imponować. Teraz już nazwiska kardynałów wylatują z jego ust jak piłki. — Ach! kardynałowie ci — nie są bynajmniej tak straszni.

Przeciwnie — bardzo, bardzo przyjacielscy. Z nimi p. Durantin przepędza niejedną miłą chwilę.

Śliczny widok przedstawiają w pontyfikalnych strojach. Zresztą w ogóle Watykan robi wrażenie jakieś czarodziejskie. Imponuje, wstrząsa, porywa. — Trzeba mieć tak silną głowę jak on — Durantin — aby nie czuć się po prostu pijanym od tej pompy i przepychu. O ile sam Leon XIII. żyje prosto i skromnie, o tyle jego otoczenie przeraża zbytkiem i wspaniałością.

On — Durantin — Ernest Durantin — przywykł już do tej wielkości. — Stąpa wśród nich bez dumy i rad jest, jeżeli się wyrwie trochę w skromniejszy świat i przypomni sobie, że nie zawsze jada się na srebrze.

Obecnie bawi w Reichenhallu, bo nawał pracy podkopał trochę jego siły — a z zimą czeka go jeszcze większa praca... och! straszna praca!...

Z ogrodu Axelmansteinu rozeszli się prawie wszyscy. Pod kolumnadą czytelni widać kilku drzemiących suchotników, rozłożonych na niskich płóciennych fotelach.

Dzienniki powypadały im z żółtych rąk — leżą na kamiennych flizach. Jeden ze śpiących wypuścił razem z „Figarem" wiązankę purpurowych róż, którą kupił przed chwilą od przechodzącej kwieciarki. Robi ona na szarem tle kamienia wrażenie krwistej strugi, która w ataku kaszlu z ust śpiącego spłynęła.

Helena jest trochę zmieszana.

Lęka się teraz po prostu, aby Durantin w zamian za swoją szczerość nie zażądał równej szczerości. Ona już wie o nim wszystko. Zna miejsce jego urodzenia, zna jego rodziców, wie, jaką pobiera pensję, wie, jakie ma wysokie nadzieje na przyszłość i ta energia, ta pasja w karjerze, to wydostanie się „en plein pied" pomiędzy największe i najbardziej dominujące szczeble społeczeństwa imponuje jej. Czemże ona jest w porównaniu z tym sekretarzem papieskim, u którego Leon XIII zasięga rady w chwili pisania encyklik do biskupów francuskich? Oto — właścielka kamie-

niczki przy ulicy Zygmuntowskiej, kamieniczki, dla której erę stanowi położenie czerwonego dywanu na frontowych schodach...

O wielkie kręgi wodotrysków Watykańskich! O szpalery drzew-laurowych, na których tle drzemią cicho marmurowe posągi, o freski arcy-mistrzów i alabastrowe kolumny sal, pod któremi idzie szybko ten Durantin, prowadzony przez monsignora w fioletowych pończochach.

A jej dziedziniec — ten dziedziniec, który zdawał się jej zawsze czysty i nawet ładny!... Pośrodku jest tam klombik duży jak materac, dokoła niego stróż zasadził rezedę, bratki... Och! Helena wstydzi się teraz tego klombiku, tej rezedy, która przypomina okna suteryn lub biednych kuchenek.

Przed nią staje ciągle Weryho... przypomina go sobie, jak czyta kult piękna — jak jest... artystą, tam w tym małym pokoiku, którego jedno okno zasłonił kawałkiem czarnego kretonu. Ha! ha!... Co za wykwint w tem przejściu przez ganek, na którem sąsiadująca kucharka ustawia balie i stare butelki. Watykan o księżycowej nocy — laury, cytrynowe gaje i cichy szmer wodospadu, sączącego się srebrną pianą po marmurowych stopniach aż ku basenowi, w którym biel wodnych gwiazd jak rozsypany pył djamentów świeci.

Cała konieczność powierzchownych wrażeń, aby wywołać w sobie stan odczucia piękna, bierze w tej chwili górę w Helenie. Weryho niknie, maleje, robi się nawet śmieszny ze swoją samotwórczością wrażeń artystycznych. Dwie godziny czasu wystarczyły, aby oszołomić ten błąkający się umysł kobiecy, oszołomić i upoić prawie.

Pan jest szczęśliwy — mówi do Durantina, wzdychając. Pan może żyć w takiej rozkosznej krainie...

— A pani? — Dlaczegoż by pani tam mieszkać nie mogła?

— W Watykanie?

— Nie — ale we Włoszech? W Rzymie?... Ja przyznaję, że choć Francję kocham jako dobry patrjota, nie umiałbym już opuścić Włoch... Może jednak obowiązki nie pozwalają? Pani jest zamężna?

— Nie — jestem wdową!

— A!...

Następuje milczenie. Helena uważa, iż Durantin przysuwa się do niej bliżej — wreszcie Francuz proponuje.

— Pojedźmy do Chiemsee!

Helena przystaje.

Jakże odmówić takiej poważnej, dyplomatycznej figurze. Byłoby to śmiesznością. Taka niewinna przejażdżka odkrytym powozem, w dzień, nie jest wykroczeniem przeciw

konwenansom. A zresztą człowiek taki „correct", sekretarz papieski, nie popełniłby nigdy czegoś nieprzyzwoitego.

Za chwilę — wsiadają do powozu przed bramą Axelmansteinu. Jest jednak jedna sekunda, w czasie której Helena się waha. Dobrze to napozór, ale instynktem kobiecym Helena odczuła ten odcień. Portjer hotelowy spojrzał na nią z uśmiechem, leciuchnym — ale z uśmiechem. Do tej chwili — kłaniał jej się bardzo nisko, mówiąc „gnädige". Nigdy nie dostrzegła tego przelotnego uśmiechu, którym kelnerzy, portjerzy hotelowi — lokaje — wyrażają w tak chłoszczący sposób swoją nagłą pogardę dla dam z towarzystwa, na których dostrzegają jakiś cień, jakąś skazę...

Lecz cofać się już nie było czasu. Durantin pomógł jej wsiąść — woźnica zaciął konia i powóz strojny w gałęzie fiołkowych, delikatnych dzwonków pomknął główną ulicą. Przed jednym ze sklepów dostrzegła Helena swego sąsiada hotelowego. Błysnął ku niej niechętnem spojrzeniem. Widocznie był zazdrosny, to ją rozweseliło. Wiedziona uczuciem, właściwem każdej kobiecie, postanowiła się pochwalić. Wskazała na niego Durantinowi. Skarżyła się, iż ją prześladuje. Sekretarz Papieża wzruszył pogardliwie ramionami.

— Och! To jakiś kupiec z Tryjestu, nazywa się Edwino Lifszytz... kupiec...

Helena skrzywiła się wyniośle. Durantin dodał wprawdzie, iż kupiec ten jest podobno bardzo dobrze sytuowany, ale cóż to za pozycja... un marchand!

I znów zaczęła się opowieść watykańska, znów gładki, a wymowny Francuz roztacza przed nią opisy uroczystości, w których przyjmuje czynny udział.

Konie u powozu są rącze — sam powóz jest dość elegancki i czysty. Helena czuje, że wygląda bardzo ładnie i obrazkowo. Wsiadając, zerwała z pęków dzwonków, zastępujących przy powozie latarnie, sporą garść gałęzi. — Trzyma je teraz na kolanach lewą ręką, w prawej zaś ma roztwartą białą parasolkę. — Droga prowadzącą do Chiemsee, jest ładna, gładka — obramowana po obu stronach skałami, które robią wrażenie teatralnych dekoracji. — Tu i ówdzie widać ruiny zameczku — jakaś kaplica na wpół zwalona w gruzy — chowa się w kępach zieleni. — Drogą, jadą ciągle powozy w stronę jeziora lub w stronę Reichenhallu. — Jest to prawie corso dość wykwintne i mające pewne cechy dostatku. — Helena czuje się zadowolnioną. Ten elegancki dyplomata przy jej boku zajmuje ją coraz więcej. Wreszcie — ukazuje się jezioro — ciemne, jakby płat ciemno-zielonego atłasu, obramowany aksamitem porosłych zielenią gór. — Wysiadają z powozu i długo tak siedzą nad jeziorem, jedząc poziomki i pijąc mleko. Wprawdzie tu spotyka Helenę pewne rozczarowanie. Podwieczorek jest podany brudno

— łyżeczki cynowe są wstrętne i pogięte. — Sekretarz Papieża, który w Watykanie jada na srebrze — nie jest tem bynajmniej zrażony, lecz je poziomki, ocierając usta czerwoną, ordynarną serwetką. Helena, przez chwilę niepewna, — je także, tłómacząc sobie, iż Durantin przez delikatność nie chciał obrzydzać jej podanych w ten sposób poziomek, przypuszczając, że jest głodna.

Zaczyna już znajdować usprawiedliwienie, tłumaczyć go — sama czuje zbyt szybki postęp sympatji, lecz chętnie poddaje się wrażeniom.

— Kto wie! myśli — kto wie!...

Wracają — gdy zmierzch już zaczyna zacierać kontury gór. W dolinie Reichenhallskiej słychać dzwonki, któremi restauracje wabią swych stołowników na kolację.

Z oddali jednak, wśród zmroku, te dzwonki mają wielki urok, jakby to mniszki z klasztorków w górach ukrytych zwoływały się wśród wieczornej mgły na pacierze.

Melancholja nocy letniej, nocy górskiej, nocy chłodnej i cichej powoli zasuwała się jak krepa, spadająca z wierzchołków gór.

Gdy Helena wysiadła z powozu i weszła do swego pokoju, pożegnana pełnym szacunku uściskiem ręki Durantina, była jak oszołomiona jakąś pianą musującego, leciuchnego wina.

Serce jej było zupełnie spokojne, zmysły także, lecz w głowie aż szumiało od słów Francuza, od ogromu Watykanu, od ciężaru encyklik.

Ułożyła na komodzie gałęzie powiędłych dzwonków zbliżyła się do stołu. W świetle jasno płonącej elektryczności dojrzała na stole dużą, szarą kopertę.

Był to list Weryhy.

VIII.

— Pytasz mnie pani, czy list twój czytać zechcę? Ależ przyleciał do mnie, do mego cichego i ciemnego kąta, jak blado-liliowy motyl, którego zagnała... burza. Czytam skrzydła tego motyla i znajduję na nich moc hieroglifów czarownych. Upajam się niemi. I choćby pisane były tylko pyłem, który wiatr niesie, to i z nich jeszcze utworzę sobie całą kaskadę brylantów, pod tą kaskadą głowę swą podłożę i choćby chwilę mieć będę całą aureolę jasności dokoła swej duszy. Bo to słowo, które mi pani chcesz na smudze szmaragdowej mgły górskiej przesłać, w hieroglifach liliowych najjaśniej promienieje. Piszesz mi, „zrozumiałam cię!“ A jednak nie, tyś jeszcze mnie nie zrozumiała. Ty się lękasz jeszcze, ty się wahasz w progu tych pałaców, które ja z tobą energią i siłą wznoszę co chwila. Dlaczego się wahasz? Codzień, co minuta możesz mieć inny dach nad głową, kolumny z innych malachitów, alabastrów, jaspisów, korali otoczyć cię mogą, a na twe skinienie, jakieś duchy, o! takie w mglistych szatach nabijanych rosą zniosą ci najpiękniejsze Piękna, jakie duszę ludzką w ekstazę wprowadzić są w stanie.

Ja takich chwil mam miliony, jeden gest piękny, jeden smutek, jeden ból, jeden blask słoneczny i jeden cień przy tym blasku, kilka tonów urwanego śpiewu, sygnaturka w oddali, krzyż na wpół spróchniały, biały kot na czarnym aksamicie, złoty grzebień wpięty w warkocz, opadająca róża, — i mam już moje pałace, mam cały płaszcz z gwiazd utkany, który zapada pomiędzy mną a realnym światem. Takich bogatych wrażeń, które aż bolą mnie swojem bogactwem, nie ma nikt w życiu. I gdy pomyślę, że to nie wyczerpie się nigdy, że ja zawsze mogę być tym posiadaczem najcenniejszych zbiorów, pragnąłbym nawzajem oddziałać tak na Ciebie, ażebyś i ty przestała poszukiwać wrażeń, „z drugiej ręki“ — i sama je tworzyć zaczęła. Czemże jest bowiem dzieło prawdziwej sztuki? Zastanów się tylko! To jest wyrażenie plastyczne nastroju duszy tworzącego artysty. Weź

przykład. Ty często na skrzydłach twych myśli garniesz ku sobie legendową postać Madonny. Tak, garniesz, bo jesteś kobietą i masz chwile prawdziwej poezji. Lecz, czy kiedykolwiek zadałaś sobie trud odtworzyć sama, według twoich duchowych pragnień i pojęć, taką Madonnę? Nigdy! Brałaś ją gotową. Szłaś do Ghirlandaja i patrzyłaś na jego dzieło. Ależ to była jego Madonna, jego pojęcie, jego skrystalizowanie legendowych marzeń. Widziałem u ciebie nad klęcznikiem Murilla. Po co! Na co! Czy — gdy mówisz Ave — żadna wizja nie wykwita z twej duszy? Gdybyś ty wiedziała, jakie ja widzę Madonny — nie przez pryzmat duszy Rafaela ani Cimabuego. Nie — one są moje — chwilami całe owite w czarną chmurę, ledwo dostrzegalne po za tą smutną czernią, prawie groźne, to znów delikatne i powiewne, gdy słońce zaświeci, jak roztopiona łza, jak rosy kropelka.

Czasem mi taka legenda przesunie się wizją wielkiego, potężnego Majestatu w koronie błyskawic, w stopach bosych, tonących w puchach gronostaji, a gdy dusza moja tonie w błogim spokoju, nie widzę wcale Madonny, lecz ją odczuwam koło siebie i wtedy jest dla mnie najprawdziwsza i najdoskonalej istniejąca. Gdy patrzę na płótna Mistrzów, doznaję chwilowo zaspokojonej ciekawości. Podpatruję ich pojęcia, widzę choć bardzo niedokładnie jakiś cień ich nastroju. Ale powtarzam raz jeszcze, dla mnie to tylko zaspokojenie ciekawości. Wychodzę z założenia, iż każde dzieło sztuki winno być dla widza pretekstem do tworzenia własnego arcydzieła. Już późno. Cisza dokoła wielka i prawie uroczysta. Wolę ten list przerwać. Mówiłem w nim dużo, ale mówiłem i także bardzo mało. Po co mam jednak pisać więcej? Skoro pani zwróciłaś się i zwróciłaś się pięknym porywem, ten zwrot zatarł „tamto", które mogło mnie nie zdziwić, bo mnie nic nie dziwi, ale pozostawić jakby rysę, jakby coś nagle zmąciło mi czystą taflą jeziora. W tej chwili rysa się wyrównała, przedemną tafla prawie cała srebrna, ja patrzę na nią i czekam, co mi duch twój na tafli tej girlandami gwiazd rzuci?

J.

. . . . . .

Helena, nie rozbierając się, stała długo z listem Weryhy w ręku. Prześlizgnął się po jej duszy i spłynął, nie zostawiwszy śladu. Czyta go, a w jej umyśle dźwięczały puste słowa. Chwilę spróbowała zamknąć oczy i wyobrazić sobie Madonnę. Boże stopy toną w gronostajach? Nie, nie. Ona niema żadnego własnego wyobrażenia. Same utarte, te muzeów i reprodukcyj cisną się jej gotowe do jej mózgu. Tez Weryho jest szaleniec. Dlaczego on szuka jakichś nadzwyczajności? Do tej chwili słyszała, że za pomocą dzieł sztuki

doznaje się wrażeń. On pisze, iż to jest tylko zaspokojenie ciekawości,.. A zresztą! Takie dyssertacje estetyczne w liście... O pocałunku ani wzmianki. Coś tam o rysie, o tafli jeziora, ale dlaczego tak szczerze i otwarcie nie pisze, jak ona to uczyniła...

Schowała list do teczki, zdjęła kapelusz i powoli zaczęła się rozbierać.

Lepiej nawet — myśli, zdejmując suknię — lepiej, że nie wspomina nic o pocałunku. Czułaby się związana czemś, skrępowana. Wszak była tak naiwna, iż w liście swoim napisała najwyraźniej „taki pocałunek łączy...“ Ot, trochę seledynowej mgły, jakaś chwila egzaltacji, marzenie o jaspisowej kolumnadzie własnego świata i szaleństwo spełnione. Najlepiej na ten list Weryhy nie odpowiadać... Trzeba być wolną... na wszelki wypadek.

Na wszelki wypadek?

Powoli wzruszyła ramionami. Co jej się roi? Ten Francuz, nieznany jeszcze przed kilkoma godzinami? Dlaczego? Los bywa rozmaity. Kto wiedzieć może, co jej właśnie przeznaczono. Czy Lwów ma być wiecznie jej siedliskiem, czy nigdy nie wyfrunie na szerszą arenę? Czy nie jest dość piękną, dość elegancką, ażeby mogła w jakimś światowym salonie reprezentować żonę jakiegoś dyplomaty, jakiejś „figury“, kogoś, stojącego na świeczniku społeczeństwa.

Wszak Durantin, gdy wracali z Chiemsee, powiedział jej wiele znaczące słowa. Ona, śmiejąc się, starała przygotować go do swego skromnego społecznego stanowiska.

— Och! Jestem tylko zwykłą mieszczanką — powiedziała z udaną swobodą — nie mam żadnych tytułów, pochodzenie moje bardzo skromne.

— Jesteś pani piękną kobietą — odparł rycersko pan Durantin — to są twoje tytuły i dowody rodowe.

IX.

Nazajutrz — wczesnym rankiem zastukano do pokoju Heleny.

Wsunęła się dyskretnie kwieciarka i na komodzie postawiła ładny i zgrabny koszyczek, cały przystrojony liliowemi dzwonkami i białemi różami, poczem ukłoniwszy się, wyszła.

Helena wyskoczyła z łóżka i pobiegła ku kwiatom. Namiętnie kochała kwiaty, a to „dzień dobry", skropione srebrną rosą, wydało się jej czemś niezwykle miłem. Nikt jej do tej chwili nie obdarzał kwiatami. I nagle zrobiło się jej jasno na duszy i pogodnie. Tak, to u drzwi jej stawała miłość, ta miłość, po którą ona biegła w świat ze Lwowa. Znalazła ją prędzej, niż przypuszczała. Bosa, z włosami rozwianemi na nagie ramiona, z których zsuwają się liliowe batysty, uśmiecha się do kwiatów, zanurza w wonne kielichy róż twarz od snu jeszcze ciepłą.

— Róże! szepcze do siebie, róże!...

Gdy zeszła rano do kąpieli, na dół, do łazienek hotelowych, osłonięta lśniącym, długim płaszczem, z fiołkowej sycylienny, spotkała w westybulu Durantina, który powracał z picia żentycy. Był bardzo elegancko ubrany w komplecie białym, flanelowym, w białych butach i kapeluszu słomkowym, opasanym białą wstążką. Robił wrażenie sylwetki Guy, Gontran i Gaston, wyciętej z albumu Marsa. Przywitał Helenę z przesadzoną grzecznością. Szybko zaproponował jej przeniesienie się podczas obiadu od ogólnego stołu do osobnego stolika na werandę.

— Nie mogę patrzeć, gdy jem, na brzydkie kobiety! — tłómaczył, patrząc przytem figlarnie w oczy Heleny. Ona przystała. Zaczynała teraz powoli tracić wolę i czyniła to chętnie i z całą ufnością. Ciągle powtarzała sobie, że Durantin nic nie może popełnić takiego, coby grzeszyło przeciw zasadom przyzwoitości towarzyskiej.

Zjedli więc obiad pod werandą, przy małym stoliku, na którym kwieciarka postawiła pęk ślicznych róż.

Podczas deseru ta sama kwieciarka, dyskretna i uśmiechnięta, postawiła przed nimi koszyczek, napełniony wyborowemi owocami. Helena zauważyła, iż stolik ich zwraca ogólną uwagę. Frejliny, wracając z obiadu, zatrzymały się i długo przypatrywały się Helenie przez lornetkę, jakby po raz pierwszy ją ujrzały.

To ją zmieszało.

Zdawało się jej, że powinna była pozostać przy ogólnym stole, lecz stało się, należało już przyjąć ten fakt, jako rzecz spełnioną.

Popołudnie spędzili w parku, wieczór w teatrze. Durantin był ciągle pełen przesadnej grzeczności, nie posuwając się do żadnej poufałości, co Helenę niezmiernie podbijało.

Zapytał ją jakby od niechcenia, skąd pochodzi, a na jej nieśmiałe wtrącenie, iż posiada kamienicę, odparł:

— To bardzo przezornie!

Helena nie mogła zrozumieć znaczenia tych słów. Dlaczego — „przezornie". — Nie chciała jednak pytać.

Następnego ranka dostała znów kwiaty. Róże i owoce czekały na nią przy obiedzie. Popołudniu pojechali znów na spacer i jeździli drogą wśród gór, spotykając co chwila ekwipaże. Helena zauważyła, iż mężczyźni zaczynają się za nią oglądać. Przypisywała to swej urodzie, która rzeczywiście była senzacyjnie podniesiona bardzo wykwintnemi strojami i modną fryzurą. Durantin zdawał się nią pysznić i popisywać. Prowadził ją tam, gdzie było najwięcej osób. Kilkakrotnie napomykał, że w Rzymie Helena mogłaby zrobić senzacyę — swą dystynkcją i wielkopańskiemi manierami.

— To zaszczyt dla mężczyzny ukazać się w pani towarzystwie — powtarzał kilkakrotnie.

Dziwił się tylko, że ma mało klejnotów. Ona, ciągle zawstydzona, kłamała, iż właściwie swoje klejnoty zostawiła w domu.

— Paryżanki podróżują ze swemi klejnotami! — mówił Durantin — taka Otero, Liany de Pugy...

Helenę to nieprzyjemnie dotknęło.

— To Otero — odparła wyniośle — nie ja.

— Cóż... Otero — wyrzekł Durantin — ona także jest piękną kobietą. Dla mnie istnieją tylko piękne i brzydkie kobiety.

Po kilku dniach Helena i Durantin byli bardzo zaawansowani. Kwiaty, cukry, owoce, powozy były do dyspozycyi Heleny. To samo zachowanie się, pełne szacunku i przesadzonej galanterji ze strony Durantina trwało niezmiennie. Było coś rycerskiego w jego sposobie postępowania. U nas, w kraju, w ten a nie w inny sposób mężczyźni

starają się o rękę kobiety. Najwyraźniej Durantin zaznaczał się jako konkurent i to zupełnie poważny.

Helena czuła zawrót głowy. Tego nie spodziewała się zupełnie. Na samym wstępie spotkać pretendenta na męża... Zaczynała teraz powoli rezygnować ze swego pragnienia miłosnych, gwałtownych wrażeń. Partja ta przedstawiała się jej sama przez się niepospolicie i wyrywała ją z nudnego otoczenia lwowskiego. Rzym! Włochy! Mąż na stanowisku świetnem, imponującem. Przytem — Francuz, egzotyczne uczucie — coś, co działa na nerwy i podnieca ciekawość. Lecz należało wyświetlić sytuację. Może on przypuszczał, iż ona posiada więcej niż ma w istocie.

Pewnego więc wieczoru, chodząc po parku Axelmansteinu — Helena opowiada mu stan swych interesów, opowiada dokładnie wartość kamienicy i ileby można osiągnąć, gdyby... gdyby przyszło ją sprzedać.

Lecz on przerywa jej żywo.

— Poco sprzedawać! Jeśli się dobrze rentuje, nie powinna pani sprzedawać, to najlepsze ulokowanie pieniędzy.

— Tak... ale...

Zresztą Durantin bardzo szybko zmienia temat rozmowy. Widocznie pieniądze go nie interesują, ma sam bardzo ładną pensję i dochody. Tego wieczoru po raz pierwszy bierze rękę Heleny i z delikatną, lekką pieszczotą całuje każdy jej palec jeden po drugim. Ona stara się usunąć rękę, ale czyni to nie szczerze, boć doznaje wielkiej przyjemności w tych pocałunkach cynicznych z całą umiejętnością i rutyną znającego się na rzeczy mężczyzny.

W tej chwili z cienistych krzaków wysuwa się rosła postać Edwina Lipszyca, kupca z Turynu.

Przechodząc, obrzuca złowrogiem spojrzeniem Helenę i Francuza, poczem niknie w oddali.

Durantin śmiać się zaczyna.

— Uprzedziłem go! — szepcze wesoło.

Helena uczuwa zdziwienie. Uprzedził go? W czem? Czy on przypuszcza, że ona poszlaby za jakiegoś kupca z Turynu?

Durantin widocznie odczuwa, co się w niej dzieje, gdyż dodaje trochę sentymentalnie:

— Och! Ruy Blas był lokajem, a kochał się w królowej...

To Helenę uspokaja. Wyprostowuje się i stara się przybrać chód królewski. Durantin sięga znów po jej rękę.

— Cudowną masz pani rękę — szepcze wśród pocałunków.

Mimo jednak tego zbliżenia, tego ciągłego przebywania ze sobą, Helena czuje, iż pomiędzy nią a Durantinem niema nic wspólnego. Gdy się wyczerpie repertuar watykański i przegląd strojów kuracjuszek, pozostaje jakaś pustka, którą

napróżno Helena próbuje zapełnić. Zdziwiło ją niezmiernie powiedzenie Durantina:

— Pani jesteś najinteligentniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

Wiedziała, że umysł miała dość rozwinięty, czytała wiele. Weryho także nie mało przyczynił się do rozjaśnienia jej pojęć — lecz być „najinteligentniejszą kobietą", jaką ten dyplomata spotkał? — to zdawało się jej trochę dziwne.

— I zapytuję się siebie — ciągnął dalej Durantin — po co pani tyle wiedzy?

— Jakto? wszak u nas od kobiet wymagają mężczyźni inteligencji.

— Och! Ja mam inne pod tym względem pojęcia. Dla mnie wystarcza w kobiecie piękność.

— Ależ — głupia żona, choćby była najpiękniejsza, tylko ujmę przynosi.

— Nawet żonie wystarcza tylko uroda!

Helena zamilkła, lecz zrobiło się jej jakoś dziwnie, niejasno.

Uczuła, iż przy boku tego człowieka odegrywa rolę tylko kształtnego manekina. Gdy uroda jej zniknie — przestanie istnieć dla niego.

To dziwne

Druga rzecz dziwną także jej się wydawać zaczynała. Oto — Durantin nie złożył jej wizyty.

Jakkolwiek mieszkała tylko w hotelu, ale zdawało się jej, że niejako jego obowiązkiem było zostawić u niej choćby bilet. Zaczęła przypuszczać, że Durantin czeka na zaproszenie z jej strony. Może tak kazały zwyczaje francuskie. I postanowiła przełamać lody.

Wieczorem, siedząc przy stoliku na werandzie przed szklankami oranżady, Helena i Durantin milczeli. Zdawać się mogło, iż słuchają śpiewu Tyrolek, ukrytych wśród krzaków, lecz z pewnością tak nie było. On od czasu do czasu, obrzucał okiem znawcy jej czarną, gazową suknię, z pod której przebijały się srebrno-szare fałdy jedwabnej podszewki. Olbrzymie boa gazowe — przetykane różami z popielatych aksamitek, otaczało jej szyję i wiło się aż ku ziemi, służąc za rodzaj puszystego tła kształtnej główce, okrytej dużym, czarnym kapeluszem, formy Louis XVI z wielkiemi, cienistemi skrzydły.

Długi oksydowany łańcuszek — przetykany opalami — zwieszał się z jej szyi, zakończony ślicznym, starym flakonikiem cennie wyżłobionym w kawałku górskiego kryształu i opasanym siateczką z srebra weneckiej roboty. Łańcuszek ten okręciła Helena na palcu, a założywszy łokieć o poręcz krzesła, siedziała tak śliczna, cała jak cacko, jak prawdziwa

modna rycina z twarzą marmurowo białą, wśród której świeciły gorączkowo jej wielkie o sinawych powiekach oczy.

Helena nie słuchała śpiewu Tyrolek — przeciągłe ich tony nie przemawiały już do jej duszy, jak przed tygodniem — ona w tej chwili starała się dobrać odpowiednie słowa, aby upoważnić Durantina do złożenia jej wizyty. Idzie jej to niesporo. Wreszcie zdenerwowana, płonąc śmiałością, pyta:

— Dlaczego pan mnie do jej pory nie odwiedził? Niech pan przyjdzie jutro.

Durantin podnosi głowę, patrzy na nią sekundę, nie odpowiada, aż wreszcie swobodnym zupełnie tonem zaczyna.

— Ja mam lepszy projekt... Jutro pojedziemy do Berchtesgaden.

Helena nie może zrozumieć, w czem pojechanie do Berchtesgaden może przeszkodzić obowiązkowej wizycie, która zwykła grzeczność nakazuje — lecz nie odzywa się, bo oto Durantin roztacza przed nią cały plan wycieczki do Berchtesgaden.

— Wrócimy wieczorem, a może jutro rano! — dodaje, jakby od niechcenia.

I jadą do Berchtesgaden nazajutrz po obiedzie. Helena jedzie jakaś niepewna i niezadowolona sama ze siebie. Owe podniecenie gorączkowe, które miała w sobie przez ten tydzień, niknie jakoś stopniowo, a ogarnia ją jakiś niepokój, jakieś dziwne uczucie osamotnienia, gdy jest przy boku Durantina. Boi się, aby nie napadło ją znów to uczucie lęku, ta straszna trwoga, wśród której z niej życie zdaje się odbiegać. Nie miałaby wtedy punktu oparcia, nikogo. Smutek straszny zaczyna się zakradać do jej duszy. Walczy z nim — lecz dziś, jadąc właśnie do Berchtesgaden, więcej niż kiedykolwiek zaczyna się poddawać temu smutkowi. Durantin przeciwnie — jest rad, wesół, rozgadany. Jest w nim jednak jakiś odcień pewności siebie, który Helenę drażnić zaczyna. Przytem nagle dostrzegła pewne nieprawidłowości w zachowaniu się papieskiego sekretarza. Idzie przed nią, wchodzi w drzwi pierwszy — siada, gdy ona stoi.

Dawniej nie zuważyła tych drobiazgów. Brzydkie jego zęby drażnią ją także. Wmawia w siebie, iż jest zanadto zdenerwowana, a jednak odwraca się mimowoli i w migającej po za oknami wagonu zieleni szuka jakiegoś dla wzroku wytchnienia.

Gdy przyjechali do Berchtesgaden, lodowe zimno owionęło Helenę. Ubrała się w biały szewiotowy kostjum, nie przeczuwając tego zimna. Durantin zaproponował jej, ażeby pozostali dla przypatrzenia się wschodowi słońca z balkonów hotelu, który jest tu urządzony z całym angielskim komfortem.

— Pan zna Berchtesgaden? — zapytuje Helena.

-- Tak — odpowiada Durantin — i wiążą mnie z niem jak najmilsze wspomnienia.

Coś wstrętnego skrzywiło usta Francuza. Jadą właśnie w stronę hotelu. Olbrzymia, wspaniała, majestatyczna panorama rozesłana dokoła chłonie w siebie resztki dogasającego słońca. Ze wszystkich stron słychać dzwonki o cichym, trochę stłumionym odgłosie. Poczepiane domki, chaty drobniuchne, małe jak zabawki dziecinne, bieleją wśród skał. Jest to wielkie, wstrząsające swą pięknością. Na dole rwą się potoki całe srebrno stalowe. Do jednej z gór przyczepiony w angielskim stylu postawiony hotel szpeci ten wspaniały szmat ziemi.

Za chwilę — Helena i Durantin na tarasie hotelowym przed stolikiem na czerwono polakierowanym, na krzesłach zielonych, jak trawa, siedzą — ona drżąc z zimna owinięta pożyczonym od portjera pledem — on ciągle pewny siebie, przybierając teraz jakieś miny zwycięzcy, który łaskawie ofierze swej trochę uprzejmości udzielać raczy.

Przed nimi herbata i kawa, do której Durantin kazał podać koniak. Helena nie mówi prawie nic, czuje wstrząsający w sobie niepokój, coś nakształt kurczu ściska jej gardło. Pod pledem zacisnęła dokoła szyi ręce i siedzi tak bardzo blada, z oczyma nagle podsiniałemi, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem, nie widząc nic, pomimo ogromu przestrzeni. Czuje, iż w tej chwili może rozegra się los jej życia. Czuje, że z ust Durantina padną wyrazy stanowcze. Kobiety mają przeczucia takich chwil i nigdy się w nich nie mylą. O! jak Lwów jest w tej chwili od niej daleko, jak bardzo daleko jej salonik i dwa zielone fotele, na których ona i Weryho tyle chwil spędzili... Zawieszona wysoko, przyczepiona do stromego boku góry — na tarasie hotelu drży z zimna i wzruszenia przy boku nieznajomego mężczyzny, który los jej w swej woli uwięził

Jak Lwów daleko!

Klekocą dzwonki, słychać nawoływania. W górze — pod stropem niebios bledną wierzchołki gór. Jedną ścieżką nad samą krawędzią schodzi powoli cały sznur turystów. Wydają się mali jak laleczki i giną w kępach szarawej zieleni. Wreszcie skryli się za odłamem skał. Teraz tą samą ścieżką idą krowy — pełzają prawie, kładąc się bokiem na ścianę góry. I krowy znikły za odłamem skał. Powoli ustaje ruch. W oknach chatek przebłyskują ognie. Wysoko, na odłamie skały, płonie niewielki stos i, szamocząc się z wichrem, kona.

Jak Lwów daleko!

Na taras wchodzi kelner. Przynosi świeżą herbatę. Durantin nalewa kieliszek koniaku. Zachęca Helenę do picia. Ona odsuwa kieliszek. Nie, nie trzeba jej podniecającego

trunku. W niej w tej chwili rozegrała się marzycielska natura. Ona potrzebuje łagodnych słów, delikatnej pieszczoty, szeptu, który do marzeń kołysze. Czeka na te słowa i lęka się ich. Jeżeli Durantin odczuje ją, znajdzie w swej duszy to, na co jej dusza czeka, wtedy skończy się wszystko, człowiek ten posiądzie ją całą na zawsze i do śmierci.

Czeka tych słów i lęka się.

Wobec ogromu tej piękności natury, dusza jej zbudziła się i pragnie.

Pragnie.

Dusza — nie zmysły.

Dusza — ta z płaszczyzn szarych i smutnych, wśród gór, jak zmrożony ptak, nie umie szybować na wirchy i nagle porwał ją lęk i nagle rwie ją tęsknota: ktoś, kto po nią się schyli, nie znajdzie oporu. Bo przed Durantinem nie kobieta się w tej chwili znajduje — lecz duch, duch bardzo roztęskniony, niepewny i smutny.

Po duch ten sięgnąć trzeba.

Lecz on, ten cały zmysłami żyjący mężczyzna, sądzi, że przyszła chwila.

Wyciąga swe nogi obute w szarą irchę, zapalony papieros przylgnął mu do dolnej wargi, na której igra jakiś dziwny uśmiech. Patrzy na drzwi pokoju, który zajęła Helena, a które wychodzą na taras. On ulokował się w przeciwległem skrzydle hotelu.

— Tak... tak.. — mówi jakby sam do siebie — to ten sam pokój.

Helena milczy, lecz słucha.

— Dziwny zbieg okoliczności — mówi dalej Francuz — i pani wie — ciągnie z tym samym uśmiechem — siedzieliśmy tak samo przedtem na tarasie i piliśmy herbatę!

Helena zdobywa się na zapytanie.

— Kto... my?

— Ja i jedna śliczna dama z Reichenhallu. Przyjechaliśmy tu na wycieczkę. O! spędziliśmy nader miłe chwile. Już wyjechała... Mieszkała także w Axelmansteinie. Była nadzwyczaj elegancka. Coś kosmopolitycznego... Zresztą piękna kobieta — to produkt internacjonalny. Ta była rzeczywiście piękna. Podróżowała sama. Mówiła, że jest wdową... Później pokazało się, że czekał na nią w Wiedniu jej przyjaciel. Pojechali dalej. Robiła w Reichenhallu furorę... Tak jak pani. Zaszczytem dla mężczyzny było znaleść się w jej towarzystwie.

Wzrok jego dziwny, przejmujący, straszny, pobiegł znów w stronę uchylonych drzwi pokoju.

— Spędziliśmy niezwykle miłe chwile... Przyjechaliśmy na parę godzin, bawiliśmy dwa dni...

Umilkł, przygryzł usta, wreszcie jakby przypomniał sobie o istnieniu Heleny.

Rzucił na tacę zgasłego papierosa, powstał i zbliżył się ku pobladłej kobiecie.

Pochylił się nad nią tak blisko, iż oddech jego przepojony tytoniem czuła, a ręka jego oparła się poufale o jej krzesło.

— Nie wątpię, że i ta wycieczka pozostawi nam równie miłe wspomnienia — wyszeptał z galanterją.

Ona usunęła się prawie cała w pled i siedziała tak jak martwa, nie mogąc znaleść słowa, nie mogąc zrobić żadnego gestu.

On pomylił się co do jej milczenia.

Sądził, iż ogarnęło ją tak wielkie wzruszenie.

Uznał za stosowne, iż należy być dyskretnym.

— Pójdę się przejść trochę! — wyrzekł z uśmiechem — powrócę za pół godziny, wejdź do swego pokoju, bo jest chłodno, dobrze?

Nie czekając na jej odpowiedź, skłonił się nisko, uśmiechnął raz jeszcze filuternie i znikł poza wejściowemi drzwiami jak widmo

Helena siedziała jeszcze chwilę.

Teraz już cień ogarnął góry i cień ten zaczynał płynąć od szczytów ku dołowi jak welon krepy, przetykany jaśniejszemi smugami. Coraz więcej świateł połyskiwało wszędzie. Była to iluminacja, przebijająca się przez welon mgły. Światła te robiły wrażenie purpurowych gwiazd uwięzionych w przestrzeni.

Helena wpatrzyła się w jedną z tych gwiazd, większą i bardziej płomienną.

— To dlatego... dlatego! — pomyślała, nagle przedstawiając sobie dokładnie całą sytuację.

Wstrząsnęła się cała.

Obejrzała się dokoła.

Niedaleko wpół otwarte drzwi jej pokoju ciemniały tajemniczo... tego pokoju!...

Co za upadek, duch jej! ha! ha! duch!... a potem Watykan, salony rzymskie, stanowisko żony dyplomaty!...

I ten pokój! ten pokój, przez który zaledwie się przesunęła i który obrażał ją teraz swem istnieniem tak, jak ten cały hotel, jak to całe Berchtesgaden.

Porwała się szybko. Zrzuciła ze siebie pled.

Uciec!

Uciec jak najspieszniej, precz, nie widzieć na oczy tego człowieka, który śmiał myśleć, że i ono przyjeżdża tu na wycieczki w myśli wesołej, chwilowej zabawy.

Wpadła do pokoju, porwała kapelusz, rękawiczki, parasolkę, torebkę i jak szalona zbiegła po schodach.

Portjerowi rzuciła dziesięć marek.

— To za mój pokój!

Biegła teraz w stronę kolei. Zapamiętała, gdzie jest dworzec. Nie lękała się spotkać Durantina. Było w niej tyle rozpaczliwej energji, iż czuła, że potrafi wyrwać się od niego i cisnąć mu nawet w twarz swój gniew i pogardę.

Gdy dopadła do stacji, ciemno już było zupełnie.

Garstka turystów, ubranych w wełniane pończochy, z workami na plecach i olbrzymiemi kijami w rękach, oczekiwała na odejście pociągu.

Był to ostatni pociąg, który odchodził z Berchtesgaden.

Helena, kupiwszy bilet, usiadła w kącie werandy.

Drżała tak strasznie, że musiała pomiędzy zęby założyć chustkę, aby zapobiec głośnemu szczękaniu. Teraz energja ją opuściła. Łzy napływały jej do oczów. Lękała się strasznie, aby Durantin, szukając jej, nie zjawił się na peronie. Zamiast obelg byłaby wybuchnęła płaczem. Jakże strasznie nienawidziła się teraz.

Wreszcie pociąg był gotów do odjazdu i Helena wsiadła do wagonu. Wtuliła się w sam kąt, lecz nie zamykała okna. Chciała dostać zapalenia płuc, chciała umrzeć.

Teraz rozumiała wszystko. Teraz wiedziała, co znaczy owe „przezornie“ — na wiadomość o posiadaniu domu, co znaczyły uśmiechy portjera, lornetowanie starych frejlin. — Wszyscy ją mieli za kokietkę i całe zachowanie się Durantina względem niej, natchnione niby fałszywym szacunkiem, nie dążyło do niczego więcej, jak do chwilowej zabawy. A ona — szalona — głupia mieszczanka sądziła, że ten dyplomata ma zamiar starać się o jej rękę ..

Ach! Jakże sobą gardziła.

Wreszcie przybyła do Reichenhallu. — Wsunęła się cicho do swego numeru, jakby wstydziła się wszystkich. Na progu powitał ją zapach więdnących kwiatów. To ranny bukiet Durantina zwiądł na stole w kryształowym wazoniku. Porwała go i wyrzuciła do parku.

Gdy otworzyła drzwi, oblało ją zielone, przeźroczyste światło. Przypomniała sobie ów wieczór, podczas którego doznała takiego niezwykłego, podniosłego uczucia, ów wieczór cały z seledynu i szmaragdu, gdy widziała się tak bardzo piękną, tak inaczej piękną, niż zazwyczaj i gdy w tym pięknie oddychała, odpoczywała wtedy całą swą istotą, wywyższona ponad wszystko, co marne i brzydkie, odgrodzona swą własną pięknością, która była nią całą i tworzyła dokoła niej świat odrębny, czarowny.

A teraz?

Jakże nisko jest w tej chwili! Zdaje się jej, że cała jest obłocona, obryzgana cuchnącą miazgą, której już nic z niej nie zmyje. Wychodzi na ganek, może tu zdoła odnaleść sie-

bie, piękność swej istoty, może zdoła wznowić się choć na chwilę, oderwać, zapomnieć...

Obok niej na balkonie stoi pan Edwino Lipszyc, kupiec z Turynu.

Zobaczywszy ją, zbliża się ku balustradzie balkonu. Ona nie widzi go prawie, nie chce go widzieć, ona chce pozostać ze sobą.

Lecz on ma inne dążenie. Widocznie jej zażyłość z Durantinem i w nim wzbudziła dwuznaczne o niej mniemanie. Stoi przez długą chwilę wpatrzony w nią swym pałającym, namiętnym wzrokiem. W ustach jego gaśnie papieros. On patrzy na nią ciągle i oddycha ciężko. Wreszcie decyduje się. Pragnie jej dać znać o sobie i szybko z papierosa zwija kulkę papierową.

Kawiarnianym, brzydkim gestem, bardzo wprawnie rzuca tę kulkę na zapatrzoną w przestrzeń załzawionemi oczyma kobietę.

Kulka uderza ją w sam policzek. Jest pośliniona i wilgotna.

Helenie zdaje się, że ją ktoś uderzył w twarz.

Porywa się jak szalona. Kulka osunęła się i zatrzymała na fałdach stanika. Helena sądzi, że to jakiś owad, chwyta ją w palce i odrzuca z wstrętem.

Edwino Lipszyc, kupiec z Turynu, tymczasem ze swego balkonu szepcze:

— Bonsoir Madame...

Ona, jak zranione zwierzę, cofa się do swego pokoju. Za nią przez otwarte drzwi wpływa struga zielonawego światła. Helena tak jak jest ubrana, w kapeluszu, w boa, pada na łóżko i leży tak po ciemku, a z oczu jej nawet nie płyną łzy.

Dusza jej tak czuje się na nią rozżalona, że nie pozwala jej nawet na ulgę łez.

— Patrz, coś ze mną zrobiła! — mówi jej duch, który, surowy i groźny, sądzi w tej chwili jej strojne, wonne, pełne próżności ciało.

Sądzi i — potępia.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
L...
JAN BARAN

X.

— Jurku!

Nie odpowiadałam ci na twój list, nie odpowiedziałam i nie żałuj tego. To co ci odpowiedzieć mogła ta Helena z dni ostatnich, może pozostać dla mnie nie istniejące. To jedno ci powiem. Za wysoko mnie stawiasz, stawiając na równi z sobą. Chcesz mnie koniecznie zaprowadzić pomiędzy alabastrowe kolumny twych świątyń a zapominasz, że masz do czynienia z przeciętną kobietą, która tylko „chwilami“ rwie się ku twoim wyżynom. Skrzydeł używać nie umiem, a ty koniecznie wmawiasz we mnie skrzydła. Ja ci więcej powiem, ja tobie wydaję się jak łabędź płynący po tej tafli jeziora, na które patrzysz i na której, czekasz, że kierunek mego płynięcia zakreśli harmonijne girlandy, nabijane srebrem poezyi. I wydaję ci się łabędziem dumnym, pysznym, sennym, pełnym wdzięku. Tymczasem, gdy łabędź opuści tafle „twego“ jeziora, wychodzi na błotnisty brzeg i często skrzydła swe wlecze po kałuży. Tak, tak jest. Ja wlokę skrzydła swe po kałuży, to jest imitację skrzydeł, bo one mi do niczego nie służą. Jest jednak we mnie chwilami jakaś druga kobieta, a właściwie istota. Jest coś bardzo duchowego, pięknego, eterycznego, coś takiego, jak „Ty“ zawsze jesteś. Ja tu czuję, przemieniam się w taką inną, przemieniam zwykle przed tą chwilą, gdy czuję potem taki straszny lęk, takie zamieranie pamięci i życia w swem ciele. „Tamto“ zwykle poprzedza „to“ właśnie. Chciałam o tem mówić doktorowi. Ale on mnie nie zrozumie. Lękam się, że nazwie mnie histeryczką. Ty wiesz, boś nieraz był przytem, gdy oblana zimnyn potem chwytałam cię za rękę, mówiąc „boję się“. Ale przedtem, Jurku, przedtem, ja byłam chwilę inną, ja byłam właśnie taką błądzącą wśród twoich świątyń. Nic mnie z ziemią nie wiązało. Szłam sama po nieznanej krainie i byłam wtedy nie kobietą, lecz istotą zupełnie odrębną, zdolną do skoncentrowania i rozpromieniania Piękna, Dobra i wielkiej Doskonałości. Skąd mi się to bierze, ja nie wiem. Jestem prostą

mieszczanką lwowską, która dużo czytała... lecz „To“ niema nic wspólnego z czernią drukowanych liter. To nie jest żadna konsekwencja literackich ewolucyj. „To“ jest wyższe ponad wszystko, co istnieje w utartych przez życie linjach, formach i faktach, Lecz to trwa mgnienie jedno, błysk. Opadam z tej wyżyny na dół, fryzuję włosy, troszczę się o długość sukni, prostuję się pod wzrokiem przechodzącego mężczyzny. Jestem Helena... z dni ostatnich! I potem znów pokutuję, dręczę się, widzę całą banalność i głupotę swego postępowania. Nienawidzę siebie i kocham się równocześnie w sobie... I w tej chwili, kiedy piszę te słowa, płaczę nad sobą i mam pełne usta pogardy za to, co mnie spotkało. A przecież współczuję sobie i chciałabym znaleść wytłómaczenie Zdaje mi się, że jestem ptakiem, który wydalił się z gniazda i leży na jakiemś pustkowiu zraniony. Bo mnie zraniono, Jurku, zraniono bardzo, a tak ohydnie, że tobie nawet powiedzieć tego nie mogę. Dosyć wstydu, że wie to Inna we mnie i ta przezemnie cierpi. Miłość? Taka tęczowa?... Ja nie wiem, ale zdaje mi się, że jej niema. Powiedziałam wielkie słowo. Nie wiem, czy miałam prawo. Może to moja wina. Teraz zdaje mi się, iż początek tęczowego łuku zostawiłam — we Lwowie. Tam się mimowoli zwraca ta Inna. Może i ona zbłądziła, może i ona kłamie, Wtedy kto prawdę mówi? Odpowiedz!

Helena.

— „Jesteś mi jako łabędź senny, piękny, dumny i cichy, płynący po tafli jeziora, przed którem ja siedzę i patrzę“. Z twego listu wyjąłem te słowa i zwracam ci je tak, jak zwraca się rzucony z oddali pęk róż i jaśminu. Piszesz mi, że cię „zraniono“. Wierzę. Czy nie uważałaś pani nigdy, jak ludzie po ulicach chodzą? Uderzają się łokciami, potrącają się, jakby na świecie było bardzo ciasno. Tak samo idą ludzie i przez życie. Dlatego ja najczęściej chodzę środkiem ulicy, bo wolę mieć do czynienia z końmi, niż z panną, prezentującą swą nową parasolkę, dlatego ja idę przez życie swoją odrębną ścieżką. A pani chcesz koniecznie iść wspólnym trotuarem, niosąc przed sobą kryształiczną lampę, w której płonie twój duch. Rozbito ci tę lampę brutalnym gestem, lecz ocaliłaś ducha. Przynajmniej widzę to z twego listu. I znów strofować cię muszę. Dlaczego żądasz od zewnętrznych objawów wewnętrznego zadowolenia? Zwróć się ku sobie samej a znajdziesz spokój, którego szukasz. Mówisz mi o dwoistości swej natury? Postaraj się, aby ta inna pokonała kobietę przeciętną. Ja to uczyniłem. I we mnie było dwóch. Dziś inny dominuje i tyranizuje przeciętnego człowieka. Dziwiłaś się, dlaczego żądam zamurowania okna w mym pokoju? Może teraz mnie zrozumiesz. Powróć i zamuruj tak okna, przez

które wlatuje do ciebie chaos zewnętrznego zawodolenia. Gdy odosobnisz się, wnikniesz w siebie, znajdziesz w swej duszy cały skarbiec artystycznych wrażeń, które ci życie wyiskrzą królewsko. Za ciężkie będą wrota do tego skarbca, nie potrafisz ich odsunąć, — wówczas spojrzysz na pierwsze z brzegu utarte pojęcia Piękna i porównywać zaczniesz, czy „Ty" pojmujesz je tak samo. To jest łuk tęczy, którą pozostawiłaś tutaj i to są te brylantowe girlandy, któremi — o łabędziu spłoszony — zarysujesz mi taflę jeziora, przed którem ja siedzę spokojny, bez wewnętrznych szamotań, skąpany w doskonałem zadowoleniu i oczekujący na twój powrót, pani mojej duszy.

J.

List Weryhy wypadł z rąk Heleny.

Od czterech dni, od chwili wysłania swego listu, czekała na tę odpowiedź jak na deskę zbawienia.

Zamknęła się w numerze hotelowym, lękając się spotkać z Durantinem lub Lipszycem. Wreszcie sama myśl spojrzenia w oczy komukolwiek z mieszkańców hotelu po tem, co zaszło, była dla niej straszną.

Za co oni mnie mieli! — myślała, przewracając się na kanapie, na której zgorączkowana, zmęczona dnie całe spędzała.

Zwróciła się do Weryhy jako do jedynego źródła uspokojenia. W tej chwili on cały, jego pocałunek, jego rozmowy wydawały jej się pełne uroku i piękna. Sądziła, że on odczuje na odległość stan jej duszy, że odpowie jej tak, jak on odpowiadać umiał. I jeżeli z listu jego wyczyta to, co wyczytać pragnie, powróci.

Lecz list nadszedł, a w nim nie było nic z tego, na co czekała. To nie był ten początek tęczy, który zdawało się został we Lwowie. List wydał się jej suchy, spokojny, pełen nawet egoizmu. Podczas gdy ona cierpiała, on siedział spokojny, bez wewnętrznych szamotań i czekał, aż ona zarysuje mu „brylantowe girlandy", które on z lubością odcyfrowywać zacznie.

— I tu nic!... — wyszeptała Helena spieczonemi od gorączki usty.

— A teraz co? Wracać? Nie ma po co. Zostać tu niepodobieństwo. Trzeba jechać... ale gdzie?

Na stole leżał przewodnik po miejscach kąpielowych i kurortach. Helena w jakiemś dziwnem, niepojętem podnieceniu nerwowem sięgnęła ręką po tę książkę.

— Niech los rządzi — wyszeptała prawie ironicznie.

Oczy jej świeciły dziwnie, gdy otworzyła Bädeckera.

Na kartce, na której przytrzymała palec lewej ręki widniało

Wenecja — Lido.

— Pojadę!

Czemprędzej zaczęła pakować rzeczy, pragnąc wyjechać jeszcze popołudniu.

. . . . . .

Ta kobieta miała w sobie — zgubę swoją.
Nie umiała — nic przeczekać.

XI.

I nigdy Helena nie uczuła się tak właśnie samą — jak w Wenecji.

Bo nigdzie tak miłość nie dysze pełną piersią, jak właśnie w Wenecji.

Helena miała wrażenie, że ma przed sobą jakąś niewolnicę, która kąpie w morzu swe ciało kamienne, strojne w błyszczące klejnoty, kąpie je dniem, nocą kąpie, w oczekiwaniu na chustkę mocarza, który ją przygarnie ku sobie.

Jak w ogrodzie zaklętym w czarodziejskie miłosne słowa, wśród kwiatów gorejących od tchnień rozkoszy, błądziła po Riva dagli Schiavoni, błądziła po placu Marka, błądziła po wąskich uliczkach, gdzie dziewczęta o kaskadach czarnych włosów, o ustach purpurowych jak liście aksamitnych róż, oczekują swych kochanków, chłodząc się niedbale świecącemi od blaszek wachlarzami.

Ich długie, czarne, jedwabne szale zwieszają się z ich spadzistych ramion. One stoją pod sklepami, w których świecą mozajki, błyszczą zielone szpilki i mienią się kryształy.

Na co czekają te dziewczęta o włosach jak noc czarnych, o oczach, jak noc czarnych, w długich szatach, jak noc czarnych?

Na — miłość.

Bo w tej Wenecji, gdy zadrżą światła na Piazecie, a z Lido drugi szereg świateł im echem odpowie, wszystko zdaje się szeptać tylko jedno słowo:

T'amo! —

. . . . . .

Gdzie się tam kryją brzydkie i siwe kobiety? Gdzie tam nikną z nastaniem nocy smutni i znużeni starcy? Gdzie dzieci, które jeszcze nie rozumieją słowa miłości? Helena nie wie.

Stoi i patrzy, jak od gołębi zacząwszy, idą ciągle pary, przytulone do siebie, idą całą teorją czarnych sylwetek, rozjaśnionych tylko płomieniem rozkochanych ócz. Muzyka gra na placu — stukot kroków po drewnianej posadzce towarzyszy jej, jak odgłos tysiąca kastanietów. Jest to olbrzymia ferandola, którą prowadzi miłość — wieczysta o kształtach Arjadny Tintoretta, o uśmiechu prządki Veronesa.

W ramy ujęte renesansu, bogactwo tej ekstazy miłosnej płomienieje jak bukiet rozigranych błyskawic i fale wody, z których on wykwita, zdają się nocną porą same płomienieć i palić. Tak oczy tych dziewcząt są ognia pełne, tak blade ich ręce wyciągają się miłośnie ku tym, którzy biegną łakomie po ich pieszczotę, tak usta ich zakwitają purpurą ich żywej, płomiennej krwi — tak wobec tego czaru pulsującej dokoła rozkoszy giną cuda dzieł sztuki, ginie Tycjan, ginie Tintoretto, ginie Canova, a chmura rozkochanych gołębi pokrywa sobą cuda Campanilli.

Helena ucieka z Wenecji, nie chce w niej przebywać dłużej. Jest samą. Jakże ona siąść ma do tej gondoli i płynąć tak w opuszczeniu i tęsknocie? Te gondole, o których tyle czytała, są sto razy więcej pełne uroku i czaru niż przypuszczała. To wielkie alkowy, w których jest miejsca tylko na dwoje, lecz z których może ulecieć tysiące pocałunków pod strop gwiaździstego nieba. Gdy Helena, zmuszona przejazdem z Riva degli Schiavoni do Lido, wsiada do takiej gondoli, doznaje strasznego ściśnienia serca. Żałoba wlecze się za nią. Wśród tego wielkiego miłosnego święta ona jedna jest skrzywdzoną. Dokoła rozlegają się śpiewy. I wszędzie „amor! amor!“ Och! Helena zamyka oczy, usuwa się na poduszki gondoli. Jedną rękę zanurzyła w wodę. Cicho, łagodnie, lekko pieści ją fala i całuje jej palce. Rozkoszne uczucie. I znów gondola przemknęła, z której śpiew dochodzi: „T'amo!“ Woda zadrżała jakby jakieś płomienie, których ona nawet ugasić nie może. Helena zanurzyła głębiej rękę. Od tamtej gondoli popłynęła głęboka, srebrna bruzda. Tam jest dwoje, którzy przytuleni do siebie patrzą w gwiazdy, patrzą w Wenecję niknącą, a całą brylantową od świateł drżących w wodzie. To inni, nie ona. Po co tu przyjechała? Tu wszyscy roztaczają nad sobą miłosne tęcze. Całe bramy takich tęcz, a popod niemi mkną gondole pełne westchnień, uśmiechów, pocałunków...

Helena nerwowo zaciska w prawej ręce pęk róż, które kupiła na Piaza od jakiejś czarno ubranej dziewczyny, opartej niedbale o kolumnadę naprzeciw sklepu, z którego wylewały się potoki iskier, drżących w lustrach i żyrandolach szklanych o tysiącach barw i odcieni. Róże były blade, jakby miłosna ekstaza wyssała z nich wszystką moc i różany odcień zdrowia.

Dziewczyna, która te róże na wachlarzu Helenie podała, była taka sama blada o oczach powleczonych mgłą, oczach kobiety, która ranek witała uśmiechem znużenia. Helena teraz siedzi w gondoli i czuje, że te róże bledną coraz więcej, giną w samotności, nikną w jej opuszczeniu.

One — nie chcą tej ciszy i tej biało ubranej kobiety, która, jak posąg osamotnienia, wpół martwa leży na czarnem tle poduszek gondoli.

Bladość ich jest drogą i cenną jak bladość pereł na szyjach kobiety w Glorri di Venezia — Veronesa. Perły te pobladły od zetknięcia się z gorącem ciałem patrycjuszek unieruchomionych w sali del Maggior Consiglio, róże popobladły od zetknięcia się z gorejącą ręką dziewczyny z ludu, która, stojąc tak oparta o kolumnę, oczekiwała swego kochanka.

Czuje to, rozumie Helena, wie, że ona niema prawa więzić przy sobie tych bladych kwiatów i nagłym ruchem, prawie rozpaczliwym, rzuca róże w ślad za gondolą, która srebrną, dyszącą miłością smugę pozostawia w wodzie, płynąc niesiona na skrzydłach szału. Róże, padając w wodę, rozpryskują dokoła siebie cały snop srebra, chwilę wyglądają tak, jakby miały dokoła jakąś tryumfalną, czarowną aureolę, wirują i wreszcie jakby pociągnięte nieprzepartą siłą płyną śladem miłosnej gondoli, płyną spragnione rozkochanych szeptów, które spadać będą w ich blade kielichy jak krople brylantowej rosy.

Helena leży teraz nieruchoma na poduszkach gondoli i patrzy, jak zbliża się do Lido, które ciemnawo i tajemniczo wysuwa się z ciemni, poznaczone trochą migocących świateł. Tam postanowiła żyć odgrodzona od tej Wenecji, której rozkochanie sprawia jej ból i jest jakby obelgą, rzuconą w jej smutne i spragnione serce.

Bezwiednie stanęła w samem ognisku miłosnem, opadła jak ćma zbłąkana w płomień wiecznie żarzącej się lampy o ścianach tak przeźroczystych, iż przez nie dostrzec można, jak drżą w miłosnej ekstazie złączone całe łańcuchy ust, spragnionych rozkoszy u samego źródła życia. Dla innych Wenecja jest klejnotem, pełnym czarów sztuki, brylantem szlifowanym rękami mistrzów. — Dla tej wielkiej Rozkochanej jaką jest Helena, Wenecja jest także tą wielką Rozkochaną — tylko niebezpieczną, bo rozkochaną w rzeczywistości, podczas gdy ona obnosi swą tęsknotę jak łańcuch kolczasty dokoła bioder zakuty. Gondola dobija do brzegu.

Helena wysiada i zanim odejdzie w głąb Lida, spogląda raz jeszcze ku Wenecji, z której objęć się wydarła cała spłomieniona i drżąca.

W oddali — cieniu — po przez wód czarną głębię, poznaczoną drżącemi słupami światła, leżała ona — tamta, tak

przepełniona miłością jak kadzielnica, z której płyną całe obłoki wonnych dymów.

Lecz dla niej — dla Heleny, dla świeżo przybyłej z szarych, dalekich pól, czy ta oblubienica morskich fal kryje w sobie jakiś miłosny brylant jednego dnia, czarny agat jednej nocy, rubin krwawy rozszalałego pocałunku, błękitny turkus tęsknoty lub mieniący się opal rozkosznego omdlenia? — Co ona jej da ze swych darów, tej ciemnookiej i różowoustej kobiecie, stojącej na brzegu morskim z ciałem mieniącem się od gorącej krwi i lodowego zastygania serca pod fałdami lekkiego, białego fularu? — Czy i dla niej znajdzie się miejsce w wieczystem ognisku kryształowej lampy, przez której przeźrocze ściany dostrzedz można, jak drżą w miłosnej ekstazie złączone całe łańcuchy ust, spragnionych rozkoszy u samego źródła życia?

Czy jest co dla niej?...

XII.

Lecz gdy Helena zbudziła się nazajutrz w jednym z pawilonów kąpielowych zakładów na Lido — i wyskoczywszy z łóżka wyjrzała oknem, doznała zupełnie odmiennego uczucia.

Życie tu widocznie biegło takim samym trybem, jak w Reichenhallach, jak w innych przeciętnych miejscach kąpielowych, nie mając nic wspólnego z namiętnością, dyszącą w Wenecji.

Dokoła pawilonu mnóstwo zieleni, palm, rododendronów, roślin o szerokich, błyszczących liściach.

Tuż przed oknem jej, w rodzaju zagłębienia z gęstych akacyj, rozesłano maty i ustawiono duży stół.

Dokoła fotele. Na nich kobiety, poodziewane w czarne, jedwabne spódnice i białe kaftaniki, na które narzuciły niedbale szale. Na stole wspaniały przyrząd do kawy, obok filiżanki. Na ziemi porzucony numer, a na nim tłustemi czcionkami „Times".

Kobiety piją kawę. Widok ten przyprowadza Helenę do równowagi. Gorączka, jaka nią wtrząsnęła wczoraj pod wpływem Wenecji, ustępuje zwolna jakiemuś zniechęceniu. Wczorajsze wieczorne podrażnienie sprawiało jej prawie bolesne wrażenie, lecz zniknięcie owego bólu zaczyna jej być przykre.

Przynajmniej czuła, że ma jakieś pragnienie, w obecnej chwili staje się znów manekinem, który musi zapalić maszynkę spirytusową i fryzować włosy.

— Ha trudno!... — myśli wzruszając ramionami.

Po upływie dwóch godzin wchodzi do etablissement, aby zobaczyć kąpiele. Przechodząc, z nałogu uważa, czy ktokolwiek zwróci na nią uwagę.

Doznaje rozczarowania. Ubrana tak elegancko, jak w Reichenhallu, przechodzi na Lido niespostrzeżona. Elegantszych od niej kobiet niema, ale panuje tu — na wyspie, jakiś spokój, jakaś cisza dziwna, która nie usposabia nikogo do odczuwania potrzeby wrażeń.

W etablissement, w sali pod ścianami, na szerokich sofach siedzą — drzemiąc — mężczyźni, odziani w jasne bezpro-

tensjonalne stroje. Upał jest już od rana przygnębiający. Kelnerzy zlewają podłogę wodą i roznoszą syfony obłożone lodem.

Helena wychodzi na pomost, który daleko wysuwa się w morze na wysokich palach.

I tu doznaje wielkiej ulgi.

Przed nią przestwór wód blado liliowy, cała tafla nieskończona zlewająca się z niebem, nie poznaczona nawet punktami statków. Jest to jasne, czyste i pięknie nudne. Nuda ta jednak ma w sobie wielki powab bezmiernego spokoju. Od brzegu wprawdzie ogrodzone sznurkami są miejsca dla kąpiących się, ale Helena wybiega daleko wzrokiem, nie zatrzymując się na tych brzydkich i nieestetycznych głowach i ramionach, które wysuwają się z fal.

Kelner stawia przed nią czekoladę, kładzie francuskie dzienniki, lecz ona siedzi tak nieruchoma, patrząc, jak powoli morze z bladoliliowej barwy przechodzi z nadzwyczaj delikatny seledyn.

— Jak mi tu dobrze! — myśli! — jaka ja tu będę spokojna!

Wspomnienie Wenecji przesuwa się przez chwilę przez jej myśl i płonącem ostrzem przebija jej mózg.

— Ach! tak! Tam, z drugiej strony wyspy jest Tamta... Rozkochana, cała drżąca od brylantów świateł i pobladła od więdnących róż.

Lecz Helena czuje się w świetle dziennem i wobec tej zdrowej, jasnej, morskiej przestrzeni jakaś silna i niewzruszona.

Więc cóż stąd, że Ona jest tam, skoro tak nieprzychylnie, prawie okrutnie obeszła się z nią na wstępie? Mogła nie rzucać jej w oczy tych pocałunków, tych par błądzących pod arkadami pałacu Dożów, tych gondol, poza któremi rwały się zamagnetyzowane róże w srebrnej smudze światła. Dziś Helena zwraca się przed nią do morza po obronę. W czystej bieli i jasności tej fali, w tajemniczości dziewiczej i wielkim, bezgranicznym spokoju odnajdzie ona równowagę i pogodzi się ze swą samotnością, Co ją obchodzi, co się dzieje po tamtej stronie wyspy? Gondole, spiewy, pocałunki, brylanty drżące pod wiosłami gondolierów... to nie dla niej. Ona będzie także oblubienicą morza, lecz nie tą rozpłomienioną i żądną rozkosznych uniesień, lecz czystą i białą, jak skrzydła przelatującej mewy. Nie, tu gondola nie miałaby nic do czynienia. Jak plama tragiczna zjawiłaby się na tej delikatnej i jasnej przestrzeni. Skalałaby swoją rozszeptaną miłośnie tajemnicą czystość tych wód, które zdają się łączyć z takiem zaufaniem z niebem, jakby ten jedynie związek był im dozwolony. I tu od brzegu widać ludzkie postacie, pluszczące się w wodzie brzydkiemi nie estetycznemi gestami. Ci

mężczyźni odziani w śmieszne trykoty, te kobiety w długich, niekształtnych, czarnych spódnicach, z których ocieka woda, z rękami obwisłemi wzdłuż ciała, sprawiają odrażające wrażenie.

Helena uważa, iż każdy człowiek, czy to mężczyzna czy kobieta, wychodząc na brzeg z morza, przybiera zupełnie postać małpy, chodzącej na dwóch tylnych łapach. To przejmuje ją odrazą. Miłość pomiędzy temi stworzeniami o sinawej skórze, o włosach rzadkich, przylepionych do czaszek, które występują fatalnie, lśniąc się garbami, guzami, wklęśnięciami? Jak mało zresztą ludzi ma prostą linię nóg? Linia Hogartha? Wygięcie bioder w kształcie liry? Złudzenie! Kobiety wchodzą i wychodzą z morza. Jakże brzydko idą, jakież fatalne linie przybiera ich ciało nagie, pozbawione tajemnicy fałd sukni! Jakiś mężczyzna wyszedł na brzeg i spaceruje, prezentując w słońcu zwą zapadłą klatkę piersiową i długie ręce orangutanga,

Helena uśmiecha się ironicznie. Ach! Kult ludzkiego ciała, owa nagość grecka, która miała być szczytem piękna. Czy była ona tylko legendą, a pozostałe marmury tylko fantazją artystów, spragnionych tak jak ona uplastycznienia ideału, który w sobie nosili? Przypomina sobie śmiałe, pełne niezrównanej harmonji linie torsu Wenery Milońskiej, której fotografię dostała kiedyś od Weryhy. Błądząc wzrokiem, szukała teraz takiego torsu kobiecego, który nagle wyłoniłby się z zielonawej fali morskiej, pod złotawym blaskiem słońca.

Nic dokoła, pustka zapełniona garstką szkieletów lub balonów tłuszczu, obciągniętych ciemną szerżą lub jaskrawym kretonem kostjumów.

Skromność — pretekst jej raczej pokrywał zanik piękna. Tuż pod balkonem skrofuliczne dziewczę pluskało się w wodzie, topiąc czerwonawe nogi w masie piasku.

Helena odwróciła się ze wstrętem.

Wzięła do ręki leżące na stoliku „Fiegende Blätter“ i zaczęła przeglądać rysunki.

Karykatury! I tu karykatury... żyjące lub martwe, na dole — w wodzie grymasy ludzi i ich urywane, bezlinijne gesta — tu, na papierze grymasy zwierząt i znów gesta brzydkie, śmieszne, bezdennie głupie.

Helena zamknęła oczy i zapragnęła ciszy, samotności. Chciała za cenę jakąkolwiek pozostać samą nawet ze swym lękiem, nawet z tym niepokojem, który poza sobą czuła bezustannie.

— Niechże Weryho zdoła utworzyć tu swój świat piękna i z tego, co ma przed oczami, wprowadzi się w nastrój, dający mu rozkosz i zadowolenie — pomyślała z goryczą — niech zdoła!...

Siedziała tak długo na werandzie, zasłoniwszy się parasolką.

Pragnęła choćby tym lekkim ekranem białego jedwabiu oddzielić się od reszty świata.

Gdy otwierała wpół senne powieki, patrzyła przez głowy kąpiących się w dal — na morze.

Puste było i zlewało się w biel z horyzontem.

— Tam, poza nią, ona, Wenecja, taka bezlitosna w swych brylantach świateł i kolorach warg rozkochanych kobiet, leży teraz znużona i senna w swej pościeli wodnej, tu przed nią tłum karykatur i poza niemi pustka melancholijnego opalu...

I z całą rezygnacją Helena wyciąga swe smukłe, drżące od znużenia i upału ciało, przechyla w tył głowę, a na jej ściągłą, trochę bladą twarz występuje wyraz fatalnego zmęczenia.

— Źle mi!... szepczą jej usta.

XIII.

Źle jej — tu i tam i wszędzie.

Czuje to i pokonać nie umie nic w sobie, nie potrafi a może i nie chce.

Nerwowe jej przeczulenie wzrasta z każdą chwilą. Zraniona do głębi duszy postępkiem obu mężczyzn w Reichenhallu, odsuwa się teraz instynktownie i zamyka w sobie, nabierając pewnej manji w tem odosobnieniu się, które zamiast ją uspokajać, przepaja jej duszę niewysłowioną goryczą.

Całe dnie błąka się wśród drzew dużego parku, okalającego Stabilimento di bagno i unika widoku morza i kąpiących się w niem osób.— Zdaleka tylko dochodzi ją lekki szum — ona siedzi na ławce z książką w ręku i czyta—nie wiedząc prawie, co czyta. Cały szereg czarnych literek przesuwa się przed jej oczyma.

Ona literki te w pamięci swej niże jak różaniec i przesuwa dalej — a tymczasem jak rój aksamitnych, czarnych motyli biją o jej czaszkę całe roje myśli. — I jedno ciągle do niej powraca.

— Jak tęcza!...

Rzeczywiście — znalazła ją, tę wyśnioną tęczę, za którą aż ze Lwowa przygnał ją los nad brzeg Adrjatyku! — Miłości ani śladu, ani cienia dokoła niej niema, nie będzie i być nie może. Porywa ją wstyd i żal chwilami. — Wstyd, że biegła tak jak ćma do płomienia, a płomień ten nie zatlił się ani razu. Owszem, tam po drugiej stronie Lido, oddzielony morzem, płonie jasno i gorąco, lecz nie dla niej, a dla innych kobiet. Tam są tęcze uczuć i tęcze kolorów grają w pryzmatach weneckich żyrandolów i w szybach pałacu Desdemony i Lukrecji. Ona, siedzi tu pod cyprysem jak z blachy i kurz źle wyżwirowanych alei osiadł szarą warstwą na brzegu jej białej, angielskiej sukni.

Siedzi tu, jak w klatce, jak w więzieniu i nie wie, co począć ze sobą, gdzie iść, gdzie się dalej udać. O Lwowie myśleć nie chce. Zapada pomiędzy nią a Lwowem mgła.

W mgle tej ginie Weryho. Przypisuje mu teraz dużą winę z tego stanu, w jaki dusza jej wpadła.

— Dlaczego mi inaczej nie odpisał? Dlaczego?' — Byłby mnie uratował.

I zaraz dodaje w myśli:

— Nie istnieje dla mnie.

Upały są straszne, nie do wytrzymania. Wszyscy kryją się po domach lub siedzą w plecionych chatkach nad brzegiem morza. Gdy zmrok zapada, na Lido rozpoczyna się życie i wrzawa. Dzwonki tramwajowe brzęczą raźniej. Po alei ruszają się ludzie, rozmawiając głośno. Zdaleka widać płomienie pochodni, palących się dokoła ustawionej nad trotuarem huśtawki. Z drewnianego teatru dolatują dźwięki orkiestry. Jakieś smugi światła ścielą się z poza parkanów restauracyjnych po ziemi. I morze wtedy pustoszeje.

Nie ten brzeg wyspy zwrócony ku Wenecji, nie ten, dokąd przybijają z szumem statki wiozące z Riva na Lido całe setki rozkochanych par, miłością ze sobą splecionych — lecz ten drugi brzeg, na którym, jak szkielet zatopionego okrętu, wznosi się platforma balkonu Stabilimenta, głęboko wcinającego się w wodę.

Gdzieniegdzie błyska tu latarnia i tonie we mgle nadbrzeżnej.

Niema tu nikogo.

Włosi nie lubią marzyć.

I wtedy dopiero Helena okrywa się miękkim, białym szalem i wychodzi z ogrodów willi — z ogrodów, przepojonych wonią kwiatów i rozszemranych pluskiem bijących po kamieniach fontan.

Helena idzie wolno, sennym, automatycznym krokiem na brzeg morza.

Mija zakład kąpielowy kobiecy i idzie dalej, topiąc w wilgotnym piasku swe biało obute nogi. Jest sama, sama zupełnie naprzeciw płaskiej — prawie nieruchomej, wodnej otchłani. Idzie tak blisko brzegiem, że prawie u jej nóg rozsuwają się delikatnie pierwsze, nieśmiałe fale sennego morza.

Bezbarwne są w tej szarości wieczornej, bezbarwne i nie ciągnące. Za ciepłe, za ciche, a mimo to nieutulne. Czuć poza niemi otchłań, nie dającą żadnych nawet tragicznych wrażeń.

I tylko dalej, dalej — poza nieruchomym zda się wałem strzelają ostatnie linje, jakby aureola zapadłego w grób ten wodny zjawiska — purpurowe blaski słońca. Purpura ta lekko bardzo zabarwia niewielką przestrzeń wody i pozostaje na jej powierzchni rubinowemi strzałami rozsiana.

To wszystko z barw — bo cała reszta i horyzont i morze i cała przestrzeń nie ma wyraźnej barwy, rozpływa się, rozlewa w jedną mgłę i rozlewa tak samo duszę ludzką w mgle niepewności, tęsknoty i smutku.

I tu Helena czuje się trochę spokojniejszą. Kąpię się niejako w tej bezbarwności i dozwala swej melancholji rozwijać nad sobą skrzydła.

Życie jej wydaje się taką wodną, szarą, spokojną otchłanią. Nic przed nią — nic po za nią! Taki jej los, takie przeznaczenie. Rzucona nagle na ten brzeg morza, stoi bezradna i patrzy w przestrzeń. Mija jedna i druga minuta. To życie ucieka. Życie! Jedno szare pasmo, aż nitka się urwie. Ludzie przetykać umieją to pasmo brylantami natchnienia, rubinami miłości, szafirem poezji. Ona widocznie nie umie. Nawet nie potrafi wybrać kąta ziemi, gdzieby mogła znaleźć purpurę rubinów, błękit szafirow, srebro brylantów. Jak mewa, gnana zmęczeniem i tęsknotą, wpadła w tę szarzyznę wód cichych, kołyszących się w łożysku piaszczystem o blond gładkiej powierzchni. Wpadła, uciekając przed chłostą piekącą zbyt wielkiego żaru, bijącego z łona rozkochanej Wenecji.

Co będzie z nią teraz?

W kontemplacji pogrążona — osuwa się powoli na wilgotny piasek i siada wśród swej białej sukni — ciągle przed siebie wpatrzona. Dogasające na horyzoncie strzały ciągną jej wzrok ku sobie. Nie czuje się teraz sobą. Ona jest teraz całym rozmarzonym duchem. Nie rozumie nawet już swego ciała, warunków życia. Wybiega powoli ze siebie — bez szelestu idzie w dal niezmierzoną...

Ogarnia ją straszna trwoga.

Nie! nie!... tak nie będzie! Niebezpieczna to chwila. Znów dzieje się z nią to „coś“, czego ona pojąć nie jest w stanie. Odchodzi od siebie — pozostawia siebie samą, a przecież istnieje. Rozdwaja się duchowo i cieleśnie i żyje równocześnie podwójnem życiem. Tego przenieść nie jest w stanie. Melancholia cichego morza sprzyja temu zjawisku.

I Helena porywa się z piasku i biegnie jak szalona w stronę Zakładu. Czasem potyka się o większą muszlę, czasem o pęk oślizłej morskiej trawy. Nagle, jak za pociągnięciem zasłony, zapada zmrok. Purpura znika. Rubinowe strzały toną w morzu. Zalega ciemność, która zdaje się podnosić czarnym wałem z pośrodka fal.

Helena dobiega do placu, na którym przekupnie pod światłem elektrycznem sprzedają owoce i muszle.

Portjer kąpielowy obnosi na tacce małe, zabawne lalki, które wyrabia w chwilach wolnych i sprzedaje targitom.

Jakaś zgrabna w jasnej bluzce panienka jeździ na rowerze dokoła klombu. Stal kół połyskuje błyskawiczną smugą dokoła kwiatów.

W oddali muzyka gra walca.

Helena oddycha. Widzi ludzi — jest taką samą istotą żywą i odzianą, jak wszyscy. Należy do rzędu żyjących

i odżywiających się stworzeń. Co chciała tam w tej mgle szarej i wilgotnej? Co czuła zwłaszcza w tej strasznej chwili, gdy dusza jej uciekała, a pod czaszką stawała się lodowa próżnia, przejmująca ją trwogą?

Czy te kobiety, siedzące na ławkach pod szmaragdowo zabarwionemi gałęziami drzew, czuły to samo co ona?

Czy i one miały takie chwile, w których nikło wszystko z czego ludzie swe istnienie składają, a pozostawała bezlitosna rzeczywistość przeogromnej zagadki, wobec której nie możemy nic i nie wolno nam módz cokolwiek?

I Helena powoli wracała do swego pokoju.

Nie zapalała elektryczności.

Z sąsiedniej latarni, jaśniejącej w ogrodzie, biła jasna struga światła.

Przez zieloną mustikierę dostawała się do wnętrza pokoju i nadawała wszystkim przedmiotom fantastyczną cechę

Helena kładła się na stojącą naprzeciw okna kanapę i pozostawała tak bez ruchu, cała zlodowaciała, mimo istniejącego w pokoju gorąca.

Jaki smutek, jaki straszny, bezbrzeżny smutek dokoła, — myślała, leżąc tak w swych wilgotnych, białych szatach, na które zielonawo filtrowane światło kładło długie, bladawe smugi.

Nawet ułudy, nawet ozłocenia chwilowego upajającą pianą szału miłosnej ekstazy znaleźć nie może. W niej całej aż modli się coś ku takiej złudzie bezszelestnej i kołyszącej do zapomnienia, tymczasem ktoś, jakiś czarownik, zakreślił dokoła niej niewidzialne koło, w którem ginąć musiała.

— Nic dla mnie! nic... mówiła, a powoli cichły dzwonki tramwajów, tony muzyki, kołatki rowerów, krzyk śmiejących się Włoszek.

Elektryczność gasła.

Zalegała ciemność i cisza, wśród której z oddali dochodził powolny, leniwy, zagadkowy, szumiący jęk.

To morze jęczało.

. . . . . .

A mimo wszystko, mimo tego silnego przekonania, że dla niej niema już „nic", że dokoła niej całe zaczarowane koło, Helena zwracała się bezustannie myślą ku tej Wspaniałej Rozkochanej, przez której łono gorące i całym żarem rozkoszy tchnące przesuwała się trwożna i zmieszana. Bo ta Wenecja była w niej ciągle, pozostała jak ostrze strzały zatrute jakiemś zmysłowem zielem, ostrze, które utonęło w białej piersi kobiecej, którą odosobnienie mniszki i pół żałoba wdowy jeszcze przystępniejszą pokusom czyniły. Wszędzie, czy to w ogrodach willi pod zielenią palm i cyprysów, czy nad

brzegiem morza, na piasku inkrustowanym muszlami. Helena czuła poza sobą zdradziecki cień Wielkiej Rozkochanej, wlokącej złocisty, zielony brokat weronezowskiej szaty, z piersią okrytą bielą gronostajów, z rękami ozłoconemi pierścieniami, które jej oblubieniec Adrjatyk z swego łona poprutego ciężarem Bucentauru — oddawał.

Zuchwała w swej chwale, z wysokości z obłoków utkanego tronu, spadła do roli pobudzającej pięknością swą do ekstazy miłosnej par rozkochanych. Ona, ta wielka, przemożna, cała jasna i królewska z plafonu w sali del Maggior Consiglio, sama już oddaje się zrezygnowana jedynie miłości. I w fałdach swej szaty, zdetronizowana a dysząc od żaru, daje schronienie szeptom rozkochanych. Berło wypadło jej z rąk, zamiast sławy o laurowym wieńcu w posły biegną w świat gołębie Afrodyty i skrzydłami swemi rozsiewają różane wonie, pełne dziwnej, podniecającej poezji.

Wenecja — na wiatr rozsiewa swe szaty królewskie, gronostaje spadają, złote włosy dla djademu splecione, płyną lawiną po nagich ramionach. Usta bledną, oczy mgła pokrywa. Blade cienie dożów cofają się w głąb swego pałacu i błądzą milczące po salach dei Pregadi, po schodach dei Giganti, szukając swych miejsc w apoteozach bitw pod Lepanto, przed tycjanowskiemi krzyżami, połyskującemi z nagłą siłą jak wielki, przepotężny symbol religijnego triumfu. Na ruinach, błyszczących od arcydzieł geniuszów, ścielą się łoża dla nowożeńców, rozsiadają się kochankowie o koralowych wargach i drżących ramionach. Ona, ta dawna Władczyni, dzierżąca berło i miecz, teraz w Adrjatyku mgieł tka całe welony i zasnuwa niemi alkowy, przyzywając do pomocy czarowną prządkę Veronesowską z jej pajęczą przędzą.

Orszakiem jej są raczej te złotowłose kobiety Bonifazia, których nagie piersi otulają tak rozkosznie delikatne futra soboli. Ich drobne, małe, kształtne głowy wykwitają z tych ciężkich aksamitów, które one wloką ze znużeniem, unosząc szaty palcami zmęczonemi od strun mandolin, na których od wieków dzwoniły niemą pieśń miłosną. I cały ten orszak sunie powoli za samotnie idącą Heleną.

— Kobietą jesteś!... — wołają ku niej same ciche a śpiewne głosy — zarzuć na siebie welon oblubienicy, welon cały z opalowej mgły - zarzuć i stój cicha i milcząca. Nie gaś żaru ust ani nie ścieraj wilgotnej mgły twych oczów. Bądź jak my — wpatrzona w dal i czekająca. Patrz pomiędzy nami na Wenerę Contaviniego. Senna, czarowna, z perłami na ręce, wpatrzona w parę śnieżnych gołębi, z maską półcienia na twarzy, jest jedną z naszego orszaku — tak jak naszą jest w złotogłów strojna o szyi łabędziej Kleopatra, wyszła z natchnienia Tiepola...

— Stój i czekaj — jak my, jak ta białolica Arjadna Tintoretta o całym wieńcu brylantowych gwiazd nad czołem, jak strojna w kwiaty, podobna rozkwitłej lilii Europa Veronesa, taka trwożna a pełna temperamentu, o nozdrzach lekko rozchylonych, jak zorza wychylająca się z ostępu. Jest nas tu cały szereg takich bladych i samotnych jak ty... Stój i czekaj!...

Tak mówią do niej głosy ciche i senne. Ona staje mimowoli i czuje płomienie na ustach a mgłę wilgotną na oczach.

Staje i czeka.

Powoli — pragnie ujrzeć raz jeszcze tę Wielką nieubłaganą w koronie świateł, ze ścieżką drżących, mandolinowych strun, biegnących pieśnią po falach wody. Pragnie i nie umie oprzeć się tej sile, która ją ciągnie.

Wabi mnie ku sobie, myśli — wabi — o bezlitośna, aby naigrawać się ze mnie.

I wieczorną porą, gdy milkną głosy, gdy cichną walce, wyrywające się w przestrzeń za deski teatru, gdy przestaje migotać blask elektryczności — Helena powoli kieruje swe kroki na brzeg wyspy.

Lecz dnia tego idzie w przeciwnym kierunku. Idzie ku przystani martwej i sennej w tej chwili.

Ostatni statek odpłynął z Lido ku Wenecji. Na brzegu zwijają sznury i gaszą latarnie. Jakaś gondola, przyczepiona do pomostu, kołysze się lekko na wodzie. Leży w niej bezwładnie drzemiący, biało odziany gondolier. W nadbrzeżnej restauracji, przy świecach słabo płonących w kloszach szklanych, majaczą niepewnie ciemne jakieś postacie, pochylone nad flaszkami chianti.

Helena mija restaurację i przystań.

Biała i smukła zanurza się powoli w ciemnicę, do której oczy jej się przyzwyczajają.

Idzie długo brzegiem — nagle staje unieruchomiona.

Przed nią, daleko — bardzo daleko — drży szereg świateł.

Kolumny srebrne wpadają w głąb i znaczą miejsce Piazetty.

Zdaleka wydaje się to jak fronton brylantowego, świetlanego pałacu.

Tu i tam błyszczą jeszcze światełka gondol. Ciągną one wszystkie w tę kolumnadę — wpadają w srebro filarów, rozbijają je na chwilę — potem nikną w sznurze drobnych djamentów, drżących dookoła fliz, schodzących w morze. Helena stoi i patrzy.

Nie czuje już obok siebie Veronesowskiej szaty i złocistego powiewu na wiatr rozpuszczonych włosów. Nie słyszy szeptu harmonijnych głosów, nie chłonie zapachu róż zdo-

biących czoło Europy i dzikiego, zwierzęcego gorąca soboli, bramujących piersi kobiet Bonifazia.

Pod wpływem blizkości samej Wenecji — Helenie zdaje się, że ona sama jest jedną z tych kobiet — że ona ma na twarzy tragiczną maskę oczekującej Wenery, ponad którą na wachlarzu zielonych liści trzepocą się gołębie.

I znużona, znękana, czeka na opalowy welon, który powoli podnosi się z mgieł Adrjatyku jak czarowna zasłona wielkiej mistycznej, albo poza którą złotowłosa, zdetronizowana Wenecja zasiada do uczty weselnej — do uczty, od której wstanie o różowym blasku jutrzenki z przygasłym wzrokiem i wieńcem, z którego opadną pobladłe liście róż.

XIV.

Choć ciągnie ją toń morska, choć chętnie pragnęłaby ochłodzić swe ciało w zielonawej wodnej fali, Helena odmawia sobie kąpieli w morzu.

— Nie chcę być brzydka dla samej siebie, pragnę pozostać piękną — myśli, odwracając się o kąpielowej porze od drzwi Stablimento — nie mogę przenieść na sobie zmieszania się z tłumem tych śmiesznych kobiet w półmęskich, niekształtnych kostjumach. Gdybym mogła o zachodzie słońca rzucić się w morze i płynąć w dal, tam gdzie rubinowe strzały tak miłośnie kładą się na drżącej fal powierzchni!

Lecz ta prawdziwa rozkosz jest jej zakazaną.

Późnym wieczorem więc idzie nad brzeg, idzie tym razem znów w stronę morza, nie chcąc widzieć Wenecji i świetlanej kolumnady jej mistycznego pałacu.

— Zanadto mnie to udręcza — powtarza sobie w myśli — orgia świateł poza opalowym welonem mgieł, boli mnie. Jestem bezradna, cierpię, zazdroszczę. Kobieta budzi się we mnie. Bezbarwność morza mnie ukoi. Tak! Uciszy, dziś zwłaszcza!

Ten dzień jest dla niej niewypowiedzianie ciężki. Od rana czuje, iż cała jej istota drży, że idąc, odnosi wrażenie, iż unosi się ponad ziemią.

— Znów! Znów! — myśli z rozpaczą.

— Gdzie pójdzie? Dokąd się schroni? Czy zdoła uciec przed tą niemocą a zarazem siłą, która jej ducha wydziera z ciała i mdlejącą z trwogi w śmiertelnych dreszczach o ziemię rzuca?

— Czy to objawy histerji? — pyta się samej siebie i bada trwożliwie.

Lecz natychmiast, buntując się, zaprzecza, Nie, to być nie może. Ta tajemnicza potęga niema nic wspólnego z szablonową chorobą roztarganych nerwów.

To nie nerwy cierpią, tu coś więcej mdleje w niej i kona... coś więcej...

Dochodzi do brzegu. Na zwykłem miejscu niema już śladu jej stóp, które wycisnęła wczoraj. Morze zmyło je swemi falami.

Dziś, rubinowych strzał niema także na powierzchni morza. Rozpłynęły się w fali. Cała linia w głębi jednako płomienna. Widać jeszcze wąziuchny pasek znikającego słońca. Z oddali powiewa gorący wicher. Morze dziś szemrze niespokojnie. Po raz pierwszy Helena dostrzega silniejszy ruch fal. To wprowadza ją w jeszcze większe rozdrażnienie. I tu niema spokoju? Więc gdzie? Więc gdzie?

Otula się szalem tak silnie, że zanurza w jego fałdach połowę twarzy. Widać tylko z tej matowej bieli jej nos prosty, chorobliwie zwężony, i oczy pociemniałe, niespokojne, rozszerzone zbliżającą się trwogą. Stoi i czeka. Wie, że jej nie minie, że „to“ przyjść musi. Jest zrezygnowana. Jeśli ma tak skonać , niechże już skona w tym ogromie morza i padnie biała i zimna w objęcia fal. Zabiorą ją te fale do jutra, zmyją ślad, jaki odciśnie jej ciężka głowa, padając w piasek i poniosą ją ku purpurze ogniowej w dal, ku zachodzącemu słońcu. I będzie to wielki, czarowny pogrzeb z mistycznem Requiem, wyszemranem przez fale, a świecić będą w tym pochodzie żałobnym konchy muszlowe, o które drżąca kropla wody się rozpryska.

Całunem tym, w który ją spowije los, okryłyby się miliony stygnących trupów, a jej trup, po królewsku pogrzebiony, za mogiłę mieć będzie przepastną głębię, katakumby ruchome, przejrzyste i chłodne.

Purpura słoneczna znikła, czarny wał ciemności powstaje z głębi wód.

Jedno, drugie, trzecie zabłyska światełko w górze.

To gwiazdy!

Za słabe, za wysoko, za drobne. Żadna z nich nie przegląda się w powierzchni wód. I na morzu nie świeci się nic. Żadna latarenka, żadna barka nie wraca. Wszystko pustynne, wymarłe.

Dziś Helena nie ucieka przed tą ciemnością, jak to czynić zwykła. Czuje, że ten cień ogarnia ją całą. Pragnie go, pożąda. Z trudnością dostrzega morze. Słyszy tylko już szum fal. Groźny on teraz i srogi. Wicher dąć zaczyna silniej. W powietrzu jakby tysiące mokrych igiełek osiadają na rzęsach i włosach Heleny.

Ona bez jednego giestu, bez ruchu, stoi ciągle w swej białej draperji. Zdaleka wydaje się cieniem, duchem, oczekującym na jakąś wieść z morskiej głębi.

Jest piękną bardzo na tem ciemnem, chmurnem, strasznem tle. Nie czuje jednak swej piękności, bo chłód straszny, grobowy przenika ją coraz więcej.

Czuje powoli, że wampir trwogi i pustki przenika ją i przepaja razem z mgławą wilgocią, otaczającą ją dokoła.

Nagle — pod czaszką robi się jej próżnia: ma uczucie, iż krew z niej wyparowuje wszelkiemi porami. Skostniałemi palcami zaciska mocno fałdy szala dokoła ust i głowy, lecz ręce te zdają się nie należeć do niej.

Machinalnie walczy jeszcze umysłowo z tą niemocą. Stara się przypomnieć sobie, kim jest i co tu robi na tem ciemnem wybrzeżu.

— Mieszkam we Lwowie... powtarza sobie w myśli — we Lwowie... przyjechałam do Wenecji... tak... jechałam z Reichenhallu... Lecz w tej chwili zapomina znów, gdzie jest obecnie.

— To morze — myśli z wysiłkiem — tak, morze.. ale ja, co ja tu robię .. Kto ja jestem?... Gdzie kres mego ciała? Nie wiem, nie czuję .. Co to?... ręce... o Boże! Boję się!... Boję...

Jedna chwila jeszcze, bolesna, straszna — Helena cała sztywnieje, drętwieje jak kamienna statua i nagle widzi siebie, widzi niejasno, niewyraźnie, jak bezkształtną, białą masę. Odbiega od siebie, oddala się — i rozpacza za sobą — chce biedz — sił jej brak... nie może...

Po czole jej ściekają krople potu, oczy zasnute bielmem, szklane, straszne.

Na chwilę — pod pustą czaszką przebiega jasna jak błyskawica myśl.

— To skon!.

A potem myśli z ulgą pewną:

— Niech! niech!...

Ktoś idzie ku niej — nie słyszy jego kroków, ale w nadczułości swej, w jakiej pozostaje, przeczuwa go dokładnie.

— Idzie ktoś ku mnie...

Ktoś ten jest blisko — przechodzi tak, że dotyka prawie jej szat

Biel jej sukni musiała zwabić jakiegoś przechodnia.

Helena nie porusza się — nie ustępuje z miejsca.

Przechodzień zatrzymuje się.

Ta nieruchoma, biało odziana kobieta, stojąca jak martwa nad brzegiem morza, zajmuje go.

Zbliża się.

Helena wydaje bardzo cichy jęk.

Doznała strasznego uczucia.

Ten człowiek nie dotknął jej. Był od niej oddalony o kilka kroków, a ona czuła wyraźnie jak brutalnie przechodząc po niej — depce ją i sprawia jej ból fizyczny.

Teraz jest tuż przy niej, tak blisko, że czuje jego oddech koło swej twarzy.

Pochyla się bowiem nad nią i stara się rozeznać jej rysy.

Wysoki jest, zaciemnia przed nią jeszcze więcej widnokrąg.

— „Vous êtes malade?“ — pyta ją po francusku.

Helena nie odpowiada, nie może słowa wymówić.

— „Etes vous malade? — mężczyzna ponawia zapytanie.

I znów milczenie. Helena zaczyna jednak mieć świadomość, iż ten głos ludzki rozprószyć może dokoła niej zaklęcie, pod jakiem zostaje.

Nieznajomy delikatnie, spokojnie, z wielką pewnością siebie ujmuje przez szal ręce Heleny i odsuwa je od twarzy.

Szal opada i piękna twarz jej ukazuje się w mroku tak blada, jak biel jej sukni. Pasma zmoczonych włosów osuwają się dokoła jej skroni.

Mężczyzna dalszym, spokojnym gestem usuwa te włosy z jej twarzy.

—„Suivez moi!“ — mówi, pociągając Helenę w stronę Stabilimento.

„Non posso!“ — odpowiada Helena i natychmiast zaciemnia się znów jej umysł.

Zapomina po włosku i dodaje z wielkim bólem po polsku.

— Nie mogę!...

Mężczyzna cofa się i chwilkę stoi zdumiony.

— Pani Polka? — zapytuje najczystszą polszczyzną? — Instynktem wiedziony zbliżyłem się ku pani. Co pani robi na tem wybrzeżu? Czy chcesz się pani zabić?

Pytanie to pada ze szczególną szczerością i przeraża znaczeniem tych słów niespodzianych.

Helena stara się otulić znów szalem.

— Nie... nie... — odpowiada krótko — nie chcę się zabić, ale i tak... i tak...

— Co? Co?

— I tak śmierć przychodzi po mnie...

Zakryła zupełnie twarz fałdami szala. Rąk nie próbowała nawet wyrywać. Jakaś moc szczególna zaczęła iść od tego człowieka ku niej.

— Nie pragnę... — odparła cicho — ale to przychodzi samo z siebie... jak choroba.

— Więc pani nie jesteś chora?

— Nie! nie!

Zapanowało między nimi milczenie.

Fale morskie, poruszane wiatrem, konały z szelestem u ich stóp.

Na niebie, które czerniało coraz więcej, połyskiwały już mirjady gwiazd; daleko, jakaś smuga, blado błękitna, przecinała ciemnię.

I nagle Helena bezwiednie, z całą grozą skargi, z całem udręczeniem skatowanej moralnie istoty, wyrzekła głośno i dobitnie:

— Boję się!...

Nieznajomy przysunął się jeszcze bliżej ku niej, jakby zdjęty ciekawą litością.

— Czego? Czy śmierci?...

— Nie! śmierci się nie boję. Nie wiem, kto pan jesteś? Nie widzę cię dobrze, widzisz jednak, że od ciebie nie uciekam... choć możesz być śmiercią samą... ale ja boję się swego istnienia, swego ciała, swej myśli... i tego, że ja siebie przy sobie utrzymać nie umiem... że ja od siebie odbiegam... staję przed sobą... zdaleka... a tu pozostaję ja druga, martwa, zimna, z pustką pod czaszką..

Mężczyzna znów ujął jej ręce i od twarzy usunął.

— Wyzywasz ją pani? Pragniesz jej?...

Ona czuła, że odpowiadać mu powinna.

Zatrzymała się, przelękniona dźwiękiem tych słów. Rozdrażnienie jej musiało być straszne i doszło do kulminacyjnego punktu, skoro ona tak szczerze mówić zaczęła przed tym nieznajomym, którego twarzy nawet dostrzedz nie mogła.

I nagle opamiętała się i zamilkła.

Dlaczego to mówi? Do kogo? Kto on? Czy on ją pojmie? Prawda, że moc jakaś była w nim duchowa, która działała na nią prawie uspokajająco, prawda, że głos jego miał dźwięk szlachetny i budzący zaufanie, ale to nie było jeszcze wszystko.

— Pani musisz być moralnie życiem zmęczona! — wyrzekł nareszcie nieznajomy.

Helena nie odpowiedziała.

Ona nie była przecież moralnie życiem zmęczona, była raczej znużona. Życie nie dało jej do tej chwili żadnych bolesnych zadań do rozwiązania.

— Nie miałam się czem zmęczyć! — wyszeptała.

Ten brak przyczyn zmęczenia częstokroć zmęczy nas więcej niż cały szereg przejść i bólów — odparł nieznajomy. — Słowa pani bezładne, ale w nich czytam jak w hieroglifach. Nie trwóż się Pani tą trwogą, jaką odczuwasz... Posłuchaj mnie raczej... czy słuchasz?

Ujął jej ręce zimne i sztywne w swe gorące dłonie.

Ciepło jego ciała zaczęło przenikać ją całą

— Czy słuchasz? — zapytał.

— Słucham! — odparła prawie pokornie.

— Nie trwóż się... zrozum mnie. Wiesz przecież, że każdemu z nas danem jest umrzeć. I tu leży największa zagadka naszego życia. Do tej chwili śmiertelnej dąży nasza ciekawość tragiczna i rozpaczliwa... Chcemy wiedzieć i nie wiemy nic! Ty masz dar ogromny, wielki, cudowny... Ty

w tych chwilach, w których od siebie odbiegasz... w których stajesz zdaleka, ty zaczynasz wiedzieć, przed tobą uchyla się zasłona grobowej tajemnicy!... I czego się lękasz? Bądź dumna, patrz... wsłuchuj się w zachwycie najwyższym. To, co wiedzą dopiero martwi w mogile, ty zaczynasz wiedzieć żywa. Dozwól twej duszy odkryć ci prawdę!

Zamilkł!

Razem z jego głosem dziwnym, harmonijnym, prawie śpiewnym, umilkł szum fal.

Zdawało się, że i morze wsłuchuje się w te słowa.

Z Heleny opadły fałdy szala. — Głowa jej, jak blady kwiat z alabastrowej urny, wykwitła ze śnieżnych osłon szaty. Ponad tą głową iskrzyły się całe mirjady gwiazd. Słaby ich odblask zdawał się rozpływać w kątach jej źrenic, które teraz trzymała utkwione w twarzy nieznajomego.

— Pozwól twej duszy odkryć ci prawdę!..

Słowa te padły ku niej tak niespodziewanie.

Ten człowiek jeden ją zrozumiał.

Nie trzeźwił jej wodą, nie prowadził jej do apteki, nie wspominał o lekarzu.

Nie — on zrozumiał, przeniknął stan jej duszy do głębi. Przyszedł nieznany i dziwny — stanął przed nią w cień i mgłę spowity, a słowami swemi wyprowadził ją nagle z trwogi śmiertelnej w jakąś jasność najwyższą.

Nie rozumiała jeszcze dobrze słów jego — lecz wyryły się nagle w jej mózgu z dokładnością i siłą.

Uczuła się nagle spokojną i dumną.

Patrzyła wprost w jego twarz i pomimo ciemności odczuła jego oczy, jego rysy — wyraz i zarys jego ust.

Był wysoki, silny, głowę nosił cokolwiek w górę podniesioną — podbródek jego okrągły rysował się jasną linją. W skróceniu tem twarz jego miała coś z masek pośmiertnych wielkich ludzi, zastygłych w jakimś rozkazującym i dumnym nastroju.

Wielkie plamy ócz głęboko wsuniętych pocentkowane były jaśniejszemi punktami.

Na czoło padał cień.

Odziany był ciemno, w długi płaszcz gumowy, narzucony na ramiona.

Na ręku Helena odczuła zimno pierścionka.

Stała tak naprzeciw niego oczarowana i pełna już posłuszeństwa. Mimowoli na usta jej cisnęły się słowa prośby, aby mówił jeszcze. Lecz on milczał i tylko ręce jej silnie w swych dłoniach zaciskał. Palce ich splotły się w tym uścisku. Przez te ręce szła w nią moc i siła. Wracała do równowagi. Zimno z pod czaszki ustępowało. Zdawało się jej, że część jakaś jej powraca ku niej i zaczyna ją otulać, wnikając w nią całą

Jeszcze chwila a Helena ma pełną świadomość i wolę prawie już jasną myślenia i zdawania sobie sprawy z tego, co się stało.

On zdaje się także odczuwać z całą subtelnością to, co się z nią dzieje, bo uścisk jego dłoni staje się mniej silny, wreszcie ich ręce rozplatają się i opadają, jak gałęzie powoju.

— Już pani spokojna? Przeszło?... — zapytuje, a głos jego brzmi miękko, pieszczotliwie prawie.

— Tak! odpowiada Helena i równocześnie budzi się w niej jakieś uczucie pomieszania i jakby wstydu, że ktoś obcy podpatrzył i odczuł tajemnicę jej duszy.

— A więc chodźmy... do świata! — mówi nieznajomy, wskazując błyszczące w oddali światełka promenady.

— Ja pójdę przodem, jest ciemno, wybrzeże ma dużo wybojów, może pani upaść.

Helena z żalem odrywa się od piasku.

— Chciałabym jeszcze tu zostać... — mówi zwolna, jakby sama do siebie.

— Po co?... To co, pani przeszłaś, już się w tej chwili nie powtórzy. Chodź w gwar i światło! Pozwól duszy swej odpocząć.

— W gwarze? w świetle? Zmęczą mi duszę jeszcze więcej!

— Nie! nie!... ten wysiłek, jaki duch twój uczynił, aby się od ciebie oderwać choć na chwilę, wyczerpał jego moc. Rwał się tu, w przestrzeń, pod gwiazdy. Tam, gdzie płonie elektryczność i grają fałszywe trąby baletowej muzyki, duch od ciebie odlatywać nie będzie. Proszę, chodź pani za mną!...

Mówił ironicznie, wolno, i teraz był już zupełnie w cieniu oddalony od niej i niewidzialny.

Zaczęli iść i płaszcz jego sprawiał dziwny szelest, jakby szelest wielkich skrzydeł lub szum mnóstwa jesiennych liści.

Nie mówił do niej nic, nie oglądał się nawet. Miał zupełną pewność, iż idzie za nim posłuszna i cicha.

Zdaleka dziwne musieli robić wrażenie.

Dwie postacie — ciemna i wyniosła — prowadząca za sobą cień biały i delikatny. Sunęli tak cicho po wybrzeżu wzdłuż jęczących fal, pod sklepieniem z gwiazd. On zdawał się jakimś demonem, czarnym i tajemniczym, prowadzącym znalezioną nad brzegiem morza, zbłąkaną białą marę smutnej topielicy.

Było coś rozpaczliwego w ich pochodzie, coś mistycznego i zarazem melancholijnego.

Za nimi znaczyły się w piasku ślady ich stóp.

Dół jej sukni był pełen różowawych muszli i porostów. Suknia ta zaczynała jej ciężyć, ciągnąć ju ku ziemi. Szła przecież wciąż z rękami zwieszonemi wzdłuż ciała. Z ramion jej spadał biały szal i wlókł się za nią po ziemi.

Nagle o większą muszlę zawadziła się frendzla szala i powoli zsunął się z jej ramion zupełnie i upadł na piasek, jak olbrzymi, długi chwast biały, znużony i senny.

Ona nie zatrzymała się nawet, poszła dalej sennym, automatycznym krokiem.

Poszła za nim, za tym nieznajomym, tym spotkanym nagle, który teraz wiódł ją za sobą.

I nagle pierś jej wezbrała wielkiem łkaniem.

Płacz ją porwał — płacz bez łez — płacz krótki, bolesny, dziwny.

Zacisnęła zęby i rwała się powstrzymywanym jękiem za czarną postacią, znaczącą jej drogę.

Coraz jej ciężej było tak wlec się jego śladem, a przecież nie byłaby ustała w tej drodze — nie byłoby siły, która powstrzymałaby ją w tym pochodzie. Szła z przeświadczeniem, że idzie za swem przeznaczeniem, za czemś silniejszem, niż ona sama, niż jej wola, siła cała jej istoty duchowej i fizycznej.

Nawet już patrzeć nie mogła w tę ciemną, wyniosłą postać, idącą przed nią; zamknęła oczy i szła tak na przepadłe, nie wiedząc, dokąd idzie.

Doszli wreszcie do zabudowań kąpielowych.

O kilkadziesiąt kroków jaśniały już światła elektryczne, rozpromieniające szmaragdami liście drzew.

— Puszczam tu panią! — wymówił nieznajomy — sądzę, iż pani pragnie pozostać samą.

Nie zdołała mu odpowiedzieć nic. Nie przewidywała chwili, iż odejdzie od niej i pozostawi ją samą jedną. Zdawało się jej, że była zawsze jego cieniem i pozostanie nim nadal.

— Żegnam panią!

Nawet światło nie padło na jego twarz.

Ciągle był w cieniu i Helena ciągle go przeczuć musiała.

Jeden gest — uchylenie kapelusza, i oddalił się znów w stronę morza.

Helena pozostała sama.

Teraz łzy jej do oczów napływać zaczęły.

Odwróciła się za nim i patrzyła, jak znikał w ciemności.

Słychać było tylko delikatny szmer fałdów jego płaszcza.

A może to fale morskie szumiały?...

Helena już rozróżnić nie mogła.

Po twarzy jej spływały dwie łzy.

Oparła się o ścianę budynku kabinowego i cicho płakała.

XV.

Nazajutrz, gdy pełne, jasne słońce wpadło przez zielone mustikiery do pokoju, Helena z ciężkością otwarła powieki.

Leżała nieruchoma, myśląc o tem, co ją wczoraj spotkało.

Najdokładniej przypomniała sobie całą scenę na wybrzeżu, ujawienie się w krytycznej chwili nieznajomego, jego ruchy, słowa, dźwięk jego głosu.

— Kto to być może?... — myślała bezustannie — kto on? Skąd? Czy z Galicji, czy z Królestwa? Mowa jego jest dziwna, czysta, jasna. Głos przenika do głębi... Dziwny jakiś człowiek!

To jedno wiedziała, iż nieznajomy powrócił jej spokój.

Obecnie nie lękała się tych strasznych chwil, bo w słowach nieznajomego odnajdywała rozwiązanie ich zagadki.

Tak się umiera... — pomyślała — śmierć to takie oderwanie się części naszej istoty od nas samych...

Poczuła wielką, bezbrzeżną dumę.

— Ja wiem co jest śmierć! Ja wiem, jak się umiera!...

Usiadła na łóżku, bardzo piękna w kaskadzie swych rozpuszczonych włosów.

Nagle ręce zaplotła dokoła szyi.

— Wiem! wiem! — szeptała z triumfem.

Do gwiazd biegła wczoraj jej dusza! Do gwiazd, w przestwór, w nieskończoność. Wróciła do niej, lecz ta chwila się powtórzy.

Wtedy ona przeszkadzać nie będzie. Niech się stanie dalej.

Niech dusza jej odkryje przed nią prawdę...

Gdyby On był przy niej w tej chwili!

Na lica jej wystąpił silny rumieniec.

On? Kto on?... Może to była tylko wizya? Może to był sen?... Do tej chwili czuje na ręku zimno jego pierścionka, lecz czy to nie było złudzeniem?

Kto wie!

— Wyjdę do Stabilimento, może go spotkam. W takim razie mieć będę pewność, że nie podległam halucynacji.

Lecz nie spotkała go ani na werandzie, ani w salonie, w którym na głębokich sofach drzemali goście kąpielowi.

Kilkakrotnie przeszła aleję, prowadząca do przeciwnego brzegu. Wielu mężczyzn przechodziło koło niej. Ale żaden z nich nawet nie był podobnym do tej wyniosłej postaci, jaką miała tak dobrze w pamięci wyrytą.

— Nie! nie!... To nie on! — myślała.

Wieczorem nie poszła na brzeg morza.

Ogarnęła ją jakaś trwoga.

Jeżeli to była wizja, nie chcę, aby się powtórzyła, myślała. Gdyby to był turysta lub gość kąpielowy, spotkałabym go w ciągu dnia. Lido jest małe jak kurnik. Wszyscy kręcą się ciągle jak w zaczarowanem kole. Jego nigdzie nie widziałam. Kto wie, może to była halucynacja.

Gdy się ściemniło, usiadła w ogrodzie przed wilą, oddzielona tylko kratą od ulicy.

Tłumy snuły się przez aleję, ze śmiechem i piosenką.

Zdaleka dwóch mandolinistów grało na mandolinach a trzeci, jakiś śpiewak uliczny o gardłowym lecz bardzo pięknym barytonie, śpiewał włoskie piosenki.

Melodyjne, trochę banalne barkarolle leciały w przestwór miłośnie i pełne temperamentu. Liście drzew drżały rozkosznie. Była to niedziela. Dużo Wenecjanek i Wenecjan snuło się po Lido. Jakieś miłosne tchnienie przebiegało wyspę, oblaną blaskiem elektryczności.

— Wenecja!... — pomyślała Helena, przymykając oczy — Wenecja!...

Kwiaty wydawały wieczorem całe smugi upajającej woni.

Opodal od przekupnia owoców płynął zapach rozkrajanych melonów i brzoskwiń. Cała atmosfera była przesycona tym zapachem. Helena za każdem odetchnięciem nabierała w swe płuca tego ciężkiego, dusznego prawie powietrza.

Siedziała tak z przymkniętemi oczami, przeżywając ponownie wczorajsze wrażenie. Wnikała coraz głębiej w słowa nieznajomego. Odkrywała w nich całe horyzonty.

Zaczynała rozumieć coraz więcej, że w chwilach dziwnej swej niemocy i trwogi, które brała za rozdrażnienie nerwów, dział się z nią fakt niezwykły, coś cudownego, jakiś przedmiot życia, które ją później oczekiwało. Lecz tu zatrzymywała się jej myśl i jej pojęcie.

Dalej już iść nie mogła, nie umiała. W chwilach tych nadzwyczajnych zanadto koncentrowała swe siły fizyczne i duchowe, aby powrócić „do przytomności", aby módz

zanalizować odniesione wrażenia. Dziś, gdy pragnęła je ponowić, nie przychodziły więcej. Dziś, zupełnie solidnie od rana stąpała po ziemi i żyła zwykłem ludzkiem istnieniem. Mimowoli assocjacją wrażeń myśl jej z najwyższem natężeniem zaczęła wywoływać w pamięci obraz nieznajomego.

— Kto — wie — myślała — jeżeli on rozumiał tak dobrze, co się ze mną działo, może potrafiłby mnie wprowadzić znów w ten sam stan cudownego zrozumienia tajemnicy śmierci.

I z całej duszy, egzaltując się coraz więcej, Helena zapragnęła ujrzeć znów nieznajomego.

— Jeżeli to była wizja, niech go choć powtórną wizją zobaczę — myślała z wielką siłą i chęcią — jeżeli to była mara, niechże choć raz jeszcze ta mara ukaże się duszy mojej.

Otworzyła oczy i patrzyła z pod rzęs na snujące się poza kratą tłumy.

— Jaka przepaść pomiędzy mną a niemi... przesuwało się jej przez senną, leniwą myśl.

. . . . . .

Nazajutrz błąkała się znów dzień cały.

Znaleźć owego nieznajomego, zobaczyć go, zamienić z nim słów parę zaczęło być jej duchową potrzebą. Uczuła nagle, że to jej dusza została opanowana przez tego człowieka, który ją zrozumiał.

Lecz gdzie on znikł wśród ciemni i szmeru fal?

Rzucił jej słowa napozór jasne, lecz jeszcze więcej wywołujące niepokoju w jej umyśle. Bo jeśli to był krok jeden ku śmierci, jeżeli ona teraz wiedziała więcej niż inni, to za słabą się czuła, aby ogrom takiej świadomości unieść w sobie mogła.

I miała teraz wielki żal do tego nieznajomego człowieka.

Wszakże czuć musiał, jaki świat niepokoju budzi w niej tem pozornem uspokojeniem. Wyjaśnił przyczynę trwogi, która nią miotała, a wyjaśniając, wtrącił ją w jeszcze większy chaos. Do tej chwili sądziła się chorobliwie usposobioną. Teraz czuła, że jest wybraną, wywyższoną nad tłum, a ta wysokość, na której stanęła, sprawiała w niej zamęt nieokreślony. Mimowoli oglądała się za ręką, która ją na ten piedestał dźwignęła. Z nim razem uczułaby się pewną i z całą siłą pragnęłaby spojrzeć „Prawdzie“ w oczy. Lecz bez niego czuła, że zginie prędzej, niż kiedykolwiek.

Wczoraj pragnęła ponowienia się owego dziwnego stanu, dziś lękała się go więcej, niż przedtem.

— Sama nie zdołam przenieść tej chwili — myślała — za silną, za wielką, za groźną Prawdę mam przed sobą. Czemże jestem? Przeciętną, słabą, głupią kobietą. A to, co

mam zrozumieć i odczuć, jest potęgą nad potęgi i trupem powala najsilniejszych. Sądziłam, że zdołam nieprzeszkadzać mej duszy odbiedz odemnie i z oddalenia dać mi znać o sobie. Dziś, widzę, że bronić się będę i rozpaczliwie powstrzymać ją zechcę. I kto zwycięży? Kto okaże się silniejszym? Och! czuję, że ja ulegnę.

Gorączka ją ogarnęła. Oczy jej płonęły, usta miała spieczone, pragnienie ją męczyło.

Wśród plam słonecznych, przedzierających się przez gałęzie drzew alei, chodziła Helena tam i napowrót, zapominając nawet o roztwarciu parasolki.

Co chwila z cieniu wpadała w jaskrawość słoneczną, ale nie zwracała na to uwagi Z początku rozglądała się dokoła, szukając jeszcze nieznajomego.

Powoli jednak zaprzestała tego bezowocnego poszukiwania.

Ściemniało się raptownie.

Plamy słoneczne znikały z białego piasku, od strony kąpielowych kabin powracały świeżo wykąpane Włoszki z torebkami w rękach i spieszyły w stronę przystani, aby wrócić do Wenecji.

Te kobiety są szczęśliwe — myślała z zazdrością, spokojne, wesołe, uśmiechnięte w swych letnich, jasnych sukniach i słomianych kapeluszach. Gdybym zatrzymała którą z nich i odpowiedziała jej, co się ze mną dzieje, wyśmiałyby mnie i odesłały do lekarza, lub do kościoła. A jednak ileż dałabym, ażeby nie być w tej chwili samą!

Przez umysł jej przesunął się Lwów, ulica Zygmuntowska, jej salon — zielone, angielskie fotele. Weryho na tle irysów, ich pocałunek we framudze okna...

— Może wrócił?

— Non posso... odparło coś w niej z jękiem uwięzionego i skrępowanego ptaka.

Coś zaszemrało pod jej stopami.

Przerażona cofnęła się.

Bezwiednie zaszła znów nad brzeg morza i miała tuż pod nogami cicho falującą toń.

Przeszedł ją dreszcz trwogi.

W oddali, na horyzoncie, konały rubinowe strzały, miłośnie leżące na powierzchni morza.

Cisza była i pustka straszna, ciepła, a mimo to mrozem krew ścinająca.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Rwać się w niej coś zaczęło w ten bezmiar, w tę miękką przepaść o szarym, jednostajnym połysku.

Wszystka trwoga, którą przeżyła dzień cały, znikła. Zapragnęła rozpaczliwie powtórzenia się cudu. Przygotowała się w jednej chwili do zrozumienia.

— Odejdź!... Odejdź!... szeptały jej usta do jej ducha! „idź:... odkryj mi prawdę"!...

Lecz istota jej pozostała zimną i nierozłączoną. Dusza jej zdawała się być przykutą do ciała. Nie chciała odejść mimo pragnień Heleny. Co więcej, czuła jakąś surowość, jakiś gniew, który otoczył ją dokoła. Ta surowość, ten gniew nie był w niej, ale był z zewnątrz niej i działał na nią przygniatająco.

Zdawało się jej, że dusza jej ujęła ją w silne kleszcze i gnie ją ku ziemi. Ona sądziła się silniejszą, pragnęła ją ujarzmić i zmusić dziś do posłuszeństwa. Lecz oto jest bezsilna i musi ustąpić — musi pozostać sobą z żelaznym ciężarem nagle zbudzonej przewagi.

— Gdyby on był przy mnie... o ileż byłabym silniejszą! — myśli Helena i z całem natężeniem wsłuchuje się, czy poza nią nie odezwą się lekkie stąpania po piasku, czy nie stanie przed nią wysoka postać mężczyzny w długi płaszcz spowita.

Lecz — pustka jest dokoła.

Cisza i ciemność.

Nawet gwiazdy nie drżą na ciemnem sklepieniu.

Helena zaczęła coraz więcej nabierać wiary, iż ów nieznajomy był tylko wizją.

— Nie istniał — szepcze sama do siebie — to ja go wyśniłam.

XVI.

Często teraz Helena myślą zwracała się ku zmarłemu mężowi.

Nigdy nie zastanawiała się nad tem, jak on umierał.

Konał długo i ona wiedziała, kiedy agonia się rozpoczęła.

Lekarze powiedzieli jej „niema nadziei“ — „kwestja godzin“ — i odeszli, pozostawiając jednego ze swoich dla przyzwoitości.

Zastosowano sztuczne oddechanie, wlewano po kropelce szampan z lodem, zastrzykiwano eter, słowem uczyniono wszystko, do czego człowiek zamożny a umierający ma prawo.

Helena stała u nóg łóżka, wpatrzona w tę dziwną twarz, która z czerwonej, jaką zwykle była, zrobiła się nagle kredowo białą.

Mówiła wtedy do siebie — ten człowiek umiera, mój mąż umiera — i mimo żalu, jaki budził w niej ten dobry znajomy, który konał, nie interesowała się duchową stroną jego śmierci.

Wreszcie znużona usiadła i oparła głowę o wysoką poręcz łóżka. Mimowoli zamknęła oczy. Słyszała ciche westchnienie — jedno, drugie. Gdy spojrzała, mąż jej nie żył.

Dziś przypomina sobie tę chwilę z całą dokładnością.

Przypomina sobie, iż na czole konającego widziała krople potu takie same, jakie występują na jej czole w czasie jej groźnej a cudownej chwili.

Przypomniała sobie, iż oczy jego zaciągnęła szklista powłoka, a ona sama w chwili, gdy dusza od niej odbiega, widzi otaczające ją przedmioty, jak przez taflę szklaną.

Ostatnie słowa konającego były: zimno mi! Ona czuje także lodowaty chłód, przebiegający jej członki.

Lecz potem, potem, wtedy, gdy on czuł, że odbiega od niego ten drugi on, czy czynił on jakie usiłowania, by się złączyć ze sobą napowrót, czy rezygnacją lub wycieńczeniem

zdjęty, poddał się bez walki i jak długo zachował on samowiedzę tego, co się z nim działo?

Czy nie czuł on tego samego bólu, jaki ona odczuła, gdy zbliżał się do niej ów nieznajomy i deptał po niej brutalnie, nie dotykając jej?

Pamięta, że pierwszym jej ruchem mimowolnym i pobożnym było zasunięcie powiek na źrenice zmarłego.

Czy jednak nie wcisnęła się gwałtem w jego drugą istotę, nie zmiażdżyła swoim ciężarem subtelnej i lotnej połowy, tej która przeżywa, która skłębiona, niewidzialnie dla tępego, ludzkiego wzroku, czuwa jak archanioł u zwłok nieruchomych i kostniejących?

Jakże on cierpieć musiał, jeżeli pomiędzy niego a tę resztkę, a właściwą tę esencję jego istoty wdzierały się szpony karawaniarzy, ludzi krążących dokoła pogrzebowych usług, jak wampiry dla zyskania grosza?

A wstawiona trumna do kamiennego grobowca kogo zabrała w sobie? Czy ich obu, czy tylko samo ciało.

W takim razie ten drugi, gdzie on?...

XVII.

Helena przestała wychodzić ze swego pokoju.

Cale dnie leży na wpół odziana na otomanie i poddaje swój umysł najbardziej dręczącym myślom.

Ciągle przypomina sobie, to jest stara się przypomnieć uczucia, jakich doznawała w chwilach owej trwogi. Było ze mną to lub tamto... zdawało mi się to lub to.

Lecz dokładnie przypomnieć sobie nic nie jest w stanie. Przeciwnie, powoli te wrażenia zacierają się nawet w jej umyśle.

Wychudła i pobladła bardzo. Upał szalony, jaki panuje, nie wprowadza żaru do jej ciała. Ciągle jest zziębniętą i drżącą. Cierpi moralnie i fizycznie. Służba zakładowa niepokoi się tą milczącą, bladą cudzoziemką, która jest widocznie szarpana jakimś wewnętrznym niepokojem.

Pokojówka proponuje sprowadzić lekarza.

Helena odmawia.

Nikt nie zdoła jej odczuć i zrozumieć.

Ten, który ją odczuł i zrozumiał, nie istniał, był wizją, był tchnieniem, był snem.

Kto wie? Może to właśnie był taki duch czyjś, który odbiegł i błąkał się po świecie.

Oczyma cudownej chwili dojrzała go Helena, jego wizję wtedy, gdy była sama wizją!

Tak, tak, nic innego.

Cicho, lekko, jak dwa pielgrzymujące duchy, zeszli się na tem ciemnem wybrzeżu pod baldachimem gwiazd.

Gorąco, moc, siła, jaka z niego w nią płynęła, była mistyczną siłą, mocą, żarem.

Rąk jego Helena nie czuła nie swem ciele.

Ręce jego dotykały wizji jej rąk i głos ten harmonijny, drżący, to był szum fal, kształtujący się w słowa i w myśli.

Helena, doszedłszy do tej konkluzji, iż nieznajomy był wizją i to wizją czyjegoś zabłąkanego ducha, uczuła pewną ulgę.

Dlaczego mam szukać go między żyjącymi? — myślała — powinnam czekać znów tej cudownej chwili. Wtedy on znów stanie przy mnie i ujrzę go tak, jak go widziałam wtedy. A może stanie się to w dzień jasny, w dzień słoneczny. Objawi mi się żywiej, wyraźniej..

Powstała ze sofy i zbliżyła się ku oknu.

Wieczór był i cały park tonął w blaskach elektrycznych.

Zdaleka błyszczały srebrem okna oranżerji. Z klombów, w zbyt jaskrawie błyszczącem świetle występowały bukiety róż, które zaraz poza sobą rzucały czarne, ostre cienie.

Piasek alei zdawał się być śnieżno białym, obramowany wałem czarno przystrzyżonych cierni.

Tu i ówdzie snuli się przechodnie, głosy ich dolatywały do ucha Heleny.

— Żywi! — pomyślała z pewną goryczą — żywi!...

Zdjęła z okna mustikierę i oparła się o ramę.

Stała tak nieruchoma, zapatrzona w ogród.

— Żywi... — pomyślała — to nie mój świat, ja do nich należę tylko chwilowo. Ja żyję tamtem życiem, tamtą chwilą... jak on, jak on!

I nagle, tuż pod swojem oknem, usłyszała głos męski, który mówił po polsku:

— Dobrze, jeśli pan chcesz, pojedziemy jutro do Santa Maria dei Frari, przekonasz się pan, że ja mam rację!...

Helena uczuła, że cała krew jej zbiegła do serca, a potem uderzyła do głowy.

Ten głos!

To był on! Jej wizja, jej nieznajomy. Poznała go odrazu — przeczuła go.

Starała się zebrać zmysły, ale drżała cała. Pomieszanie jej było zbyt wielkie. Porwała się ręką za skronie.

Żył! żył! — był od niej o parę kroków! Co mówił nie wiedziała, nie rozumiała słów. Słyszała tylko jego głos niski o harmonijnym brzmieniu. Wreszcie zdołała się opanować. Wychyliła się poza okno.

Dojrzała już tylko dwie czarne sylwetki mężczyzn, idących w głąb parku. Jeden z nich był nizki i otyły, drugi znacznie wyższy. Miał na sobie narzucony ten sam płaszcz i Helena odrazu poznała sylwetkę tego, za którym tak niewolniczo szła po wybrzeżu wśród szumu fal.

Cofnęła się w głąb pokoju.

Pierwszą jej myślą było biedz do parku.

Lecz natychmiast z chwilą, gdy przyszła do poznania, że ów nieznajomy nie jest wizją, lecz człowiekiem z krwi i kości — obudził się w niej wstyd i poczucie konwenansów.

Nie zrobię tego — pomyślała — on widocznie nie pragnie mnie poznać, skoro nie starał się nawet dowiedzieć, kim jestem. Narzucać mu się nie będę!

Łamało się w niej jednak coś i wołało — precz konwensanse — czy nie czujesz, że ten człowiek pochwycił twą duszę za skrzydła i wleczesz się za nim teraz bez siły swej i woli.

Szaleństwo!

Ten fakt realnego istnienia swej wizji zaczął budzić w niej chęć postawienia i siebie na realnym gruncie.

Założyłą mustikierę — i zapaliła elektryczność.

Zarzuciła na ramiona batystową matinkę oszytą puchem koronek.

Obejrzała się po pokoju.

Uderzył ją niemile nieład, który panował dokoła. Biel jej sukien i bielizny, koronki i falbany, spódnice rozrzucone, kłębiły się po dywanie i meblach. Na srebrnem lustrze była duża warstwa kurzu.

— Sensu niema — pomyślała — ten człowiek je, śpi, mówi, żyje — podczas gdy ja jestem bliska pomieszania zmysłów.

Niecierpliwie zaczęła wszystko sprzątać i układać w kufrach i szafie.

Wreszcie stanęła przed lustrem.

Jak ja wyglądam! pomyślała, przerażona swą bladością i dziwnym wyrazem ócz, który bardzo zmieniał rodzaj jej urody.

Zaczęła czesać włosy i wciąż wpatrywała się w lustro.

Śmierć! No więc cóż? Wszakże o śmierci dawno wiedziała. Po co wmawiać w siebie, że to dopiero on odkrył przed nią, że śmierć się zarysowuje. I tem miałby już uwięzić jej duszę.?

Szaleństwo!

Uczesawszy nadzwyczaj starannie włosy — ułożyła się do snu.

Zagasiła elektryczność i leżała tak okryta cienkiem prześcieradłem, pod którem znaczyło się jej śliczne, trochę wątłe, ale nadzwyczaj kształtne ciało.

— Chciałabym wiedzieć, kto on — myślała delikatnie, jakby dzierżgała koronkę — skąd — czy ze Lwowa, czy z Królestwa, czy z Poznania. Mówi jasno, otwarcie, bez żadnego akcentu... tylko ma głos, głos... och! jaki głos...

Przedstawiać go sobie chciała realnie, jak najrealniej, jak najwięcej po ludzku. Mimo jednak tych usiłowań przychodziło jej to z trudnością wielką.

Ciągle szybowała wyobraźnią na ciemny brzeg morza, pod sklepienie gwiazd — i widziała siebie bladą i nieruchomą w rękach nieznanego człowieka, którego twarz i postać ginęła w cieniu, a słowa otwierały przed nią nagle horyzonty nadzwyczajnych i szerokich jak tarcza słoneczna myśli.

I ta chęć sprowadzenia, ściągnięcia go na grunt realny, ziemski — z obłoków zjawiskowych — zaczęła dręczyć ją niewypowiedzianie.

Czuła, że zadaje gwałt samej sobie, że z wyżyn ściąga się przemocą na niziny brutalne i przykre.

Zdenerwowana usiadła na łóżku i zaczęła się wpatrywać w okna.

Elektryczność zagasła, a tylko ciemne konary drzew rysowały się wyraźnie za siatką mustikiery. Noc była przejrzysta i jasna. Zielona siatka barwiła wszystko w pokoju szmaragdową, dziwną barwą.

Helena zesunęła się z łóżka — owijając się prześcieradłem jak draperją. Powoli podsunęła się ku oknu i oparła się o stojący przy niem wysoki, angielski, z białego drzewa fotel.

Spojrzała na swe ręce, spojrzała na całą siebie, na draperję miękiego batystu, który dokładnie przylegał do jej bioder i nóg i kryjąc bose stopy, stał się śnieżnem kołem na jasnej posadzce.

Wszystko miało barwę szmaragdu, tę samą barwę, w jakiej kąpały się reichenhallskie noce. Z oddali — zamiast jodlerujących głosów tyrolskich dziewcząt, dochodziła kołysanka morza, jękliwa i monotonna, pełna rzewnego wdzięku. I znów była dokoła niej cisza, była piękna, była czarowna barwa zieleni, przechodzącej w srebro na załamach ciała lub fałdach batystu.

Poruszyła lekko palcami, jakby próbując, czy ta szmaragdowa toń, która ją owionęła, nie zniknie w tym ruchu. Na załamach palców, w paznogciach dostrzegła migocące srebro. Była cała jak inkrustowana srebrem, szmaragdowa statua. Czar owładnął nią całą. Doznała znów dawno nieodczuwanej estetycznej rozkoszy.

Czuła się piękną w barwie i kształcie.

Czuła się wizją lotną i nie cielesną.

Widziała się nie jak w grozie śmierci, ale przez pryzmat pojęcia o pięknie barw i linji.

I myśląc o tym, który przed chwiłą znikł w oddali pod cieniem drzew — i jego przystroiła w piękno barw i linij.

— Niech on dla mnie dziś jeszcze pozostanie wizją i duchem — myślała.

XVIII.

Cały dzień następny utrzymała się w tym tonie abstrakcyjnym, w nastroju duchowym.

Nie chciała wychodzić ze swego pokoju, aby nie spotkać nieznajomego. Bała się ujrzeć go kupującego brzoskwinie, wchodzącego z zawiniątkiem do Stabilimento — bała się ujrzeć go jadącego na rowerze lub, co najgorsze, pluszczącego się w morzu w czarnych trykotach z pęcherzami pod pachą.

— To byłoby okropne — myślała ze zgrozą — co za zakończenie straszne i fatalne tak pięknie rozpoczętej historji. Z wizji duchowej być zmuszoną rezygnować — to już koniecznie — ale spadać na same dno prozy — byłoby zbyt straszne.

Bo mimo wszystko widziała, iż będzie zmuszona rezygnować ze zbyt wysokiego tonu, w jaki uderzyć chciała. Z dziennem światłem, z ruchem służby na korytarzu, z kawą przyniesioną na tacy — wpadła mimowoli w życie rzeczywiste i pełne drobiazgowości codziennej. Wczorajsze rozpłynięcie się w szmaragdzie i srebrze i wciągnięcie niejako przez nią istoty nieznajomego w tę atmosferę pełną czaru — już znikło. Było jej jednak tak jakoś dobrze w wczorajszym nastroju, iż przedłużała go, o ile mogła, dzień cały.

Świadomość, a raczej pewność, że on istnieje, uspakajała ją a zarazem dopomagała jej do rozsnucia nad sobą i nad nim pewnego sztucznego oświetlenia. Mimowoli przypominała sobie papieskiego sekretarza, Lipszyca, kupca z Tryestu, i ich brutalne zachowanie się. Nie czyniła porównań, a jednak ta myśl, że oni, ci dwaj aroganccy brutale i on, zjawiający się pod sklepieniem gwiazd, byli mężczyznami, z krwi i kości tak samo złożonymi, przepełniała ją wstrętem.

Przypadek jednak pokrzyżował jej plany.

Nad wieczorem powstał silny wicher, rzecz bardzo rzadka na Lido.

W willi zaczęto zamykać okna, gdyż wicher groził wytłuczeniem szyb.

Do pokoju Heleny weszła pokojowa, wysoka brunetka, Włoszka, o silnie zamarkowanych rysach i ogromnych przepaścistych oczach.

Pokojowa mówiła po francusku i była dość gadatliwa.

Zamykając okna, spoglądała na Helenę, która, milcząc, siedziała na swej kanapce z książką w ręku.

— Pani się nudzi? — wyrzekła wreszcie pokojowa — pani powinna się rozerwać. Tu jest dosyć pani rodaków. Dlaczego pani z nimi bliżej nie żyje?

Helena początkowo nie chciała nic odpowiedzieć, ale żyła tak odosobniona, że zapominała po prostu dźwięku własnego głosu. Przytem pokojowa zdawała się nie złą i uczciwą kobietą. Helena miała łagodną naturę i nie chciała drugim sprawiać przykrości. Odpowiedziała więc mechanicznie:

— Lubię być sama.

— Ale to smutno... a jeżeli madame jest tu dla kuracji, to taka samotność zdrowia nie przyniesie. Tu w wili mieszkają nawet dwie hrabiny Polki, w drugiej willi, w głębi ogrodu, także jeden hrabia i jedna hrabina.

Zatrzymała się na chwilę, poczem dodała w formie filozoficznej uwagi:

— W Polsce sa sami hrabiowie i hrabiny. Innych tu w Stabilimento niema.

Helenę zabawiły te słowa.

— A ja? — spytała z uśmiechem — wszak ja nie jestem hrabiną.

— Tak! — odparła pokojówka — madame jedna i jeszcze jeden pan z willi koło oranżerji nie każą się tytułować hrabiami!

— Kto jest ten pan? — zapytała Helena.

Uczyniła to pytanie bezwiednie — dla podtrzymania rozmowy. Zaczynało jej być przyjemnie zamienić słów parę choć z tą dziewczyną.

Pokojowa widocznie rada była, iż może się rozgadać.

— Ach to musi być ktoś naprawdę z wysokiej szlachty (de la haute noblesse). Ma prześliczny nesesser podróżny. Srebro — kość słoniowa. Przytem niezmiernie staranny w ubiorze Pani go nieraz musiała dostrzedz. Rano nosi całe białe flanelowe kostjumy, wieczorem ma najczęściej długi, gumowy płaszcz...

Helena podniosła głowę i wpatrzyła się w twarz mówiącej.

— Tak... piękny i hojny pan. Ma doskonałe perfumy i dużo ze sobą książek. Nie wiem tylko, kiedy je czyta, bo najczęściej po południu jedzie do Wenecji!...

Zaczęła się nagle śmiać i przymrużyła oczy.

— Wraca często gondolą — nad ranem.

Ustawiła na stoliczku przy łóżku karafkę z wodą, szklankę i dodała jakby do siebie:

— Cóż?... bawi się — ot — mężczyzna!

Było w tem dużo pogardy i dużo pobłażliwości.

Helena milczała.

Pokojówka postała chwilę, czekając na dalszy ciąg rozmowy, — widząc jednak, że nic już nie uzyska, odeszła, życząc dobrej nocy.

Helena siedziała ciągle pod wrażeniem tylko co usłyszanych słów.

— Jeździ do Wenecji... wraca nad ranem, bawi się...

W jednej chwili, jak kłęb duszący żarem, napadło na nią wspomnienie rozszeptanej Wenecji — wspomnienie par miłosnych, splecionych w uścisku, gondol, w których czarnem wnętrzu majaczyły wpół senne, pijane ekstazą postacie, za któremi w srebrnej strudze płynęły więdnące wiązanki róż.

Mandoliny grały, gondolierze nucili, plusk cichy wioseł o fale szemrał i przecinał powietrze.

A tam daleko, pod srebrną kolumną świateł, ona, Wenecja, wyrzucała mgławą kotarę na tę wielką alkowę, rozświetloną zaledwie purpurą lampionów, zdobiących gondole, lub żółtawym blaskiem latarń, wiszących pod arkadami Libreri lub świec, płonących na stolikach kawiarni Quadri.

Tam, w tej alkowie, w tej orgji świateł i pocałunków, w tych różach więdnących i na czarnem posłaniu gondol — on — on zajmował także miejsce.

On tam był — ten duch, ten, który wstrząsał nią całą, wydobywając z głębin śmiertelnych tajemnicę najwyższą i stawiając ją wobec pełnej grozy tragicznej zagadki. Ten, który zjawił się nagle obok niej w chwili rozpaczliwej i mistycznej. Ten, w którego rękach z konającej i śmiertelnym potem oblanej stawała się dość silną, aby spojrzeć bez trwogi w oczy Sfinksa o przerażających najnieustraszeńszych źrenicach.

On tam był — na łonie zdetronizowanej czarodziejki Veronesowskiej — owinięty w jej złote szaty i okryty gronostajami, które spadły z jej ramion.

On tam był — w orszaku kobiet Bonifazzia, upajając się dziką wonią soboli, rozgrzanych atłasem ramion i wpatrzony w półmroczne a pełne oczekiwania oczy Wenery Contarini'ego, która zdawała się tę miłosną tęsknotę przelewać w oczy spotkanych przez Helenę na placu Marka lub pod domami Mercerji Wenecjanek.

Wizja jej — o świcie wracała gondolą na Lido blada i senna.

Wizja jej — bawiła się... bawiła, jak pierwszy lepszy mężczyzna, który umie użyć życia, który spędza hulaszcze noce.

Ha! ha!... jakież rozwianie złudzeń!

I ona chodziła na brzeg wywoływać jegó postać znów pod sklepieniem gwiazd.

Prosty wypadek sprowadził go nad brzeg morza wówczas o wieczornej porze.

Szedł przed hulanką zaczerpnąć świeżego powietrza i spotkał ją...

Może jeszcze nie dobrze wytrzeźwiał po nocnem upojeniu i to, co mówił — mówił bez wiedzy i woli.

Kto wie! Kto wie!...

A ona stroiła go w szmaragdowe szaty wizji i składała w jego ręce swą duszę i jej śmiertelne trwogi.

Szaleństwo!...

Należy się otrzeźwić i wrócić do życia. Skoro się ma ciało i kości, trzeba chodzić po ziemi i nie unosić się w przestworzach. Dziś, jutro Helena wyjedzie z Wenecji i podąży w stronę Lwowa. Teraz jest przekonaną, że gdy się znajdzie na placu Marjackim, przejdzie wzdłuż Karola Ludwika, przez Akademicką dostanie się do parku, oprzytomni się i wszystko to okropne i smutne wyda jej się po prostu śmieszne.

Całe owe spotkanie nadrzeżne i postać owego nieznajomego w gumowym płaszczu należy traktować humorystycznie...

Tak, tak, tylko humorystycznie.

Policzki Heleny pokryły rumieńce, usta były aż krwawo kolorowe. Ładność jej, jak u kobiet nerwowych, przechodziła pod wpływem przeciwności w piękność i potęgowała urodę.

W brutalnem świetle elektrycznem rysowała się jako uosobienie powściąganego z siłą gniewu i żywiącej się skrwawioną raną duchową ironji.

Wizja w gumowym płaszczu — myślała, wyszukując teraz z okrucieństwem wszystko, co mogło ściągnąć z piedestału to, do czego płonęła kadzielnica jej ducha — wizja, która powraca nad ranem i niewyspanemi, zapuchniętemi oczami wita wschód słońca. Wizja, która żyje tylko dla ciała a w chwili podniecenia niewyszumionem Asti prawi o objawieniach i Wielkiej Zagadce Śmierci...

Świętokradztwo!...

Z uczuciem najwyższej odrazy myślała już teraz o nieznajomym. Nie pojmując rodzaju tego rozdrażnienia, stawiała go na równi z sekretarzem papieskim i kupcem z Tryestu.

Ci dwaj, myślała, otwarcie przynajmiej przyznali się, do czego dążyli. Ciągnęło ich moje ciało, brutalnie, po zwie-

rzęcemu. Ten zaś zapragnął mi skraść duchową część mej istoty, zatroszczył się o to, co się dzieje z mą duszą, swemi słowy, rzuconemi z perfidją w ciemności, uwięzić chciał tę lepszą mnie, tę więcej wartą, to coś pięknego i wartego zachodu, chciał skraść mą duszę!

Jak echo nagle w oddali razem z szumem morza, z lekkim szelestem drzew bijących, delikatnie liśćmi o gazę mustikiery, błyszczało w jej umyśle:

— I skradł!...

Helena porwała się z miejsca.

Odrzuciła włosy, które jej spadły na twarz, ręce wyciągnęła przed siebie, jakby protestując wobec całego świata, jakby przysięgając uroczyście wobec oskarżenia, które ją znieważało i obrzucało błotem całej rozpusty zebranej z kątów weneckich uliczek.

— Nieprawda!... — wyrzekła prawie głośno — on mnie nic nie obchodzi, niczem jest dla mnie, przysięgam! Niczem!

Ten sam błysk przez umysł, ten sam szum drzew, jęk fal.

I znów...

— Przysięgasz fałszywie, on duszę twą skradł ...

XIX.

Zaczęła się w Helenie dziwna walka.

Chciała wydrzeć z pamięci nawet pamięć tych dni kilku, które przeżyła myślą z ową postacią nieznajomego. Wmawiała w siebie, że były to ohydne i wstrętne momenty, graniczące z szałem i stawiające ją w śmiesznej sytuacji. Gwałtem, jakby pastwiąc się nad sobą, zmusiła się do wzięcia udziału w czynnem życiu Lido.

Wydobyła z kufra suknie, zafryzowała włosy i gdy weszła popołudniu na platformę kasyna, ubrana w białą muślinową suknię, narzuconą instrukcjami z czarnych koronkowych kwiatów, w kapeluszu Lamballe, pokrytym deszczem przepysznych liliowych bzów, zwróciła wreszcie powszechną uwagę. Drzemiący na ławeczkach mężczyźni obudzili się i patrzyli zdumieni na tę prawdziwie wytworną kobietę, dzwoniącą masą breloków i szumiącą dyskretnie falbanami sukni. Ona szła dumna, z oczyma trochę przymrużonemi, stawiając swe nóżki obute biało, jak kotka świeżo wymyte łapki i gdy usiadła przed samą balustradą werandy, nie spojrzała nawet na nikogo z otaczających.

— Co oni mnie obchodzą — myślała — co mi z tych brutalnych, złych i nikczemnych istot? Nie istnieją dla mnie tak, jak ja dla nich...

Nie omieszkała jednak ułożyć pięknie fałdów swej sukni.

— Niech podziwiają! — dodała w myśli.

Nagle zbudziła się w niej ochota do kąpieli.

— Będę się jutro kąpać — pomyślała — ja będę trochę inaczej wyglądać, jak te wszystkie.

Była w tej chwili dumna, zła i nieprzystępna.

Pomiędzy sobą i ludźmi wznosiła wał nie do przebycia, a troszczyła się o to, co ci ludzie o niej myśleć będą.

Coś się podkradło delikatnie do jej mózgu:

— Spójrz dokoła, może „on“ gdzie siedzi na werandzie, może na ciebie patrzy...

Wzruszyła ramionami i otworzyła malowaną w bzy i lilie parasolkę.

On? Co za on? Czy sekretarz? Czy Lipszyc, czy ten tam w gumowym płaszczu?

Długo siedziała na werandzie, patrząc przed siebie i nie wiedząc nic.

Powoli to zadowolenie, jakie jej sprawiała piękna, misternie wykończona suknia, breloki, kapelusz Lamballe i jej własna uroda, gasło i wystudzało niejako jej duszę.

Złożyła parasolkę, obejrzała się dokoła.

Weranda już była prawie pusta.

Mrok zapadał, kelnerzy usuwali stoły, morze także opustoszało. Barki bezpieczeństwa kołysały się tylko nieznacznie w oddali. Po damskiej stronie kąpały się jeszcze jakieś dwie kobiety w żółtych, dużych kapeluszach.

Wreszcie i one wyszły i zniknęły w rusztowaniu kabin.

Dokoła robiło się coraz samotniej i ciszej.

W oddali rubinowe strzały kładły się na stalową, gładką powierzchnię morza.

I tak jak z szaloną szybkością zapadał mrok, tak samo zimna, dziwna melancholia zapadała nad Heleną.

Nigdy nie uczuła się tak samą, jak w tej chwili.

Jestem wolną, względnie bogatą, ładną, zdrową, słowem mam wszystko, co ludzie mieć pragną, a przecież ile we mnie goryczy, ile jakiegoś bólu, który mi nie pozwala używać życia tak, jak to ludzie przeciętni rozumieją. Błądzę wśród rozmaitych ścieżek, czegoś pragnę... to coś zbliża się, rani mnie, ucieka — lub ja uciekam...

Powoli powstała z miejsca i skierowała się ku wyjściu.

Gdzie pójdzie? Co robić będzie? — Czem zajmie swój umysł i ciało?

Zatrzymała się przed przekupniem, sprzedającym muszle i weneckie lampki. Kupiła jedną lampkę, podziwiając brzydotę i ohydne wykonanie. Kupiła ją jednak dlatego, aby módz zamienić z kimkolwiek choć parę słów.

To samo zrobiła, przechodząc koło przekupnia owoców.

Kupiła brzoskwinie, które wybierała długo i układała na liściach. Potem usiadła z tem wszystkiem na ławce, bawiła się lampką i jadła brzoskwinie.

Naprzeciw niej znajdował się budynek teatralny.

Z głębi tego budynku słychać było słabą muzykę skrzypcową, okna były niewyraźnie oświetlone.

W dniu tym nie było przedstawienia, które odbywały się trzy razy tygodniowo. Widocznie jednak odbywała się próba.

W oświetleniu lampy elektrycznej dostrzegła Helena grupy, złożone z kilku mężczyzn i kobiet stojące przed bocznem wejściem. Przeważały kobiety młode i smukłe. Widocznie były to baletniczki, przyjeżdżające na przedstawienia z Wenecji.

Nagle dostrzegła jakiegoś mężczyznę — jak wyszedłszy z ogrodów willi Stabilimento, przeszedł przez ulicę i skierował się ku teatrowi.

Z ręki Heleny wysunęła się lampka i zaczepiła się łańcuszkiem o inkrustację sukni.

Całą siłą wzroku wpiła się w tę ciemną postać, dążącą ku grupie baletniczek.

Zdawało się jej, że to był on – jej wizja, jej nieznajomy.

I odczuła tak dziwny ból fizyczny w sercu, że zdumiała się nad tem uczuciem.

Więc co? Więc co? Gdyby nawet i on...

Tymczasem — mężczyzna poszedł ku baletniczkom i zdjął kapelusz. Stanął w samej smudze elektrycznego światła i wtedy Helena z nadzwyczajnem uczuciem ulgi dostrzegła, iż jest to o wiele niższy, rudawy blondyn o szerokiej, rozłożystej brodzie.

Ból serca opuścił ją i odetchnęła.

Zarazem jednak ogarnął ją niepokój.

Dlaczego ją to tak obeszło? Stało się z nią coś tak strasznego, że określić tego nie mogła. Ta sama myśl, że on z pośród tych — żyjących, dostrzegalnych kobiet mógł sobie wybrać którą, przeszywała jej serce takim strasznym bólem!

Ogarnął ją wstyd przed samą sobą, wstydziła się jeszcze więcej radości, jaką odczuwała, widząc, że to nie on, że to jakiś inny mężczyzna.

Chciała jakoś przed sobą wytłumaczyć to uczucie i ubrać je pozorem wyższości.

— Nie to mnie zabolało — myślała, analizując swe wrażenie — iż on biegnie ku tym wesołym i roześmianym dziewczętom, lecz że on może do której tak samo, jak do mnie przemówić i do ducha jej się pokusić...

Lecz w tej chwili absurd jej rozumowania przedstawił się jej z całą szczerością.

— O Ducha?... jakiegoż ducha mieć mogą te proste, ordynaryjne dziewczęta, zajęte cały dzień żuciem owoców i wypluwaniem pestek.

Chciała jednak z uporem powrócić do swego założenia.

— I ja jem w tej chwili brzoskwinię..

Mimowolnym, automatycznym ruchem rzuciła za siebie całą pakę owoców i nieszczęsną lampkę.

Poczem oparła się o ławkę i pozostała tak posępna i nad wyraz tem, co przechodziła, zmęczona.

. . . . . .

Jakiś mały chłopczyna zbliżył się ku niej i podał jej na wachlarzu palmowym wiązankę białych róż.

— Una lira! — wyrzekł ładnym, cichym głosem.

Odziany był ciemno, twarzyczkę miał drobną, spaloną od słońca; ogromny, czarny kapelusz tworzył tło do tej twarzy.

Wyciągnął ręce wpół nagie z różami, z których ściekała woda.

— Una lira! — powtórzył, sądząc, że Helena go nie słyszy.

Ona wzięła kwiaty i z roskoszą patrzyła na jasność róż i na delikatną piękność dziecięcia.

Zjawił się przed nią, jak wielki motyl czarny i stał teraz bardzo piękny, ciągnąc ku sobie jej zwrok i duszę.

— Tyle mam w sobie od wczoraj rzeczy brzydkich — pomyślała — taka kałuża moralna roztoczyła się przedemną, że ta naiwna piękność, bijąca z ócz i rysów tego dziecka, daje mi wypoczynek i równoważy poniekąd szpetotę mych wrażeń.

Malec, otrzymawszy monetę — uciekł w podskokach. Helena śledziła jeszcze jego drobną postać wśród elektrycznej smugi światła.

Gdy znikł, ogarnął znów Helenę dziwny smutek. Zabrakło jej nagle sił do walki. Zaczęła nie bronić się natrętnym myślom i nie odpędzała od siebie myśli o nieznajomym.

— Gdzie on chodzi? Co robi w tej Wenecji? Jak czas przepędza — myślała — czy jest tam jakaś kobieta, która zajmuje stale jego myśli? Jeśli jest, jak wygląda? O czem on z nią mówi?...

Miała na tyle siły, że nie chciała dozwolić sobie myśleć, jakiemi pieszczotami ta kobieta go obsypuje i jakie to pieszczoty ona w zamian odbiera. Ciągle jeszcze ograniczała stosunek nieznajomego do innej kobiety, do wymiany zdań i myśli. Lecz w głębi duszy wrzał w niej cały świat innych podejrzeń.

Kto ona? Bo że musi być jakaś, o tem Helena nie wątpiła.

Kto? Czy to jakaś kobieta inteligentna i z wyższej sfery, czy też jedna z tych dziewcząt w czarnym szalu o pobladłej twarzy, które widywała oparte o kolumnadę na placu św. Marka?

W takim razie, jeśli to jest taka prosta, blada od namiętności dziewczyna, to rozmowa z nią, wymiana myśli, zdań, jest niemożliwą.

Więc co? Błoto? Błoto?...

Helena powstała z ławki i bezwiednie zaczęła iść w kierunku stacji, z której odpływały statki na Riva degli Schiavoni.

— Wolałabym już, ażeby to on szedł do teatru i rozmawiał z temi małemi tancerkami. Miałabym wtedy pewność, wiedziałabym która, poznałabym już dokładnie wartość tego człowieka — myślała, idąc — tak, łudzę się jeszcze, przy-

puszczam, że jeśli jeździ do Wenecji, to ciągnie go tam jakieś czyste, piękniejsze uczucie.

Uśmiechnęła się ironicznie.

Przypomniała sobie, jak dzicy ludzie na Taiti chronią przed nieprzyjacielem swoje drewniane bożki. Wynoszą je daleko w lasy, te bałwanki rzeźbione — chroniąc razem z niemi całe swoje lepsze ja, całą swoją część duchową, którą nawet ci nędzarze w szeregu istot cywilizowanych odczuwają.

— Ja także chronię mego drewnianego bożka, myślała, wynoszę go do lasu przypuszczeń i narzucam nań liście, mające na celu zasłonić go przed błotem, które niesie wicher z życiowego gościńca. Bożkiem był dla mnie przez te dni kilka, które nagle wypełniły mi jakby całe życie i rozszerzyły się na moje poprzednie istnienie. Najlepszym dowodem, jak w gruncie rzeczy pragnęłam, aby mi został w krainie abstrakcji, jest to, że nie starałam się dowiedzieć, kim jest i skąd się tu zjawił.

Pogrążona w myślach doszła do brzegu zalanego w tej chwili jasnem światłem, płynącem z nadbrzeżnych restauracyj. Wenecja po drugiej strony laguny aż drżała już od świateł, przystrojona w cały djadem brylantów i szmaragdów.

Od pontonu odbił właśnie mały statek, waporetti zwany, i z delikatnym szumem popłynął szybko ku Wenecji.

W głąb wyspy odjeżdżał tramwaj, okryty białym dachem i ciągniony przez białego konia. Jęczący mały dzwoneczek tramwajowy rozlegał się z dziwną czystością w powietrzu i cichł powoli w głębi ocienionej drzewami alei. Ciemna masa kościółka San Elisabet z grupą małych domków przysiadłych dokoła, dźwigała się pod niebem, na którem wspaniale, błękitno i trochę zbyt brutalnie zawisł księżyc, jakby oblany, wypełniony wewnątrz dziwną i fosforyzującą masą.

Helena podeszła do samego brzegu i usiadła na słupku, do którego przywiązywano na noc gondole.

Była dziwnie zgorączkowana i podniecona. Gorące tchnienie morza dotykało jej nagich ramion, które przeświecały przez wstawki koronkowe sukni. Przytuliła do ust spieczonych świeże kwiaty róż, które trzymała w ręku, lecz i te nie ochłodziły jej.

Jak zahipnotyzowana wpatrzyła się w Wenecję.

Więc tam! tam! Pod tą kolumnadą drżącą ze szmaragdów i srebra, w tej wielkiej alkowie, nad którą płonie fosforyczna kula księżyca, tam przy dźwięku mandoliny i szmeru wachlarzy — jest on, ten nieznajomy, który wkradł się w je duszę, przemówił do niej i potem odszedł, ukrywszy się w noc ciemną.

Miała więc przeczucie, nienawidząc Wenecji, miała przeczucie, uciekając z jej łona, okrytego zwodniczym blaskiem kryształów złoceń i świateł.

Czuła w niej rywalkę, czuła, że kiedyś staną oko w oko — ona, melancholijna słowianka, z tą oblubienicą płomienną Adrjatyku o rudych, gorących włosach. Ona — Helena, ze swej strony przedstawiała duch, chorą, smutną duszę, rwącą się w przestrzeń, wpatrzoną w zamglone światy. Dusza ta była tylko „ciekawa“ widocznie i to ciekawa na krótką chwilkę, bo on przeszedł koło niej z królewską obojętnością, rzuciwszy jej parę słów wyjaśnienia, tak, jakby obtarł miłosiernie zroszone śmiertelnym potem trwogi jej stygnące skronie.

A tam otchłanią wód oddzielona, śmiała się ta potężna i wielka Zdetronizowana, która ze śmiechem bachantki zstąpiła ze złoconego tronu i ułożyła się wdzięcznie na łożu róż i heliotropu. Zapomniała szybko o hołdach, jakie jej nieśli dumni dożowie Grimani, lub Mocenigo w swych złoconych, powłóczystych szatach, ale sto razy chętniej przyjmowała hołdy i dzięki rozkochanych par, którym cichy, a pełen czaru przytułek dawała.

I z taką Wielką Niezwyciężoną, mającą po swej stronie czar i rozkosz zmysłowych upojeń, stanęła do walki — biedna, dręczona trwogą i oślepiona przerażającą prawdą dusza Heleny.

Woń ducha pokrył gorący, upajający zapach rozkochanych, białych ramion.

Bezsłowną skargę duszy zagłuszył szept purpurowych ust poza wachlarzem ukrytych.

Helena opuściła w zniechęceniu najwyższem ręce i róże upadły na ziemię, u jej stóp białych i wąskich.

Wzrok jej popłynął przez lagunę i wpadł pomiędzy światła i barwy, grające w drżącej wodzie.

Z pokorą prawie pochyliła głowę.

— Byłaś mi bezlitosną — myślała — bezlitosną w twym triumfie i — wszak uciekłam przed tobą... znalazłaś mnie i tu — wyciągnęłaś twe przepotężne ramię i zabrałaś mi pod twój welon z mgły morskiej i srebra gwiazd utkany Tego, o którym śniła dusza moja!

. . . . . .

Gdzie jest teraz on?... Gdzie?

Pod kolumnadą świateł krąży po flizach placu Marka, nad którym we framugach i na kapitelach drzemią wpół senne pary gołębi.

Jak posągi z czarnego marmuru, o opalowych twarzach, w których wprawiono djamenty ócz, stoją Wenecjanki, spowite w swe szale. Korony czarnych włosów wieńczą im żałobną aureolą czoła.

Płynie od nich aż prąd żaru i pragnień. Stoją nieruchome prawie w półcieniu, wysuwając drobne stopy, na których drżą słabe punkciki światełek.

Do jednej z nich podchodzi on i z uśmiechem zaprasza ją do miłosnego tańca.

Dziewczyna, olśniona jego czarem i dźwiękiem jego głosu, podaje mu swą rękę.

Idą wzdłuż kolumnad, przysuwając się coraz bliżej do siebie, już rozkochani w jednej chwili, złączeni jednem pragnieniem, oboje piękni, oboje płonący.

Wzdłuż kolumnad idą ku lagunom, od których płyną dźwięki mandolin i na których kołyszą się czarne, tajemnicze alkowy gondol.

Za chwilę płyną pomiędzy czarodziejskiem obramowaniem marmurowych pałaców Giustimanich, Foscarich, Vendraminich. Gondola cicho, bez plusku, bez szmeru wymija inne gondole.

O jak słodko i cicho dokoła!

Na kolanach dziewczyny leży cały pęk róż, ona jedną ręką utonęła w jego dłoniach, drugą rękę opuściła w wodę i pod jej palcami wykwita na powierzchni wód długa, srebrna linia.

To błyszcząca łodyga, a ręka jej, to kwiat śnieżny, nenufar chłodny, ciągnący obok gondoli jakby na straży miłosnych uniesień.

Helenie zasnuwa oczy jakby wilgotna mgła.

Więc wszystko dla innych? Dla niej nic — nic. — Wszakże wspaniałomyślny zwycięzca często ofierze swojej oddaje część łupu.

Lecz rozkochani wspaniałomyślni nie są.

A przed nią Wenecja, ta Wielka Rozkochana...

Więc...

. . . . . .

Z pod kolumnady świateł, od strony Piazetty, płynie ku Lido gondola.

Ciemna, czarna, rozjaśniona jedynym szmaragdowym punktem małej latarni, płonącej u „plastry".

Helena z początku bezwiednie wpatrzyła się w ten zielony, trochę melancholijny punkcik świetlny.

Dokoła niego było dużo takich światełek, purpurowych jak rubiny, żółtych jak topazy, białych jak brylanty, lecz one wszystkie jakoś drwiąco, wesoło tańczyły po falach, biegły, oddalały się, łączyły, jakby w nieskończonej farandoli lśniące całe od drogich kamieni najady.

To jedno zielone, spokojne światełko, płynęło równo

ku brzegom wyspy, równo, spokojnie, tak jakby czarny, niewidzialny, senny anioł niósł w złożonych nad piersią rękach lampę ofiarną, wydartą z głębi wód.

Helenie powoli zaczęło się zdawać, że tę lampę daleką o szmaragdowym blasku zaświecił ktoś w odpowiedzi na jej smutne myśli, że to ktoś dobroczynny daje jej sygnał i ku niej wolno po ciemnej, przetykanej gdzieniegdzie srebrem księżyca fali, płynie.

W środku laguna była ciemna zupełnie a tylko przy brzegu dziwnie uroczyście stroiło się morze w drżące pasma srebra, rozbite w niepewnym szafirze przechodzącym chwilami w czarującą zieleń. I nagle płynąca gondola weszła w te srebrne pasma, rozsunęła je z delikatnym szmerem i szumem wiosła.

Blask srebrny padł teraz na całą gondolę i z jej głębi czarnej i żałobnej podniosła się powoli postać męska, jakby w tym blasku skąpana.

Helena szeroko otworzyła oczy i róże leżące na ziemi nerwowo przygniotła stopą.

Chciała wstać i uciec, nie mogła.

Mężczyzna stał do niej wprost twarzą, tak jasno oświetlony księżycowym blaskiem i zielenią szmaragdowej lampy, płonącej u plastry, że występował w tem oświetleniu z czarnych draperyj gondoli jak fantastyczne zjawisko.

Jedną nogę oparł o przednie siedzenie gondoli, wyprostował się, głowę, z której zdjął kapelusz, trzymał trochę w tył pochyloną, jakby chciał przyjść do równowagi po dłuższem kołysaniu się na falach wodnych.

W tem świetle dziwnem i pełnem uroku twarz jego ukazała się teraz w całej prawdzie. Była to maska o najregularniejszych rysach, jakie istnieć mogły. Dokładnie zgolony zarost uwidaczniał wspaniałą, silną linję owalu, okrągły a pełen energji podbródek i zarys warg, łączących w sobie zmysłowość z jakąś dumą i ironią. Nos cokolwiek orli, doskonały w kształcie, oczy głęboko wsunięte i silnie rozkrojone, brwi niemal proste, czoło nie wysokie, obramowane przepyszną linją ciemnych, trochę długich, od skroni siwiejących włosów.

Doskonała piękność rysów nie uderzała jednak głównie z tej twarzy. Dominował nad nią wyraz nieugiętej jakiejś pychy i samowoli. To głównie zastanawiało patrzącego.

Dopiero później przychodziła refleksja nad klasycznością linij. Wyraz przecież przeważał.

Helena chwilę patrzyła w tę twarz imperatora, zjawiającą się jej w srebrze i szmaragdowych blaskach.

Zdawało się jej, że doznała olśnienia, jakby od uderzenia piorunu.

Nie zdawała sobie sprawy, co było tak strasznego w tym mężczyźnie, którego Wenecja tak łaskawie zdawała się jej zwracać po srebrnych ścieżkach laguny.

Tylko cała zamarzła prawie od zimna, jakie ją ogarnęło.

Z czerni żałobnej gondoli powstały człowiek był wizją, mającą w sobie coś strasznego, coś, co ją zdławiło nagle, jakby kto zacisnął dokoła niej setki ramion oślizgłej, zimnej hydry.

Tak, to była wizja, ta dumna głowa Cezara, którą miała przed sobą, wizja przez nią upragniona.

Jej wizja!

. . . . . .

— Widocznie przeznaczono mi spotykać panią nad brzegiem morza. W tej białej sukni podobną pani jesteś do oblubienicy Ibsenowskiej.

Helena jeszcze nie powstaje ze słupka, na którym siedzi. Róże, wgniecione prawie w ziemię, konają pod jej stopami.

— Czy pozostaje tu pani jeszcze nad brzegiem? — pyta nieznajomy, oczekując widocznie na jakieś słowo ze strony Heleny.

— Nie, idę do domu! — odpowiada wreszcie cicho i prawie niewyraźnie.

— Jakoś mi pani blada, a może ten blask księżyca nadaje cerze pani tę dziwną barwę... Pani pozwoli...

Pochylił się i podniósł wiązankę róż, zgniecioną i zwalaną ziemią.

— Biedne kwiaty! — zawołał — okrutnie się pani z niemi obeszła...

— Och! były już zwiędnięte... — broniła się słabo i szybko wyciągnęła rękę po róże.

— Nie! nie!... zepsułyby efekt świeżej sukni pani... lepiej poślijmy je na dobranoc Wenecji. Chce pani, co?

Roześmiał się z dziwną, dziecięcą prawie prostotą.

— Rzuć je pani sama. Zabiorą ze sobą trochę czaru, jaki masz w swej postaci.

W jednej chwili Helena oprzytomniała.

Ton głosu nieznajomego był w tej chwili zupełnie różny od dźwięku, jaki miał jego głos owego pamiętnego wieczoru.

Było w nim coś swawolnego, coś ironizującego, coś, co zdawało się Helenie lekceważeniem.

Wzięła kwiaty, które jej podawał i milcząc, powstawszy, skierowała się w głąb willi.

On poszedł za nią trochę zdziwiony.

— Czy obraziłem panią? — zapytał, odczuwając instynktownie w ruchu, z jakim odeszła, że coś się jej w nim niepodobało.

Ona przeraziła się nagle, że on może tę obrazę wziąć za chęć pozbycia się go zupełnie.

Zwróciła więc ku niemu swą twarzyczkę, która prześlicznie zarysowała się w aureoli jasnego kapelusza, narzuconego masą liliowego kwiecia i siłą nerwową wywołała na usta uśmiech.

— Pan? Mnie? Nie. Pan mnie nie obraził wcale...

— A jednak miałaby pani prawo kazać mi iść precz jak ostatniemu natrętowi. Ośmielam się rozmawiać z panią i... nie przedstawiłem się pani.

Stanął na chwilkę i wyrzekł z układnym, szablonowym ukłonem:

— Karol Hawrat, adwokat ze Lwowa.

Ją aż zabolało to jakiekolwiek imię i nazwisko.

Przestał być wizją — był adwokatem ze Lwowa.

Uderzyło ją to, że był ze Lwowa, a ona nie widziała go nigdy.

— Ja jestem także ze Lwowa — odparła ze śmiechem.

— I na to potrzeba aż laguny i Lida, ażeby się zejść w taką śliczną noc księżycową i zamienić tych słów kilka.

Szli teraz aleją koło manežu z huśtawkami, przy którym paliło się kilka jaskrawych pochodni.

Ochrypła katarynka grała walca.

— Tak jęczy ta włoska katarynka, jak nasza lwowska w niedzielny wieczór z poza Żółkiewskich parkanów — wyrzekł Hawrat, stając koło balustrady — ale pani tam pewnie nigdy nie była?

— A pan był?

— Byłem nieraz.

Głos jego zabrzmiał twardo i ostro. Zapatrzył się chwilę w czerwone smugi światła i zwrócił się nagle ku Helenie:

— Chodźmy dalej!

Poszli pod drzewami milcząc, jakby pomiędzy nimi przeszedł jakiś cień. Helena czekała, czy on nie zrobi żadnej aluzji do pierwszego ich spotkania.

Ale on w tej kwestji zupełnie milczał. Tylko obracał machinalnie w ręku róże, które ciągle jeszcze niósł ze sobą.

Helenie się zdawało, iż od czasu do czasu obrzuca ją ciekawem spojrzeniem, jakby chciał zbadać, z kim ma do czynienia.

Uczuła się tem głęboko dotkniętą.

Wszystko w tym człowieku za zbliżeniem się drażniło ją i bolało. W głębi swej duszy wykołysała tę dziwną postać i tylko raz jeden na chwilę, gdy się zjawiła z czarnych draperyj gondoli, zdała się jej godną wyobrażenia, jakie o niej powzięła.

A mimo to czuła się tak szczęśliwą, iż wreszcie go odnalazła, że pierś jej, zdawało się, nie mogła pomieścić tej radości.

— Co zrobimy z różami, które miała pani posłać We-

necji? — zapytał nagle wskazując na kwiaty. — Przeznaczyliśmy je morzu, chodźmy do Stabilimento i wrzućmy je z werandy w wodę. Chce pani?

Lecz Helena szybko zaprzeczyła.

— Nie!... nie tam.

— Dlaczego?

— Tam brzydko... tam się ludzie kąpią.

— A!... prawda!...

I po chwili milczenia dodał z radością w głosie:

— Pani jesteś artystką?

— Nie! Nie jestem artystką.

Żachnął się niecierpliwie.

— Pani mnie nie rozumie. Pani sądzi, że ja przypuszczam, iż pani jesteś aktorką, malarką, rzeźbiarką... Co znowu! Pani jesteś lepiej, wyżej. Pani jesteś artystką w odczuwaniu życiowego piękna... No... i cóż... jesteś pani taką artystką? Czy zgadłem?

Z całą szczerością odparła Helena.

— Zgadłeś pan!...

On zaczął się śmiać jakimś cichym, nerwowym śmiechem.

— To dobrze!... To bardzo dobrze!... Nie chce pani, aby te kwiaty, które pani przedstawiają się jako zbiór czaru delikatnej woni, barw i kształtów, weszły w kontrast z temi karykaturami, które pluszczą swe reumatyzmami pokrzywione ciała pomiędzy sznurami bezpieczeństwa... To ładnie! To dobrze! To po kobiecemu, ale ładnie po kobiecemu!...

I po chwili dodał znów z wielką radością:

— Cieszę się! cieszę się!...

Mimowoli Helena spytała:

— Z czego?

— Bo to mi pani sylwetki nie psuje... bo ja sobie panią taką może przedstawiałem.

— Pan... sobie mnie przedstawiał?

— Naturalnie. Czy pani sądzi, że nie myślałem o tobie? Czy pani tak sądzi?

Stali już przed kratą bramy, prowadzącej do ogrodu willi.

Ona była w cieniu.

Na jego twarz padało pełne światło.

Chciała mu odpowiedzieć, iż sądziła się zupełnie zapomnianą wobec jego wycieczek do Wenecji, lecz w porę opamiętała się. Uznała, że podobne powiedzenie byłoby głupie i niestosowne. Na ustach jego dostrzegła cień ironji.

— Nie, nie sądzę!... — odparła krótkim, prawie suchym głosem.

Pchnęła bramę i weszła do ogrodu.

— Pani mieszka w Stabilimento?

— Tak.

— Ja także.

— Wiem o tem!

Przeraziła się tych słów, chciała je cofnąć, było już zapóźno. On jednak miał tyle taktu, że tych jej słów nie podniósł.

Przechodząc, rzucił na krzak róż trzymane w ręku kwiaty.

— Niech umrą przy swoich — wyrzekł z jakimś smutnym uśmiechem. — Lżejszą będzie im śmierć, mniejszy ból.

Teraz Helenie wydało się to, co zrobił ładne i pełne wdzięku, lecz schowała w głębi swej duszy odniesione wrażenie.

Doszli już do drzwi willi — Helena weszła do sieni.

— Dobranoc panu! — wyrzekła cicho.

— Pani już idzie do pokoju? — zapytał Hawrat jakby z żalem — noc tak piękna, chodźmy przejść się trochę!

Przed oczyma Heleny przesunęły się nagle sylwetki papieskiego sekretarza, kupca z Tryestu...

— Nie — wyrzekła najsłodszym, na jaki mogła się zdobyć głosem — jestem znużona... idę na górę. Dobranoc panu!

Zebrała fałdy sukni i, nie podając Hawratowi ręki, weszła szybko w głąb sieni.

Po czerwonym, sukiennym dywanie zaczęła wchodzić na schody.

Elektryczne światło oblewało ją całą.

Patrzącemu z dołu mężczyźnie wydała się nagle dziwnie ponętną i piękną.

Blada, wysoka, kształtna, w wielkim kapeluszu na drobnej główce, osadzonej rasowo, niosła z wdziękiem i gracją wybornie skrojoną suknię, która niezliczoną ilością fałdów, na kształt przewróconego kielicha kwiatu, wlokła się za nią z delikatnym szelestem.

Już na zakręcie — zwróciła raz jeszcze twarzyczkę ku niemu i z pod długich rzęs spojrzała smutnie i trochę surowo.

Coś chorobliwie marzącego było w wyrazie tych oczu i w linji jej opuszczonych ku dołowi ust.

Skinęła głową — i znikła na zakręcie schodów.

Hawrat postał chwilkę i patrzył jeszcze w pustą już przestrzeń.

Wydała mu się ona teraz jakąś wizją, spowiniętą w lekkie muśliny.

Przytem chód jej był bardzo piękny, równy i szlachetny.

Potarł ręką po czole i pomyślał.

— To jakieś niezwykłe zjawisko!

Stanął niezdecydowany.

Chciał powrócić jeszcze do Wenecji — ale nagle Wenecja wydała mu się daleką i za jakąś mgłą zimną ukryta.

— Nie pojadę... pójdę do pokoju... może czytać będę... prędzej zasnę...

A jednak tej nocy ani Hawrat, ani Helena tak prędko zasnąć nie mogli.

XX.

Nad ranem Helena okryła się lekkim peniuarem i obławszy twarz i szyję zimną wodą, zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju.

Spędziła prawie całą noc bezsennie.

Po razy sto przeżyła owe wieczorne spędzone z Hawratem chwile. Były one tak różne od wyśnionych i przeczuwanych przez nią momentów, iż w umyśle powstało wielkie rozgoryczenie.

To przedstawienie się szablonowe, z określeniem rodzaju zajęcia, słowa banalne, które mu z ust padały, zdawały się jej rozrastać jak chwast. A przecież było i coś pięknego, coś srebrnego, choć bez siły i tajemniczości. Ten projekt posłania Wenecji róż na dobranoc, lub rzucenie kwiatów na łono kwiatów, aby im skon lżejszy uczynić. Takie subtelne, delikatne drobiazgi miały w sobie coś kobiecego i może dlatego tak potrąciły w Helenie strunę subtelnej i delikatnej drobiazgowości.

Lecz to wszystko nie było to, co powinien był jej dać ten on, groźny i silny, którego duchową przewagę uczuła tak dotkliwie i nagle. Sądziła, że nadal zatrzyma się w niej to samo wrażenie...

Helena usiadła na poręczy kanapy, splotła nagie ręce z tyłu głowy i zaczęła analizować głębię swej duszy.

Wrażenie silne, potężne — to, które wtrąciło ją nagle na próg śmiertelnych zagadnień — trwało w niej w całej pełni.

Pomimo wszystko, pomimo szablonu, pomimo cokolwiek skrzypiących butów i tytułu „adwokata" — on pozostał dla niej wieczną, straszną, potężną wizją — on panował w świecie abstrakcji, do którego zmysły jej sięgały o tyle, aby uplastycznić sobie pewne wrażenia była w stanie.

Siła więc jego duchowa musiała być olbrzymia i najzupełniej niezawisła od fizycznych warunków (jakkolwiek z niemi pozornie złączona), skoro stłumić podniosłego wrażenia, jakie biło od niego, nie była w możności.

Tylko do tego duchowego piękna, jakie wycisnął na duchu Heleny, przyłączyło się teraz inne wrażenie, które nie osłabiając poprzedniego, dodawało mu owszem jeszcze większej intenzywności łagodnością kontrastu.

Była to właśnie owa wdzięczna strona, jakaś gracja w geście z kwiatami, jakaś delikatna gra wśród wonnej fali sentymentalnych trochę pojęć.

Nie był to jednak, jak z Weryhy, gest piękny dla wprowadzenia siebie samego w miły i przyjemny nastrój, lecz coś pochodzącego z natchnienia nagłego i przelotnego, coś, co zdawało się być wonią jego estetycznych, a na pięknie naturalnem opartych wzruszeń.

Kwiatów użył za pretekst rzucenia w przestwór ładnej myśli, zrodzonej z potrzeby łagodnego nastroju duszy. A że zwrócił się do kwiatów, świadczyło to o pewnej czystości jego ducha.

Dzieci, motyle i ludzie o duszach prostych a pięknych kochają kwiaty, lgną ku nim i na nich często opierają swe porównania, alegorje, gesta i marzenia.

On to czynił — więc miał duszę prostą i piękną, a zarazem silną i niezwykłą.

Do duszy stosował ciało, bo oto Helena przypomniała sobie jego rozkazujący a energiczny gest głowy, gdy mówił do niej tam — nad brzegiem morza w pamiętnej chwili trwogi — i śliczny czarujący uśmiech, który rozchylił jego usta przy słowach:

— Poślijmy te róże Wenecji — na dobranoc!...

. . . . . .

Zanalizowawszy tak swe uczucia, uporządkowawszy je niejako, Helena uczuła pewną ulgę.

Przeraziła się bowiem chaosu, jaki w niej zapanował, gdy się z Hawratem rozstała.

Lecz teraz zdawało się jej, że dźwiga jakiś podwójny ciężar. Dziś do przewagi i siły przybył czar wdzięków...

Przesuwała rękę po czole, jakby chciała odpędzić od siebie jakąś natrętną marę — i zaczęła się ubierać powoli.

Nie chciała jednak iść ani na werandę, ani w aleję wyspy.

Była niepewna, wahająca, niezdecydowona.

Pójdę na moją ławkę... tam będę myśleć spokojnie — postanowiła.

Okolona całym laskiem młodych akacyj i karłowatych palm, stała altanka, w środku której znajdowało się kilka plecionych leżanek i stolików. W altanie tej nie przebywał nikt oprócz Heleny. Goście kąpielowi zdawali się nie wiedzieć o jej istnieniu.

Helena zawiesiła u wejścia altanki firankę z zielonawego indyjskiego muślinu, którą nabyła jeszcze przejeżdżając w Wiedniu. W ten sposób zabezpieczoną była od promieni słonecznych i ciekawości natrętnych. Altanka, zbudowana na palikach, była od połowy górnej opleciona trzciną. Zupełnie więc ukrytą nie była Helena. Gdy siedziała, widać było wybornie fałdy jej białej najczęściej sukni, rozłożone na złotawym piasku, którym wysypano altankę. Helena „sprowadzała się“ — jak mówiła do siebie — na cały dzień. Przynosiła owoce, wodę sodową, lód, książki, poduszkę i często całe dnie tak spędzała, leżąc nieruchomo i patrząc w zieloną draperję, przez którą przeświecało słońce.

Zdawało się jej, że ten kąt, do niej wyłącznie należy i że ona ma do niego prawo.

Drzewa tylko szumiały lekko, uderzając delikatnie gałązkami o dach altanki.

Czasem jakiś ptaszek podskoczył wśród palików, zaświergotał cichutko i uleciał szybko w przestrzeń.

Kilkakrotnie jednak Helena dostrzegła, że ktoś dzieli z nią to schronienie.

I tak, powróciwszy rano, znajdowała masę niedopałków od papierosów porzuconych na ziemi. Raz zapomniała na noc zabrać ze sobą zieloną zasłonę. Znalazła ją nazajutrz podniesioną i upiętą zgrabnie na bok zapomocą męskiej szpilki od krawatu. Szpilkę tę wyjęła i nie oglądając, wbiła w pień palmy. Zapomniała o niej zupełnie.

Gdy Helena na drugi dzień po zbliżeniu się do niej Hawrata weszła do altanki, ujrzała znów na stole i na ziemi dużo niedopałków papierosowych. Z niechęcią najwyższą postarała się ułamaną gałązką usunąć je na trawę. Jak kotka lubiła czystość i porządek. Dnia tego ubraną była w bladoliliowy batyst, narzucany fioletowemi bratkami. W tej półżałobie było jej nadzwyczaj do twarzy. Szeroko rozpostarta na dole spódnica robiła ją podobną do olbrzymiego irysu, zatopionego w gąszczu zieleni. Twarz jej była trochę blada i zmęczona. Na szyi szeroka, liliowa aksamitka tworzyła linję niezmiernie delikatną i srebrzysty tworzyła podkład dla jej ślicznego, dołkiem przyozdobionego podbródka.

Gdy usiadła na niskiej, plecionej leżance i wyciągnęła nogi obute w popielatą irchę i szare jedwabne pończoszki, zarysowała się pastelowo i wdzięcznie w półcieniu zielonawym, płynącym przez zasłonę indyjskiego muślinu i przez szerokie liście palm.

Na stole, obok niej, na szklanym talerzu leżały brzoskwinie i ćwiartki melonu, złocąc się wspaniale na świecącym w słońcu krysztale. Złożony niedbale wachlarz wenecki, inkrustowany drobniuchnemi kamyczkami, wyglądał z daleka jak przepyszna salamandra nagle unieruchomiona. Przez

poręcz leżanki Helena przerzuciła czarną, jedwabną szarfę, bogato haftowaną srebrem. I to był jedyny ton surowy i smutny w tym zakątku, gdzie barwy jasne i miękkie, słońce, złoto, migące krystaliczne blaski, zdawały się składać na całość, pełną jakiegoś kobiecego, dziwnie ujmującego uroku.

Helena, leżąc tak w krześle, zamknęła oczy i znów poddała się cała myślom, które bezustannie kierowały się w kierunku Hawrata.

Nie mogła go nazywać nieznajomym — niestety! Był jej znanym, widziała, jak się nazywa, ale to imię i nazwisko nie mówiło jej nic, nie przekonywało jej wcale. Dla niej, w jej myślach, Hawrat był — On — zawsze On.

I takim już pozostanie dla niej do śmierci.

Dziwiła się w tej chwili, iż będąc we Lwowie nie słyszała nic, nigdy o Karolu Hawracie. Ale ona żyła na uboczu, zajęta głownie pielęgnowaniem chorego męża. Nie bywali nigdzie, nikt u nich nie bywał, mogła więc łatwo nie wiedzieć o istnieniu adwokata tego nazwiska.

Adwokat!

W wyobrażeniu Heleny był to taki pan, którego wynajmuje się na godziny jak ekspresa albo dorożkarza. Każe mu się bronić i on — broni. Nie miała nigdy wielkiego uwielbienia dla prawa wogóle. Właściwie nie wyrobiła sobie o niem żadnego pojęcia, bo nigdy z niem nie miała do czynienia. Uregulowaniem jej stosunków majątkowych zajął się jej brat, gdy przyjechał z Bośni na jej ślub a potem na pogrzeb jej męża. Stąd o adwokackim zawodzie dla Heleny wyrodziło się jakieś niejasne i błędne pojęcie. Dziś po raz pierwszy zastanawiać się zaczęła nad tem, kim może być taki adwokat i w ogóle, jakie jest jego zadanie w społeczeństwie. Była teraz trochę stropiona. Hawrat przedstawiał się jej niezwykle i zapowiadał indywiduąlność odrębną od tych, jakie dotychczas spotykała. I ten człowiek był adwokatem!

To dziwne!...

Nagle zasłona powoli uniosła się, i — w obramowaniu indyjskich muślinów stanął sam Hawrat.

Zobaczywszy Helenę, cofnął się, ale przyjrzawszy się bliżej roześmiał się wesoło:

— A, to pani zakrada się do mego schronienia?

Helena, wyrwana ze swej kontemplacji, w pierwszej chwili straciła przytomność i cała oblała się łuną rumieńca,

On wszedł spokojny, pewny siebie, bardzo kształtnie i dobrze odziany w jasno-granatowy, lekki garnitur. Kapelusz, tak jak zwykle, trzymał w ręku. Na czole perliły mu się krople potu.

— No i cóż — zapytał, zbliżając się do Heleny, — nie tłómaczy mi się pani nawet z tej bezprawnej okupacji? Czy pani wyznaje zasadę: wdzięk przed prawem?

— Jakąż więc pan wyznaje zasadę? — zdobyła się wreszcie na odpowiedź — to przecież pan zajął mi mój zakątek. Ja tu gospodaruję od kilku tygodni. Ślady okupacji pana dostrzegłam dopiero od dni kilku...

— Jakież to?...

— O!... leżą tam, pod palmami, w postaci niedopałków od papierosów i spalonych zapałek.

— A więc... pani zajmujesz to terytorjum w dzień, a ja w nocy. Nie przeszkadzamy sobie wzajemnie.

— Owszem!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Czy do tego stopnia lubisz pani samotność?

— Ja nie... ale zdaje się, że to ja właściwie panu przeszkadzam moją dzienną obecnością. Kiedyś zastałam tę zasłonę zapiętą na bok szpilką od krawata... Czy to pan uczyniłeś?

— Tak!... noc była księżycowa, cała srebrna. Pozwoliłem wkraść się tutaj temu srebru i stonować trochę dzienne złoto... A... więc pani znalazła moją szpilkę? Gdzież ona jest?

Helena zawahała się chwilę.

— Nie wiem... zginęła...

— Mniejsza z tem!...

Obejrzał się dokoła.

— Pani jesteś prawdziwą kobietą. Zaledwie weszłaś do tej altanki, a oto już jakoś w niej piękniej i milej. Cały wdzięk swój wniosłaś ze sobą.

Usiadł przy stole, wziął w rękę wachlarz i bawił się nim, błyskając w słońcu świecącemi kamyczkami.

Ona patrzyła na niego, prawie zachwycona. Ruchy jego były pełne harmonji. W dzień wydał się jej o wiele młodszym. Cera jego prawie przeźroczysta — delikatna była, jak u kobiety. Po raz pierwszy spojrzeć mogła prosto w jego oczy. Były przepysznej, czystej szafirowej barwy. Wyraz ich, surowy trochę w tej chwili i spokojny, przyćmiewały długie, ciemne rzęsy. Na cieniuchnym sznureczku wisiał na kamizelce monokl. Hawrat przyłożył go na chwilę do oka, przyglądając się wachlarzowi.

— Pani tu spędza dzień cały? — zapytał po chwili.

— Prawie.

— Dobry kącik do pracy.

— Ja nie pracuję.

Hawrat położył wachlarz i po krótkiej pauzie zapytał:

— Cóż więc pani tu robi?

— Nic.

Hawrat przyłożył do oka monokl i przyjrzał się przez chwilę Helenie tak, jak przyglądał się barwnym kamyczkom na złocistem tle wachlarza.

— Musi pani się djabelnie w takim razie nudzić — wyrzekł, kręcąc głową.

Zbuntowało się w niej coś — bo dosłuchała się lekceważenia w jego głosie.

— A pan, przychodząc tu wieczorami palić papierosy, zapewne także pracujesz? — odcięła się z ironią.

Spojrzał na nią poważnie i jakby przez mgłę.

— Tak pani... — wyrzekł powoli i z naciskiem — ja wtedy pracuję.

— Czy przy srebrze księżyca? Bo chyba księżyc panu starczy za lampę.

— Nie pani, ja pracuję myślą... a to, co mi tę pracę rozjaśnia, to tak wielkie i silne światło, że niema takiego w żadnem sztucznem oświetleniu. Proszę mi wierzyć.

Helenie zrobiło się dziwnie nieprzyjemnie. Chciała się koniecznie zrehabilitować w jego oczach.

— Niech mi pan nie wierzy... — zaczęła powoli — ja także pracuję, gdy tu jestem, ja także myślę.

Coś na kształt ironji przesunęło się po ustach Hawrata.

— Ja znam pani myśli.

Helena drgnęła.

— Pan zna moje myśli? Skąd? Jakim sposobem?

— Znam kobiety... wiem.

Urwał, spojrzał jej w oczy, potem, jakby sobie coś przypomniał, dodał szybko:

— Nie! nie!... co do pani, nie wiem... Pani, zdaje mi się, jesteś inną...

— Jestem inną!... zawołała Helena gorąco.

Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Ostatnie słowa zamienili tak prędko, że wpadły pomiędzy nich, jak dwie ogniste kule. Czuli, że nie powinni się jeszcze po nie schylać, bo się niebezpiecznie poranić mogą.

Przez pewien czas zapanowało między nimi milczenie. On patrzył na nią z pod swych rzęs przysłoniętych, jakby wzrokiem tym zapragnął poznać ją nietylko cieleśnie, ale i umysłowo, a ona odczuła literalnie fizyczny ból i zdawało się jej, że te wielkie, piękne, szafirowe oczy, wpijają się w jej mózg, jak dwa skalpele.

— I po co pani to czyta? — zapytał wreszcie, biorąc w rękę leżącą na stole książkę.

Był to l'Ecran Bourgeta.

— Nie wiem... dali mi to w księgarni, gdy wyjeżdżałam — tłómaczyła się Helena.

— Czy, gdy pani jedzie koleją i widzi przez okno krajobraz płaski, słodki, bez charakteru, bez barw, bez linji, nie odwraca się pani ze wzgardą? Dlaczego więc pani nie odsunie od siebie dzieła bez charakteru, bez barwy, bez estetycznego zadowolenia... Dlaczego pani to robi?

— Nie wiem!

— Dlaczego pani nie wie? Nie wiem dokładnie jeszcze, kim pani jesteś, ale przypuszczam, żeś albo wdowa albo rozwódka. Może seperatka... W każdym razie jesteś kobietą wolną, bo jeździsz po świecie sama. Nie masz nikogo, kto się o ciebie troszczy (o! to jasne) nie masz opieki, ale nie masz i nikogo, ktoby ci kładł zaporę twej intelektualnej robocie. Po co więc marnotrawisz czas? Jeśli chcesz czytać rzecz lekką, weź taką, która cię kształcić będzie artystycznie albo wprowadzi cię w nastrój, przynoszący ci rozkosz umysłową i uczuciową. — Na takie dzieła — to miejsce... pomiędzy niedopałkami papierosów, a nie pod źrenic twych promieniem!

Szybko, z temperamentem porwał książkę i rzucił ją w krzaki. Helena śledziła jego ruchy w milczeniu.

Wreszcie odezwała się prawie nieśmiało.

— Daj mi pan jakie inne książki — będę czytać.

Wzruszył ramionami.

— Nie znam zupełnie stopnia pani wykształcenia — wyrzekł prawie brutalnie.

— Jest przeciętne...

— Podoba mi się pani szczerość. To dużo znaczy. Przeciętne... hm... to smutne! Masz pani bardzo ładną ogładę — tem ładniejszą, że się w niej przebija coś nieśmiałego, i jesteś pani na sympatycznej artystycznej drodze. To zauważyłem. Tylko... zdaje mi się, że pani nie kształciłaś swego umysłu nawet przez serce... prawda?

— Może...

Czuła, że on ją po prostu bada, jak zręczny ksiądz w konfesjonale. Próbowała zbuntować się i pokryła ten bunt formą żartu.

— Ależ to spowiedź? — zawołała.

On wprawnym, szybkim ruchem roztoczył wachlarz, który cały zagrał barwami tęczy, jak motyl nagle ze snu zbudzony.

— A to.. konfesjonał — odparł, pochylając się ku niej ze śmiechem.

Rozbroił ją tym wersalskim wdziękiem i grzecznością.

— Nazwałeś mnie pan szczerą... pozwól, że nią będę zupełnie. Powiedziałeś, iż jestem... wolna, to prawda, jestem nią zupełnie. Ale nie mając przeszkody, nie mam także i kierownika w mej intelektualnej robocie — wyrzekła z ładnym, łagodnym uśmiechem.

— Wiecznie małoletnie! odparł Hawrat z ironią — wiecznie potrzebujące kierowników! Czy sama nie może pani kierować się instynktem i wypełniać luki swego wykształcenia?

Lecz ona z jakiemś uległem poddaniem spojrzała na niego smutnemi, melancholijnemi oczami.

— Nie mogę! — wyrzekła.

— Dlaczego? czy brak pani woli czy siły?

— Siły!...

On porwał się z miejsca i stanął tuż przy niej.

— To nieprawda! Pani wmawiasz w siebie bezsilność.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Pan nie powinieneś do mnie tak mówić... Pan zwłaszcza.

Zdawał się nierozumieć

— Dlaczego ja?...

Nie odpowiedziała nic, nagle przepełniona goryczą.

Wszakża on widział ją tam, na brzegu, bezprzytomną, chorą, z umysłem prawie obłąkanym, niezdolnym do przyjmowania żadnych suchych, ciężkich wrażeń. On sam przecież traktował ją jako istotę wyższą, obdarzoną nadziemskim darem jasnowidzenia, a dziś obchodzi się z nią jak z pensjonarką, która nie może pojąć ułamków dziesiętnych...

I to On, ten wielki, ten wyśniony, ta wizja jej jasna i zdaje się wszechwiedząca.

I nagle szalony żal i ból wezbrał w jej sercu.

To wszystko, co przeszła przez tych dni kilka, skoncentrowało się pod jej czaszką. Z przedziwną szybkością ujrzała się błąkającą nad brzegami Lido jak dusza, która straciła nagle jasność, która ją oświeciła. Ta jasność była w tej chwili przy niej, ale nie oświetlała jej — tylko przeciwnie — gnębiła i przygniatała analizą, w jaką poddawała jej rozwój umysłowy.

Naturalnym rzeczy przebiegiem strumień łez zalał jej twarz nagle bólem moralnym skurczoną. Łkanie wydarło się jej z piersi. Ukryła twarz w dłonie i silnie je zacisnąwszy — płakała.

Hawrat na razie osłupiał, powoli jednak zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i nie próbując nawet przeprosić płaczącej, wysunął się cicho z altany.

Gdy wreszcie Helena odsunęła ręce od twarzy, chcąc trochę zaczerpnąć powietrza, doznała jeszcze większego ściśnienia serca, widząc, że jest samą.

I wtedy rzeczywiście zdawało się jej, że znikła dokoła niej cała światłość i pomimo złotych promieni słońca, które grały na kryształowym talerzu, na stubarwnych kamieniach wachlarza, na hafcie czarnej szarfy i w szafirach jej pierścieni, ciemno jej było, ciemno i chmurno.

XXI.

Najwięcej bała się Helena, aby Hawrat nie napisał do niej banalnego listu z przeprosinami lub, co gorsza, nie przysłał jej kwiatów jak w Reichenhallu sekretarz.

Wprost z altanki poszła na górę do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz tak, jakby w ten sposób pragnęła się odgrodzić od reszty świata.

Wzrok jej padł na masę książek, które przywiozła ze sobą z Wiednia i Reichenhallu.

Oparłszy się o komodę, zaczęła czytać tytuły i nazwiska autorów. Był tam Prevost, Bourget, Louys, Loti i inni. Czytała je, powtarzała machinalnie, jakby chciała się ich na pamięć nauczyć. Niedawno jeszcze wydawali się jej zajmującymi, nawet z „psychologji głębią“ Bourgeta godziła się chwilami, Prevost zdawał się jej znać serce kobiece, Loti — być wielkim malarzem, rozsnuwającym całe ekrany barw i egzotycznych obrazów w takt szeleszczących wachlarzy.

W jednej chwili pod słowami Hawrata runął ten gmach sztucznych baniek. Ze wzgardą odrzucony „Ecran“ Bourgetowski był pierwszą cegiełką, wyrwaną z tej świątyńki, która ją otaczała.

— Po co czytać to wszystko? — brzmiało jej ciągle w uszach uparcie, fatalnie, drażniąc ją, jakby jakieś ostrzeżenie chłodne, ironiczne, niespodziewane. — Po co?

Tak, co jej z tego przyszło, gdy dowiedziała się, że pani de Rouviers nie oszukiwała swego męża, a on oszukiwał ją z panią de Miremont. Czem dla niej wogóle byli ci ludzie, te kobiety, o których jakiś plotkarz bez żadnego celu oprócz napisania jeszcze jednej książki, opowiedział jej w obcym języku? Czy po przeczytaniu takiej książki miała choć chwilę tej zadumy, tej melancholji słodkiej i dziwnej, jaką odczuła po przeczytaniu jednego pięknego sonetu? Czy zwróciła się od nich ku sobie i w sobie szukała wrażeń, jakie oni, ci wysnuci w umyśle Prevostów i Burgetów, na niej zrobili?

Nic, nigdy nie doznała nic podobnego.

Ani ich cnoty, ani ich zbrodnie, ani ich namiętności, ani ich kłamstwa, ani ich piękności, nie były jej cnotą, jej kłamstwem, jej pięknem.

Była im obcą i nie wyczuła ich.

Patrzyła na nich, jak się patrzy na okazy w słojach spirytusem napełnionych. Mówi się „ach"! albo „och"! Przechodzi się mimo, nie rozumiejąc ani bólów, które te okazy stworzyły, ani ich pożytku. Przechodzi się mimo, jak koło roślin bezużytecznych, bezwonnych, czasem nawet pięknych ale nie zatrzymujących na sobie wzroku.

Mówi się „ach" i „och"!, ale niema się prawdziwej rozkoszy z ich widoku i woni.

Oko biegnie w dal, szuka innych barw, kształtów, pragnie objąć coś więcej świecącego dla głębi ludzkiej istoty.

Więc, po co?

Pustka wielka, coś nakształt przepaści i na jej dnie trochę połamanych cacek i wiechcie z bezwonnych kwiatów.

Szybkim ruchem Helena otworzyła szufladę i zgarnęła do niej żółte tomiki. Padły pomiędzy liljowe batysty i kremowe walansjenki. Woń saszetów heliotropowych i Shery Bloosomu owionęła je.

Helena zamknęła szufladę i zaczęła gorączkowo chodzić po pokoju.

Ten człowiek niweczył dokoła niej wszystko.

Wyrywał ją z apatji, w którą się z takim trudem wtrąciła, targnął jej duchem, ukazał jej jakieś szczyty, na które mimo zawrotu i omdlenia wydostać się pragnęła — znikł, teraz powraca po to, aby ją dręczyć, drwić z niej i na pierwszym wstępie niebacznem jednem słowem druzgotać to, czem się otoczyła.

Ktoś poruszył klamką u drzwi.

Helena przystanęła, wiedziała, czuła, że to on, że to właśnie on stoi po drugiej stronie drzwi i wejść pragnie. Powiedziała sobie „nie otworzę"! — i równocześnie jak manekin podeszła i otworzyła drzwi szybko, jakby ulegając jakiejś przemocy.

Na korytarzu stał rzeczywiście Hawrat i uśmiechał się dziwnie, ale bez cienia ironji.

Ona bardzo zbladła, bo nagle poznała, że już straciła swą wolę i że będzie musiała robić to, co on zechce.

— Nie będę panią pytał o zdrowie, — wyrzekł Hawrat, stojąc wciąż na kurytarzu — ani o to, czy się pani na mnie gniewa. Przychodzę zapytać się, czy pani lżej już na duszy?

Helena za całą odpowiedź usunęła się od progu.

— Proszę! Wejdź pan — powiedziała z wielką prostotą, która ją sama zdziwiła.

On wszedł szybko i jednym rzutem oka obrzucił cały pokój.

Ona usiadła na swej małej sofce i ruchem ręki miejsce mu wskazała. Lecz on nie siadał. Stał ciągle i dziwnemi, przenikającemi ją do głębi oczami, na jej twarz patrzał.

Milczał, tak jakby czekał jakiegoś od niej słowa. Milczał, a mimo to Helenie zdawało się najwyraźniej, że słyszy, czy czyta jego zapytanie do niej sformułowane.

I bez oporu odpowiedziała:

— Tak, miałeś pan rację.

Po jego twarzy przemknęło jakby zdziwienie, jakby radość. Nadzwyczaj szybko wziął krzesło i usiadł prawie naprzeciw Heleny.

— Jakim sposobem odpowiedziałaś mi pani na pytanie, którego pani wprawdzie głosem nie zadałem, ale myślałem je silnie, z całą mocą patrząc przez chwilę na panią.

Ona cofnęła się w głąb kanapki, i czuła, że pomimo żaru, jaki przepełniał jej pokój, przejmuje ją lodowaty dreszcz.

— Nie wiem — wyrzekła — nie wiem, musiałam...

Oczy strwożone podniosła ku niemu.

Ogarnęła ją senność, zdawało się jej, że bryły lodu tłoczą się na jej czaszkę.

— To dziwne! — wymówił Hawrat... — to bardzo dziwne.

Ona chciała mu teraz wypowiedzieć nagle wszystko. Chciała mu dowieść, że nietylko to jedno jest dziwne, ale wszystko, wszystko, co ich dwoje dotyczy, od tych dni kilku. Lecz całą siłą woli powstrzymała się. Z wysiłkiem oderwała swój wzrok od jego prześlicznych, szafirowych źrenic, w których gorzały złotawe plamki.

Gdy zdołała to uczynić, doznała pewnej ulgi, lecz ciągle siedziała strwożona, wciśnięta w róg kanapy, bez woli, bez ruchu prawie.

On wpatrywał się w nią jeszcze chwilę, a potem oparł się na krześle i odezwał się jakimś smutnym głosem:

— Czy pani nie może być inną w mej obecności?

Helena chciała zaprzeczyć, chciała dać dowód, że jest samodzielną, że on jest dla niej obcym przybyszem, który w niepojęty i dziwny sposób wciska się w jej życie, lecz zanim sformułowała odpowiedź, już z ust jej wybiegło słowo nieoczekiwane, przez nią nie pomyślane i ustom nie podane.

— Nie mogę!

On nie zapytał się jej nawet, dlaczego nie może, tak jakby czuł, rozumiał i wiedział, co się w niej dzieje. Siedział tylko także jak martwy, naprzeciw niej, z oczyma wbitemi w podłogę, z rękami nerwowo splecionemi. Brwi miał ściągnięte, a jego twarz, podobna do maski któregoś z Cezarów, miała wyraz niknącej energji.

Wreszcie wzrok swój znów na Helenę przeniósł i wyrzekł dwukrotnie:

— To dziwne!...

Ona twarz swą w dłonie ukryła.

— Tak... dziwne! — powtórzyła.

Nie wymienili, co jest „dziwne", a jednak to dziwne było pomiędzy niemi wyraźne, fatalne i groźne. Zdawało się, że ci ludzie, w tej chwili zeszedłszy się tak daleko, skuci są jakimś łańcuchem, silniejszym nad wszystko, co rozum ludzki wytłumaczyć zdoła.

Gorąca, słoneczna jasność napełniała pokój, gdyż z okien powyjmowano zwykłe zielone mustikiery. Oni zdawali się nie czuć tej spiekoty, cali zasłuchani w to, co się z nimi działo. Ona, już zrezygnowana, bez woli przeciw temu, co przewyższało jej pojęcia, on, jakby jeszcze walczący z objęciem tej władzy, którą czuł, że objąć musi.

Nagle Helena odsunęła rękę od oczów i spojrzała jasno, szeroko, na siedzącego przed nią mężczyznę.

W złotem świetle słonecznem wydał jej się nagle wizją, całem jej przeznaczeniem, wszystkiem, do czego dążyć miała jej dusza, umysł i serce.

Przerażona tem objawieniem, nie pojmująca jeszcze samej siebie, nieruchoma i przejęta grozą, siedziała wyprostowana, z rękami zwisłemi wzdłuż ciała. Dech w niej zamierał powoli, czuła, że twarz jej robi się trupio bladą.

Przeznaczenie!

Miała je przed sobą. Ta twarz dziwna, doskonale piękna a mimo to jakby nieżyjąca, te oczy, szafiry dwa, z których płynęły jakby śmiertelne prądy, te usta rozkazujące a zarazem tak bezbrzeżnie smutne, ta cała głowa jakby otoczona silną obwódką dziwnej jasności, to było jej przeznaczenie! Ona to czuła, ona to w siebie chłonęła, ona to w mózg swój rylcem duszy wbijała.

I nagle Hawrat powstał, jakby zdecydowany i pochylił się ku niej, tak jak tam na wybrzeżu w chwili śmiertelnej trwogi.

— Nie lękaj się! — wyrzekł cicho — o ile to będzie w mej mocy, nie będziesz... nieszczęśliwą.

Coś zamigotało w jego źrenicach, coś niepewnego. Lecz dłoń jego pewna, chłodna spoczęła na jej czole.

— Uspokój się!...

W tej samej chwili Helena uczuła nadzwyczajne uczucie ulgi. Zaczęła oddychać prawidłowo, przejmujący chłód z pod czaszki ustępował powoli, ręce jej zgięły się mimowoli. Niewysłowiona błogość i spokój napełniały jej duszę.

Było to ukojenie tak rozkoszne, o jakiem nigdy nie marzyła. Dziwne uczucie wdzięczności dla Hawrata prze-

pełniło jej serce. Nie pamiętała poprzedniego stanu bólu i trwogi. Wszystko znikło za dotknięciem jego ręki. Jak drobne dziecko teraz pragnęła zwinąć się w kłębek i zostać bez ruchu. Cała jej zalotność, pewność siebie dorosłej kobiety, nie istniała. Pozostało stworzenie bez woli, zależne od tej dłoni, która niem kierowała.

Pomiędzy nią a nim nie było nic jeszcze wspólnego, bo materjalnie nie wiedzieli nic jeszcze o sobie, o stosunkach, w jakich żyli, o tem, czem w ogóle oni byli na świecie.

A przecież wspólność ich dusz stała się nagła, silna, wielka i niezaprzeczona. Duchowo odczuli się i pojęli. Konwenanse tu nie grały żadnej roli, konieczność pewnego ograniczonego czasu dla połączenia się dwojga ludzi nie odnosiła się do ich duchowych istot.

Wspaniale, z całym czarem i majestatem w tej strudze słonecznej, w tym blasku, ogniu i świetle, łączyły się ich duchy i dopełniały wzajemnie. Niepokój, trwoga, delikatna subtelność duszy Heleny poddawała się z całą rezygnacją słabszego ducha, silnej, kształconej, w szkole życiowej, duszy Hawrata. Jednym ruchem położenia ręki na czole kobiety mężczyzna, jakby symbolizując siedlisko jej myśli, sprowadzał w tę kobietę spokój i równowagę.

Uczucie, jakie w tej chwili mieli dla siebie, było prawie identyczne. Oboje czuli przed sobą trwogę a zarazem wdzięczność. Trwogę, bo oto stali na przełomie swego życia. To, co ich spotykało, nie było banalną przygodą, przeprowadzoną według wszelkich zasad flirtu lub kodeksu światowego. Jedno dla drugiego było groźne i odczuwało tę grozę dreszczem trwogi.

Lecz zarazem i wdzięczność Hawrata dla Heleny objawiła się i napełniła go niezmiernie słodkiem uczuciem rozkoszy. Przywiązała go do siebie tą uległością i pokorą, z jaką bez walki prawie przyjęła jego duchową władzę. Po raz pierwszy w życiu wywierał ten silny, groźny a zarazem niepokojący wpływ na ludzkiej istocie. Dla niego Helena teraz przynajmniej nie była kobietą. To był ktoś jemu zupełnie podległy, jemu oddany, a ten ktoś, to była dusza ludzka, delikatna i wrażliwa jak harfa siedmiostrunna

I to właśnie było owe „dziwne", co się stało pomiędzy niemi. Stać się musiało; wiedzieli o tem i może dlatego on starał się wczoraj i dziś w altanie nie mówić o pierwszem ich spotkaniu. Ale tamto, na brzegu, było stanowcze i tkwiło w nich obojgu z całą potęgą. To czuła teraz Helena doskonale, czuła w tych kilku zamienionych z nim słowach. Bał się widocznie poruszyć tej chwili, bał się i dlatego wczoraj banalnym gestem budził w niej artystyczne uczucia.

Co znaczyły teraz artystyczne wrażenia wobec tego „dziwnego", tego olbrzymiego, co stało się z ich duszami? Lepiej, że stało się to zaraz, że porozumieli się tak nagle, nie dręcząc się wzajemnie. Poznawać się nie potrzebowali. Przebywali w tej chwili w krainie najzupełniejszego porozumienia się.

Słowa były tu zbyteczne i nie oddawały najzupełniej stanu ich duszy.

I dlatego w tej słonecznej jasności milczeli oboje, ona pobladła i pokorna, on, mimo swego triumfu, jakby zdręczony i zrezygnowany.

Jakaś niepewność zaległa ich dusze.

Oboje milczeli.

XXII.

To wszystko miało pozór snu.

Tak, to było senną legendą, którą przed Heleną rozkładali aniołowie, strojni w długie bizantyjskie szaty, o złotych aureolach dokoła jasnych włosów, rozkładali na kartach jej życia, nagle z szarej powszedniości zmienionych na tęczowo zabarwione o srebrnych odblaskach księgi.

Legendą było, co się dokoła niej działo, legendą, spływającą z poza błękitnych zasłon rozbudzonych uczuć, na tle akordów melancholijnych, cichych teraz już, bez żadnych wstrząśnień i dreszczów.

Gdy się tak poddała zrządzeniu losu i wyzbyła się wszelkiej szpetoty zalotności i obmyślanych z góry sytuacyj, rozpoznała, jak pięknym i bez żadnej skazy kryształem jest w rzeczywistości uczucie podniosłego stosunku kobiety do mężczyzny. Znikła sama dumna i chwilami, jak się nazywała, „przeciętna". Powoli to, co płaskie i małe, ulatniało się z jej duszy a pozostawała sama woń, sam ekstrakt jakiegoś wdzięku w myśli, w czynach, w słowach. Ujawniało się to przez nią samą z najwyższą dokładnością i ona teraz zaczynała coraz chętniej wnikać w siebie i analizować swój stan, podczas gdy poprzednio unikała prawie rozpoznania barwy swego duchowego usposobienia.

Od rana budziła się chętnie, witając słońce i szum morza dolatujący przez okna. Wszystko teraz dla niej nabierało wdzięku na tej wysepce, wdzięku i pamiątkowego czaru. Już przez te dni kilka stworzyła sobie kapliczkę pamiątek.

Z tego okna posłyszała głos Hawrata, tu w altance po raz pierwszy zapytał ją „po co?" i tem jednem pytaniem szarpnął całym jej pozornym rozumem. A tu, położył rękę na jej czole i tem niejako w sposób dziwny objął w posiadanie jej myśl, jej mózg, całą jej myślową, abstrakcyjną istotę. Pamiątek tych przybywało coraz więcej, bo teraz już i Hawrat poszukiwał jej towarzystwa i ciągle prawie byli

razem aż do zmierzchu, rozmawiając jeszcze długo przy wejściu do pawilonu, który Helena zamieszkiwała.

Stosunek ich był teraz normalniejszy, nie tak oparty na tajemniczej podstawie. Witali się wczesnym rankiem pod świeżą zielonością drzew i owiani wonią wielobarwnych kląbów kwiatowych.

Coś świeżego, promiennego było w tem zejściu się ich porannem, coś ozłoconego w jej wspomnieniach złotym blaskiem. Dążyła do tej godziny całą myślą, a stopy jej, obute biało, biegły szybko jak dwa gołębie po jasno blond piasku alei.

On czekał na nią uśmiechnięty, z wyciągniętą dłonią, w której szybko więził jej drobną i ciągle jakby zgorączkowaną rękę. Helena zamykała wtedy oczy, aby jego uśmiech zamknąć w głębi źrenic jak kosztowny klejnot na dnie szkatułek. Był to bowiem uśmiech zupełnie inny, nie zjawiający się potem na jego ustach już w ciągu dnia całego. Było w nim nadzwyczaj wiele rozmarzenia i jakby wdzięczności za to, że ona po ten uśmiech przyjść raczyła. Później Hawrat uśmiechał się inaczej, uśmiechał się nawet wtedy, gdy był smutnym, lecz tak jak uśmiechał się wczesnym rankiem, gdy z wyciągniętą ręką stał pod baldachimem palm, nie uśmiechał się już potem nigdy.

I Helena, dla której uśmiech ten poranny był jakiemś dziwnie rozkosznem, miłosnem powitaniem, zbierała go jak rosę z kwiatu, aby zachować go w gorących promieniach na dnie swoich źrenic i na dnie swej duszy.

Ona nawzajem nie uśmiechała się, podchodząc ku niemu. Jakiś jakby skurcz nerwowy tamował jej oddech przez chwilę. Gdy jednak była już blisko niego, gdy on trzymał jej rękę w swej dłoni, promieniała nagle, rozsiewała dokoła siebie radość i pogodę. W aureoli swej białej parasolki, pod cieniem złotego ronda kapelusza, głowa jej twarzy mieniła się prześlicznemi różowemi tony.

I milcząc oboje zwracali się ku morzu i szli wolno, zamieniając ze sobą rzadkie tylko słowa. Obok Hawrata Helena nauczyła się w tym krótkim czasie ważyć swe wyrazy. Czując, jak on powoli, z pewną wytwornością, rzeźbił swoje słowa, jak widocznie filtrował myśl przez całe pokłady czystych pojęć, zanim tę myśl przyoblókł w formę mowy, Helena mimowoli zaczęła nabierać tej wytworności w milczeniu, tej subtelności w cieniowaniu swych myśli.

Chciała się do niego dostrajać we wszystkiem.

. . . . . .

Nad morzem, na Lido, jest cały rząd chatek plecionych o trzech ścianach i dachu, stojących otwartą ścianą zwróconą ku brzegu morza.

Chatkę taką wynajmuje się na czas obecności swej w kąpielach i tam można spędzać długie godziny, patrząc na bezmiar błękitnych wód i słuchając ich szmeru.

Helena wynajęła taką chatkę, lecz nigdy w niej nie była. Namówiona przez Hawrata, przeniosła swą instalację z altany parkowej do owej słomianej chatki i odrazu oboje upodobali sobie ten domek jak dla lalek lub pszczół, cały pleciony w dziwaczne desenie.

Rozścielono na podłodze dywan, składane fotele przyniesiono od przekupnia giętych mebli, trzcinowe stoliczki służyły za gierydony, zielona zasłona upięta została u wejścia. Zasłona ta jednak była zawsze podniesiona, bo tak Hawrat jak i Helena pragnęli poić się widokiem zmiennych, dziwnych fal, które zdawały się być kameleonem olbrzymim, mieniącym się w słońcu.

Delikatne, niezmiernie jasne, pastelowe barwy wody morskiej miały tony seledynu, to znów przybierały barwy różanej jutrzenki.

Czasem ta różowość tak bladła, iż zdawała się być raczej pod falami, niż stanowić ich barwę; nagle zupełnie zamieniała się w jednostajny, czarujący błękit omdlewający i rozkoszny. Po tym błękicie przelatywały całe sznury pereł piany o srebrnych i złotych połyskach. Często słońce zapalało snop iskier w takim sznurze i iskry te przebiegały jak błyskawica błękit morza i ginęły, wchłonięte pogodną jednostajnością wody.

Nigdy prawie nie ukazywały się tu ani barki, ani statki. Czasem tylko gdzieś w oddali chyżo mknął jakiś żagiel. Mknął po fioletowej linji, która zlewała się z bielą horyzontu i przepadał tak tajemniczo, jak tajemnicze było jego zjawienie.

Helena i Hawrat w chatce swej plecionej lubili śledzić te statki. Skąd przyszły? Dokąd idą? Kto są ci ludzie, którzy zjawiają się tak nagle, jak duchy niewidzialne i kierują szeleszczącem skrzydłem żagla i spieszą, gnani jakąś fantazją lub potrzebą.

I Hawrat wtedy zaczynał powoli, cicho, jakby z żalem mówić o swej własnej wewnętrznej tęsknocie za taką ciągłą podróżą, za takiem pojawianiem się i znikaniem w promieniach słonecznych. Śmiał się, iż było w nim coś z Erumanzeli, których ciągłą wędrówkę rozumiał. Helenie zdawało się, iż słyszy odbicie własnych myśli. Tak i ona do niedawna pragnęła zmiany podróży i ciągłych wrażeń. Obecnie nic już nie pragnie, lecz gdyby on miał na skrzydłach takiego żagla niknąć w przestrzeni, zdaje się, i ona udałaby się śladami tej fioletowej linji, jakby zmuszona już teraz do dalszej wędrówki. Bo ma wrażenie, jakby znalazła kres, doszła do jakiejś zakreślonej mety. Leżąc tak wpół w plecionym fotelu, owiana lekkim, białym muślinem przejrzystej sukni, chwi-

lami odpoczywa w półśnie, otulona jakby mgłą, poza którą przesuwają się całe procesje najczarowniejszych widoków. Ciało jej, leniwe trochę z natury, leniwą robi myśl i zaczyna potrosze odbierać jej dawną lotność. Cała myśl Heleny obecnie koncentruje się w pobliżu niej, nie wybiega poza próg chaty, jakby uwięziona dokoła postaci Hawrata.

Nie jest to jednak to uspokojenie łagodne i miłe, jakiego doznawała we Lwowie, w obecności Weryhy. Jest to raczej znużenie rozkoszne, którego doznaje umysł ludzki po zbytniem przepracowaniu duchowem. I ten spokój teraźniejszy wydaje się Helenie chwilami oparty na jakiejś niezwykłej, niepokojącej podstawie. Poza tą osłoną mgły, która ją ciepło owija, Helena odczuwa całe światy, w których zdają się krzyczeć z trwogi i łkać z rozpaczy jakieś beznadziejne widma. Ten odcień w jej usposobieniu jest tak chwilami silny, iż mimowoli serce jej zaczyna bić mocno i pot występuje na czoło.

Kto skarży się? Kto łka? Kto trwoży?... Helena nie wie, ale czuje to, czuje wybornie. To, co się na nią czai, to co jest w przestrzeni jakby tylko oddzielone pajęczą nicią obecności Hawrata, istnieje złowrogo rozżarte i nieubłagane.

I Helenie się zdaje, że wystarczy tylko oddalenie się od niej tego człowieka, aby to nieubłagane rzuciło się na nią z całą mocą.

I „on" zaczyna stawać się dla niej koniecznością jej istnienia, ten „on", ktorego niedawno nie znała zupełnie i będąc z nim w jednem mieście, nie wiedziała o nim nic, nie pragnęła spotkać się z nim kiedykolwiek.

— Jesteśmy jak gałęzie drzew! — powiedział do niej kiedyś Weryho!

A ona mu odparła na to:

— Chcę mieć swoją wolę!

Burzył się gmach „jej woli". Już w Wenecji nie pragnęła tej tęczowej miłości, zrażona brutalnością tamtych dwóch mężczyzn. Przeciwnie, na Lido broniła się już zawzięcie przed każdą nawet podobną myślą i pragnęła pozostać samą.

Jedna chwila wieczorna, jedna trwoga jej duszy i oto jak przeznaczenie z ciemnej głębi nadszedł on po to, aby stać się koniecznością jej życia.

Wolna wola!

Helena powoli przeniosła swój wzrok z bezmiaru morza na siedzącego u wejścia do chatki mężczyznę.

W jasnem oświetleniu popołudnia słonecznego profil jego niezwykle ostro odcinał się w przestrzeni.

Helena widziała go tak z boku i śledziła teraz doskonałość jego rysów i rozkazujący sposób trzymania głowy. Wpatrzony w dal, siedział tak nieruchomo, iż zdawał się nie oddychać nawet. Ręce splótł na kolanach energicznym giestem. Poza nim zielona zasłona, podniesiona ku górze, two-

rzyła całą masę drobnych fałd. Od tego człowieka aż biła jakaś wewnętrzna moc i siła. Zarazem czuło się, że jeśli zniży się dobrotliwie do łagodnej, wdzięcznej pieszczoty, to łaska ta nabierze podwójnej wartości, jak klejnot drogocenny, podany w stalowej oprawie. Myśl jego umiała być bez trwogi. Nie była nigdy i niczem spętana. Biegła mimo wszystko z całą mocą tam, kędy ją dusza wysyłała.

I to napełniło trwogą Helenę.

Ta siła, ta moc, zdawała się być antytezą jej bezsilności, jej słabości moralnej. Czy ten człowiek zaś podlegał teorji kontrastów, czy przeciwnie, pragnął, aby dusza z nim idąca społem była równą mu, silną i mocną, tego Helena odgadnąć nie była w stanie.

Ból chwilowy, dojmujący, zamroczył jej myśl.

Czy nie jest on przypadkiem jednym z tych orłów, które strząsają skrzydła, niebaczne, że do tych skrzydeł przylgnął drobny, znużony motyl? Czy on nie otrząśnie tak skrzydeł i nie uleci tam, dokąd go myśl i pragnienie zawiedzie?

Patrzał teraz prosto w słońce, które ciężkie, złote, gorące zawisło nad morzem, rozlewając dokoła siebie aż białe światło. Szafirowe jego źrenice, wlepione w olśniewający blask, silnie i bez trwogi zdawały się chłonąć w siebie światło i żar.

Zdawał się być od niej bardzo dalekim, cały zanurzony w jakiejś tajemniczej kontemplacji, w jakiejś rozmowie z samym sobą i własną myślą.

Helena patrzyła ciągle na niego i to jego chłonięcie w siebie słonecznego blasku zdawała się odczuwać na sobie w dziwny sposób. Pomimo, iż była w cieniu, zdawało się jej, iż patrzy wprost w słońce i przyjmuje jego żar i światło.

Stawała się tak powoli jego odbiciem i przez niego zaczynała odbierać wrażenia. A wrażenia te musiały w jego duszy odbyć cały proces dojrzewania i upiększeń, bo każde obecnie najprostsze takie wrażenie, które pochodziło od niego, napełniało jej duszę wielkiem zaspokojeniem.

Tak czuć i myśleć powinna była od początku swego istnienia, myślała, gdy pozostała sama, tak, nie inaczej. Wiele jednak znajdowała punktów w wrażeniach, które przedstawiały jakby jakieś ciemne próżnie. I to zaczynało ją dręczyć i niepokoić.

Czuję — że nie będę mogła mu dorównać nieraz — myślała — co począć!...

On w tej właśnie chwili, siedząc tak naprzeciw słońca, zdawał się być jakiemś uosobieniem siły gotującej się do walki w bezbrzeżnem, mistycznem prawie skupieniu. Kilka razy w rozmowie z Heleną rzucił jej te słowa „obowiązki moje społeczne“ — i zaraz potem zapadał w stan takiego zamyślenia. Raz, gdy Helena zapytała go — po co przyjechał do Lido, skoro się nie leczy — odparł z uśmiechem:

— Gotuję się do walki!

Jakaż była ta walka człowieka, który zdawał się pokonywać z łatwością największego wroga, bo samego siebie, do czego jej także nieraz się już przyznał, mówiąc: potrafię, gdy chcę, to i owo swej duszy nakazać. Jeśli potrafił— dlaczego miał walczyć? Z kim? Czy Helena nie mogła odgadnąć tych przeciwników.

I teraz siedząc tak opodal niego, ona nie wie, iż on nie do niej zmierza duchowo. Pewna zazdrość, bojaźń ją opanowuje. Pragnie dowiedzieć się więcej.

— Pan myśli... teraz... o tem, co pan nazywa swemi społecznemi obowiązkami — zapytała półgłosem.

Hawrat nie oderwał oczu od tarczy słonecznej.

— Tak! — odparł — tak, myślę o tem i ważę swe siły. Nie wiem, czy podołam.

— Pan wszystkiemu podoła, co sobie w umyśle obierze — odparła Helena, a głos jej drżał lekko — pan nie jest taką jak ja istotą bez woli i siły. Pan mi się wydaje uosobnieniem energii i woli.

— Tak... zrobiłem już w mem życiu bardzo wiele — lecz jeszcze tyle pozostaje mi do zrobienia, tyle jeszcze mogę zrobić. Życie jest tak krótkie...

Umilkł znów, bo słów nie siał garściami i Helena czuła, że jej w tej mierze nic więcej nie powie — pozostawi jej zagadkę i coraz większą tajemniczość, jaką się otaczał.

Smutek ją ogarnął wobec tego człowieka, który tak w przestrzeń słoneczną rzucał z prostotą słowa „zrobiłem już dużo w mem życiu!".

— A ja nic jeszcze nie zrobiłam, ani pięknego ani dobrego! — wyrzekła szczerze, jakby chcąc tą szczerością okupić swe błędy.

On zwrócił teraz na nią swój wzrok przepełniony jasnością słoneczną.

— Tak... pani jesteś jedną z tych wybranych. Niańki mówią, że wróżki nad kolebką takich dzieci czuwają. Jesteś piękną, bogatą... tak, tak. Gdybyś chociaż umiała zrozumieć dobrze to, co inni dla rozkoszy takich jak ty zrobili... Ale ty zdaje się i tego nie umiesz. Ty nie potrafisz odczuć dzieła sztuki?

Helena podniosła się prawie do połowy w fotelu. Jakto? Więc i to on jej odbierał? Tę umiejętność w odczuwaniu artystycznych wrażeń, którą zdawało się jej, posiadła w wysokim stopniu?

On zrozumiał jej gest i łagodnym ruchem ręki uspokoił ją.

— Wiem, co mi pani powiesz... dużo widziałaś i przetrawiłaś w sobie banalnych szablonów. Lecz powiedz mi— ty, która możesz sobie na taki zbytek pozwolić — czy masz

jakie ukochane dzieło mistrza, coś, co stało się twoim ideałem piękna? Czy możesz mi ten ideał wskazać? Kochasz którego mistrza czy to dłuta, czy pędzla, czy słowa? Powiedz mi ty, która czytasz „Ecrany“ Bourgetowskie, do jakiego idealnego konturu, wypełnionego barwą i marmurem, do jakiej harmonii tonów lub poezji zwracasz się w chwili znużenia i przesycenia powszedniemi wrażeniami? Namyśl się i powiedz. Ja czekam!

Helena milczała.

Rzeczywiście, nie miała takiego ideału, nie miała takiej esencji piękna, do któregoby się zwróciła w myśli z lubością i rozkoszowała się bodaj jego wspomnieniem. Weryho kazał jej budować z dzieł drugich — dzieło własne. Ona zaś sama pozwalała swemu umysłowi przyjmować pewne wrażenie, lecz nie sortowała ich nigdy, nie klasyfikowała, nadto leniwa i nie czująca tego potrzeby.

Tak, Hawrat miał rację, nie będąc artystką, mogła przecież wziąć już gotowe jakieś arcydzieło mistrza, przyswoić je sobie i uczynić zeń nieodstępnego duszy swej towarzysza. Powoli arcydzieło to nabrałoby dla niej pewnego życia, zespoliłoby się z nią samą.

W ten sposób, nie będąc twórcą, mogłaby zostać tem, co artysta w chwili natchnienia stworzył. I żyłaby w tem pięknie, w tej doskonałości bezgranicznej, cała pogrążona w artyzmie, jak słońce w opalonych mgłach powstających zórz.

Ona to myśli wszystko, myśli, patrząc przed siebie, z takim nagłym smutkiem, jakby ujrzała zmarnowanie swego życia na szczątki bezużyteczne, ciemne i nie błyszczące

Równocześnie Hawrat zdaje się czytać w jej myślach jak w księdze i mówi głośno to, co ona odczuwa.

Tak, mogła — nie będąc artystką — być artystycznem dziełem.

Nagle Helena porywa się z uśmiechem radości.

— Ale tak! Ja jestem artystycznem dziełem! — woła triumfująco — co więcej, ja sama jestem artystą, bo to piękno wytwarzam sama, nadając sobie znaczenie pięknych linij, barw i gestów.

I powoli, jakby wpółsennie, opowiada Hawratowi, jak piękną, jasną i czystą w linjach uczuła się kilkakrotnie, skąpana cała w zielonym blasku dziwnego oświetlenia. Sama była piękną i widziała się dokładnie. Sama rozumiała własny wdzięk i doskonałość i wolą swą zwiększała jeszcze ten wdzięk i tę doskonałość. Po cóż miała sięgać do skarbnic cudzych ideałów, stworzonych z marmuru lub amalgamatu farb, ona była sto razy wyższem i piękniejszem dziełem, bo żywem i jej samem podległem.

On słuchał jej w milczeniu i dopiero teraz zdawał się dostrzegać, jak była doskonale piękną.

Ożywiona mimowoli, z oczyma przymkniętemi, cała biała w swych draperjach, niezmiernie ponętna a pełna jakiejś skromności w układzie ciała, zdawała się być rzeczywiście żywym posągiem na tle złotawem słomy i trzciny.

Głowa jej była trochę cofnięta w tył i spoczywała na złotawo-zielonej poduszce, haftowanej dyskretnie w wielkie liście. Z całej twarzy najsilniej występował owal prześliczny i nieskażony, rozpływający się w bieli muślinu, splisowanego pod szyją.

Ręce, wpół obnażone, wąskie, długie, przeźroczyste prawie, leżały wyciągnięte na jej kolanach.

Odwróciła je dłoniami do góry i dłonie, te zabarwione lekko różowo, wyglądały jak dwie muszle, spoczywające nieruchomo wśród śnieżystej piany.

Hawrat patrzył na nią długo i przeciągle. Słuchał, jak głos jej drgał w powietrzu leciuchną, jednostajną nutą.

Nie było tam drażniących ucho spadków ani intonacyj. Ta kobieta mówiła jedną linją, jakby odczuwając instynktownie, że głos ludzki w pewnych chwilach powinien płynąć a nie wić się w zygzakach.

Tak, jak spoczywała teraz biała cała na złotem tle z tym głosem sennym i miłym, była rzeczywiście uosobieniem harmonji, jakimś akordem melodyjnym, kwiatem rzadkim i artystycznie skomponowanym.

Hawrat pozwolił jej mówić długo i nie przerywał tej legendy, jaką ona snuła dokoła swej piękności i siebie samej, owijając się w ten sposób w draperję wzorzystą, tkaną mirjadami gwiazd. Widział ją powstającą z tego złotego tła i zjawiającą się przed nim w zielonem świetle, które na jej włosy, ramiona, stopy, fosforyczne smugi kładło. Poco miała szukać obcych pojęć o pięknie, skoro wystarczał jej własny gest, własna biel marmurowego ciała, własna linja jej ręki wyciągniętej w przestrzeń. I w tem co mówiła jeszcze, przewijało się coś zupełnie odrębnego.

Nie miała w sobie pogańskiej bezwzględności w uwielbieniu własnej piękności. Była w tem raczej jakaś śliczna, pokorna wdzięczność za to, że mogła być piękną i stwierdzać sama ten czar swej piękności. I cała oryginalność, a zarazem prawdziwie artystyczna natura tej istoty owionęła go jak przepyszny zapach świeżo rozkwitłej akacji. Poco rzeczywiście miała się ona zwracać do martwych posągów, do płócien, do tonów muzyki, skoro cała miała w sobie artyzm posągów, obrazów i melodji i odczuwała go tak wytwornie.

W źrenicach Hawrata odmalowało się nagle pojęcie i odczucie jej potęgi bezwiednej. Widocznie było to uczucie niezmiernie silne, bo ona w lot została niem jakby porażona i zamilkła nagle, strwożona, by on nie wziął jej słów za chęć przechwałki, kokieterję w szpetnym kierunku. Delikatny ru-

mieniec zabarwił jej lica. Usta jej zacięły się w milczeniu, lecz ręce pozostały nadal nieruchome na podstawie jej kolan, jak dwie konchy różowe na tle białej, delikatnej piany.

Zapanowało między nimi milczenie.

Ona strwożyła się tą ciszą, gdyż nie mogła dokładnie zdać sobie sprawy ze stanu jego duszy.

Lecz on, zapatrzony w nią, nie spieszył się ze słowami.

Widocznem było, iż rozkoszował się nią, jej widokiem, przebrzmiałem echem jej głosu, jak dziełem prawdziwej sztuki. Oczami swemi obejmował ją całą i bez cienia zmysłowości napawał się jej harmonją.

Lecz ona, zaniepokojona jego milczeniem, zapragnęła je przerwać, choćby kosztem rozwiania ułudy.

— Jeżeli źle zrobię... — wyrzekła cicho — powiedz mi pan i wskaż, w jakim kierunku mam skierować moje poszukiwanie artystycznego ideału. Skończonej harmonji nie znajdę. Wyobraźnię moją zawsze w grę wprowadzić będę musiała. Lecz jeśli to pozwoli mi udoskonalić me pojęcia i da mi esencję rozkoszy życiowej, powiedz mi, gdzie znajdę choćby szkielet, na którym będę mogła rozpiąć moje złote siatki, z których utworzy się całokształt mego ideału?

On jeszcze milczał chwilę, jakby chciał nietylko przedłużyć swe wrażenie, ale i nadać wagę tej niepospolitej chwili, która znów miała być etapem w ich wzajemnym stosunku.

— Nie — wyrzekł — nie szukaj pani ideałów stworzonych z potrzeby wypowiedzenia się innych dusz... Jesteś sama rzeczywiście bardzo piękną i doskonałą harmonją. To wielki, drogocenny dla ciebie dar...

Urwał i wreszcie dodał po chwili:

— I wielka rozkosz dla drugich!

Znów pozostali milczący, wobec wspaniałej, pastelowo-delikatnej przestrzeni morza. Tarcza słoneczna była teraz naprzeciw drzwi ich chaty i zazłociła im brylantowym blaskiem wnętrze ich schroniska. Cała słoma, z której splecione były ściany, zdawała się nabijana złotemi gwoździkami — mata na podłodze miała pozór rozścielonych promieni.

Przed nimi i woda teraz zaczynała pokrywać się złotemi strzałami, roztapiającemi się co chwila w snopach opalowej piany.

Światło, złoto, harmonijny szmer fal i oni oboje milczący, zapatrzeni w siebie, jakby nagle zrozumieli, że sami są równie piękni, równie harmonijni i zestrojeni swą niepospolitą pięknością po to, aby się uwielbiać wzajemnie.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
BARAN

XXIII.

Skąd Karol wziął tyle róż i to tak pięknych, blado-żółtych róż, aby wypełnić niemi całą ich chatkę — to już było jego tajemnicą.

Wczesnym rankiem pospieszył nad brzeg morza, za nim poniesiono wielkie, nadeszłe na gondolach pudła.

Gdy Helena pod aureolą swej białej parasolki stanęła na progu domku, wydała okrzyk zachwytu.

Słomiane ściany, blado-złote, służyły za tło rozrzuconym na nich pękom róż bladych o delikatnej, czarującej barwie, podobnej do tonów rozlanych na ramionach rudowłosej kobiety.

Cały fotel, na którym Helena zwykle spoczywała, oplecіony był wieńcem róż, ogromne wiązanki służyły za poduszkę pod głowę, pod ręce i nogi.

Na ziemi, na macie, rozrzucona była cała lawina płatków różanych, tak, że Helena, aby dojść do wnętrza, musiała deptać po nich, jak po warstwie śniegu.

Nawet ze sufitu zwieszały się gałęzie nicejskich róż o karminowych, czarujących żyłkach. Samo wejście do chatki było kaskadą róż i Helena doznała na progu wonnej pieszczoty świeżych, rozkosznych kwiatów, które gęstą frendzlą opadały na draperje, uchylonej i podpiętej bukietem róż, zasłony.

Wewnątrz nie było nikogo.

Widocznie Karol pragnął, aby Helena sama nacieszyła się dowoli tą kwiecistą orgią, którą na nią rzucił z taką rozrzutnością zakochanego lub tylko pełnego galanterji przyjaciela.

Helena weszła do wnętrza chaty i zwolna, jakby zanurzając się w fale, ułożyła się na okwiecionym fotelu.

Głowa jej utonęła w masie róż. Włosy jej jedwabne i kędzierzawe, pomieszały się z delikatnemi liśćmi, a ciernie, widocznie przez Karola usunięte, nie zraniły jej zupełnie.

Tak samo i wiązanki, służące jej za podściółkę pod ręce, pozbawione były zupełnie cierni.

Wdzięczną uczuła się podwójnie za tę wielką delikatność, jaką doznała od niego, nietylko w rozkoszy kwiatowej, lecz w tej myśli o usunięciu brutalnego uczucia bolu, które mogło jej wrażenie zakłócić.

Zapach róż przepełniał chatkę, mieszając się z subtelnym zapachem wanilji, którą skropiona mata ze siebie wydawała.

Od morza płynął bardzo delikatny wietrzyk i przynosił szmer fal. Wiązanki róż, gałęzie liści, rodzaj jakiejś trawy, która z różami była zmieszana, zasłaniały Helenie widok na morze. Leżała upojona i oczarowana, z rękami zanurzonemi w chłodne i wilgotne kwiaty.

Sama była także piękną jak kwiat ze swą delikatną cerą, po której przesuwały się karminowe cienie. Suknia jej, o lekkiem, kremowem zabarwieniu wybornie harmonizowała z ogólnym tonem kiwatów.

Koronki jej figara miały musujący, śliczny odcień płatków róż.

Gdy tak leżała z przymkniętemi oczami, cała blada i biała, robiła wrażenie jakiegoś grobowego posągu oplecionego różami.

Pobożne, pełne smutku i żalu serce pokryło kwieciem sarkofag, a tylko marmurowa postać zmarłej spoczywała na tych łańcuchach jasnych kwiatów, tak nieruchomych i pięknych, jak ona sama.

W duszy Heleny rozjaśniło się dziwnie miło i pogodnie. Czuła, że jest piękną i otoczona jest dokoła tem, co jest najpiękniejsze w naturze.

Coś czystego, doskonałego, lotnego wypełniło jej serce i umysł. Uśmiechała się mimowoli do życia i do istnienia. Nigdy nie czuła się tak bardzo „kobietą", jak wśród tych kwiatów. Błogo jej było tak, jakby po raz pierwszy znalazła się w krainie, do której była przeznaczoną. Przeszłe istnienie było dla niej ciemnym zakamarkiem, z którego jednym ruchem skrzydeł wydostała się w przestrzeń.

I rozmarzona zasnęła.

. . . . . .

Gdy się zbudziła, słońce już zachodziło. Spała więc długo i snem kamiennym. Woń kwiatów odurzyła ją.

Była ciągle sama. Karol nie pojawił się wcale.

I była mu wdzięczna za to.

Czuła, że jego wyniosła, silnie męska postać nie będzie dobrze harmonizować z tą delikatną masą róż. Lecz choć go nie było, myśl o nim przepełniała całą tę wonną przestrzeń. On tu był duchowo i ten duch jego, jako subtelny

i dziwnie przejrzysty, najzupełniej godził się z czarującym przepychem bladych, rozkosznych kwiatów. Razem z ich wonią zdawało się Helenie, że wchłania w siebie i tę duchową część człowieka, który oplątał ją tym czarem, z którego wyzwolić się nie mogła i nie chciała.

Leżąc tak w swym wonnym grobie, kołysana szumem fal, Helena z całą jasnością zaczęła wywoływać przed swą duszę kształt duchowy Karola. Nie wiedziała o nim nic, nie znała ani jego życia, ani czynów, a przecież zdawało się jej, że nie jest dla niej już zagadką. Była w nim, w jego duchowej istocie jakaś jasność, która opromieniała i oświetlała wnętrze jego tajemniczego ja. Helenie zdawało się, że czyta tam wielkie i piękne słowa, nie zrozumiałe jeszcze dla niej, a przecież już nie obce. I co najwięcej ją porywało, to jakaś właśnie piękność szlachetna i pełna, z której źródła sobie sprawy zdać nie umiała, ale której obecność czuła i zaprzeczyć jej nie mogła.

Co dla niej było najdziwniejsze w tym człowieku, to wrażenie, iż postać jego fizyczna najdoskonalej harmonizuje z postacią jego duchową. Nie było w tych dwojgu połowach, które tak często są rozdźwiękiem w tłumie ludzkich istot, żadnego dysonansu i wszystko w tem ciele zdawało się być urobione na wzór duchowych linij i wartości tego człowieka.

Dumny, posągowy profil miał wyniosłość jego szlachetnej zadumy, delikatność cery i koloryt skóry, subtelność jego odruchów artystycznych i pojęć o pięknie. Silnie i szeroko zarysowane jego kształty harmonizowały z tą jakąś niezwykłą siłą duchową, która zdawała się wieść go przez życie; pełne wdzięku jego gesta zdawały się być natchnione poezją cechującą jego czyny.

Tak przedstawiał się jej Karol, gdy leżała wśród kąpieli kwiatowej, zgotowanej jego dłońmi. Odczuwała go, wyczuwała i pojmowała. Był jej bliski w tej nieobecnosci, bliższy niż wtedy, gdy siedział na progu tej chaty, o kilka kroków od niej. Zaczynała go znać i wciskać się niejako w atmosferę duchową, która otaczała tego człowieka.

Tak sądziła.

Bo oto gdy podniosła się z fotelu, strząsnęła ze siebie róże i posunęła się na próg chaty ku zachodzącemu w morze słońcu, to przeświadczenie poznania Karola znikło nagle brutalnie i dokoła niej utworzył się chaos, z którego ona już odcyfrować nic nie była w stanie.

Gdy świeże morskie powietrze owiało ją i blask zamierających na falach purpurowych strzał wypełnił jej źrenice, znikła duchowa znajomość Karola. Był on dla niej więcej jeszcze zagadką, niż poprzednio. Widok fal morskich przywiódł jej na pamięć chwilę strasznej trwogi tam na wybrzeżu,

jego moc dziwną, z jaką narzucił jej wtedy swą wolę i nic w tem nie było z człowieka, którego wabny gest zasypał ją przed chwilą różami.

— Nie wiem, kto on! — pomyślała z rozpaczą.

Czekał na nią pod cieniem palmy w ogrodzie Stabilimento.

Czytał jakiś list, który złożył żywo na szelest jej sukni.

Ona wyciągnęła ku niemu rękę, jeszcze przepojoną zapachem róż

— Dziękuję! — wyrzekła półgłosem.

On zdawał się zdziwiony tem podziękowaniem.

— Za co?...

I nagle woń róż, które Helena przyniosła ze sobą, przypomniała mu wszystko.

— A... za róże!... tak!...

Był, jakby roztargniony; list czytany przed chwilą złożył starannie w głębi portfelu.

Helena usiadła na ławce i uczucie jakby zawodu przepełniło jej duszę.

Posępnie wpatrzyła się przed siebie. Nie wiedziała dlaczego, lecz uczuła się nagle samą.

On usiadł obok niej, lecz nie pytał ją o róże, zdawał się zamyślony, jakby niepewny. Po chwili dopiero zapytał:

— Dobrze tam pani było?

Z kolei ona odbiegła od niego myślą i spytała:

— Gdzie?

— Wśród róż.

Zasnęłam...

Uśmiech rozjaśnił jego trochę surowe usta.

— Byłem tego pewien.

Helena, nie patrząc nań, uśmiech ten odczuła, zdawało się jej, że promień słońca przedarł się do jej duszy.

— Dlaczego pan nie przyszedłeś?... — spytała.

— Pani wie, po co pani pyta.

— Lękałeś się zepsuć harmonię?

— Tak, mężczyzna i kwiaty! Nie! nie!... Chciałem panią zostawić sam na sam z różami, chciałem, ażebyś pani to sama potem długo pamiętała.

Z ust jej wybiegło ciche:

— Całe życie.

Nie podjął tych dwóch słów, tylko bardzo delikatnie ujął jej rękę i palce swoje splótł z jej palcami. Giętkie były i zimne. Objęły jej słabe dość palce silnemi obrączkami i zacisnęły się dokoła nich powoli, jak węże nieubłagane i okrutne.

Helena nie cofnęła ręki.

Te palce zdawały się wyrażać to, czego nie chciały wypowiedzieć usta. Po raz pierwszy objawiła się w bardzo wyra-

żnej a mimo to niepojętej dokładnie formie. Heleny ręka martwiała w tym zimnym uścisku, martwiała i traciła życie.

Chłód, wiejący z dłoni Karola, odbierał jej ciepło i miękkość rozkoszną. Natomiast żar przepalał teraz powoli palce mężczyzny, które zdawały się zabierać z ręki kobiecej życie, młodość i temperament. Wreszcie ręce ich rozplotły się i oddaliły.

Oboje siedzieli milcząc, przeżywając doznane wrażenie. Nie w było w nich jednak upojenia.

Jakiś cień pokrył ich twarze.

Powoli ściemniało się i życie zaczynało budzić się na Lido.

Przez oddalone strzały krat Karol i Helena widzieli dokładnie śpieszące tłumy ku restauracji Stabilimento, przejeżdżające tramwaje lub migających w szalonym pędzie bicyklistów. Życie ogólne zatętniło i brutalnie tłoczyło się przez te kraty, które bardzo niedokładnie zdawały się oddzielać ich oboje od reszty świata. W ogrodzie zapalono elektryczność. Czar znikał. Zrozumieli to oboje i z żalem spojrzeli na siebie.

— Szkoda!...

Które z nich wyrzekło to słowo — oboje nie wiedzieli, tak ich myśl była jedna.

I znów jeden plan przeniknął ich oboje.

— Chodźmy!...

Wstali i wyszli na aleje po to, aby zmieszać się z tłumem. Mimo to jednak, mimo fizycznego zbliżenia się z resztą żyjących, byli przecież sami i wywyższeni. Czuli się tak dalecy i ponad śmiejącymi się i rozbawionymi przechodniami.

Szli powoli ku wybrzeżom, cali bieli w swych letnich strojach, wysocy, kształtni jak dwa posuwające się wolno wśród tłumu posągi.

Żar wieczorny spadał na nich całemi płatami z rozpalonych drzew, które powoli dopiero stygły i odświeżały się w wieczornej ciemni.

Doszli do wybrzeża.

Pełne statki odbijały od brzegu ze zgrzytem i łoskotem fal. U stóp ich prawie kołysały się gondole.

— *A la barca!...* — wołał jakiś głos o tenorowem, gardłowem brzmieniu.

I przed ich oczami tam, daleko, w kolumnadzie całej złotej i drżącej w odbiciu fal, ukazała się nagle Wenecja, rozkoszna, dumna i czarująca. Ukazała się przemożna i pokus pełna.

Helena doznała olśnienia.

Nigdy Wenecja nie była tak potężnie świetlaną, jak w tej chwili. Strumienie brylantowych ogni zdawały się płynąć z jej łona. Czarny kobierzec wód, rozesłany pod jej

stopami, migotał rubinami i szmaragdami latarnianych gondoli.

Bez słowa, bez poprzedniej wymiany projektu, Karol podał jej rękę i wprowadził ją na pomost, z którego schodziło się do gondoli.

Helena bez żadnego zdziwienia pozwoliła mu się prowadzić, tak jakby wiedziała, że tak być musi i że nadeszła wreszcie godzina, w której i ona w tę brylantową przestrzeń wstąpi wreszcie i wejdzie pod kolumnady o złotych, drżących linjach.

Gdy usiedli oboje, w czarnem wnętrzu gondoli odbijając dziwnie białemi swemi strojami od czarnego tła poduszek i sznurów — gondola zakołysała się delikatnie jak kołyska, poruszona miłośnie ręką czuwającej piastunki.

Firanki baldachimu, podniesione wysoko, ukazywały dokładnie postać Heleny, opartej o poduszki z czarnego safianu. Wielki jej kapelusz, opięty białym muślinem, chwiał się dokoła jej głowy jak olbrzymi motyl, gotowy do lotu.

Poza nimi gondolier odziany także biało, lekko i zręcznie odbił od brzegu. Był to chłopak młody i inteligentny. Zrozumiał, że ci dwoje milczący i cisi pragną i nadal milczeć i cicho płynąć po „nabijanej światłem drodze". Musiał to być zakochany, bo z jakiemś uczuciem sympatji i prawie szacunku spoglądał na swych gości. Odczuł w nich piękno moralne i zrozumiał ich piękno fizyczne.

Z dumą i niezwykłą delikatnością kierował swą gondolą. Płynęli cicho, wolno i rozkosznie. Chłód wiał od wody, nikogo nie było w pobliżu. Nad nimi błyszczało coraz więcej gwiazd. Szafir nieba był tak czarny, iż zdawał się być przepaścią. I woda czarną zdawała się z atłasowemi, srebrnemi pręgami. Gondola przedzierała ten atłas cichutkim szelestem. Po obu stronach zataczały się świetlane kręgi, a szmaragdowej barwy latarnia, przytwierdzona u „plastry", zabarwiała te kręgi leciuchnym, zielonawym refleksem.

Helena oddychała ciężko, bo ogarniało ją jakieś dziwne uczucie. Doznawała niezwykłego spokoju, ale zarazem zaczynał się w niej budzić jakiś straszny smutek. Była w tej chwili szczęśliwą. Tak, bez zaprzeczenia. Zaczynała wchodzić w fazę tak wielkiej szczęśliwości, o jakiej istnieniu marzyć nawet nie mogła. Zdawało jej się, że jakaś złota, przetykana drogimi kamieniami sieć otacza ją całą. Lecz zarazem smutek przepełniać zaczynał jej serce.

Czuła, że to szczęście jest wypadkowe, że to jakaś chwila jej życia a nie życie samo, czuła, że nici złote tej siatki są tak kruche, iż lada ruch, lada gest silniejszy zerwać je może, czuła to i dlatego duszy swej nakazała milczenie, nakazała nieruchomość zupełną.

— Jeśli się zerwie ta nić, to niechże nie zerwę ja — myślała wpatrzona w coraz bliżej zarysowującą się Wenecję.

Wreszcie przybyli do brzegu. Helena z jakimś wysiłkiem weszła na kamienne stopnie. Karol płacił gondoliera i kazał mu czekać na ich powrót. W chwili, gdy Helena odwracała się ku niemu, cały łoskot orkiestralnej fanfary napełnił Piazettę i popłynął w powietrze.

Orkiestra wojskowa, ustawiona w krąg, grała walca. Helenę ta muzyka ogłuszyła i wytrąciła z równowagi. Prawie rozpaczliwie wsuwała swą rękę pod ramię Karola. Zaczynała żałować, że przyjechała tu z nim razem. Coś się w niej szarpało i bolało ją. Wenecja z bliska traciła urok kochanki dożów i czarującej piękności, spoczywającej pod kolumnadą złoceń i brylantowych świateł.

Ten walc, grany przez „instrumenty dęte" — obijał się fatalnie o ściany pałacu dożów. Mistyczne — jak rząd lilij kolumny, smutno ginęły w żółtem świetle latarni — tłumy, przeważnie odziane czarno, tłoczyły się dokoła orkiestry. Szum krzykliwych, twardych głosów napełniał powietrze.— Kobiety stąpały hałaśliwie po drewnianym bruku, stukając obcasami pantofli. Jakiś nerwowy chichot, jakby stłumiony szelestem papierowych wachlarzy, snuł się przez tony walca i przejmował dreszczem.

Całe grupy czarno ubranych dziewcząt, bez kapeluszy, w czarnych szalach, chodziły dokoła muzyki, błyskając płomieniem oczu i śnieżną bielą zębów. Stoliki kawiarń były w oblężeniu. Tam, siedzieli barwniej odziani turyści — pomiędzy którymi wyróżniały się jaskrawe bluzki Angielek. Małe dzieci i małe pieski kręciły się wzdłuż stolików. Obszarpani przekupnie o czarujących twarzach cherubinów lub demonów, sprzedawali wstrętne albumiki lub szpilki w formie gondoli. Kelnerzy odbierali pieniądze lub roznosili lody i lemoniadę.

Na pierwszy rzut oka poezja nikła zupełnie. Ów czarodziejski pałac, w którym rezydowała Wenecja Pawła Veronese ze swym orszakiem siedemdziesięciu dożów, zamieniał się po prostu na wielką halę spacerową, w której orkiestra wojskowa grała taneczne melodje a tłum bardzo barwny i dość trywialnie szepcący snuł się automatycznie, lub chłonął w siebie pewną ilość zamrożonej wody.

W jednej chwili takie wrażenie ogarnęło Helenę i ten smutek cichy, który już przepełniał jej serce, znikł, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Z uśmiechem triumfu i ironii zasiadła przy marmurowym stoliku, do którego doprowadził ją Hawrat.

Nieładnym gestem parweniuszki ujęła ręczną lornetkę, którą nosiła zwykle na łańcuszku zawieszoną na szyi. Przez tę lornetkę zaczęła się przypatrywać tłumowi. Coś złego

budziło się w niej, jakaś nienawiść do tych kobiet, których istnienie przeczuwała tam, stojąc samotna nad brzegiem Lido. Chciała mieć chwile odwetu za te ciężkie chwile, które wtedy przebyła. Patrzyła niebezpieczeństwu prosto w oczy i przesadzała jego nicość.

Była tak zaabsorbowaną swoją zemstą, że nie czuła, jak Karol lekko dotknął jej ramienia.

Co pani robi?... — zapytał ze zdziwieniem.

Ona odparła, nie spoglądając nawet na niego.

— Patrzę!

— Pani brzydko patrzy!

Głos jego był surowy i gniewny.

Ona to odczuła i to podnieciło w niej jakąś dziwną złość

— Patrzę na rzeczy brzydkie, więc brzydko patrzę!

On szybkim gestem pociągnął za łańcuszek, na którym zawisła lornetka. Z ręki Heleny wypadło owe nieszczęsne „face à main", na którym lwowski złotnik misternie wyrobił złoty monogram z koroną.

— Nie mogę znieść u kobiety tego rodzaju szpetoty — wyrzekł Karol.

Helena szybko zwróciła się ku niemu.

— Jak pan śmie?... — zaczęła, lecz on nagłym ruchem położył swą dłoń na jej ręce.

— Nie zdzieraj ze siebie uroku! — wymówił prawie rozkazująco.

Helenę ogarnął wstyd.

Tak, czuła to. Jeszcze jedno słowo, jeden gest, a urok mógłby rozwiać się w nicość. I wdzięczność uczuła do Karola za to, że nie dał jej wymówić tego słowa, zrobić tego gestu. W jednej chwili spokorniała, zmalała i wypiękniała duchowo i fizycznie. Bezwiednie ciało jej ułożyło się we wdzięczne, miękkie linje, twarz zajaśniała łagodnym żalem i pokorą. On patrzył rad i uśmiechnięty na tę przemianę i dłoń jego silnie i jakoś gorąco przycisnęła jej rękę. Ona chciała uścisnąć także jego dłoń, ale nie śmiała, tylko powolnym, ładnym gestem odrzuciła na bok lornetkę, jakby składając mu ją na ofiarę.

Było to nic, śmieszna drobnostka, ale w tem malował się już brak woli Heleny, nawet wtedy, gdy duma jej kobieca zranioną została.

Karol przysunął swe krzesło tak, że siedzieli teraz blisko siebie połączeni rękami na blacie marmurowym stołu. Mogło to wydawać się rażące, tembardziej, że latarnia oświetlała ich dość jasno, lecz tu nikogo to nie raziło. I rozglądając się powoli, Helena dostrzegła masę takich par jak oni, siedzących blisko siebie w poufałem miłosnem zbliżeniu. Niemal każdy stolik dawał przytułek takim dwojgu, dla

których już reszta nie istniała, tak byli bardzo w samych siebie zapatrzeni i zasłuchani. Ci, którzy nie mieli stolików, błądzili wśród tłumu złączeni ze sobą silnie jakby się lękali, że jakaś czyhająca nad niemi fatalność rozdzielić ich może. Wszyscy byli przeważnie piękni, bo to rozkochanie, ta płomienna miłość, jaka żarem biła od nich, dodawała im wiele czarującego piękna, którego żaden artysta wyrazić nie jest w stanie.

Całe poematy miały w sobie zamieniane ciche, urywane słowa.

Całe pieśni wiły się potężnemi strofami w jednym szepcie, który ulatywał ze spalonych gorączką ust kobiet.

Całe grupy posągów o najwytworniejszych linjach zaznaczały się w półcieniu kolumnady. Dwoje takich, ujętych splotem wielkiego, bezbrzeżnego oddania się we wzajemnej ufności, miało w sobie zaklęty gest o tytanicznej sile wyrazu.

Z oczów płynęły nieuchwytne strugi światła, kolorytem czarownym płonęły delikatne twarze kobiet. Najpłomienniejszy malarz miłosnej epoki nie jest w stanie oddać tej serji obrazów, jakie pod baldachimem przetykanego gwiazdami szafiru tłum ze siebie tworzył i wydawał.

Delikatnie, nagle, koronkowo, zaszemrała orkiestra i z jej środka, jakby nagle otwierającego się czarodziejskiego koszyka wypłynęła ta wenecka, filigranowa, drażniąca, pełna obietnic i pokus piosenka:

Questa e una gioia che mi fa morir
Quando il cugino mi fa divertir,
E mio marito trova a dir, trova a dir.

Zaszemrały wachlarze i szepty, pochyliły się jeszcze bliżej głowy.

I na pozór był to tłum szary i bezbarwny, a przecież ten tłum dzielił się na całe setki odrębnych światów, z których każdy był odrębną tragedją lub komedją miłosną. Więcej tu jednak było tragedji, bo atmosfera cała zdawała się być przesyconą jakąś miłosną grozą i płomiennem uczuciem.

Ci, którzy chronili się na łono Wenecji, zdawali się nie mieć w sobie sztucznych zapałów nieszczerego flirtu, żywiołowa siła uczucia również nie miała tu siedliska. Tu raczej był jakiś przez czarny pryzmat tragicznej grozy przefiltrowany fatalizm łączenia się dwojga istot po to, aby wydrzeć sobie z dusz wszystko, co może dać słodkiego i trującego szał miłosnego sentymentu. Ciemno ubrane Wenecjanki, dziwnie ponure w swych czarnych, olbrzymich włosach, pomimo uśmiechu purpurowych warg, okrążały ten tłum jak stado żałobnych motyli.

I zdala dostrzeżona złocista alkowa przemieniała się w jakąś arenę cyrkową, smutną i tragiczną, po której w takt

walca snuły się pary, przeznaczne na ofiarne jęki dławionych piekielną rozpaczą serc.

Takie wrażenie zaczęło zapadać na duszę Heleny stopniowo, z początku niewyraźnie, powoli coraz jaśniej się tłumacząc.

Instynktownie, jakby trwogą zdjęta, pragnęła usunąć swą rękę z pod dłoni Karola.

Lecz brakło jej siły, nie fizycznej, lecz moralnej. Nie umiała rozkazać ręce swej odłączyć się od bezpośredniego kontaktu tego człowieka, który w tej chwili przedstawiał się jako jeden z cieni, wysuwających się z ponurego tłumu, aby wziąć w posiadanie jej serce, jej duszę, ją całą całą bezpodzielnie i w zamian dać jej tragiczną zagadkę szczęścia, połączonego z bólem i rozpaczą cierpienia.

Słyszała, że mówił do niej, mówił dużo i długo, lecz co? nie zdawała sobie z tego sprawy. Kilka banalnych frazesów odbiło się o jej uszy. O sobie nie mówił nic, nigdy, albo bardzo mało. Kim on był w istocie?

Zamknięty w sobie, chwilami błyszczący, chwilami tak duchowy, iż zdawał się nie być ziemską istotą, to znów w bezpośredniem zbliżeniu człowiek o zmysłach artystycznie grających jakąś symfonię, w której targały się jej nerwy. Wie, kim właściwie był on? W czem leżał jego urok?

W umyśle, w duchu, w postaci jego czy sentymencie estetycznym, który wiał od niego?

Jakie było jego życie? Co do tej chwili robił? Wspomniał, lecz nie jasno...

Jedno tylko wiedziała i czuła Helena,

Ten człowiek, gdy był przy niej, był dla niej niewidzialnym. Czuła go, lecz nie widziała, On był dla niej za zasłoną jakąś nieprzebytą. Gdy zniknął a duch jego krążył dokoła jej ducha, rozjaśniał się cały i zdał się być dla niej zrozumiałym.

Lecz w tej samej chwili targnęła się w niej wątpliwość.

Jestże to on istotnie takim, jakiego ona widzi oczami swej duszy? A może jestto poprostu jej własne pragnienie ujrzenia wreszcie i spotkania takiego człowieka, które w jej wyobraźni przybiera postać Karola. Wszak jechała w świat z gorącą chęcią poznania miłości tęczowej, strojnej we wszystkie barwy, począwszy od purpury namiętności, aż do czarnych fioletów rozpaczy.

A więc?

Powolnym ruchem zwróciła się ku Karolowi i patrzyć na niego zaczęła z poza mgły przysłoniętych rzęs. Zdjął kapelusz, tak jak wielu z dokoła siedzących mężczyzn, i żółtawy blask latarni oblewał jego twarz. W tej chwili ożywionej i jakby nerwowo podnieconej Helena nie była w stanie domyśleć się żadnego szczegółu. Widziała tylko, że był piękny

i pięknością tą przerażał ją. Czuła tylko, że, gdy oczy jego zejdą się z jej oczami, następuje w niej uczucie chwilowego odrętwienia, z którego wyrywa się jakaś moc straszna i bezwzględna. Chwilowy dar odczytywania jego myśli zatracił się w Helenie bezpowrotnie. Zbyt silną widocznie stawała się jego przewaga nad nią, zbyt wiele traciła ona swych sił w jego obecności.

To co ich oboje tak zastanowiło i zdawało się łączyć jakimś mistycznym węzłem, znikło u niej i przeważało się na jego stronę. Teraz ona rozumiała, że on czyta w jej myślach i że w tej chwili, starając się mówić z nią o rzeczach banalnych i powierzchownych, usiłuje oderwać ją od tej analizy ich stosunku, ich stanu wspólnego, aby wykorzystać jej oszołomienie gwarem i szumem spowodowane.

Wskazał jej ręką przesuwający się tłum w ocembrowaniu koronkowych murów, nad brzegiem srebrem lśniącej wody.

— Czy to nie piękne? — zapytał.

Lecz ona odparła zdjęta dreszczem :

— Nie... straszne.

Utkwił w nią wzrok pytający.

— Dlaczego? Oni... kochają.

— I dlatego to straszne — odparła Helena, patrząc mu prosto w oczy.

Pochylił się ku niej tak blisko, że uczuła prawie jego usta na swem ramieniu.

— Lękasz się miłości?...

Nie odpowiedziała nic. Odwróciła tylko głowę i patrzyła w tłum, lecz nie widziała nikogo.

— A przecież jej pragniesz... — szeptał on.

Nie zaprzeczyła. Po co? Znał jej myśli, znał ją całą. Ona nie była cieniem, tęczą, zagadką. Choć jej nigdy nie pytał, przecież mógł wiedzieć wszystko.

Wachlarze szemrały dokoła niej, muzyka grać przestała. Z ciemni kolumnady słychać było ciche szepty.

Wysoko na kapitelach zbudzone gołębie gruchały cicho i jękliwie. Ponad tem wszystkiem noc rozciągała swój welon czarny, zasiany gwiazdami, a morze szemrało samotonną kołysanką...

Z pałacu dożów, przez wielkie okna sali del Maggior Consiglio, tryumfowała Wenecja w apoteozie swej promiennej chwały. Z wysokości plafonu, w złoconych pasmach sama promienna i wspaniała — milcząc, przewodniczyła tej uroczystości, na którą zbiegały się rozkochane pary z całego świata. I Helena, słysząc ten szept Karola, czując swą rękę uwięzioną w jego dłoni, zrozumiała w jak potężne, wielkie, nieubłagane szpony — ona słaba i bez woli — wpadała.

Oczy jej zaciągnęła mgła, serce wezbrało wielką, trwożliwą żałością.

Czuła, iż stoi nad brzegiem przepaści, obramowanej tęczą płomiennych kwiatów. Ponad nią jej groźna nieprzyjaciółka, jakby mszcząc się za to, że Helena ucieczką ratować się chciała przed jej potęgą, odrazu — brutalnie roztaczała przed nią tragiczną grozę swej mocy.

Twarz Heleny pokryła się bladością.

Pomimo upału, którego nawet cienie nocy osłabić zupełnie nie zdołały, jakieś lodowate zimno przepełniało serce młodej kobiety.

Dwie łzy stoczyły się z jej oczu powoli i spadły na biały jedwab bluzki.

Zalśniły chwilę w świetle i pozostawiły dwie wilgotne bruzdy.

Karol łzy te dostrzegł.

— Płaczesz? — zapytał.

Helena nie poruszyła się nawet i teraz cały ten tłum, pałace, kolumny, światła widziała przez mgłę łez. Straciło to wszystko dużo ze swej grozy — natomiast jakiś ból bezsilny spotęgował się w jej duszy.

Karol powstał i pociągnął ją za sobą.

— Chodźmy! Jesteś pani zanadto wrażliwą!

Zeszli znów do gondoli i teraz — gondolier powiózł ich w głąb Wenecji małemi, wązkiemi kanałami wśród dwóch rzędów ciemnych, tajemniczych domów, w których malutkich okienkach gdzieniegdzie błyskało światełko.

Karol otoczył Helenę najtroskliwszemi staraniami. Ułożył ją prawie na poduszkach gondoli i sam zajął miejsce na przedniem siedzeniu. Łagodne, zielonawe światełko latarni oblało jej twarz mistycznym blaskiem.

Ciągle zachowała jeszcze ten smutny i zrezygnowany wyraz twarzy i ten wyraz dodawał jej wiele niezrównanego wdzięku. On, siedząc naprzeciw niej, chłonął w siebie ten wdzięk i upajał się nim.

Ciągle trzymał rękę Heleny w swych dłoniach, jakby chciał przelać swą siłę i moc w jej dłonie.

Mówił do niej cicho i spokojnie. Chwilami wolną ręką odsuwał z jej czoła spadające pasma włosów i wtedy po całem ciele Heleny przebiegał bolesny, niepokojący dreszcz.

Mimo to pragnęła powrotu tej ręki, tej dłoni, która przesuwała się tak lekko po jej czole i czekała na nią, jak na muśnięcie skrzydła cherubina, który stanąłby u jej wezgłowia po to, aby ją dręczyć i rozkoszą dziwną, bolesną, upajać.

— *Sia stai!* — wołał od czasu do czasu gondolier, gdy wjeżdżał w zaułek zaledwie rozświecony latarnią gondoli.

Czasem zdaleka odpowiadał mu drugi głos.

— *„De longo!“* i po chwili cicho, ślizgając się raczej po wodzie, niż płynąc, zjawiała się ciemna masa drugiej gondoli.

Delikatnie, jak dwie zapóźnione po nocy jaskółki, mijały się gondole i światła ich latarń wymieniały kolory swego oświetlenia.

Jakieś sferyczne, nieziemskie uczucie ogarnęło Helenę. Z oddali jeszcze dolatywała muzyka, teraz zmatowana, przyciszona i drżąca. Karol zesunął się prawie na kolana przed wpół leżącą, smutną i rozmarzoną.

Zupełnie niespodzianie Karol bardzo delikatnie i z pewną szlachetną dyskrecją zaczął wypytywać Helenę, kim jest i naprowadzać na pewne zwierzenia.

— Dlaczego wędrujesz pani sama po świecie? Czy nie masz nikogo?

Z głębi jej przepełnionego żalem serca wydarł się cichy głos:

— Nikogo!

I to był punkt, z którego wyszli oboje w swej rozmowie po raz pierwszy, z jej strony całej i szczerej — z jego natchniowej jakimś sentymentem litości czy obawy.

W miarę jak Helena przedstawiała się w tę noc letnią i dziwną, samą, bez opieki, na wolę i wicher losu lub nerwów rzuconą kobietą, czoło Karola pokrywała chmura. Ręce jego mniej silnie oplatały ręce młodej kobiety. Nie odgarniał jej włosów, które teraz prawie zupełnie zakryły jej czoło. Nie powstał jednak z klęczek, lecz pozostał tak tuż przy niej, przy jej twarzy, wpatrzony w nią tak, jakby oderwać się od widoku jej ust, jej oczów nie mógł.

Ona powoli przychodziła do siebie i choć rozżalona ciągle, jednak pełną była jakiejś otuchy i nadziei. Zainteresował się wreszcie jej losem szczerze i otwarcie. Pytał ją o drobnostki, stanowiące jej istnienie. Chciał, pragnął wiedzieć. A więc nie była dla niego pretekstem do pięknego zestroju róż, lub podziwu godnem z powodu swych linij i karnacji dziełem sztuki. Teraz dopiero dojrzał w niej kobietę i odłączył od niej abstrakcyjne pojmowanie jej istoty.

A więc...

Zadrżała cała, myśląc o tej konkluzji. Po co te szczegóły? Kobiety, którą się zajmuje przelotnie, nie pyta się o nie. Helena wiedziała to już ze smutnego doświadczenia.

Łzy jej oschły z oczów. Uniosła się na poduszkach i ożywiła stopniowo. Miała jednak zawsze ten dobry instynkt, iż nie podnosiła głosu, aby nie mącić nastroju. Głos jej łączył się harmonijnie z szumem wody, rozsuwającej się przed dziobem gondoli. Lecz wspominając niektóre szczegóły swego zamężcia, Helena nie mogła się powstrzymać od ożywienia i uśmiechu. Mówiła mimowoli „mój pierwszy

mąż“ i mówiła to kilkakrotnie, bezwiednie i uparcie powracając do tego określenia.

Nagle Hawrat przerwał jej mowę:

— Mówisz pani „mój pierwszy mąż...“ Czy masz pani zamiar wyjść drugi raz za mąż?

Pytanie to zawisło w powietrzu, właśnie gdy wyjeżdżali na Canale grande. Olbrzymie, wspaniałe pałace czerniały w oddali. Gdzieniegdzie płonęły światła. Jakiś ponury tragizm zdawał się powłóczyć wśród tych rozpadających się marmurów. Chłód, ciemnia, zgliszcza, rodzaj cmentarza...

I pytanie Hawrata zespoliło się nagle w ożywionym umyśle Heleny z tą ciemnią cmentarną, w którą się nagle dostali.

Czuła, iż odpowiedzieć powinna szczerze, otwarcie i serdecznie.

A bała się posłyszeć tej odpowiedzi, bała się własnego głosu, jakby od tych jej słów zawisło wiele, bardzo wiele w jej życiu.

— Tak! — odparła wreszcie — pragnę zostać żoną człowieka, którego będę bardzo kochała...

Ręka Hawrata rozplotła się z ręką Heleny.

Mężczyzna klęczał ciągle na dnie gondoli, lecz teraz oczyma zabłądził w gwieździstą przestrzeń, a ręce zawisły mu na obu stronach ciała.

Zdawał się być zgnębiony tem, co słyszał z ust młodej kobiety. Wrażenie to było zbyt silne, aby je mógł opanować. Wyrzekł tylko przeciągle:

— Tak?...

I potem zamilkł, jakby wrażenie, którego doznał, poraziło go i odebrało mu moc panowania nad sobą. Ona bała się spojrzeć na niego, bo czuła, iż w tej chwili dzieje się koło niej coś ważnego, jakieś łamanie się ludzkiego ducha, jakieś ważenie się występku z naturą prawą i czystą. Co miało zwyciężyć, o tem nie wiedziała, odgadnąć nie mogła, a raczej nie chciała.

Wiedziała tylko, iż to łamanie się nie odbywa się w jej duszy ani w niej samej. Ona w tej chwili była czysta w swych słowach i czysta w swych myślach — tak czysta jakoś dziwnie i szlachetnie, że nawet bliskość występku nie mogła przygasić poczucia tej prawości. Jeżeli nie szukała teraz wzroku Karola, to jedynie dlatego, ażeby nie zaważyć niczem na szali, na której zabłyśnie zwycięstwo.

Płynęli teraz wzdłuż Canale grande — niemal środkiem — płynęli prawie sami po opuszczonem i jakby wymarłem mieście, po tym cmentarzu wielkich rodów, a każdy z tych pałaców miał pozór opuszczonego i zaniedbanego, królewskiego mauzoleum. W jednym z pałaców otwarte okno jaśniało dziwnie i brutalnie, a w niem pochylona ku

wodzie ciemniała sylwetka jakiejś smukłej kobiety, odzianej w czarną zda się suknię.

Kobieta była nieruchoma i oparta o ramę okna, miała pozór jakiegoś powracającego upioru, który nagle zjawił się wśród murów grobowca, mając poza sobą świetlaną, niepokojącą aureolę, fosforyczną smugą wypływającą z okna.

W smugę tę wpłynęła cicho gondola Heleny i Karola — wpłynęła i jakby błyskawicą zaświeciła im w oczy — szarpiąc ich myśli i wzrok i przywołując do rzeczywistości. Była to jednak króciutka chwila, bo znów ciemność i cisza zaległa dokoła nich, cisza dziwna, zagadkowa, tajemnicza, przeczuć pełna.

I nagle, Karol do tej chwili ciągle nieruchomy, jakby zwalczony wielką, olbrzymią mocą, która, porwawszy go za bary, rzucała na oślep ponad niego — podniósł się znów na klęczkach i porwał Helenę w objęcia.

— Ty! ty!... — mówił przerywanym głosem — ty piękna, ty piękna, ty piękna...

Całował jej oczy, usta, ramiona, włosy. Tchu nabrać nie mogła, nie dał jej, nie pozwolił. Jak przez mgłę dojrzała tuż nad swemi oczyma jego wielkie szafirowe, ocienione rzęsami oczy.

W pocałunkach jego zamknęło się wszystko. Były to całe strofy uwielbienia dla jej piękna, dla piękności jej ciała i dla piękności jej duszy, która teraz prawością swego bezkłamstwa, prawością dążenia do wieczystej miłości, prawością sentymentu bezkresnego i zupełnego, dorównywała najzupełniej artystycznej wartości jej postaci. Karol, całując Helenę, zdawał się obejmować wdzięczną pieszczotą nietylko jej ciało, lecz ją całą — zdawał się wycałowywać swą duszą jej duszę i nadawać jej piętno.

Helenie w jednej chwili przemknęło jak strzała wspomnienie Weryhy, lecz to było mgnienie oka, coś jakby ptak jakiś z szaloną chyżością przesunął się w jej myślach. I nagle napadł ją lęk, ten lęk, który zdawał się być odegnany przez Karola w jakąś przepaść. Zimno przerażające, śmiertelne ogarnęło ją całą. Poczuła się lekka cieleśnie, a duchowo sobie obca. Odlatywała od siebie, pozostawiała tę biało ubraną damę w objęciach rozkochanego człowieka. Ciało pozostawało, dusza wyszarpywała się konwulsyjnie z piętna pieszczot i uciekała pod strop gwiaździstego nieba.

Teraz byli pod pałacem Desdemony o wielkim balkonie, zajmującym niemal cały front domu. Legendowa postać murzyna, jak czarny, żałobny irys, kwitnęła na tle białych marmurów.

Z Piazetty drżały światła i biegł szmer głosów...

W tem niepewnem świetle Karol dojrzał twarz Heleny. Zmienioną była tak strasznie, iż ani na chwilę nie

wątpił, że znów napadła ją zmora trwogi, jak wtedy na wybrzeżu morskiem. Oczy jej, szeroko rozwarte, z wyrazem dzikiego lęku wpatrywały się w przestrzeń. Po czole płynęły krople potu — widać było, iż straszną chwilę przebywa ta żyjąca istota. Całą siłą woli czepiała się odlatującej duszy. Ciało jednak było mdłe widocznie i siłą pieszczot pozbawione władzy.

Dusza fryumfowała.

A w Karolu zbudziło się w tej chwili dzikie, fatalne pragnienie. Chciał tę kobietę kochać całą — jak jest — żywą — to jest jej ciało ożywione duchem. Zapragnął, zdaje się, nawet teraz więcej jej duszy, niż ciała, może dlatego, że oddalała się od niego królewska i gardząca. Pochwycił zziębniętą Helenę w swe ramiona i wpił się wzrokiem w jej oczy.

— Zatrzymaj ją — każę ci!... — wyszeptał.

Ona go pojęła — jakkolwiek głos jego doleciał do niej, jakby przez szum trzcin. I pierś jej podniosła się jękiem, a ręce wyciągnęły się z wysiłkiem najwyższym, jakby coś chwytały w przestworzu. Potem ręce Heleny wysunęły się do jej piersi, jakby pojmawszy coś niewidzialnego, tuliły z całą siłą i dzikością. Był to wysiłek straszny i grozy pełen. Gondola sunęła tak cicho teraz już po pełnem morzu w stronę Lido, iż zdawała się ślizgać po falach. Wenecja nikła i światła jej przechodziły znów w legendowe, drżące złotem filary.

Karol, pochylony, śledził wyraz twarzy Heleny.

Ona po owym wysiłku pozostała jeszcze nieruchoma — lecz życie zdawało się powracać do jej ciała i napełniać je dawnem ciepłem. Usta jej zaznaczyły się wązką, różowawą linją, ręce straciły marmurowy chłód i sztywność.

I wreszcie otworzyła opuszczone na chwilę powieki i jakby powracała z jakiejś bardzo długiej i wyczerpującej podróży — wyszeptała:

— Oto jestem!...

Jego ogarnęło teraz jakieś wielkie rozrzewnienie. Uczuł prawie lęk, trwogę przed tem, co zaszło. Dla niego ta ulatująca w przestrzeń dusza powróciła znów do ziemskiej powłoki. Jego głos sprawił ten wielki cud miłości. Nie jej wola sama tu działała, lecz jego rozkaz.

Z dumą wielką i jakąś wdzięcznością pochylił się ku rękom Heleny i całować je począł. Ona uniosła się trochę na poduszkach i cicho — prawie niedosłyszalnie wyrzekła:

— Mam nie opuszczać cię więcej?...

— Tak! — odparł po pewnem wahaniu mężczyzna.

Lecz ona powtórzyła raz jeszcze i teraz głośniej:

— Mam nie opuszczać cię więcej?...

Promieniała jak zjawisko w zielonem, lekkiem świetle latarni. Delikatną była i piękną — miłośnie piękną, szlachetnie piękną i rozkochaną. Widoczne było, iż ten czar jest tak silny, tak potężny, iż głuszy w nim wszystko.

— Nie opuszczaj! — prosił gorąco, a w głosie jego brzmiały silne, namiętne tony.

Ona z ufnością bezgraniczną istoty zwalczonej, zdającej się na łaskę i ścielącej swą dolę do stóp drugiej istoty — wyciągnęła ku niemu ręce.

— Pozostaniemy więc na zawsze razem! — wyrzekła z prostotą.

On znów ku rękom jej się pochylił i tak już ustami do jej dłoni przylgnąwszy, pozostał jak senny, jak urzeczony, aż do chwili, w której gondola przybiła do brzegów tonącego już prawie w zupełnych ciemnościach Lido.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
[illegible] BARAN

XXIV.

Jak zorza poranna nagle z poza osłony nocy tryskająca, tak zaróżowiła się nad Heleną atmosfera miłości

Kochała pełną piersią, kochała pełnią zmysłów, kochała rozumem, uczuciem i duszą całą. Przywiązywały ją więzy silne do postaci, do ducha, do myśli Karola i tak szła za nim, jak niewolnica, cała drżąca i do ofiary gotowa. Gdy była z nim, czuła się teraz całą i jakby dopełnioną. Myśli jej niedokończone i urywane, które przedtem odbiegały w przestrzeń i nikły w bezdennej i smutnej pustce — teraz natrafiały na grunt podatny, na który padały i rozwijały się wspaniale, jak kwiaty.

Często Helena zdumiona sama zastanawiała się wśród barwnych kłębów tych myśli. Gdy słyszała, jak Karol analizował ją, rozwijał i przed oczy jej przesuwał już ukształtowane i piękne — nie chciała wierzyć, że myśli te powstały z jej umysłu i że zaludniały ogród jej pojęć.

Pod jego wpływem — ta pustka, którą zdawała się mieć w mózgu, ta namiętność małomiasteczkowej burżuazki nikła. Jakby z pustej zupełnie amfory, cudem zaczynał sączyć się strumień, który nietylko miał połysk brylantów, lecz i pewien żar wód, dobywających się z głębin więcej kształconego umysłu. Być może, iż działała tu suggestja i wzrokiem i fluidem. Karol oddziaływał na umysł Heleny, lecz Helena sama czuła, iż chwilami Karol był zdziwiony siłą i śmiałością jej poglądów lub określeń, odrzucającym precz szablon utartych komunałów.

Czasem prześliczny rumieniec zakłopotania wytrysnął na twarz kobiety, jakiś lęk, czy dorówna, czy sprosta biegnącym w dal myślom mężczyzny. Często on przystawał niejako w drodze, oglądał się na nią i dźwigał ją na skrzydłach własnych słów, ku jasności i światłu. Czasem, porwany wirem własnych, zbudzonych myśli, pozostawiał ją jej siłom i biegł bez niej — a ona wtedy pozostawała sama, bezradna i zasmucona tym brakiem tchu i przygotowania, które nie dozwalało jej poszybować z nim razem w krainę

pojęć zbyt śmiałych i pragnień druzgocących, burzących, lecz równocześnie wprowadzających harmonję wielkiej, potężnej Sprawiedliwości.

I gdy Karol tak stanął już na wyżynie sam, obejmując myślą szerokie i rozjaśnione widnokręgi — ona skarżyła się delikatnie i cicho, przypominając o swej obecności, tłómacząc, usprawiedliwiając z tego braku sił umysłowych, które zatrzymały ją wśród drogi bez tchu, oślepłą i ogłuszoną od lawiny jego myśli, spadającej z ogromnym łoskotem z wysokości, na którą wzniósł się silny i potężny.

— Nie mogę nadążyć tym myślom! — mówiła — daruj, umysł mój w takim zastoju.

Lecz on — zwracał się ku niej z dobrocią taką, z jaką się zwraca do dziecka inteligentnego i chętnego w obserwacyjnych ścieżkach.

— Nie! nie! — mówił — staraj się, wniknij, intuicją zrozumiesz mnie, nadążysz.

Całe światy odkrywały się przed nią.

Zasklepiona w ciasnem kole burżuazyjnych wierzeń, miała widocznie w sobie spadłą jakąś gwiazdkę, która tliła w popiele domowego paleniska.

Ginął popiół, żar miłości rozwiewał go w dal i oto gwiazda zaczyna promienieć jasnym, trochę oślepiającym blaskiem. To, co Helenie zdawało się konieczną i prawną słusznością — zaczynało w świetle tej gwiazdy być bezprawiem. Poza płotem tradycją samolubów grodzonym — rozciągały się całe łąki, po których wolno było bujać myśli ludzkiej, oddychającej pełnią swobody i słońca.

Poczuła się człowiekiem — żyjącym, zabierającym pewne miejsce pod słońcem, zrozumiała, iż jest jednem z kółek, potrzebnych do poruszania wszechświatowej maszyny.

— Każde tchnienie twoje jest podporządkowane i konieczne, każdy twój gest odnajdzie się w gestach ludzkości, każda myśl twoja ma naznaczoną godzinę, w której stanie się czynem — mówił do niej Karol.

— Moim czynem?

— Nie, może lat miljony przejdą — gest twój powróci kołem zakreślonem i stanie się częścią składową jakiejś chwili.

Helena posępniała. Czoło jej przecinała bruzda. Pragnienie zużytkowania owoców swych budziło się w niej egoistyczną chęcią.

— Więc nie ja?... — mówiła cicho, a głos jej brzmiał żalem.

Lecz Karol uśmiechał się tajemniczo.

— Co wiedzieć możesz? ty? nie ty?... Czy sądzisz, że to, co w tej chwili w tobie tak cudownie to pragnienie sformułowało — kazało ci w jednej chwili przeżyć całą trage-

dję żalu za tobą samą, nasunęło ci wyobrażenie grobu, a równocześnie przedstawiło rozkosz użycia wyników twej pracy przez ciebie samą — czy to coś — co tak działa, tak jest tobą prawdziwie, istotnie — właściwie — czy to coś zaniknie, zostanie spożyte, zdławione, rozprószone bez śladu?

— Błyskawica przechodzi...

— Wcale nie. Czy wiesz, jakie są skutki tej siły wydzielającej się z taką mocą i blaskiem? Skąd możesz wiedzieć? Ślepi i głusi jesteśmy, ślepi i głusi... nie wiemy nic w tej mierze.

Za ręce go pochwyciła strwożona i drżąca.

— Nie wiemy nic!...

Trwoga przed tą nieświadomością napełniła ją całą. Zimno grobu i czarny wał tajemnicy przejął ją w jednej chwili. Ona, on — dwie trumny.. a potem te chwile konania. I cała zroszona potem wlepiła w niego przepojone trwogą oczy.

— Nie mów!... nie mów!... — szeptała.

Lecz on łagodnym gestem odsuwał ją od siebie.

— Lękasz się śmierci?

Wyczytał to w jej twarzy.

— Tak... tak...

— Przypomnij sobie te chwile, w których twa dusza odlata od ciebie, przypomnij sobie te piękne chwile. W jednej takiej spotkałem cię tu, na tem wybrzeżu. Czy tak bolesna to chwila? Tak bardzo ciężka do przybycia?

Szli znów wolno wzdłuż tego samego wybrzeża, na którem spotkali się po raz pierwszy.

— Tak... strasznie to ciężka chwila — odparła Helena po chwili zastanowienia.

— A wiesz dlaczego?

— Nie — nie wiem, tylko czuję to, i w tej chwili cierpię — na myśl, że się to powtórzyć może.

A ja ci powiem, dlaczego tak cierpisz... Czy chcesz się dowiedzieć, najdroższa?

Stanęli na tem samem miejscu, na którem on ją zastał w ciemni i wilgoci, drżącą, bladą w fałdach białej szaty.

Podniosła ku niemu swą twarz piękną i pełną miłości.

Szal opadł z jej włosów i głowa jej zamajaczyła nagle z tej bieli, jak kwiat śliczny i delikatny, z alabastrowej wykwitający urny.

— Powiedz! wyszeptała.

U stóp ich fale umierały z jękiem.

— Dlatego cierpisz — wymówił, ujmując jej ręce przez fałdy szala — dlatego, że chcesz powrócić... I to ci sprawia ból, to wyczerpuje cię tak strasznie.

Zrozumiała.

I ponownie uczuła dla niego wielką wdzięczność.

Tak, on odkrył jej wtedy tajemnicę, czem jest ta trwoga ten tęk — teraz wyjaśnia jej, dlaczego ona cierpi, pomimo, że uczucie to mieści w sobie i lęk i jakąś dziwną, kojącą rozkosz wyzwolenia.

Oczy jej otwierają się szeroko; zdaje się jej, że ta chwila decyduje o czemś ważnem, najważniejszem w jej życiu.

— Więc... gdybym, gdybym nie walczyła...

— Umarłabyś słodko i rozkosznie.

Jak echo powtórzyła:

— Słodko i rozkosznie!...

Przymknęła oczy i stała tak chwilę, aż nagle miękim ruchem osunęła się przed nim na kolana i zaczęła gorąco całować jego dłonie.

— Dzięki! dzięki!...

Nie mówił nic, zrozumiał, iż dziękuje mu tak pokornie za to, że... nauczył ją umierać.

Podniósł ją z ziemi całą we łzach.

Miała wyraz twarzy jakby zrezygnowany i dziwnie uspokojony.

Łkała cicho i dwie strugi płynęły po jej twarzy.

Zaczął delikatnie oczy jej całować.

Pod jego pocałunkami zatamowały się strugi łez...

Usta jej, gorące jak kwiat granatu, szukały jego ust i do nich przylgnęły.

Przycisnął ją do siebie, jak statuę doskonałą i piękną, wiotką w fałdach lnianych draperyj.

Nad niemi stopniowo błyskały gwiazdy, przedzierając czerń nieba.

I pomimo tego upojenia, Helena czuła, że kocha Karola nietylko ciałem, lecz myślą swą i duszą, która garnie się ku niemu wdzięczności pełna.

Gdyby w tej chwili ten człowiek głosem rozkazu zawołał: „Daj życie swoje"! — umarłaby cicha i posłuszna, oddając mu siebie konającą ciałem, myślą i duchem, tak jak oddawała mu siebie żyjącą ciałem, myślą, duchem.

Pełnia uczucia, pełnia miłości całej, doskonałej, rozpięła nad nią swe tęczowe bramy.

I w blaskach tych tonęła jej istota, szczęśliwa z tego, że mogła być nierozerwalną, że mogła mieć całe zadowolenie, bez luk, bez pustek, bez smutków i chłodu, powstającego z jednostronnego oddziaływania niepełnej miłości.

Duch, ciało, umysł — i wszystko — całe — jak tęcza doskonałe, piękne, harmonijne.

A przecież Helena nie była szczęśliwą.

XXV.

Dlaczego?

Zdawała się w tej chwili posiadać wreszcie to, za czem dążyła.

Pragnęła miłości i żyła w tej krainie z taką siłą, że zdawało się, iż codziennie przeżyła już całe swe życie i nic więcej ponad to, co doznała — doznać już nie jest w stanie.

A jednak — robak zwątpienia jakiegoś toczyć zaczął jej serce.

W Karolu było napozór całe oddanie się człowieka, który ogarnia istotę kobiety siłą swej wyższości, ujarzmia ją, a przecież ulega jej czarowi i ścieli się niemal do stóp jej — pokorny i uległy w swem świeżem zwycięstwie.

Otwierał przed nią swe myśli, przemawiał przy niej i wobec niej głośno i często, pozwalając się unieść zapałowi, jaki żarem przejmował zasłuchaną i rozkochaną kobietę.

Lecz mówił z nią o rzeczach zewnętrznych, o błędach ustroju społecznego, roztrząsał jej w tym względzie przekonania, rzucał ją w wir jaskrawych prawd, zrywał z jej oczów kastowe zasłony przesądów. Troszczył się o jej duszę, napawał się wonią tej duszy i przypatrywał się z oddali jak gwieździe, którą ożywiał gorącem tchnieniem.

Radość błyszczała w jego oczach, gdy dusza ta nabjerała coraz żywszego blasku. W miłości swej znajdował całe snopy iskier, które dorzucał do tego rozpłomieniania się kobiecego duch-gwiazdy i potem z rokoszą potrącał o struny myśli Heleny.

— Patrz! — mówił — to dała nam twoja dusza — taką chwilę niezwykłą i podniosłą... Patrz, ciesz się, bądź dumną... toś ty, to właściwie ty jesteś...

Lecz — ze siebie, ze siebie samego — Karol nie dawał nic.

Myśli, myśli i słowa.

A potem zajęcie się nią i wielkie bezbrzeżne uczucie.

Sam zaś zawarł zazdrośnie gmach, w którym żyła jego dusza.

U drzwi tych stała Helena z początku zdziwiona.

Próbowała dostać się do wnętrza, lecz od razu zrozumiała, iż ma przed sobą przeszkodę nie do przebycia.

Czy duch Karola pragnął być samotny i w samotności tej pozostać na zawsze, czy duch jego miał za temi zawartemi wrotami jakąś ukrytą zazdrośnie tajemnicę — tego już Helena przeczuć nie mogła.

To jedno wiedziała, że ona żyła dla Karola cała przejrzysta i jasna.

Znał ją w każdym ruchu, w każdym geście, w każdym odruchu jej duchowej istoty.

Lecz on — pozostał dla niej sfinksem — przed którym napróżno łamała się w bezsilnej chęci dostania się przed oblicze jego duszy. Miłość jej była zadowoloną względem niej samej, nie miała życzeń, wszystkie one w złotem kole, zakreślonem możliwością granic potężnego hymnu uczucia, — zostały wysłuchane, lecz gdy ona teraz z kolei pragnęła stanąć na tem miejscu, na którem Karol znajdował się względem niej — wyczuwała przed sobą głuszę i pustkę.

I tak ją to całą na wskróś przeszywało bólem, iż straciła siłę i możność zorjentowania się w tej sytuacji. Nie mogła znaleść punktu, który posłużyłby jej za oparcie w tych chwilach i który może skierowałby ją na właściwą drogę.

Kilkakrotnie, z niezręcznością pewną — jakby nagle oślepła, rzucała się ku tym zamkniętym wrotom cichej, duchowej świątyni.

Lecz — oto — spotyka się z jakąś siłą i chłodem, którego nie przewidywała.

Instynktem cofała się, czując, że straciła na chwilę grunt pod stopami.

— Dlaczego jesteś tak skryty? — zapytała raz stłumionym i jakby niepewnym głosem.

Lecz on zdawał się być zdziwiony.

— Ja? skryty? Ale ja jestem zanadto otwarty. Dlatego mam tylu nieprzyjaciół...

— Nie... nie... — pochwyciła Helena — ja czuję, ja rozumiem.

— Co? co?...

W niej aż dech zamierał z niepewności.

Bała się powiedzieć mu otwarcie, o co jej chodzi — lękała się płoszyć widma, któro niewyraźne tuż koło siebie czuła.

Lecz nagle postanowiła przemódz ten lęk i sformułować bliżej swe cierpienie.

— Ja nie jestem dla ciebie tem, czem ty jesteś dla mnie!... wymówiła z wysiłkiem.

On nie zaprzeczył.

Poważnie spojrzał na nią i wreszcie wyrzekł prawie surowo.

— Bo tak być powinno!...

W niej wezbrała się jakaś silna egzaltacja, która skłoniła ją do pewnego buntu.

Nie! Nie! — zawołała, sam mówisz, jesteśmy równi, ty, ja, kobieta, mężczyzna. Mamy jednakowe dusze... Dlaczego jednak tyś poznał moją, a ja napróżno dobywam się do twojej i przystępu do niej znaleść nie mogę...

Karol powstał z ławki, na której siedzieli i oddalił się kilka kroków.

Zdawał się być silnie wzburzonym.

Ona — sądziła, iż oddala się od niej, odchodzi dotknięty boleśnie.

Ogarnęło ją lodowate zimno.

Zatrzęsła się cała, wyciągnęła ręce.

— Karolu! — zawołała gwałtownie.

Odwrócił się w tej chwili i podszedł do niej. Usiadł i objął ją silnie. Uczuła, że ramię jego drży także nerwowo. Na twarzy miał wyraz nieokreślonego zgnębienia.

Ona już wyrzucała sobie niebaczne słowa.

Kornie mu do ramienia przylgnęła.

— Daruj! — wyszeptała — zapomnij! Postępuj, jak zechcesz...

— Jak muszę!... przerwał jej prawie bolesnym tonem.

W świetle elektryczności, która zalewała białym blaskiem ogród Stabilimenta — twarz jego wydawała się w tej chwili dziwnie znużona, postarzała i blada.

— Tak... tak... jak musisz — powtórzyła Helena. — Lecz zaraz oczy swe wlepiła w jego pobladłe oblicze i dodała:

— Ducha mego budzisz, krzepisz, żyć i umierać uczysz... a twój duch przedemną otula się w skrzydła i zabłysnąć nie chce....

I Helenie zdawało się, że w istocie duch Karola, cały ciemny, osłania się ogromnym cieniem czarnych skrzydeł i stoi tak nieruchomy, niemy, na straży ich miłości, jak posąg z czarnego marmuru u wrót grobowca.

XXVI.

To był jeden cień, który zapadł na tęczę miłości, rozwianą ponad Heleną, i cień ten zaczynał kryć sobą chwilami jasne i wyraźne barwy tej tęczy.

To, co przedtem było jej rozkoszą, to jest to przeczuwanie i zrozumienie Karola wówczas, gdy go przy niej nie było — znikło zupełnie.

— Nie znam go! — myślała ze smutkiem.

Zaczynał być dla niej tajemniczym nieznajomym, który się jej ukazał pamiętnego wieczoru nad brzegiem morza.

A przecież był jej tak bardzo bliskim. Zdawało się, że więcej nie może wniknąć już nikt w jej serce, umysł i duszę. Pieszczoty jego kazały jej omdlewać i okrywały ją jakby siecią czarujących kwiatów. — Spadały na nią jak lawina róż i znikały wraz z jej tchnieniem. W upojeniu tem odrętwiała prawie, traciła na chwilę świadomość smutku, który ją szarpał. Powracając jednak do świadomości, natychmiast zaczynała uparcie rozgoryczać się i dręczyć.

I znów powróciła do ataku — już nie tak kornie, bo zdenerwowana i bólem swoim przeczulona.

— Więc... nigdy? — spytała go raz, gdy z nad brzegu powracali późnym wieczorem do hotelu.

Nie powiedziała już nic więcej, ale on odczuł ją w lot.

— Nigdy! — odparł prawie natychmiast silnym i pewnym głosem.

— Nawet... nawet wtedy, gdy będziesz... mężem moim?

Nie było odpowiedzi.

Ona to wzięła za triumf, za jakiś cień nadziei.

Zaczęła nalegać.

— Nawet wtedy?

On zatrzymał się. Byli właśnie w cieniu kabin, które długim, ciemnym murem wyrastały na smukłych falach z piasku.

— Czy chcesz, ażebyśmy się rozstali?

Wybełkotała z trudem.

— Jakto? Rozstali?...

— Bo dręczysz mnie. Ja tego nie zniosę. Pragnę, ażebyś była kwiatem i czarem mego życia. Tego od ciebie pragnę tylko.

Lecz ona mimo trwogi, w jaką ją rzuciły jego poprzednie słowa, nie chciała odstąpić od swego pragnienia.

— Kwiatem — czarem! — powtórzyła z goryczą — zgoda. Lecz dlaczego każesz mi nie znać się wtedy, gdy ty znasz mnie tak dokładnie?

Nie było odpowiedzi.

— Odpowiedz, dlaczego?

On zdawał się walczyć z chęcią wypowiedzenia się jasnego i dokładnego — coś migotało w jego oczach, rozchylało mu usta. Zdawało się, lada chwila posypie się sznur słów strasznych, nieodwołalnych.

W piersi Heleny załopotało gwałtownie serce. Czekała — chciała pochwycić choćby w lot to druzgocące wyjaśnienie.

Lecz — to trwało sekundę, może dwie.

Z wielką powściągliwością, napiętnowaną bólem — Karol przemówił wreszcie:

— Nie teraz... później powiem ci dlaczego.

— Musisz!

I zaraz dodał, jakby z litośną groźbą:

— Kobieto... nie burz swego szczęścia!..

Odpowiedzią był mu śmiech jej krótki, pomieszany z łkaniem.

— Szczęścia? — ha! ha!... szczęścia!...

Szybko porwał ją za ręce.

— Jesteś nieszczęśliwą? Już?... teraz?...

Z kolei ona nie dawała odpowiedzi.

Milczeli długą chwilę. Zimno głębokiego nieporozumienia przeszło na wskróś ich serca. Pierwsza ocknęła się Helena. Instynktem odgadła, że nie powinna pozwolić przedłużać się tej chwili, inaczej zarysuje ona taflę ich życia zbyt ostro i głęboko.

Wszakże całe życie mieli iść razem, należało więc unikać bolesnych rys, o które pierwsze ich kroki potykać się miały.

— Co będzie dalej? — przemknęło jej przez umysł, na wzór spłoszonego ptaka.

I z trwogą pomyślała o tem czemś „nienaprawionem", które stać się mogło pomiędzy nimi dwojgiem.

Po kobiecemu zapragnęła ocalić siebie i jego od grożącej fali.

Uczepiła się nadziei, cienia, cienia....

— Więc... później, co?

On był zdenerwowany, osłabły pod wpływem tej ciężkiej chwili.

— Tak... tak... Bądź pewną...

I znów niby napozór uległa, ciesząc się gorączkowo podaną jej obietnicą.

— Tak... więc będę czekać...

— Czekaj!

Ujął jej śliczną głowę w swe silne dłonie. Odchylił trochę jej twarz i choć było ciemno, wpatrywał się w nią usilnie.

— Ciemno już!.. zaśmiała się nerwowo Helena.

— Dla mnie nigdy nie jest ciemno, widzę cię zawsze doskonale. Tylko...

Urwał jakby zdziwiony.

— Tylko nie mogę odczuć stanu twej duszy, stanu w tej chwili...

— Nie możesz?

Wysunęła mu się z rąk.

W tem jednem „nie możesz" — wypowiedzianem przeciągle, był już świat cały.

Przygarnął ją znów do swej piersi i chciał ją wyprowadzić z cienia kabin na płaszczyznę piasku.

— Chodź, tu, pod gwiazdy — wyszeptał.

Gdy postąpili te kilkanaście kroków, wpatrzył się znów pilnie w jej twarz i wreszcie ręką swą posunął wzdłuż jej delikatnych policzków.

— To dziwne!... — powtórzył.

Ona nie odpowiedziała nic, czując jakby coś złego, buntującego się w niej cicho i niewyraźnie. Coś w niej pełzało i zasłaniało powoli przejrzystość jej charakteru. Nie starała się temu przeszkodzić. Ze smutkiem była po prostu świadkiem tego fenomenu.

— To dziwne!...

Chwilę trwało milczenie zimne, ciężkie, fatalne. Wreszcie równocześnie skierowali swe kroki w stronę placu. Szli przyciśnięci jedno do drugiego, on rękę jej trzymał w swoich rozpalonych dłoniach. Gorące dreszcze przebiegały ich ciała i łączyły ze sobą. Duchem jednak odbiegali od siebie. Widoczne było, iż najzupełniej niezależnie ciała ich pragną się i łączą. Dusze wszakże raz spotykają się, porozumiewają, to znów odtrącają się i ranią wzajemnie.

Utarte komunały płaskich badaczy wskazują na wieczystą walkę dwóch płci.

Tu nie walczyły dwa ciała nienawidzące się i ubóstwiające kolejno; ta walka była niczem, a może nawet i nie istniała, bo jednako byli nienasyceni i spragnieni siebie — lecz walczyły tu dwa duchy — jeden silniejszy, drugi słabszy, który mimo to za słabszego uznać się nie chciał. Tamten — duch zwycięzca, otulony ciemnemi, zagadkowemi skrzydły, podniósłszy ku sobie omdlewającego i dążącego

już do śmiertelnego oswobodzenia ducha kobiety — odpychał go teraz od skarbów, które on posiadł i krył zazdrośnie pod skrzydłami swemi.

Czy sądził ten duch silny i ponuro w sobie zamknięty, że duch słaby — tą właśnie słabością zdoła oddziałać na niego ujemnie i na rozwianych swych skrzydłach, osrebrzonych rosą syntymentu kobiecego, rozniesie mu w nicość to, co on tak mozolnie gromadził do oświetlenia swego czasowego pobytu?

Czy to sądził ten duch ponury i tajemniczy, czy tego się lękał?

. . . . . .

Czasem mówił o swej przyszłości, to jest Helena mówiła, bo on na wszystko się zgadzał, całując jej ręce, które zawsze porównywał do konchy muszlowej.

W tych złożonych, różowych dłoniach chłodził swe rozpalone wargi i na projekty jej co do urządzenia życia we Lwowie odpowiadał miękko:

— Jak chcesz, jak chcesz!...

— Czy będziesz musiał być nadal adwokatem? — zapytała pewnego poranku, gdy się zeszli pod dachem swej słomianej chatki.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ależ ja kocham mój zawód! — odparł trochę szorstko.

— Zawód taki musi być ciężki... — tłumaczyła się. — Sądzę, że dla samego zdrowia powinienbyś go rzucić.

Milczał chwilę — potem prawie brutalnie zmienił przedmiot rozmowy.

— Namyśliłem się... nie pojedziemy już więcej do Wenecji.

Od owego pamiętnego wieczoru i przejażdżki w gondoli nie byli wcale w Wenecji.

Ona usiłowała się uśmiechnąć.

— Nie pragnę tego wcale.

Lecz duszę jej nurtował znów straszny niepokój.

Widzisz, widzisz — mówił ten głos wewnętrzny, jak on unika z tobą wszelkiego wyjaśnienia tego, co się w nim dzieje, co on postanawia, co jemu jest w jego duchowem życiu konieczne. Widzisz, czem jesteś dla niego.

Karol siedział znów przy drzwiach na tle zielonej draperji.

Dnia tego miał nadzwyczaj wiele życia gorączkowego w swych źrenicach, a rysy jego twarzy z ostrą energją odbijały na rozkosznej barwie jasno-zielonej tkaniny.

Helena, jak zwykle, ubrana biało, leżała na swym trzcinowym fotelu, bawiąc się wiązanką nicejskich narcyzów, które on jej wczesnym rankiem do okna wrzucił.

— Nie wezmę cię więcej do Wenecji — zaczął znów — bo na punkcie piękna widzę w tobie samo uwielbienie, które nie pozwoli ci odczuć pojmowania piękna przez innych. Jesteś jednym z tych kwiatów, które bielą się w twych rękach. Sama jesteś uosobieniem tego piękna, które jest twoim ideałem. Powiedziałaś to tutaj — przed kilkoma dniami.

Myśl jej cofnęła się w owe dnie, gdy miłość była u progu tego słomianego domku gorejącego złotym blaskiem w promieniach słońca.

I żal ją ścisnął za serce, żal jakby za czemś umarłem a bardzo kochanem. Ból ten był tak dojmujący, iż porwała się z krzesła, rozsypując dokoła kwiaty.

— Weź mnie stąd!... — zawołała — uciekajmy, uciekajmy!... ja tu być nie mogę!

Teraz on pobladł, jakby zobaczył przed sobą jakieś groźne widmo.

— Chcesz wracać? Do Lwowa? — zapytał zdławionym głosem.

— Nie wiem... chcę tylko ztąd uciec.

— Dlaczego stąd?... Wszak tu żyjemy wśród naszego świata, który wytworzyliśmy sobie we dwoje...

Ręce jej odrywał od twarzy, jakby chciał, spojrzawszy na nią, zrozumieć, co się z nią dzieje. Lecz prędko — odepchnął ją prawie od siebie.

— Nie wiem... nie wiem. Zaczynam nierozumieć cię teraz!...

Wewnątrz jej duszy coś krzyknęło triumfalnie.

Pochyliła się i zebrała narcyzy rozsypane na ziemi. On stał teraz we drzwiach i patrzył na morze.

Ruchem kota zbliżyła się ku niemu Helena.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

— Gniewasz się? — zapytała.

Zdziwiła się sama, jaki miała głos, jakie miała ruchy.

To nie była ona, bo od chwili zbliżenia się do Karola cała jej lekka kokieterja znikła zupełnie. Tymczasem, ten miękki ruch, ten wabny gest, to coś w głosie przypomniało dawną, przeciętną kobietę — tę Helenę Durantin'a.

Widocznie zmiana ta, jakkolwiek dość delikatna, była przecież nadto wyraźną, aby Karol nie odczuł jej choć w części.

W odpowiedzi usunął swe ramię i wyrzekł niskim, urywanym głosem.

— Tak... masz rację... Jedźmy stąd! Jedźmy jak najprędzej... w świat!... gdziekolwiek!...

— Wracajmy do Lwowa!

Porwał się jak szalony.

— Nie! Jeszcze nie!...

Ręce jej złożył „jak muszlę“ zanurzył w muszli tej swe usta.

— Nie!... nie wracajmy do Lwowa! — prosił.

W jednej chwili stał się zgnębionym, trwożnym.

Ona to dostrzegła i pastwić się nad nim zaczęła

— Dlaczego! — urządzimy wszystko do ślubu — lepiej już skończyć z tem prędzej.

— Tak... tak... ale jeszcze mamy czas!

Powoli posunął ją na fotel i ukląkł przy niej. Narcyzy rzucił jej na kolana i głowę oparł o nią. Zdawał się chronić przed czemś — lękać się — tulić się jak małe dziecko. Lecz w niej, rzecz dziwna, nie zadrgała struna litości. Wyprostowana, siedziała prawie chłodna i spokojna.

— Jeżeli chcesz, możemy jechać jeszcze w świat — wymówiła wreszcie z wielkim spokojem w głosie.

Odsunął się od niej i patrzył jej badawczo w oczy.

— Co tobie?

— Mnie? — nic!

Długiemi rzęsami przysłoniła źrenice.

Delikatnie, powoli podniósł palcami te ciężkie, trochę sine powieki.

Wytrzymała jego spojrzenie i czuła, że to coś złego, mętnego, co było w niej ukryte, wypełzło teraz i zaczaiło się w jej wzroku.

— Jakie ty masz teraz smętne spojrzenie! — wyrzekł powoli Karol i ręce jego opadły jakby w zniechęceniu.

Bezczelnie odparła:

— Zdaje ci się!

Byłaby wypoliczkowała siebie za to marne słowo.

Patrzyła na niego i przyszły jej na myśl pieszczoty, jakiemi ją obsypywał. W jednej chwili tysiące igieł przeszyło jej ciało. I uczucie to — po raz pierwszy, zamiast pociągnąć ją ku niemu — rzecz dziwna, oddziałało przeciwnie.

Powstała z fotelu i stanęła we drzwiach chaty.

— Plamy na tęczy? — pomyślała, posyłając wzrok w dal — ponad morskie, spokojne fale.

On chwilę jeszcze klęczał samotny i zgnębiony. Wreszcie podniósł się energicznym ruchem i zbliżył ku niej.

— Idę zarządzić wszystko do wyjazdu, jutro pojedziemy do Lucerny!...

— Dobrze! odparła posłusznie.

Wyszedł — a ona śledziła go jakimś zimnym i dziwnym wzrokiem, jak oddalał się i nikł powoli w zakręcie ścieżki.

. . . . . .

Pozostawszy sama — Helena nie poruszyła się nawet z miejsca. Zagłębiła się w swoją duszę i darła ją na strzępy.

— Kocham i cierpię — myślała — cierpię i czuję, jak

mnie to cierpienie zamiast uszlachetniać — czyni pospolitą i nikczemną. Za chwilę stracę nawet poczucie piękna i artystyczną miarę... A przecież to nie nerwy, to coś więcej we mnie łka i płacze i zamąca wzrok. Badam się, analizuję i widzę, że nerwy tylko pozornie grają. Cierpi we mnie zawiedziona i zraniona dusza.

Pobiegła w dal wzrokiem, jakby w niedościgłych przestrzeniach opalowej barwy szukała ukojenia. Lecz ta jednostajność morza raniła ją coraz więcej. Cofnęła się i zapuściła draperję portjery.

Cała chatka wypełniła się mdłym, rozkosznym półcieniem.

Helena usiadła na fotelu i znów zapadła w zadumę.

— Życie całe — myślała — będziemy żyć wspólnie obok siebie. Lecz jak różnie! Ja dla niego przejrzysta, bez tajemnic, książka w jednej chwili przeczytana i odczuta. Na książce tej widocznem jest, że sprawia mu pewne zadowolenie poprawiać znaleziony już tekst, prostować go i płomiennemi zgłoskami pisać inne, śmielsze prawdy i pojęcia. Znajduje w tem duchową rozkosz i pieści mego ducha szlifując go, ze zwykłego djamentu przekształcając w błyszczący brylant. To on. Ale ja?... Czyż i ja nie powinnabym jako żona, jako drugi on, jako dozgonny jego towarzysz — czytać również w księdze jego ducha i doznawać tej samej rozkoszy, jaką on doznaje.

Gorycz straszna przepełniła jej serce.

Jakiś chłodny wicher zaczął poruszać firankę. Zanosiło się na burzę. — Helena nie zwracała na to uwagi, pogrążona cała w swych myślach, które coraz ciemniejszym wałem tłoczyć się ku niej zaczęły.

Widziała teraz jasno konsekwencję postępowania Karola.

Zrozumiała, że prawie bez jej woli, bez jej wiedzy staje się w niej przewrót — i że ona teraz zacznie kryć swą duszę przed analizą tego człowieka. Już dwukrotnie coś wstrętnego występowało z wnętrza jej ducha i zasłaniało ją przed jego badawczością. To jedno widocznie było silniejsze od niego. To jedno mętne i złe, którego źródła ona dostrzec ani zrozumieć nie mogła. Czuła tylko, że zbudziła się w niej i teraz występuje na karty księgi, jak mech, jak pleśń nie przejrzysta — rozciągająca się coraz dalej.

— Sam winien! — pomyślała!

A teraz — jakież będzie nasze pożycie?, zastanawiała się dalej. Pobierzemy się — bo ja bez niego, i on zdaje się bezemnie żyć nie będzie w stanie. Nie wyobrażam sobie już mnie inaczej — jak z nim i jego własnością. Lecz pomimo ślubu, pomimo nawet gdyby i on później ustąpił i dozwolił mi czytać w księdze swego ducha, to czy ja już będą miała dość siły, aby zedrzeć tę pleśń, jaką czuję rozpościerającą

się na mojej duszy. Czy nie straci on władzy nademną — tej władzy olbrzymiej, pełnej, jaką objął od chwili pierwszego spotkania się naszego? — A wtedy ja w jakież pójdę manowce? — Z nim i bez niego. Błąkać się zacznę gorzej, niż błąkam się w tej chwili, a cierpieć będę znacznie więcej — bo ja wiem, ja nigdy nie zobojętnieję do tego stopnia, ażebym mogła powiedzieć sobie:

— Mniejsza z tem!..

Wiatr coraz więcej szarpał firankę. — Chwilami, gdy zasłona podnosiła się, ukazywał się skraj horyzontu szary i powierzchnia silnie pomarszczonego morza. Cała natura przybierała niewyraźny ton i barwę jakiegoś niespokojnego smutku.

— Nie mam zwyczajnej, przeciętnej natury kobiecej — myślała dalej Helena — inna na mojem miejscu czułaby się nad wyraz szczęśliwą. Osiągnęła bowiem wszystko na pozór, o czem marzyć mogła, wszystko, całe zadowolenie zmysłów i serca. — Widocznie więc budzi we mnie się coś innego jeszcze, pragnie, pożąda, obija się o jakieś zamknięte wrota, za któremi przeczuwa inne światy i całą egzystencję dla siebie zamkniętą i nie dostępną. — Stosunek mój do Karola winien być inny, niż stosunek przeciętnej żony do męża. Przy ołtarzu mam przysięgać — miłość, wierność i posłuszeństwo... Lecz jak daleko rozciągać się ma ta miłość, tego nie określa nikt nigdy, jaką ma być ta wierność — czy tylko cielesna, i o tem nie poucza przysięga, do czego zaś odnosi się owe posłuszeństwo? — Czy do przyjmowania zakreślonych samowolnie przez męża granic, według których ma się normować wzajemne ich odczucie i pojmowanie ducha.

I dalej, Helena zaczynała pojmować, że Karol, rzuciwszy jej przyrzeczenie „później“ — uczynił to jedynie dla uspokojenia jej, dla uzyskania czasu — a nigdy, nigdy nie uczyni zadość jej żądaniu. — I wielki żal, bezbrzeżny i bolesny wezbrał na tę myśl w jej sercu, bo wyczuła, że Karol ją zrozumiał, że umiał zgłębić ból, jaki jej postępowaniem swojem zadawał — a mimo to nie usuwał przyczyny i tylko jak dziecko kołysał ją do snu pieszczotą i obietnicą.

Zbuntowało się coś w jej duszy teraz jasno i wyraźnie.

Razem z wichrem, który wstrząsnął ścianami jej chatki, wstrząsnęła się w niej wola i chęć odwetu.

— A więc i ja od dziś — zostanę dla niego tem, czem on dla mnie — pomyślała z siłą — i ja zakryję tajnie mej duszy, niech nie wie nic. Uśpię przemocą to, co we mnie zbudził. Nie podążę za nim, gdy mi ukazywać będzie inne, stosowne dla mnie, a wielkie prawdy. Wolę nie wiedzieć nic — pozostać na dawnym moim piedestale Piękna i wejdę znów pod kolumny świątyni estetycznych zadowoleń. Tam zostanę sama z moją półsenną duszą — równie senna cia-

łem jak duchem. — Pomiędzy sobą i nim zawrę podwoje ze stali — tak silne i nieprzebyte, jak te, które on pomiędzy mną i sobą postawił. Jak kwiatami, tak osypię go swemi pieszczotami, jak deszcz letni i wonny, tak spadnie na niego dobroć i łagodność mych serdecznych porywów — lecz to będzie wszystko.

Wszystko!...

Z podmuchem wichru uniosła się zasłona u drzwi chaty i ukazał się Karol.

Był silnie podniecony, oczy błyszczały mu fosforycznym blaskiem.

— Chodź!... zawołał — za godzin dwie opuszczamy Lido i Wenecję. Powiozę cię do krainy ośnieżonych gór i szmaragdowych jezior. Całe purpurowe powita nas słońce o wschodzie, a mgły kłębami słać się będą u naszych stóp. Uciekajmy stąd! Tu niebo straciło czystość swą i barwę. Szare jest i smutne... chodźmy stąd!

Powstała i szła prosto ku niemu, a usta miała przystrojone w uśmiech serdeczny i powabny. Wyciągnęła ręce ślicznym, estetycznym gestem i podała się cała naprzód jak łabędź, prujący piersią fale.

— Idę!..! wyrzekła uprzejmie i posłusznie — najchętniej pojadę tam, dokąd mnie zawiedziesz! Teraz już — niejeden Duch ponury i tajemniczy osłaniał swe wnętrza zazdrosnemi skrzydły. W pałacu miłości tych dwojga po drugiej stronie tęczowego łuku stał drugi Duch kobiecy, biały, piękny — który jasnemi skrzydłami przykrył — tak szczerze i jasno otwartą księgę duszy Heleny. — Duch ten miał usta ukwiecone uśmiechem i mroźne, mętne źrenice.

I łak stały te oba duchy coraz więcej obce sobie, pomimo iż poprzednio duch biały, wzięty w niewolę i ujarzmiony na króciuchną chwilę, jedno mgnienie — rozerwał skrzydła czarne i miał cień przewagi nad ponurym swym panem. Powoli przecież duch, któremu okazano nietylko szerokie horyzonty dla jego Wysłanniczki, — Myśli, lecz i nauczono go wyzwolić się triumfalnie i ostatecznie z pęt i oków cielesnych — uległ przemocy.

A teraz znów oddalił się — cicho, spokojnie stanął na boku skryty i nieufny, gotując się do walki, którą przeczuwał i którą prawie wyzywał.

XXVII.

— Idźmy stąd!...

— Chwilę jeszcze.

Ale Helena gorączkowo powtórzyła:

— Idźmy!

Ramię Karola, opasujące ją, zacisnęło się jeszcze silniej.

— Pozostań...

Pozostała więc nieruchoma na tym stoku góry, na szczycie Rigi; wicher prawie mroźny ścinał jej krew w żyłach.

Nie tylko krew, lecz i jej artystyczne porywy.

Pomiędzy nią a przyrodą wznosiła się drewniana barjera.

Było to nic, żerdź położona cokolwiek nad ziemią dla bezpieczeństwa, dla wygody. Ale ta żerdź, to była cała kultura, całe dbanie o siebie człowieka, pragnącego nawet w chwili zachwytu mieć na czem oprzeć rękę, laskę... bedekera — chcącego ustrzedz się przed zawrotem głowy.

Nie tak trzeba patrzeć na majestat gór, nie tak roztaczać wzrok i dozwolić mu iść swobodnie z wiatrem w zawody.

Ta platforma szczytu Rigi — robiła wrażenie platformy pięknej panoramy, zręcznie uscenizowanej przez impressarja.

„Eintritt 50 kr.“!

Brakowało jeszcze słońca, bo skryło się za chmury — zapomniano oświetlić arenę.

Olbrzymie głazy walały się w przepaściach, zielone tafle jezior bez blasku występowały wśród szarzyzny kamieni. — Było to wielkie, a przecież sterroryzowane drobną dłonią człowieka.

I Helena uczuła pogardę dla tych kamiennych potworów, które szarpała i rwała na szczątki naga ręka dwunożnego, inteligentnego, drobniuchnego stworzenia.

Ślepa, bezduszna martwota.

Dusza, wola, rozkaz — a tam siła, ogrom i niedołęstwo.

Czemże te głazy wobec ducha? — Jakiż może być kontakt pana z niewolnikiem? — Stanowczo, zwrot do natury nie możebny, przynajmniej dla takiej duszy — jak dusza Heleny. — Chyba pustynia, wśród której nic nie przypomni zdobywczych zapędów człowieka.

Pustynia.

Lecz gdzie jej szukać!

Stanowczo — dziedzina ducha szersza, większa i wspanialsza w swych objawach. Dusza przyrody już zaznała jarzma i ugina swój kark, buntując się czasami. Lepiej cofnąć się w głąb siebie, w swój krystaliczny domek, gdzie jeden czarujący smutek wart jest więcej, niż sto melancholijnych zachodów słońc, lub opalowych ranków. Do nich trzeba nastrajać i naginać swe usposobienia.

Mgła pragnień, sennych wspomnień, srebrna noc księżyca, głębie tęsknot, przeczuć — jaskrawość słonecznego krajobrazu domaga się brutalnie śmiechu i wesela.

Z tem Helena pogodzić się nie jest w stanie. Dość samolubna z natury, nie pragnie i nie może zmuszać swej duszy do przybierania odpowiedniej roli. Woli jedno i to samo tło bezbarwnego pokoju, w którym przepędza całe dnie i noce, wpatrzona w jeden kąt, w którym nie zmienia się nic prócz gry światła. I dusza jej dowoli zmienia swój nastrój, nie zadając sobie gwałtu, nie dręcząc się niepotrzebnie.

Helena spojrzała na Karola.

Stał zapatrzony w dal.

Oczy jego zdawały się pełne zachwytu, lecz usta uśmiechały się szyderczo.

Po chwili zapytał:

— Cóż ty na to wszystko?

Ręką zakreślił półkole, obejmujące głazy, jeziora, przepaście, góry...

Ona chciała natychmiast oddać mu to zapytanie:

— A ty?

Lecz się powstrzymała. Wiedziała, że nie odpowie jej szczerze. Czuła, że pragnie tylko wysondować jej wrażenia i z nich wziąć podstawę do rozwinięcia w niej upodobania lub zniechęcenia w wyjawionym przez nią kierunku.

Powie z pewnością „zważywszy twe upodobanie“ lub „sądząc cię na podstawie twych nerwów lub pojęć“. Tak. On to wszystko powie i mówić będzie dużo, doskonale, niezwykle. Lecz o sobie, o swem wrażeniu nie powie nic.

Dlaczego więc Helena ma mu pozwalać na analizę jej nastroju, nie dostając w zamian tegoż zadowolenia?

A potem... to ramię! To wiecznie opasające ją ramię, z całą siłą i przedświadczeniem mężczyzny, który w każdej chwili chce mieć dowód własności fizycznej kobiety.

To ramię denerwuje ją w nieopisany sposób, więzi ją, ugniata, pali, jak rozpalona obręcz żelazna. Im silniej zaciska swe ramię Karol dokoła jej postaci, tem silniej ona zamyka się w sobie duchowo, jakby zgorzkniałą czyniąc sobie pociechę.

— Masz nademną przewagę cielesną, lecz nie czujesz, że druga połowa mnie wymyka się z twego żelaznego objęcia, i nie będziesz w stanie nigdy ująć ją tak silnie, aby ukazała ci się w całej swej piękności i tajemniczej głębi.

Po drugiej stronie Heleny — coś przesunęło się cicho i spokojnie.

Jakieś ciepłe, olbrzymie ciało przylgnęło do jej biodra. Obejrzała się. Był to wspaniały, olbrzymi pies — kudłaty, majestatyczny. Podniósł ku młodej kobiecie swój łeb podobny trochę do lwiego pyska i dwie żółte źrenice wlepił z wielką dobrocią w delikatne rysy Heleny.

Ona wpatrzyła się w te wymowne, jasne oczy z całą, prawdziwą rozkoszą. Było w nich tyle równowagi, tyle spokoju, że czerpać z nich można było uspokojenie nerwowe całą masą, bez obawy wyczerpania.

— Ty... dobry! — wyrzekła wreszcie, pochylając się ku zwierzęciu.

Olbrzymia łapa spoczęła z ufnością w jej wyciągniętej ręce.

Karol zbliżył się także.

Patrzył na nich oboje, na nią delikatną, wiotką w białej wełnie obcisłej i falującej miękko, i na to prześliczne, dobre zwierzę — ogromne i łagodne, tulące się z ufnością do nieznajomych mu stóp.

— Odczuwa twą dobroć! — wyrzekł wreszcie z uśmiechem.

— Odczuwamy się wzajemnie! — odparła Helena — a przecież sądzę, że on jest lepszy odemnie. Niezdolny byłby do takich czynów, do takich ja mogę być zdolną.

Karol zaczął śmiać się ironicznie.

— Skąd możesz wiedzieć? Ten pies, oprócz wielkiej dobroci, nic więcej u siebie nie ujawnia.

Ręką przeciągnął po grzbiecie psa.

— Lubię go za to... — dodał poważniej.

Helena natychmiast wypuściła łapę psa ze swej dłoni i spojrzała kolejno na psa i na Karola.

Obaj teraz błądzili wzrokiem po szczytach gór. I jeden i drugi oprócz wielkiej, łagodnej dobroci, która zdawała się być łaskawem ustępstwem na rzecz słabszych istot, nie ujawniali nic więcej na zewnątrz. Spokojni, silni, pełni życiowej energji — hermetycznie zamknęli swe myśli, które teraz musiały przecież, choć w nierównej mierze, a jednak nurtować ich mózgi.

Właściciel psa, kupczący temi wspaniałemi zwierzętami, zbliżył się, proponując nabycie za stosunkowo dość tanie pieniądze.

— Czy życzysz sobie mieć tego psa, Leno? — zapytał Karol zamyśloną kobietę.

Lecz ona szybko zaprzeczyła.

— Nie, nie, chyba, że ty...

— O! ja dla siebie go nie kupię, chciałem go tobie darować.

— Nie, dziękuję!...

Przeszyło ją dziwne zimno.

Człowiek odwołał psa i odszedł z nim do jakiejś nadciągającej karawany Anglików.

Helena oparła się o żerdź i nie mogła po prostu zrozumieć, dlaczego tak jakoś boleśnie odczuła odezwanie się Karola.

— O!... ja dla siebie nie kupię! .

Dla siebie? Czy więc on dzielił jeszcze życie ich dwojga? To, co było kupowane dla niej, miało być przecież w ich wspólnym domu. Więc dlaczego?

On nie rozumiał, co się w niej działo i sądząc, że niezadowolona ze zbyt długiego pozostawania na szczycie Rigi — pragnie odejść — zwrócił się ku niej uprzejmie.

— Chodźmy!

Poszli w milczeniu — on, podtrzymując ją, bo ścieżki były trudne i źle utrzymane. — Minęli hotel, na którym jaskrawo rozwieszały się płachty ogłoszeń vanhutenowskiego cacao i kalodontu. Dochodzili do stacji kolei.

Nagle Helena zatrzymała się.

— Chodźmy ścieżką do Rigi Staffelu — choć ten kawałek, prosiła.

Zgodził się, choć było w tem coś na kształt wahania Powoli stawał się ociężałym i nie lubiał bezpotrzebnych sportów. Lecz widząc jej pragnienie — zgodził się.

Poszli.

Ścieżka ledwie zaznaczona wiła się w nierównych zakrętach po stoku góry pokrytej szarą, jakby spaloną trawą. Gdzieniegdzie rosły krzaki mizerne i smutne. Bezbrzeżna melancholja ponowała dokoło.

Powoli schodzili na dół, tak, że tor kolejowy zakrył się zupełnie przed ich oczyma. Nie było głazów, nie było jezior, nie było przepaści — nic więcej, prócz szarej, pochyłej trochę płaszczyzny, zarośniętej kępkami krzaków.

Chłód zmniejszał się dziwnie szybko. Helena zesunęła z ramion biały pled w wielkie lila kraty, którym miała szyję owiniętą.

Z pod białego beretu wysuwały się jej śliczne, lśniące włosy i spadały silnie na twarz. Nie odsuwała ich, bo two-

rzyły rodzaj delikatnego welonu, za którym kryły się jej oczy.

Szła milcząc — opasana znów ramieniem Karola i rzecz dziwna, w tej ciszy i samotności — usposobienie jej zmieniać się zaczęło. Zdawało się jej, że są we dwoje tylko na jakiejś bezbrzeżnej pustyni, ona, skazana na wieczną tułaczkę, a on, szlachetnie, z dobrej woli idący z nią na to smutne i pełne poświęceń wygnanie.

Szary koloryt nieba i krajobrazu dodawał jeszcze siły tej melancholji, a szum jękliwy wichru, przebiegającego krzaki, budził jakiś dreszcz niewysłowionej tęsknoty.

Serce Heleny tajało, jakby w tej szarości smutnej było przecież ciepło duchowe, mogące dostać się do wnętrza jej serca.

Odgradzała się przed żalem, jaki czuła do Karola, nie chciała myśleć o nim.

Pragnęła w tej chwili żyć sercem całą pełnią i zakazać rozumować i srożyć się swej duszy. Wielka, bezbrzeżna serdeczność przeniknęła ją całą.

I to ramię jego, które przedtem tak ją drażniło brutalnie, w tej chwili zaczynało być dla niej słodką i spokojną podporą.

— Niech będę kobietą! — pomyślała w tej chwili — niech będę przeciętną, rozkochaną kobietą — żyjącą jedynie w nim i dla niego!

Była to prawie błagalna prośba, którą kobiecość serdeczna zanosiła do rozbudzonego i zgniewanego ducha.

— Pozwól mi być szczęśliwą — zaczęła modlić się do samej siebie — szczęśliwą choć na chwil kilka!...

I z wielką, serdeczną ufnością i pokornem jakiemś uczuciem Helena złożyła głowę na ramieniu Karola.

Prowadź mnie!... — wyszeptała.

W dwóch tych słowach chciała zawrzeć program swego życia, „ich“ przyszłego życia. Oddawała mu się cała, nie zostawiając dla siebie ani swej woli, ani chęci samoistnego postępowania. Chciała zaznaczyć, by wiedział, że jest jej przewodnikiem i odtąd on za nią odpowiadać będzie.

Była to chwila abnegacji z jej strony — jakieś przejście kładki rzuconej nad przepaścią, nad którą od samego początku stosunku swego z Karolem stała. Aktem poddaństwa słała mu się do nóg rozmiłowana w tej chwili i pragnęła zagłuszyć niepewność i gorycz duchową.

— Prowadź mnie!

Wdzięk słodyczy kobiecej, promiennej i pięknej oblał ją całą. Blada jej twarz w osłonie rozwianych wichrem włosów, zapłonęła jak jutrzenka. Na oczy opadły ciężkie, sinawe lekko powieki. Cała postać zdawała się nie mieć

woli i być bluszczem, słaniającym się w cieniu dobroczynnego, kryjącego go drzewa.

I tyle wdzięku, czaru, pokory i oddania się było w jej istocie, że on zrozumiał w lot, ile symbolu było w słowach jej i w niej całej.

Zrozumiał, i twarz jego okryła się dziwnym, nieprzeniknionym smutkiem.

Nie mówił nic, choć wiedział, że ona na jego słowa czeka.

Coś rozpaczliwego nawet przemknęło się w jego źrenicach, w kątach ust dumnych i wiecznie sarkastycznych.

Milczenie to było ciężkie, bolesne dla niej i stawało się tak dojmujące, iż ona dłużej znieść go nie była w stanie.

Rozżaliło się jej serce, lecz zapragnęła uratować się przed tym nowym smutkiem, który się do niej zwracał.

— Czyś mnie zrozumiał? — zapytała cicho.

On odparł natychmiast, a głos jego drżał dziwnie.

— Zrozumiałem!

I znów nastało milczenie, a teraz już Helena wiedziała, że nic nie zdoła ocalić jej złudzenia.

Zrozumiał, a mimo to milczał, nie chcąc i sercu swemu dać się wypowiedzieć w tej chwili. Przyjął do wiadomości jej akt pokory, lecz jakiego doznał wrażenia, co w nim samym zadrgało na ten objaw jej serdecznej kobiecości, o tem serce jej nigdy wiedzieć nie będzie.

I szli dalej po ścieżce, wijącej się po stoku góry, a dokoła nich wicher rozwiewał bezlistne, czarne krzaki i kołysał lekko czarną trawą. Gdzieniegdzie pełzały osty i jak skorpiony czepiały się brzegów sukni Heleny.

A ona szła ciągle oparta o ramię Karola, lecz teraz już wilgotna mgła zaczęła palić jej źrenice.

Nagle poczuła na swej szyi przeciągły, gorący, namiętny pocałunek.

Było to zwykłe jego powitanie, i ona zawsze pod pocałunkiem tym drżała i płonęła, jak drży i płonie topola w świetle błyskawicy.

Kochała ten pocałunek, kochała osobno, inaczej, kochała przyśpieszonem tętnem krwi, gorączką dreszczów.

Lecz w tej chwili, gdy serce jej czekało słowa — gdy serce jej objawiło się jeszcze całe i szczere i czekało nawzajem na ojawienie jego serca, pocałunek ten był pchnięciem noża, był rodzajem zniewagi, zadanym jej sercu.

Z jakąś wielką, niewysłowioną dumą i bólem wysunęła się z jego objęcia i zaczęła iść śpiesznie naprzód, jakby pragnąc unieść czemprędzej z tej szarej pustki swe cierpiące serce.

Dwie duże łzy płynęły z pod ich rzęs i znaczyły po policzkach bruzdy.

Zaróżowienie jutrzenne twarzy znikło i jakiś szarawy cień pokrył jej rysy.

Czoło przecięła głęboka bruzda.

On szedł za nią powoli, jakby jej śladem — bardzo chmurny i bardzo blady.

Widoczne było, iż ten pocałunek, który dał jej jako odpowiedź na promienne ujawnienie się jej serca — bolał i jego i był rozpaczliwą ucieczką, ktorej chwycił się w ostateczności.

I szli tak dalej, oboje milczący, smutni, wśród zszarzałej trawy, którą jękliwie szumiący wicher przed nimi na wszystkie strony rozwiewał.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
JAN BARAN

XXVIII.

Najmilszą chwilą dla Heleny podczas jej pobytu w Luzernie, był moment, gdy rano, wstawszy z łóżka i ubrawszy się pośpiesznie, otwierała na rozcierz drzwi swego balkonu i zaczynała przygotowywać stolik do śniadania.

Hotelik, w którym zamieszkała — uczepiony u wierzchołka góry Wilhelmshöhe, miał pozór rzeźbionej i ozdobnej klatki, przeznaczonej do mieszkania raczej dla ptaków, niż dla ludzi.

Zieleń ciemna i bogata otaczała go zewsząd. Przyczepiony do skały, na której rosły obficie świerki i liściaste drzewa, wznosił się wysoko i dostęp do niego był dziś trudny i przykry. Należało bowiem przejść wiele piąter kamiennych i krętych ścieżek, aby dostać się na szczyt góry.

Ślicznie utrzymany i cały w klombach ogród roztaczał się przed hotelem. W altanach stały ławki i krzesła. Na środku szemrała fontanna, mnóstwo róż, lewkonij, rezedy, słało wieczornym chłodem, jak żywe kadzielnice, rozkoszne wonie. Masy motyli blado żółtych i aksamitnych pszczół okrążały całe grzędy płomiennych nasturcyj, któremi drewniane balkoniki domu były przystrojone. Wśród klombów kręcił się malutki, czarny, kudłaty piesek z purpurową wstążką na karku, który poszczekiwał na motyle, na pszczoły, na fontannę, na swój własny cień.

Nazywał się Lili i zdawał się być gospodarzem, strażnikiem tego miniaturowego, cichutkiego hoteliku.

Wszystko tu działo się, jak w zaczarowanym domku. Niewidzialna jakaś służba przynosiła śniadanie, sprzątała, porządkowała ogród, przyrządzała jedzenie. Widzialna tylko była młoda dziewczyna, dość pretensjonalnie ubrana, ale cicha, spokojna i wybornie ułożona. Cały dzień, jak duch snuła się po domu, po ogródku, ubrana jasno, ufryzowana, służąc do stołu z precyzją wytrawnego kamerdynera, imponując po prostu Helenie energją, zwinnością i siłą.

Była to córka właścicielki hotelu, Marie nazwana, panna, mająca bardzo przyzwoity posag i brata doktora.

Helena, patrząc na nią, jak z uśmiechem, zręcznie i zwinnie czyściła jej buciki, jak, zagiąwszy sukienkę, uklękła i wycierała ścierką podłogę: zrozumiała, że są ludzie, którzy pracy się nie wstydzą i mają w niej chlubę i przyjemność.

— Marie, czy ci takie życie wystarcza?

Zagadnięta w ten sposób Szwajcarka spojrzała zdumiona na Helenę.

— A cóż mi jeszcze brakuje? — odparła.

Helena nie prowadziła już dalej rozmowy, lecz wysunęła się na balkon.

Wybrała ten malutki, ciasny pokoik, w którym zaledwie obrócić się mogła, dla słońca, które go zalewało potokiem światła od rana, dla owego balkonu, który jak jaskółcze gniazdo, przyczepiony do szczytu prawie domu, dozwalał jej dominować z góry nad miastem i z tej wysokości dostrzegać nadejście Karola.

Hawrat bowiem mieszkał w mieście, lecz codzień wczesnym rankiem dążył na Wilhelmshöhe.

W pierwszej chwili to rozłączenie było przykre dla Heleny i zdziwiło ją nieco — później jednak, gdy się zastanowiła, wdzięczna mu była za okazaną delikatność.

W hotelu — Hawrat był „narzeczonym" Heleny i jako taki przepędzał z nią całe dnie, jadał na jej balkonie śniadanie i obiad, jeśli obiadowali w domu.

Ukochali oboje ten balkonik, który zdawał się być oddawna ich własnością — tak jakoś gościnnie ich przyjął i odrazu zezwolił na zagospodarowanie się.

Na tym balkoniku stał stolik, dwa wygodne fotele — na ścianie wisiały pułeczki, na których leżały książki i gazety przyciśnięte kamieniami,

Na stoliku, w szklanym, weneckim, długim wazonie czerwieniły się przepyszne, ciemne, purpurowe róże, przetykane szarą koronką trawy.

Kwiaty te przynosił codziennie Karol i Helena, stojąca na balkonie, dostrzegała, jak z dołu, u stóp góry podnosił już ku niej rękę, w której krwawiły się te czarujące kwiaty.

Odpowiadała mu z balkonu, powiewając leciuchną, jedwabną, purpurową chusteczką, i te dwa płomienne znaki, jak rozkochane motyle, migotały wśród słonecznego blasku, przedzierającego się przez opale górskiej, gęstej mgły.

Przechylona przez balustradę, świeża cała i zarumieniona od porannego chłodu, w jasnym liliowym szlafroczku, wygląda jak śliczny dzwonek liljowy, wykwitający z grządki złocistych nasturcyj.

Włosy jej, rozwiane lekkim wichrem, miały we wschodzących blaskach słonecznych czyste, złote iskry. Stała tak

uśmiechnięta mimowolnie, wpatrzona, cała oddana radości i oczekiwaniu i patrzyła, jak tam, od stóp góry dążyła ku niej początkowo drobna, powiększająca się stopniowo postać mężczyzny.

I on ubrany jasno — dość lekko i szybko piął się po stopniach kamiennych, zatrzymując się chwilami, aby posłać ku stojącej na balkonie kobiecie rozkochany wzrok, pełen niecierpliwej namiętności.

Wreszcie — kroki jego równe, nerwowe rozlegały się na kamieniach chodnika, prowadzącego z tarasy do hotelu, szybki bieg po schodach i oto — pocałunek długi, przeciągły — wilgotne wonne kwiaty, dreszcze niezapomnianej ekstazy i wreszcie rozplecenie ramion, spojrzenie sobie w oczy przez wilgotną mgłę zamąconych rwącym niepokojem źrenic.

— Czekałaś?... Spóźniłem się?...

— Nie — nie.

I znów pocałunek, teraz już w usta, bez tchu, bez pamięci, jak pieczęć jakiegoś dozgonnego zobowiązania na wieczne, wspólne oddanie się.

Do drzwi ktoś puka dyskretnie. Marja wnosi tacę ze śniadaniem. Bieli się porcelana, złoci miód na kryształe, srebrne drobne przybory błyszczą jak djamenty.

— Chodźmy do naszej sali jadalnej!

Wychodzą, śmiejąc się, na balkon. Dziś on zawiesza przyniesiony ze sobą termometr, ona zaś wczoraj przybiła dla niego małą paterę, która będzie mu służyć za popielniczkę.

Uradowani cieszą się instalacją, krzątają się, pomagając sobie wzajemnie.

Tymczasem słońce rozprószyło mgły i triumfalnie zaczyna wydobywać z opalowej toni całe miasto, które stopniowo wyłania się jakby z topieli.

Błyskają wieże i wynioślejsze dachy większych gmachów. Z wysokości Wilhelmshöhe i w tem oświetleniu porannem Luzerna ma wygląd białego, alabastrowego miasta, zlekka przetykanego ciemną zielenią liści. Daleko widać jasno perłową taflę jeziora, na której konają powoli resztki mgły. Ciemny wąż starego miasta jedynie ciemniejszą linją przecina tę delikatną jasność.

W coraz większej dali, w mistycznej już niemal odległości, niepewne i ledwo dostrzegalne zaznaczają się kontury Rigi i Pilatusa. Jest to cała harmonia niewyraźnych linij, tonów zaledwie zlekka różowych i złotych.

Myśl ulata w tę toń niepewna i powraca bez wrażeń, oczekując na silniejsze i pewniejsze zarysy. Błądzić jednak pragnie z upodobaniem jak motyl wśród porannych, budzących się w oparach klombów. Odgadując — leniwie

krąży — i w senne jeszcze źrenice zbiera przeczucia chwil i dojrzanych wczoraj w zachodzie przedmiotów.

Helena i Karol siedzą na balkonie, pijąc poranne śniadanie. Co chwila wysyłają na zwiady wzrok ku białemu, okolonemu zielenią miastu.

Potem ich oczy zbiegają się wzajemnie. Delikatnie sennem upojeniom przepełniony wzrok tonie wspólnie w źrenicach, w których, zdaje się, zagasły ognie przed chwilą szarpiącej ich namiętności. Wrażenie i nastrój chwili udziela się ich miłości.

W opalach konającej mgły rozpływa się i gaśnie żar, rzucający ich w pocałunki bez pamięci.

Jakieś błogie rozmarzenie ogarnia Helenę. Zdrowe a świeże uczucie wypełnia jej serce. Giną niepokoje, niezdrowe troski, wizje i ból, w którym krwawi się jej serce a targa dusza.

W tej chwili świat jej, w którym żyje, jest gładki, spokojny, trochę mglisty, lecz nie mający w sobie cienia nawet boleści.

— Jak nam tu dobrze... prawda? — pyta z uśmiechem.

— Dobrze — odpowiada Karol jak echo, a patrząc, jak się krząta elegancko i składnie dokoła śniadania, więzi nagle jej rękę jak ptaka w swe dłonie.

— Jaka z ciebie wytworna pani domu być musi!...

Helena uśmiecha się coraz powabniej i coraz szczerzej.

— Tak... zdaje mi się. Zresztą sam się przekonasz! Czy dużo będziemy przyjmowali?

Powstał i przechylił się przez balkon.

— Lili!... — zawołał.

Z dołu odpowiedziało mu donośne szczekanie. Wśród kląbów zawirowała masa czarnych kudełków i purpurowa kokarda.

Kawałek cukru poleciał na dół i zginął w lewkoniach.

Helena oparła się także o balkon i patrzyła na pieska. Lecz z bezmyślnym jakimś uporem powtórzyła:

— Czy dużo będziemy osób przyjmować?

— Zrobisz, jak zechcesz! odpowiedział wymijająco.

— Nie — zrobimy tak, jak będzie wypadało dla twego stanowiska. Nie znam się na tem, nie wiem, czy adwokat potrzebuje mieć rozległe koło znajomości.

— Żyję prawie w odosobnieniu.

— Bo jesteś jeszcze nie żonatym i nie masz domu, ale teraz...

Nagle on zwrócił się do niej i porwał jej głowę w swe dłonie.

— Czemu się troszczysz o to co będzie? zapytał szybko — czemu nie cieszysz się tem, co jest?... Pij z czary szczęścia, którą mamy przed sobą. Jutro zawsze we mgle...

Odrzuciła się od niego, niezgaszona jego słowami.

— Właśnie dlatego, że czuję się szczęśliwą w tej chwili, chcę pomnożyć to przeświadczenie jeszcze pewnością, że będziemy i nadal tak szczęśliwi...

— Czem? Czy nadzieją, że przyjmować będziesz pewną ilość matołków w swoim salonie?

Helena śmiać się zaczęła.

— Matołków?... Ależ ja mówię o twoich przyjaciołach.

— Ja nie mam i mieć nie będę nigdy przyjaciół! wymówił twardo.

Puścił jej głowę i, oparłszy się o balustradę, patrzył znów w przestrzeń.

Dreszcz znów przebiegł serce Heleny,

— Czy nie wierzysz w przyjaźń? — spytała.

Nie było odpowiedzi.

— Wierzysz jednak w miłość?

Zwrócił ku niej swe wielkie i piękne oczy i zagłębił w niej wzrok tak wymowny, że zrozumiała go bez słów!

— Kochając — wierzysz w mą przyjaźn dla ciebie... ciągnęła dalej.

Sceptyczny uśmiech, lekki, zaledwie dostrzegalny przewinął się przez jego usta.

Teraz ona porwała go gwałtownie za ręce.

— Dlaczego się uśmiechasz? Czy nie wierzysz, że zdolną jestem do okazania ci największych dowodów przyjaźni? Czy sądzisz, że jedynie miłość mnie do ciebie przywiązuje?

— Co ja myślę... wyrzekł po drugiej pauzie — to już zostać powinno moją tajemnicą, ale to jedno ci powiem, Leno, i zapamiętaj to sobie — że pomiędzy ludźmi, którzy się namiętnie, (uważaj co mówię) namiętnie kochali, nie może być śladu przyjaźni. Pierwszy kontakt ust... i uczucie dobroczynne łagodne niknie. Ty, skoro coś nas rozłączy, nie tylko nie dasz mi dowodu przyjaźni, ale wręcz staniesz się moim wrogiem...

— Skoro nas coś rozłączy?

To jedno tylko zrozumiała i blada, prawie bez tchu oparła się o balustradę.

— Skoro nas coś rozłączy?

Żadne słowo zaprzeczenia celem zatarcia tego wrażenia nie wyszło z jego ust. Opał się o słup i nagle zmieniony dodał niskim, prawie drżącym głosem:

— Kto wie, co go jutro czeka?...

— My przecież wiemy! wyszeptała z wysiłkiem.

— Tak, wiemy w tej chwili, ale za minut dziesięć...

— Och! Jak możesz tak mówić!...

— Sama tę rozmowę wyzwałaś! Dlaczego ciągle zwracasz się ku przyszłości? Czemu nie żyjesz teraźniejszością?

Kołysz się w tej mgle, zakrywającej jutro, wyciągnij z danej chwili wszystko... przyszłość niepewna, a niepewność dręczy...

Objął ją znów ramieniem i przyciągnął ku sobie. Lecz ona oparła się tej pieszczocie.

— Banalne jest to, co mówisz... wyrzekła nagle i umilkła, jakby przerażona własną śmiałością.

— Stokroć banalniejsze są twoje zamki na lodzie — odparł trochę ostro.

— Zamki na lodzie?

— Wszystkie ludzkie projekty są niemi! — brzmiała odpowiedź.

— Więc — żyć z dnia na dzień!

— Żyje się bez zawodów.

— Ależ to straszne.

— Straszne jest tylko to, czego się nie spodziewamy!

Nastąpiła długa chwila milczenia.

I w umyśle i w sercu Heleny powoli znów smutek zaczynał zakradać się, pomimo jasności triumfalnej, jaka aż olśniewała rozlana w całej przestrzeni.

Ten balkonik cichy, uczepiony pod dachem czystego i eleganckiego hoteliku, ta gniazdo przystrojone różami i drobiazgami, które zdawało się jej kątem, chroniącym tak rozkosznie jej miłość i spokój — teraz stawał się dla niej rzeczywiście hotelowym przytułkiem, w który czasowo wpadła para wędrownych ptaków, rozrzucając po kątach wynajętych ścian echo pocałunków i czystość przebytych wrażeń.

Po co było się troszczyć o to, aby rozkoszna, cicha atmosfera domowej wiecznej miłości przepełniała ich serca, gdy jedynie mgła kołysała ich w jakiejś złudnej, pełnej może zasadzek, chwilowej krainie.

. . . . . .

Gorączkowo prawie Karol teraz upajał się namiętną stroną ich miłości, topiąc Helenę i siebie w ekstazach dziwnego, bezbrzeżnego szału.

Często — wyrywała mu się z objęć, przerażona tem rozwijaniem się błyskawicznem coraz silniejszych objawów zmysłowych pragnień i dążeń mężczyzny i trwożna nie mogła już odnaleźć ratunku w duchowem oparciu, bo teraz zdawało się, że to, co stanowiło wspaniałą i bardziej świętą stronę ich stosunku, ginęło w jakiejś czarnej i bezdennej otchłani.

Ręce jej, niemal pokaleczone od jego pocałunków, napróżno szukały teraz jego rąk kojących, które dawniej samem przyłożeniem do skroni uspakajały jej ból i trwogę duchową.

We wzroku jego znajdowała tylko błyskawicę żądzy — a nie moc i siłę, w której czerpała moc i siłę własną.

Coś było rozpaczliwego w tym hymnie triumfalnym zmysłów, jaki nagle owionął ich gorącem swem tchnieniem. Zdawało się jej nieraz, że w głębi jego piersi słyszy łkanie i że przedziera się do niej krzyk jakiegoś strasznego bólu przez czarną zasłonę o purpurowych blaskach.

Chciała echem swej własnej rozpaczy odpowiedzieć na ten zasłyszany jęk, lecz w pianie szalonych pieszczot tonęło jej bolesne wrażenie i nie mogła już odczuć nic ponad tą potęgą, która ją sił i wiedzy pozbawiała zupełnie.

Nie pozwalał jej ochłodnąć ani na chwilę. Płonęła ciągle i była cała jak drżąca pochodnia podsycana jego płomieniem i nigdy już więcej nie było mowy o sercu, o jej duszy, która spłoszona jak ptak, bez szelestu skrzydeł odsunęła się w daleką przestrzeń.

Nie pozwolił jej nawet myśleć, tak jakby zrozumiał, że w myśli, w zastanowieniu się jej, leży dla niego wielkie niebezpieczeństwo, cały jego wróg, czyhający na nagłe ocknienie się jej lepszej, jej wzniosłej, jej wielkiej — nie zgnębionej kajdanami żądzy, która im obojgu purpurową falą ognia oblewała umysły.

Tamta badała, chciała wiedzieć, czuła, stawała przed nim śmiała i tragiczna, zapuszczająca rękę na dno jej duszy.

Kim jesteś! — wołała nieustraszona, a nie słysząc odpowiedzi, omdlewała z troski. Ta, którą trzymał w objęciach, nie pytała o nic, nie skarżyła się — bo usta miała zapieczętowane pocałunkiem, jakby wieko trumny.

Była to burza, wir, szał. Witali się i żegnali pocałunkami, od których nosili krwawe stygmaty. Bez słów, z cichym jękiem pozostawała ona sama, jakby rzucona nad brzegiem przepaści, obramowanej falą płomieni. Z trwogą bezbrzeżną padała na samą myśl stoczenia się w tę przepaść na samym jej brzegu, nie mając już siły do oporu, do zatrzymania się w nieszczęściu. Wyglądała świtu, aby znów powitać go o rannej mgle, tak jak go żegnała wieczorem i zdawał się ten żar wzmagać tak wielką potęgą, iż niemożliwem było, aby ludzie mogli ku sobie tak rwać się bezbrzeżnie, tak lgnąć bez pamięci, tak stapiać się w jedno i wibrować jak dwie harfy, oplątane jednemi strunami.

. . . . . .

I nagle, bez przyczyny, bez żadnego widocznego powodu przyszła reakcja — przyszło na Helenę opamiętanie nerwowe z początku, lecz w miarę postępu silne, pewne i nadzwyczaj jasno się zarysowujące. Jak ptak, któremu związano skrzydła, porwała się i strząsnęła ze siebie płomienne szaty miłosnych pieszczot.

— Precz — zawołała — sama do siebie, precz ode-- mnie, ty nędzna! Gdzie wleczesz mnie? Po jakichś trzęsawiskach, gdzie zostawisz mnie wkrótce? Czy zdołam cię wtedy od siebie oderwać i zniszczyć tak, jak śmiertelny jad, którym się przez długą chwilę poiłam? Precz!...

Zawlokła się na balkon, pod gwiaździste niebo, które wspaniałym baldachimem rozpięło się nad jej głową. Piła zimne, prawie mroźne powietrze, płynące od jezior i gór. Kąpała w niem swe płuca, strawione żarem i bólem. Wilgotna mgła leciuchno pokryła jej twarz i obnażone ręce. Zdawało się jej, że ktoś obmywa ją ze stygmatów krwawych, które jego pocałunki wycisnęły na jej twarzy.

— Sobą chcę być! sobą!... — wołała — całą sobą, nie tylko niewolniczą istotą, wsłuchującą się w rozkoszne dreszcze. Zapomniałam czuć, myśleć, wnikać w siebie, upajać się czarem piękna i smutku — patrzeć i pozwalać swej duszy rozwijać się i drżeć echem innych drżeń. Patrzyła wciąż w górę, ku gwiazdom, jakby chciała oderwać się na zawsze od wszystkiego co ziemskie, co ją wlokło i w pyle tarzało.

— Jak słodko, jak błogo! — myślała.

Krystaliczna czystość drgających świateł uspakajać ją zaczęła powoli.

— Nie wszystko we mnie wygasło! Odczuwam piękno, drżę teraz, lecz nie wspomnienie jego pieszczot wywołuje we mnie to drżenie. Drganie mych nerwów, to raczej odblask i echo brylantowych blasków gwiazd, które mnie ku sobie ciągną.

W oddali, na Rigi, płonęła jasna latarnia, świecąca na hotelowej wieży.

Mignęła chwilowo w źrenicy Heleny.

Ze wstrętem odwróciła się od niej.

— Tylko tam! Tylko tam! — myślała, szybując wzrokiem ku gwiazdom, — nie zdołał człowiek dosięgnąć! Tam nie ośmielił się zaznaczyć swej zuchwałej kultury! Żadna żerdź! żaden pomost, żaden wiadukt... Za wysoko dla niego, za wysoko!

Ogarnęła ją radość wzgardliwa na myśl, że dziedzina gwiazd pozostanie na zawsze czystą i niedościgłą.

— Dziewiczy świat! Wieczysty, dziewiczy świat... do niego chronić się zawsze mogę, wybiegać wzrokiem i tam w brylantach cała tonąć, w ciszy, w spokoju, w blaskach, a mimo to w ciemni! Tam mogę odpoczywać, chłonąć w siebie uspokojenie bez obawy zranienia się o jakiś wytwór ludzkiego rozumu, naginającego harmonję przyrody do jego poziomych celów!

Tam, ach tam!...

Chwilę miała tak błogą, tak wzniosłą, że w całem życiu swojem nie przypominała sobie takiego wrażenia. Oder-

wała się od życia, a mimo to czuła, że jest sobą, lecz lepszą, lżejszą, inną, szybującą w przestworza. Nie był to jednakże ów wyjątkowy stan oderwania się od niej jej duszy, która stawała naprzeciw niej jak smutny i bolesny towarzysz, bezsilny a spragniony swobody. Nie — to było przeświadczenie, że duch silny porywa ze sobą ciało, które w tej dziwnej chwili otrząsnęło się ze swych pragnień i żądań namiętnych. Jakby w nagrodę, w nierozerwalnej całości pozwolił jej duch zrozumieć, że w tej pięknej chwili, „dla której warto było żyć“ — serce jej musiało być czyste i wzniosłe, aby ona mogła odczuć tak czyste i wzniosłe wrażenie.

I zapatrzona w gwiazdy, obmyta delikatną wilgocią mgły wznoszącej się z jeziora, pełna słodkiego ukojenia, jakby ocalona z pożaru — stała nieruchoma i bardzo piękna — na kształt posągu, bieleją wysoko po nad uśpionem miastem.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
JAN BARAN

XXIX.

Reakcja, która przyszła, była obopólną. Nazajutrz po przywitaniu, którego Helena lękała się, odczuła w tej chwili, że i Karol miał chwilę opamiętania, że i on uczuł, iż miłość ich zaczyna przechodzić w fazę fatalną i zabójczą dla subtelniejszego i piękniejszego uczucia. Wielką uczuła dla niego wdzięczność, i w jednej chwili obudziło się w niej szalone, rzewne przywiązanie do tego człowieka, który tak doskonale, tak mistycznie odczuwał drgnienie jej istoty.

Bez słów zamienionych, bez żadnego porozumienia jaskrawego, zmienili najzupełniej swoje ze sobą postępowanie. Jakieś prawie tkliwe zakłopotanie i niezmiernie delikatna w odcieniach nieśmiałość zajęła miejsce szału i gwałtownej poprzedniej zmysłowości. Spoglądali na siebie lękliwie, jakby obawiając się zbudzić w swych oczach dawne iskry namiętności. Ręce ich zbiegały się na chwilę i uciekały, jak spłoszone motyle.

Zamiast płomiennego pożaru, w którym dotąd żyli — jakaś słodka, cicha ekstaza otoczyła ich dokoła.

Nie było to pragnienie owego ciepła domowego pożycia, które łączyło ich na wązkim terenie strojnego w kwiaty balkoniku.

W tej chwili potrzebowali mniej domowej atmosfery — i szukali kącika, w którym swe uczucie schronićby mogli.

Za hotelikiem, w górę — pięły się jeszcze ścieżki na sam szczyt, obrosły gęstym, świerkowym lasem.

Szum wichru był tu prawie nieznaczny. Zdawało się, iż wał ciemnych drzew zatrzymał burzliwe fale powietrzne. Pnie świerków tonęły w pokładach szmaragdowego mchu. Nic więcej nie rosło w tym lesie. Ani krzaki, ani kwiaty — nic, tylko dokoła mchowe kobierce, a z nich strzeliste, proste, brunatno rude pnie o szarawych połyskach.

Gdzieniegdzie widać było ton niebieskawy, szczególniej od spodu pnia. Ku górze ten ton zmieniał się w czerwień i nikł wśród ciemni opadających, ciężkich konarów.

Gdzieniegdzie przez gałęzie prześlizgiwały się promienie słoneczne i kładły złote, drżące plamy na mchu i pniach drzewa. Promienie te, przefiltrowane przez szpilki świerków, jak przez fale wodne, poruszały się lekko, niby żyjący jakiś fluid, zabłąkany w grobowej i ciemnej kaplicy.

Tu zabłąkali się pewnego popołudnia Helena i Karol, gdy zamiast zejść w dół ku miastu, uczuli potrzebę pięcia się na wyżyny, na samotną, górską wysokość.

— Nie zachodźmy do świata, znajdźmy świat dla siebie! — prosiła Helena.

— Masz go w swej duszy — odpowiedział Karol.

Ukochali sobie teraz ten kąt ciemny i wonny, tę kaplicę o świerkowym dachu i tu zatrzymali się, oddychając z rozkoszą balsamiczną wonią, która pod wpływem ciepła słonecznego napełniała powietrze.

Usiedli na mchu obok siebie — zapatrzeni w szarą kolumnadę drzew, zasłuchani w ciszę i w czarującą rozkosz własnych dusz.

Biała, wełniana suknia Heleny roztoczyła jasny krąg na szmaragdowej barwie mchu. Kilka plam słonecznych ślizgało się po jej głowie i jednem ramieniu.

Twarz Karola była cała ozłocona tem delikatnem światłem. Helena patrzyła na nią z jakiemś dziwnem rozrzewnieniem. Serce miała pełne uczucia, tak jakby wstrzymywana długo fala serdeczności, wstrzymywana płomiennością zmysłów, wezbrała nagle i teraz przelewała się przez brzegi zbyt kruchej a ciemnej amfory. Chciała i czuła potrzebę ulżyć swemu sercu słowami, które zastąpiłyby wysłowienie się pieszczot.

Pragnęła owinąć go siecią delikatnych jak pajęczyna wyrazów, które zcałowałyby jego oczy i usta tak lekko, a zarazem szczerze, jak ona to uczynić nie śmiała.

I w głębi serca szukać zaczęła tych słów, szukać zaczęła tych wyrazów, mających wyrazić serdeczność przeogromną, którą była cała przepojona. Zamknęła oczy, aby lepiej skupić rozprószoną wolę, zamknęła silnie oczy i wnikała w siebie z całą mocą.

I nic — nic znaleźć nie mogła więcej nad dwa słowa, banalne, zużyte, nadużyte... które zerwała w ogrodzie swej myśli, jak dwa jedynie świeżo rozkwitłe kwiaty, zamiast całej kaskady kwiecia, które tu znaleźć pragnęła.

— Kocham cię!... — wymówiła drżącemi usty.

Chwilę panowała cisza, aż on powoli pochylił się ku niej, jakby chciał dotknąć ustami jej ust, lecz cofnął się, bo te usta znów poruszyły się szeptem.

— Kocham cię!

I to wyznanie uczucia było tak szczere, tak przepojone miłością, tak jakoś święte i spokojne od ufności bezgranicz-

nej — że Karol poczuł, iż pieczęć pocałunku zaciąży na kwiecie tych ust, dławiąc je cielesnem zbliżeniem.

Była mu widocznie za to wdzięczna, bo powoli odchyliła powieki i śliczne jej oczy ukazały się teraz jak dwa drogie kamienie, w których słońce zapalało leciuchne iskierki.

— Dopiero tu, dopiero dziś czuję się twoją narzeczoną! — wymówiła z uśmiechem. — Do tej chwili brakowało mi tego słodkiego, spokojnego z tobą przebywania, w jakie weszliśmy teraz. Pozostańmy w niem do ślubu... Czy chcesz?...

Zrozumiał ją, bo wzrok jej padł teraz na jej ręce jeszcze sine od gorących, strasznych pieszczot, jakiemi ją obdarzał. Coś zapłonęło w jego oczach sekundę jedną — potem zagasło.

— Będzie jak rozkażesz! — przemówił uległe.

— Dziękuję ci! Bo widzisz, jestem teraz jak bardzo spragniony i zmęczony wędrowiec, któremu na ramiona złożono zbyt wiele ciężarów. Naraz rzuciłeś na mnie cały snop kwiecia, do którego nie jest przyzwyczajona istota moja. Omdlewa więc we mnie serce, dusza, myśl, ja cała i czuję, jak kolejno proszą się we mnie te części składowe mej istoty o trochę spoczynku, lub możność wypowiedzenia się. A ten stan, w jakim jestem obecnie, najmilszy mi jest i najbardziej pożądany. Ponad wszystkiem góruje w tej chwili serce i pozwalam mu górować!

— Nie... nie pozwalaj!

Padło to nagle, niespodziewanie.

Zamąciło, zakłóciło rozkoszny stan błogiej, czystej radości, w jaki Helena wstępować się zdawała.

— Dlaczego?

On uklęknął tuż przy niej i gorączkowo pochwycił jej rękę.

— Nie serce — nie!... — wyrzekł urywanym głosem — nie pozwól swemu sercu kochać mnie...

Ona zdawała sie nierozumieć.

— Kocham cię całą, pełną, wielką miłością i niepojmuję, jak możesz kazać mi wykluczyć serce z tej całości.

— Ach pojmiesz!... pojąć musisz!...

Powstał i zaczął chodzić wśród pni, podrażniony i niepewny.

Ona nie chciała zastanawiać się bliżej nad jego słowami. Nie miała poprostu siły i pragnęła bądź co bądź pozostać w tym spokoju i ciszy, która zdawała się jej przynosić wielką ulgę i równowagę zupełną.

— Proszę cię!... — wyrzekła z dobrocią — nie staraj się kreślić mej miłości linją krętą i śliską. Jestem zdolna objąć cały horyzont, jaki jest miłością pełną i doskonałą. Jeżeli omdlewam chwilami i tracę siły, to jedynie dlatego, że, nie kochając nigdy do tej chwili, odczuwam zbyt silnie nieznane mi wrażenia i nadto przejmuję się niemi. Pozwól mi się oswoić...

Próbowała żartować, kryjąc drżenie serca, które buntowało się w niej, domagając się jeszcze mimo wszystko należnej sobie części.

On przez ten czas powściągnął swe wzburzenie i usiadł przy niej, napozór już spokojny.

— Uparta jesteś! — wyrzekł z uśmiechem — mówiłem to dla twego dobra...

— Lękasz się... o co?

— Lękam się, ażebyś — pozwalając swemu sercu na zbyt wielką przewagę, nie cierpiała nadto...

Helena uczuła się zdumioną.

— Nie cierpiała?... nie rozumiem. Wszakże, pamiętasz, tam, na Lido, powiedziałeś mi raz, „o ile to będzie w mej mocy, postaram się, abyś nie cierpiała". Tak zrozumiałam wówczas twe słowa.

Zmarszczył brwi, szafir jego oczów pociemniał jeszcze jeszcze więcej.

— Nie mówmy o tem!... — nalegać zaczął — nie mówmy!

Zgodziła się chętnie, bo zdawało się jej, że do tego lasu, do tego ich kąta wsuwa się znów jakiś cień, który czyhać zaczyna na ich szczęście. Z takim wysiłkiem stłumiła w sobie od pewnego czasu ten żal, tę gorycz, jaką czuła do niego za to zamknięcie swych myśli, za to usunięcie z przed jej duszy — jego ducha.

Z Lido, z gondol weneckich, z ich chatki nadbrzeżnej, słomianej i wonią róż przesiąkłej — przyjechali tu pod szczyt Rigi i wszędzie coś dzielić ich zaczynało.

Przypomniała sobie ich smutną wędrówkę do Rigi Staffalu, a potem tę burzę zmysłów, ten orkan pieszczot, który zohydził jej i uciec kazał z balkoniku, który był przez jakiś czas ich miłem i rozkosznem gniazdem.

I oto znów — w tej kaplicy o szarej kolumnadzie drzew, pod baldachimem świerkowych gałęzi, gdzie zdawało się, że cisza dusz i spokój ciał, jest zapewniony, wsuwa się to coś nieokreślonego, coś, co jak siła jakaś przepotężna i niezwalczona destrukcyjnie działa ciągle i tęczowy łuk ich miłości, pod który się chronią, przecina nieubłaganą dłonią.

Prawie już z rozpaczą Helena pragnie ocalić ten kąt i swoje serce przed zniszczeniem i dręczącem przeczuciem. Nie chce i nie może iść znów dalej po nowe schronienie, w którem mogłaby dozwolić swej miłości rozwijać jej duszę, porywać myśl ogrzewać serce, upajać zmysły.

Jedno ma tylko pragnienie — pozostać na miejscu i zrozumieć, jaki kierunek przeważać zaczyna w jej uczuciu dla Karola.

— Dopomóż mi — mówi słodko i nie dodaje nic więcej, gdyż wmawia w siebie i sądzi, że i on pragnie tylko jednego — rozwinięcia się ich miłości w wielki, czerwony kwiat mi-

stycznej rozkoszy — w którego woni i pięknie jak w krynicy przeczystej mogliby poić się, nie licząc się z czasem, z warunkami ziemskiego bytu — zapatrzeni w siebie, widząc jedynie swą doskonałość i wzajemne, nierozerwalne ukochanie.

I powoli, z niezrównaną intuicją, właściwą tylko kochającym kobietom, Helena trafia na ton właściwy, łagodny i kołyszący i ton taki do ich słów, do ich spojrzeń wprowadza.

Bo miłość Heleny staje się powoli jak harfa siedmiostrunna, na której drżeć umieją całe melodje, odpowiednie do nastroju chwili.

Przedziwnie, łagodnie zadrga taka nuta i znika wszystko dawne, a pozostaje teraźniejszość, a w niej, jak w błękitnym eterze, rozpływa się wszystko.

Jest to rodzaj chwilowej ekstazy, koniecznej w miłosnym stosunku dwojga ludzi, którzy czują, iż poza tą eteryczną, błękitną atmosferą jest pełno kamieni na ich drodze, które ranią i do krwi kaleczą im dusze. W eter ten chronić się muszą. Inaczej rany nie zagoją się ani na chwilę. Znieczulenie, nic więcej. Lecz znieczulenie być musi.

Helena to pojęła i teraz w czyn wprowadza. Zamiast sama ze swego serca wydostać całą kaskadę przepełniającego ją uczucia i rzucić w serce ukochanego, ona rozsuwa nagle zrezygnowana niebieską, eteryczną siatkę i harmonijnie, delikatnie ją dokoła nich jak namiot rozwiesza. Pod namiotem tym z uśmiechem sybaryty odpoczywa Karol i wdzięczny za jej subtelność — poddaje się ułudzie, tej chwilowej ekstazie, w której jest przerażająca pustka ale zarazem i bezgraniczny spokój.

Łagodne tło lasu, stonowane złota słonecznych promieni, wielka cisza i baldachim ciemnej, dyskretnej zieleni — dopomaga ułudzie.

Samotność, pustka niemal.

Szczyt góry wyniosłej — przeświadczenie wyżyny bez zawrotnego widoku przepaści. Poczucie wyższości bez zuchwalstwa mierzenia wzrokiem pomniejszonych karykatur ludzkiego dorobku.

Przeczucie tafel jeziora i konającego światła poza bryłami gór, przeczucie złagodzone i upiększone wyobraźnią, a więc dowolnie do stanu duszy przystosowane.

Wszystko to jest w tym zakątku lasu na Wilhelmshöhe. Bardzo, bardzo daleko słychać kołatki melodyjne i czasem, ale to bardzo rzadko, jakby urywany, przeciągły ton rogu — ton nie uderzający o gałęzie drzew, a raczej snujący się jakby pajęcza nić.

A tymczasem — coś stygnie, zamiera w sercu Heleny.

Uczucie, które przepełnia z taką siłą jej serce, nie ginie — nie ulatnia się. Lecz dzieje się w tem sercu Wielkiej Rozkochanej coś dziwnie strasznego, coś dziwnie bolesnego.

To serce kamienieje, lodowacieje w piersi — i takie jest to uczucie silne, iż staje się równie odczutem przez Helenę fizycznie jak i duchowo.

Serce jej zaczyna ciężyć jak blok marmurowy, czuje to, czuje, że je posiada — rozumie teraz, że ona ma serce, i to zrozumienie opłacić musi tak samo, jak opłacać musi chwilami przedśmiertelnej trwogi zrozumienie, iż posiada duszę, która gardzi nią i od niej odbiega w chwilach tej pogardy.

Zrozumienie tych potęg, z których składa się ta „inna“ strona jej istoty, daje jej równocześnie pojęcie o strasznych udręczeniach, jakie przewaga tej innej strony na nią sprowadzi.

I zasłuchana w te cierpienia — a już zrezygnowana, poddaje się tym siłom, a wydobywając z nich to, co może być najpiękniejsze, bo poświęcenie swego ja — dla spokoju i zachowania uczucia na wyżynie marzenia — snuje błękitny eter ekstazy — niedopuszczający od zewnątrz nawet przeczuć nieszczęścia.

A w sercu jej powoli powstaje chłód i ciężar lodu.

XXX.

Od dwóch tygodni trwa już pomiędzy nimi ten stan ciszy i upojenia.

Jest to przecież coś sztucznego. Wyniesieni siłą i wolą Heleny w eteryczne przestrzenie — oboje pilnują teraz swych słów, swych gestów, czegokolwiek, coby mogło zburzyć ich chwilowy, zachwycający spokój.

Helena zrozumiała, że analiza zabija miłość. Unika więc analizowania swego stanu i działa instynktownie, nie obliczając tego, co czyni. Powoli zaczyna przechodzić całą szkołę, jaką przejść musi każda kobieta rozkochana i przygotowana z góry, że miłość ta ma być jedną, jedyną wielką miłością jej życia.

Umie teraz przywoływać na usta uśmiech, umie zatajać słowa, uczy się wpadać w ciszę z rozcienianych akordów, umie usuwać się nawet w cień i z niego śledzić zagadkę — wieczystą zagadkę, jaką czuje, że dla niej pozostanie Karol. W tem odosobnieniu, w jakiem żyją, nic nie objawia się z niego, nic oprócz gorącej i rzeczywistej miłości i uwielbienia dla jej piękna i zajęcia się jej duchem. Ona — nie broni mu teraz przystępu do swej duchowej istoty, lecz nie czyni nic, aby ułatwić mu to zadanie. Nie zamyka tak jak on wrót swej duchowej świątyni, lecz znajduje on tę duszę prawie śpiącą i jakby znużoną.

Dawne przejawy i odruchy nie istnieją. Porusza tematy, które dawniej działały na nią, jak prąd wichru na harfę Eolską. Dobywa drobne, gasnące iskierki. Nie zdaje się nie płonąć.

Zdziwiony — cofa się, jakby urażony. Ona nie przypomina mu tak jak dawniej jego skrytości, lecz właśnie w tym braku wyrzutów — on czytać się zdaje najłatwiej. I to dotyka go i boli.

Widocznie usprawiedliwić się nie może i zadaje to gwałt jego chęciom. Analiza jej duszy była mu drogą i wdzięczną pracą.

Pozbawiony jej, rzucił się w odmęt zmysłów. Pozbawiony znów możności ogłuszania się zmysłowego, powrócił do duszy, a ta zasnęła mu w rękach i nie umiał, nie wiedział, jak do niej przemówić, jakiemi ją zbudzić słowy.

Ta podrażniona jego chęć, ta milcząca, a silna jakaś zapora, stawiana jego żądaniu, zaczynała drażnić go i działać wyzywająco. Dopuszczał się teraz chwilami jakichś aluzyi i docinków, któremi sondował niejako siłę letargu, w którym dusza Heleny pogrążoną była. Ona, zdziwiona w pierwszej chwili, zdawała się odczuwać tę ironię i budzić niejako do odwrotu. Lecz prędko zrozumiała niebiezpieczeństwo. Zazdrośnie znów cofnęła się w sen i nieruchomość. On podwoił siłę swych nowych środków. Zarzucać jej zaczął skrytość, nieufność, poczem przeszedł do zarzutów boleśniejszych. Wynalazł, iż ta skrytość potrąca o fałsz, o obłudę.

Helena ani drgnęła. Czuła, że błękit eterów ciemnieć zaczyna. Całą siłą, całem wytężeniem powstrzymywała słodkie opony złudzenia.

Raz jeden porwała się przerażona.

— Czego chcesz? — zawołała — pozostaw nas jeszcze w spokoju, tak nam tu dobrze!

Zamilkł, lecz na drugi dzień powrócił do ataku, podniecony i jakby wyzywający.

— Zmieniłaś się! Byłaś inną.

Nie odpowiadała nic. Za wiele skłębionych myśli cisnąć się jej zaczęło do mózgu.

Odegnała je prawie nieludzkim wysiłkiem, słowa jego dźwięczały w jej uszach, jakby gwizd cienkiego floretu.

— Poznałem cię inną — mówił wpół leżąc na mchu i patrząc na nią z pod przysłoniętych rzęs — pokochałem cię inną...

— A więc?

— Nic. Konstatuję tylko, że spotkałem cię nad brzegiem morza samym duchem, dziś nie mogę tego ducha odnaleść...

Nie mogła powstrzymać się od okrzyku.

— O ducha mego ci chodzi? O ducha?

— O ciebie całą. Chcę ciebie znać i wiedzieć, kim jesteś teraz. Chcę i muszę czytać w tobie jak w otwartej księdze.

Zamyśliła się chwilę, wreszcie odparła zmienionym głosem:

— Czujesz w tem rozkosz? — Wszak prawda?

Silnie i namiętnie odpowiedział.

— Innej kobiety nie chcę!

Przed oczyma jej rozwidniło się nagle, jakby ktoś zapalił miliony świateł.

— On kochać mnie nie może, czując, że duch mój kryje się przed nim i milczy — myślała, a ja jestem w tych sa-

mych względem niego warunkach... A więc i ja go kochać nie mogę? I ja takiego człowieka nie chcę?

Zapragnęła teraz pozostać sama za jakąkolwiek cenę, aby zdaleka od niego zbadać swe uczucia.

Czuła bowiem, że on w pobliżu rzuca na nią zbyt wielki urok i czar ten nie dozwala jej chłodno zastanowić się nad stanem swego serca.

W milczeniu powstała z mchu i skierowała się ku domowi. Lecz on porwał się także z ziemi i pospieszył za nią.

— Dlaczego uciekasz? — zapytał rozdrażniony — Czy teraz nawet i siebie chronić przedemną będziesz?...

Nie odpowiedziała nic jakby zraniona do żywego, lecz on zdawał się nagle zrzucać ze siebie jakąś maskę i porwał ją brutalnie w swe objęcia.

— Zgniotę cię — i zmuszę, żebyś była inną...

Na ustach swoich Helena poczuła jego gorące wargi. Było coś w tym pocałunku znieważającego, w sposobie szarpania jej wiotkiej postaci coś z rozzuchwalonego tyrana, pragnącego zohydzić i zbezcześcić to, co czcił, uważał za piękne.

Nie broniła się, tak była poprostu zgnębiona tem, co ją spotykało. Nie przeczuwała takiego wybuchu.

— Nie tędy do mej duszy droga!... — wymówiła wreszcie, gdy on wypuścił ją ze swych splecionych objęć i odepchnął prawie tak silnie, że oparła się o pień drzewa.

Blady, drżący stał opodal — a ciemne jego źrenice, powiększone, zdawały się ogromnemi, czarnemi plamami w jasnej masce jego twarzy.

Szare kolumny świątyni o szmaragdowym kobiercu i ciemnej, iglastej kopule zdały rozwierać nagle szeroko wrota jego schronienia i oto na progu zjawiał się świat cały, ten świat z dołu, od stóp góry, świat ludzki, pełen brudu i nędzy — brzydki w gestach ducha i ciała, idący gzygzakiem ścieżek a nie całym ogromem szlachetnych i czystych horyzontów.

Helena zrozumiała, iż teraz jest po wszystkiem. Odczuła, iż błękitny eter znikł i wszystkie jej wysiłki nie pomogą. Wreszcie sama zbyt strasznego doznała wstrząśnienia, aby dłużej milczeć miała.

Drżącemi rękami ścierała ślad pocałunku i odgarniała opadłe na ramiona i na twarz włosy.

Wreszcie spojrzała na Karola.

Przeraziła się — był tak blady, tak zmieniony, iż troska przejęła jej serce. On widocznie cierpiał.

— Nienawidzisz mnie? — zapytał z cicha.

Nie odpowiedziała mu nic. Wyciągnął ku niej rękę. Nie ujęła tej ręki, choć coś w niej krzyczało, że powinna to zrobić.

I nagle on — oparł czoło o pień drzewa i bardzo drżącym głosem wyrzekł:

— Jestem nieszczęśliwy!

I wtedy ona — podeszła ku niemu i głowę swoją na jego ramiona z całą łagodnością — złożyła...

Lecz nie było ufności w tym geście, tylko ruch bezwiednej, wszechludzkiej litości.

. . . . . .

Wieczorem dnia tego dobrowolnie wrócili do lasku. Księżyc świecił i po kolacji, jakby jedną zdjęci myślą, skierowali się po ścieżce w górę, ku szczytowi.

Ona szła naprzód, białą swą suknią ledwo dotykając jasnej i jakby światłem oblanej ziemi.

Szli do owego schronienia, do owej świątyni o szarych filarach drzew, jak na cmentarz, aby odwiedzić mauzoleum, w którem złożono świeżą trumnę, na której więdną róże.

Co krok zostawiali takie mauzolea swej miłości, a w niej szczątki jakiejś chwili i okrywali je kwiatami żalu i wspomnienia. U krat tych grobowców stawały potem ich dusze, zdumione tą ilością pogrzebanych uczuć w tak krótkim czasie i nie próbowały krat otworzyć, ani podnieść wieka trumny. Przyjmowały do świadomości, że tam leży jakaś ich cząstka i zatrzymywały się tylko w wielkim smutku i melancholji.

W lesie, zamiast plam złotych, słonecznych, było pełno plam srebrnych, księżycowych. Złoto zmieniło się w srebro i wydobywało przepyszne efekty ślicznej i miękkiej barwy mchów rozesłanych dokoła. Po pniach drzew ślizgało się to światło jeszcze miłośniej, niż blask słoneczny, łagodniej i przytulniej. Kora drzew nabierała białych, prawie śnieżnych tonów. Igły gałęzi zdawały się drżeć w takiej śniegowej bieli.

Cały las był uroczysty i wspaniały. Więcej niż kiedykolwiek zdawał się świątynią gotycką o wyniosłych, smukłych filarach. Tajemniczość podnosiła panująca dokoła, bezbrzeżna cisza. Czasem tylko jakiś ptak senny potrącił skrzydłem gałązkę i ta leciuchno zajęczała, jak struna uśpionej w oddali harfy.

I znów było uroczyście cicho i uroczyście srebrno. Wrota świątyni po brzydkim i na wskróś ludzkim geście Karola na chwilę rozwarły się instynktom płynącym i uprawianym „na dole". Lecz oto czysty wiew, płynący od jeszcze nie eksploatowanych szczytów, przeleciał cicho pod sklepieniem jodeł.

Zaszemrało, jękło od bólu znieważenia sklepienie rozkosznej, a czystej świątyni i znów stało się w niej słodko, spokojnie i święcie. Ptaki tylko posnęły na gałęziach znu-

żone, mchy zasrebrzyły się w księżycowym blasku. Wrota świątyni zamknęły się dla odmętów ludzkiego tchnienia.

I jasno, czysto było znów pod kolumnadą jodeł.

Helena weszła w głąb lasu z uczuciem wielkiego smutku. Zdawało się jej, że idzie zerwać z grobu gałązkę cyprysu, aby potem nieść ją przez życie zamiast serca. Słyszała poza sobą kroki Karola. Nie oglądała się na niego wszakże. Nie wiedziała, jaki właściwie jest nastrój jego ducha. Czuła, że cierpiał. Lecz nad czem? Czy nad teraźniejszą czy przyszłą chwilą? Czy budził się w nim jakiś niepokój, jakiś przesyt, jakiś żal, że nie potrafi być pięknie szczęśliwym?

Tego już wiedzieć nie mogła.

Szła w tem srebrze, po tych cichych, mchowych pokładach blada i smutku pełna w swej białej szacie, owinięta szczelnie śnieżną draperją jedwabnego szala. Fałdy jedwabiu szczelnie przylegały do jej twarzy, pozostawiając z niej trójkąt, który podnosił delikatność jej ust, prostą linję nosa i ciemną głąb źrenic. Uczuła się piękną w tym smutku i srebrze i przypomniała sobie te uczucia własnej piękności, jakie miewała w Reichenhall i na Lido.

Lecz tam piękność ta sprawiała jej pewne artystyczne zadowolenie, dziś pogrążała ją w melancholji i cierpieniu. Chętnie jednak byłaby tak szła daleko w tem srebrze, w które co chwila wpadała po to, aby wejść zeń snów w czarny cień i napozór nieprzenikniony. Piękno blasku księżycowego łączyło się tu z beznadziejnym jakimś, głuchym bólem.

Było to pełne czaru i smutku zarazem. Powoli Helena uspokajała się. Artyzm jej brał górę. Zaczynała wypływać z cienia cierpienia, a chłonąć w siebie tylko wrażenia blasku zimnego i czystego. Kierowała swe kroki tam, gdzie jak najwięcej światła filtrowały gałęzie. W świetle tem rozpraszała posępne myśli.

— Jak cudnie!... jak błogo!... myślała uporczywie. Czy w tej piękności, która mnie tak łagodnie objęła, jest miejsce na szpetotę gniewu lub urazy za czyn zły i brzydki? Czy nawet powinno istnieć wspomnienie takiego czynu?

Przejęta tą myślą zatrzymała się i wróciła do Karola, który zatrzymał się także.

Światło księżyca oblało ją całą. Promieniała biała i smukła, jakby wyszła z piany wód uduchowiona i czysta. Ręka jej wyciągnęła się z fałd jedwabiu.

— Chodź do mnie, wyrzekła — wyjdź z cienia!

Lecz on odparł, zasuwając się prawie w cień drzew:

— Zostaw mnie tutaj! Pozwól mi patrzeć na ciebie — jesteś tak bardzo piękną!

— Egoistą jesteś! — I ja chcę również patrzeć na piękność twoją.

— Moja jest różna od twojej. — W mojej nie znajdziesz tego słodkiego ukojenia, jakie ty mi dajesz swoją istotą.

Po ustach Heleny przewinął się uśmiech rezygnacji.

— Czy nie widzisz i nie odczuwasz mej zgody? — zapytała — wszak zrezygnowana jestem wziąć cię takim Sfinksem, jakim się mnie przedstawiasz. — Nie chcesz mi nic dać z siebie, niechże więc stanie się według twej woli.

Hawrat chwilę milczał, wreszcie odezwał się, jakby z ukrytą ironią:

— Nie wierzę w twoją rezygnację, Heleno. — Gdyby ona była istotnie w twej duszy, nie mówiłabyś o niej w tej chwili.

— Co więc sądzisz?

— Sądzę że przypuszczasz, iż wpływem swoim zdołasz zmusić mnie do wielu ustępstw.

— Czy się mylę?

Znów zapanowało milczenie i wreszcie Hawrat odpowiedział, a głos jego brzmiał wielką szczerością:

— Nie... mylisz się... jesteś w stanie doprowadzić mnie do wielu rzeczy.

W Helenie nagle nastąpiła gwałtowna reakcja.

Cała melancholja biernego smutku znikła. Zakotłowało w niej od bólu przeżytego i nadzieji. Sam Hawrat to przyznawał, iż może dokonać w nim zmiany! — Sam to przyznawał! Oślepiło ją od gwałtownej ku niemu miłości. Słowa dławić ją poczęły. Rozsunęła ręce od szyi, około której zaciskała fałdy szala. Zajaśniała cała jej twarz w blasku białego jedwabiu. — Oczy, prawie błyszczące, zwróciła w cień, w którym krył się ukochany. Chwilę oddychała ciężko i nagle — jak lawina, wybiegł z jej ust potok słów.

— Kocham cię!... Czemu więc kryjesz przedemną swą myśl, swą duszę? Kocham cię tak, jak ty mnie kochasz i pierwsza pokochała cię przecież dusza moja, gdyś ją omdłałą i strwożoną z przestworza, gdzie uciekała — ku mnie zawrócił. Nie ciało podbiłeś wtedy, ale w niewolę, w jarzmo wprzągłeś duszę moja, I nie kryłam przed tobą nic. Objawiłam ci się cała w szczerości najwyższej i wtajemniczając cię w moje śmiertelne trwogi, w mój ból duchowy i zwątpienia!... Sądziłam, że choć w części i ty zechcesz być tem dla mnie, czem ja się stałam dla ciebie... Nie chciałeś... Nie chciałeś...

Łkanie bez łez wypełniło jej pierś — on przerwał jej jakby suchym, urywanym głosem.

— Czy kochasz mnie mniej dlatego?

Głos jego tylko było słychać, on cały zatonął w ciemni.

— Nie... odparła Helena, nie mogę kochać cię ani mniej, ani więcej. Mogę cię tylko kochać, ale sądzę, że ścisłej spójni jeszcze pomiędzy nami niema i być nie może. I to

jest wampir, który mnie ssie i druzgoce radość moją. Chcę cię widzieć, tak jak ty mnie widzisz!... Chcę mieć w tobie cherubina jasności, a nie demona, osłoniętego cieniem i tajemnicą! Zrozum!

Wyciągała ręce w cień, w którym on krył się, w którym ona go przeczuwała, bo teraz straciła z nim kontakt duchowy tak dalece, że tylko mogła go już widzieć swym materjalnym wzrokiem.

— I kochać cię będę.... zaczęła znowu — tak bezgranicznie, tak bez swej woli i pamięci o sobie, tak ci mą duszę oddam na przepadłe, że będziesz mógł rozwiewać ją według upodobania w mgły i gwiazdy, będziesz mógł wysyłać ją, jak gońca, aby ci przyniosła wieści o tem, czego jeszcze nie wiesz, a wiedzieć pragniesz!... Ona ci posłuszna do stóp przypadnie, pytać nawet nie będzie, co z nią uczynić zamierzasz, ale ona wiedzieć musi, kto nią rządzi, ona wiedzieć chce, ma do tego prawo... skoro odsłonić przez nią możesz tę „pewność", która zabija, albo która da ci wreszcie radość i uspokojenie.

Wyczerpana, osunęła się na mech i padła głową na to miękkie i wilgotne od rosy wieczornej posłanie.

— Czyś mnie zrozumiał? — zapytała wreszcie. — Czy odczuwasz potrzebę takiego bezmiernego porozumienia się naszych dusz, jeżeli przez moją twoja ma poznać największą tajemnicę, bo tajemnicę śmierci?

Nie było odpowiedzi.

W ciemni, w której krył się Karol, panowała bezgraniczna cisza. — Zdawaćby się mogło, że ten człowiek istnieć przestał i stał się czarnym, marmurowym posągiem.

Po duszy Heleny przebiegł zimny dreszcz. Demonem jej się zdał w tej chwili ten człowiek, demonem, z którym miał ją połączyć łańcuch nierozerwalny, dośmiertny. Wypełzał ku niej strach i skoczywszy jej na kark, neurastenicznie dławić począł. — Nie wyciągała już ręki w ciemnie, nie mówiła nic. Patrzyła też prawie w obłędzie, czekała, że z tych drzew padnie na nią jakiś straszny wyrok.

I wreszcie dał się słyszeć głos Karola:

— Więc jestem tak duchowo potrzebnym do twego istnienia?

— Przykuwasz mnie z dniem każdym coraz silniej, coraz straszniej — odparła bez wahania.

— Jeżeli jednak...

Głos umilkł jakby niepewny, wreszcie z pewnym wysiłkiem ciągnął:

— Jeżeli jednak stałoby się coś takiego, coś, co rozłączyłoby nasze istnienia?.. Co wtedy?..

Pobladła, jak trup, szczęka jej dolna cofnęła się, zmienioną twarz zwróciła ku sklepieniu gałęzi, przez które płynęło łagodne, srebrne światło.

— Nauczyłeś mnie umierać! — wyrzekła cichym głosem, nauczyłeś mnie, że śmierć — to wybawienie... więc...

Nie dokończyła...

Jakiś dziwny, zimny, a mimo to tęskny uśmiech opromienił jej twarz, trwogę z niej otarł i dawną pięknością osrebrzył.

XXXI.

Już od rana wie Helena, że Hawrat jechać musi.

Ze Lwowa nadeszły trzy telegramy. Ważne sprawy każą mu jechać bez zwłoki. Helena chce jechać z nim razem, lecz on prosi ją, aby pozostała jeszcze dni parę w Lucernie i przyjechała później. Musi bowiem zatrzymać się w Wiedniu — zobaczyć się ze znajomymi posłami, którzy wnosili interpelację w sprawie, w której on ma występować jako obrońca.

Lęka się przytem, aby ich kto nie zobaczył razem podróżujących. Ludzie są złośliwi. Za powrotem do Lwowa zastać już mogą gotowy rój plotek. W ich wspólnym interesie należy unikać wszystkiego, co mogłoby im zatruć przyszłość i cień jakiś rzucić na Helenę bez najmniejszej przyczyny.

— Wszak będziemy mężem i żoną — co nas mogą obchodzić głupie plotki — mówi Helena.

Lecz on tłumaczy, perswaduje, prosi. Widać w nim wielką troskę widocznie o jej reputację, o jej dobrą sławę i Helena zaczyna choć z żalem poddawać się jego woli.

Po owej scenie w lesie powrócili do domu milczący i wyczerpani. Rozeszli się bez zamienienia słowa, a nazajutrz Karol, zmieniony i blady, ze śladami walki wewnętrznej na twarzy, oznajmił Helenie o konieczności natychmiastowego wyjazdu.

Nie spadło to na nią niespodziewanie.

Całą noc przygotowywała się poprostu do jakiegoś nieszczęścia — i dlatego ta wiadomość nie pogrążyła ją w takim smutku, jak gdyby przyszła nagle i nieoczekiwanie.

— Zatelegrafuję, kiedy masz wyjechać z Lucerny! — uspokajał ją Karol.

— Nie trzymaj mnie tu zbyt długo! — prosiła ze słodkim wdziękiem, tuląc się do jego piersi.

W chwili tej rozstania wszystkie dawne ich niepokoje zdawały się znikać i ustępować serdecznemu smutkowi. Pieszczoty ich były delikatne i pełne nieokreślonego czaru.

Poili się swym widokiem, tonęli wzrokiem, ręce ich nie rozstawały się. On zwłaszcza tulił ją ciągle do swej piersi w bezgranicznej jakiejś czułości.

Całował jej czoło i włosy. Przytulał do twarzy jedwabne zwoje jej szala, przepojonego wonią heliotropu i kwiatów wiśniowych i wspominał barwy jej ulubionych sukien. Jakaś świeża, niemal naiwna strona miłości odsłoniła się nagle przed nimi w tej ostatniej chwili. Pieszczotliwe nazwy i zdrobniałe ich imiona wypływały im na usta.

Oczy ich spotykały się po to, aby zajść wilgotną mgłą łez, podczas gdy usta uśmiechały się łagodnie. Wszystko straszne, tajemnicze zdawało się niknąć i ustępować w jakąś dal niezmierzoną. Troszczyli się o drobiazgi podróży i on nakreślił jej plan powrotu ze ścisłością zupełną. Kupowali przepyszne ametysty na wybrzeżu i złocone kołatki, ozdobione szarotkami i napisem Luzerne. Balkon swój przyozdobili masą purpurowych róż — „ostatnich róż" — jak zapewniła sprzedająca im te kwiaty Francuzka.

Długo wieczorem stali na balkonie przytuleni do siebie, patrząc jak nad Lucerną z nad wybrzeża strzelały w górę rakiety i rozsypywały się złotemi kłosami na tle ciemnego nieba.

— Gdzie będziesz jutro o tej porze? — pytała Helena głosem, w którym brzmiały łzy.

Wymienił nazwę stacji i oboje przysuwali się jeszcze bliżej do siebie, a owa ręka, opasująca Helenę, która przedtem tak gnębiła ją i ciężyła jej, stawała się dla niej słodkiem i pożądanem objęciem.

Nagle on zbliżył swą twarz do jej twarzy i wyszeptał, mając prawie swoje usta na jej ustach:

— Powiedziałaś wczoraj, że nauczyłem cię... umierać. Czy jednak nie nauczyłem cię także żyć — chcieć żyć?

— Tak! — odparła z prostotą — nauczyłeś mnie kochać, a więc przez to i żyć... Nie pojmuję teraz życia bez miłości — bez twojej miłości.

Chmura smutku przesunęła się po jego twarzy.

— Zbłądziłem bardzo! — wyrzekł po chwili — nie nauczywszy cię przez miłość jednostki — pokochać wszechświat. Wtedy potrafiłabyś żyć...

— Nie pragnę żyć inaczej, tylko dla ciebie i tobą. Zresztą, nauczysz mnie jeszcze kochać wszechświat! Na to mamy czas przecież. Pozwól mi tylko teraz kochać siebie bez granic i bez żadnych zastrzeżeń.

Westchnął ciężko i złożył pocałunek na jej miłośnie ku niemu zwróconych oczach.

— Jak ciężko! — wyrzekł, jakby do siebie — jak strasznie ciężko!...

Nazajutrz znaleźli się oboje na dworcu kolejowym wśród gromady turystów, przeważnie Anglików.

Ogłuszający turkot przesuwanych po kamiennych flisach wózków nie dozwalał im zamienić słów kilku. Przy bagażach z łoskotem ciskano kuframi, tak, że niektóre rozlatywały się w drzazgi i strzępy. Pasażerowie klęli, od strony peronu dolatywały gwizd i dzwonki.

Przy kasie tłoczył się tłum dziwacznie poubierany. Przekupnie roznosili dzienniki i owoce. Na to wszystko z oszklonego sufitu padało światło niepewnego dnia. Chmury zasłoniły słońce i chmury smutku zaciężyły na duszy Heleny.

Owinięta w szary, podróżny płaszcz, stała oparta o ścianę i patrzyła na Karola, który w tłumie tłoczył się przy okienku kasy. Cała groza odjazdu spadła na nią swoim ciężarem. Czuła teraz tylko brutalną mękę rozstania.

Ścigała oczami głowę Karola, przewyższającą tłum, gdyż wzrost jego był więcej niż średni. Chłonęła w siebie jego rysy, powtarzając sobie w duszy:

— Niedługo go zobaczę!

Nagle — przed oczyma jej przesuwały się rozmaite chwile ich stosunku. Zdawało się jej, że nie była dla niego taką, jaką być powinna. Lękała się, czy nie unosi czasem na dnie swego serca jakiego do niej żalu. Dziś chętnie odwołałaby wszystkie swe dawne wymówki i słowa. Czuła, że przyjmuje go już bez zastrzeżeń i postanowiła, gdy się zobaczą we Lwowie, pozostawić mu wszelką swobodę czynu i myśli.

Wreszcie znalazł się przy niej.

Mieli jeszcze kilka minut czasu, więc, nie spiesząc się, wyszli na peron — teraz nagle poważni, milczący i jakby senni. Helenę zaczęło coś silnie ściskać za gardło, jakkolwiek oczy jej pozostały od rana suche i bez łez. Wsunęła swą rękę pod jego ramię i uczuła, że to ramię drży.

Wielkie rozrzewnienie ogarnęło ją na myśl, iż on, mężczyzna, cierpi tak bardzo nad tem chwilowem rozstaniem — zebrała więc całą siłę, całą energię i prawie swobodnie odezwała się, kierując do oczekującego na pasażerów pociągu

— Więc kiedy dostanę telegram?

Nie odpowiedział — tylko zatrzymał się przed jednym z przedziałów, w którym już siedziało kilku Anglików.

— Tu wsiądę!

— Nie będzie ci wygodnie!

Wzruszył ramionami.

— Mniejsza z tem!

Przeraźliwy gwizd rozległ się w powietrzu. Konduktorzy pośpiesznie zatrzaskiwali drzwiczki wagonów.

Helena wpatrzyła się w twarz Karola. Był trupio blady.

— Usta twoje:... wymówił, wpijając się swemi spieczonemi ustami w jej wargi.

Nagle, jakby z jakąś determinacją, wyjął z kieszeni list i podał jej szybko, wciskając go w rękę.

— Weź to i... przeczytaj. Tylko... przyrzeknij mi, że przeczytasz dopiero wtedy, gdy już będziesz w hotelu...

Ona list wzięła machinalnie, a w sercu poczuła tak straszne zimno, że drżeć silnie zaczęła.

Błędnym wzrokiem patrzyła na niego.

Przycisnął ją do piersi i rzucił jej jedno słowo:

— Daruj!...

Wskoczył do wagonu -- drzwiczki za nim zatrzaśnięto. Jeden gwizd, szczęknęły łańcuchy i pociąg ruszył wolno z miejsca.

Helena ciągle patrzyła na drzwiczki wagonu, za któremi znikł Karol. Wiedziała, że on się nie pokaże. Czuła to doskonale, ten list jej to oznajmi. Mimo to jednak patrzyła za odjeżdżającym pociągiem, patrzyła machinalnie. I potem, tak samo machinalnie, skierowała się ku wyjściu. Wsiadła do dorożki i zbielałemi wargami wyszeptała adres. W dorożce listu nie otwierała, nie miała nawet do tego pokusy. Wiedziała, że zawiera ta koperta jakieś straszne, okropne wyznanie i że ona to wyznanie przeczytać musi. Lecz nie tu, tylko tam, gdzie on jej kazał i pozwolił. Jeszcze w ostatniej chwili chciała się zastosować do jego woli, jak do woli umierającego.

Gdy znalazła się wreszcie w swoim pokoiku, usiadła na łóżku, nie rozbierając się, i siedziała tak długą chwilę, patrząc na leżący na kolanach list.

— O!... jęknęła kilkakrotnie — o!...

Zdawało się jej, że chętnie oddałaby resztę swego życia, aby nie otwierać tej koperty. To znów miała wrażenie, iż niema siły ludzkiej, która przeszkodziłaby jej w dowiedzeniu się, co ten list zawiera.

Nareszcie, powoli, bez tchu, otworzyła kopertę. Szeroko otwartemi oczami, jakby chłonąc w siebie drobne litery Helena czytać zaczęła:

„Daruj, na kolanach, u stóp twoich błagam cię o przebaczenie! Postąpiłem względem ciebie niegodnie, ale niech mnie tłumaczy miłość, jaką dla ciebie od pierwszej chwili uczułem. Jestem żonaty i nie mogąc nic zarzucić mej żonie, nie mam prawa rozstawać się z nią i niszczyć jej życia. Chciałem ci kilkakrotnie wyjawić prawdę, ale lękałem się stracić tych kilka chwil szczęścia, które ukradłem memu losowi. Ostatnie nasze zajścia w lesie przekonały mnie, iż powinienem jak najprędzej cię opuścić. Niedługo stałabyś

się nieodzowną do mego życia i cierpiałbym zanadto. Oto była przyczyna, dla której niedozwalałem Ci sięgać do mej duszy. Musiałem się kryć przed tobą i zasłaniać, gdyż lękałem się twego duchowego wpływu. Odbierz nawzajem Twoją duszę z pod mego wpływu, ja niczem dla ciebie być nie mogę, nie powinienem. Och Heleno! Inaczej byłbym zajął się twoją istotą, gdybym miał pozostać przy tobie na zawsze. Chwilami mimo mej woli siła twoja porywała mnie i wtedy rozsnuwałem przed tobą szersze widnokręgi, lecz prędko cofałem się bo czułem, że mi to nie było dozwolone. Sfinksem, tajemnicą, przechodniem będę w twem życiu. Daj mi jałmużnę wspomnienia. — Nie zobaczymy się nigdy. Tak lepiej dla nas, dla mego spokoju. W tej chwili cierpisz i ja cierpię niemniej od ciebie. Tyś przynajmniej wolna, ja skuty na zawsze.... Daruj! Odbierz swą duszę... ja dla niej nic zrobić nie mogę". *Karol.*

— Odbierz swą duszę! — wyjęknęła Helena — odbierz swą duszę!

Nie ból wypełnił jej piersi. Ból to zbyt małe, zbyt żadne określenie, by odczuć to, co ją przejęło na wskróś, do głębi serca.

— Odbierz twą duszę z pod mego wpływu!... — powtarzała zbielałemi usty — ja nic dla niej uczynić nie mogę!...

Wzrok jej błędny padł na purpurowe róże, któremi wczoraj Karol przystroił ich balkon — zatrzymał się na tych kwiatach więdnących w kryształowej czarce.

— Odebrać duszę?...

I zaraz potem jęczące pobiegło pytanie:

— Jak?.. jak?...

XXXII.

Z turkotym brutalnym pędziła dorożka po uśpionych ulicach miasta.

Wciśnięta w róg powozu Helena drżała cała od porannego chłodu.

Niepewny, szary blask wschodzącego dnia rozwłóczył się wśród kamienic zamkniętych jeszcze szczelnie i zakradał się do okien, zasłoniętych przeważnie roletami.

Inne dorożki, naładowane ludźmi i kuframi, mijały dorożkę Heleny — to znów pozostawały w tyle. Straszny, niemiły hałas napełniał powietrze.

Było w tem coś wyzywającego, coś trywialnego — jakieś krzykliwe przejawy życia — urągającego ciszy, którą noc sprowadzała w serca mieszkańców.

Helena jechała jak senna, jak martwa, powtarzając sobie ciągle, że już przyjechała, że już jest w tym Lwowie, będącym teraz jedynym punktem, około którego kręciły się jej myśli.

Lękała się tej chwili, sądziła, iż sprawi to na niej piorunujące wrażenie. Wiedziała, iż Hawrat mieszka na ulicy Trzeciego Maja, czuła go tak blisko — a przecież pozostała jakby bez czucia, jakby zamarłą fizycznie i moralnie, nie odczuwając żadnych wstrząśnień, przed któremi drżała.

Szklannemi oczyma patrzyła na szeregi domów, na place puste, na szyny tramwajowe, na drzewa jakby powleczone szarą gazą kurzu.

To wszystko było jej obce i nie interesowało jej. Czuła, że inną powróciła niż wyjechała i dlatego ten widok uśpionego, prowincjonalnego miasteczka nie działał na nią zupełnie.

Wspomnienia te, o których warto pomyśleć, pozostawiła za sobą. Tu wszystko było bez barwy, bez woni. Wchodziła w cmentarzysko, pełne bezwonnych kwiatów. I to nawet, że on był wśród tych kląbów ukryty, było dla niej jakby obojętne i wygasłe.

— Czyż to możliwe? — myślała, czyż to możliwe, że odzyskałam spokój.

Zamknęła oczy, pragnąc wniknąć w siebie i wyrozumieć stan prawdziwy, w jakim się znajdowała. Nie mogła pojąć nic. To była jakaś cisza niepojęta dla niej, wobec cierpień, przez jakie przeszła w ciągu ubiegłych trzech tygodni.

— Nie wiem... nie wiem! pomyślała. — Nagle dorożka zatrzymała się.

Helena otworzyła oczy i znalazła się wobec rzeczywistości. Przed nią była kamienica, rząd okien, brama już na wpół otwarta, poza którą Helena przeczuwała stróża...

Wenecja, Karol, Lido, Lucerna, wszystko zapadło w mgłę.

Na turkot dorożki wypadł z bramy stróż, odziany w swą nieśmiertelną, pasiastą kurtkę. Zobaczywszy Helenę, udał wielką radość.

— Ach! to wielmożna pani! Chwała Bogu! — zawołał, całując Helenę w pelerynę jej podróżnego płaszcza, — to dobrze, że wielmożna pani przyjechała... a to urwanie głowy poprostu. Wodociągi mają lada lada dzień zakładać, już dopiwnic zachodzili, pies pana majora ugryzł córeczkę pana radcy. Będzie nawet o to skarga. A znów szewc z suteryn zwymyślał maglarkę z przeciwka i jutro jest pyskówka w sądzie, a niby za świadka...

Opowiadał to wszystko szybko, zwłócząc kufry z kozła dorożki. Helena nie słyszała jego słów. Nagle spadł na nią jakiś ciężar, osunął się po karku na ziemię i uczepił jej stóp. To był ciężar powszedniego życia, który czepiał się jej z takim uporem.

Weszła na schody frontowe powoli, jakby żałując każdego kroku, który ją podnosił na górę. Zbudzona przez stróża kucharka, w narzuconej na prędce spódnicy, otwierała jej drzwi frontowe. Pokojowę oddaliła Helena jeszcze przed wyjazdem.

Wszedłszy do przedpokoju, łagodnym ruchem oddaliła stróża.

— Idźcie — jestem zmęczona. Później mi opowiecie resztę.

Kucharka krzątała się, ścieląc łóżko, pytając, czy ma zaraz podać herbatę.

— Piłam na dworcu! — skłamała Helena — idźcie jeszcze spać. Ja także się położę.

Za wszelką cenę chciała zostać samą w tem mieszkaniu, w którem teraz żyć i myśleć miała. Chciała w pierwszej chwili odczuć wrażenie, jakiego dozna i zrozumieć, czy jest dla niej jeszcze nadzieja jakiegoś możliwego powrotu do dawnego życia.

Kucharka wyszła, spuściwszy roletę.

Helena pozostała sama.

Pierwszą jej czynnością było podejść do okna, podnieść roletę, otworzyć okno na rozcież, aby wpuścić przez nie jak najwięcej światła. Postępowała jak lekarz, który heroicznie odsłania przed chorym ranę, chcąc zbadać stan jego nerwów i wyrozumieć, czy może poddać go operacji. Chciała spojrzeć dokoła siebie jasno i trzeźwo i wysondować swą duszę, czy tę jasność i trzeźwość tak fizyczną, jak moralną przenieść jest w stanie.

Całe umeblowanie, nie tylko sypialni, ale i całego mieszkania było doszczętnie zmienione.

Zakupione przez Helenę w Wiedniu meble nadeszły. Tapicer jej znajomy, z polecenia jej jeszcze przysłanego z Wenecji, zajął się przemianą pomieszkania. Wydała to polecenie Helena, sądząc, że powróci wspólnie z Karolem i pragnęła, ażeby od razu zobaczył ją w świeżem i artystycznem otoczeniu.

Tak, stanowczo, artystycznego było tu wiele, w pomyśle, linjach, barwie i wykonaniu. Zdawało się, że całe wnętrza, kopiowane ze „Studio" lub „Ver sacrum", przeniesiono do tych pokoi. Jasno, widno i przestronno. Linje mebli, wygięte w kapryśne łuki, gną się, jak węże lśniące, to znów strzelają w górę, jak lilie świeżo rozkwitłe. Na rudem tle mahoniu zielone liście orzechów lśnią się jak bukiety, tu i ówdzie migocze wąska linia złoceń, dyskretna i stosowana. Zielono-mchowe delikatne, jedwabne zasłony zwieszają się u okien. Story z angielskiego muślinu mają desenie kwiatów fantastycznych, jakby z wykwintnych wzorów Gracji Boston zapożyczone.

I ta masa kwiatowych motywów, te linje mebli, powyginane jak źdźbła olbrzymich traw, stoliki zielone jak liście wodnych roślin, nadają mieszkaniu Heleny cechę jakiejś oranżerji, w której spożytkowano rośliny do usługi do tej chwili im nie znanej, zaklęto je w wieczną świeżość i w zielone, blade ściany pokoi je wtłoczono.

Po szarawych kobiercach, na których desenie seledynowe wiją się jak inkrustowane węże, cicho mknie Helena z pokoju do pokoju, wpatrując się szeroko otwartemi źrenicami w porozstawiane sprzęty. Zatrzymała się chwilę w jadalni, w której kredens z żółtawo-zielonego drzewa, zastawiony miedzią, uderzał pozorną prostotą linij, a w prostocie tej był tak sztuczny i skomplikowany, że robił wrażenie pnia drzewa w dziewiczej puszczy konarami splecionego. Dokoła długiego stołu krzesła a raczej zydle były równie niespokojne w rysunku, torturowane, dziwaczne. Pająk bronzowy, staro-holenderski, tak zwany lampader, odbijał tu jeden powagą i pięknością cyzelowań globusu. Pająk ten należał do

dawnego umeblowania i był tak piękny, że tapicer nie ośmielił się go usunąć.

Przez kolorowe witraże okien padało światło w ciemnofiotetowych i rubinowych smugach. W świeczniku drżały iskierki tego światła tak, iż zdawał się nasadzony ametystami i rubinami. Nagle złota strzała słoneczna przebiła chmury i witrażem wpadła do pokoju. Ozłocony lampader zalśnił bogato i wspaniale, przygniatając swym blaskiem szare tony mebli. Stojące na pułkach miedziane wazy, talerze, kubki, amfory zaczęły także płonąć krwawo dokoła ścian. I dopiero w tym blasku dostrzegła Helena, że meble, kredens, szafeczki nabijane były miedzią, która w wężowych linjach i kształtach oplatała zamki, zawiasy i kanty.

Wszystko teraz kolejno zapalało się w tem porannem świetle, jakby wielka iluminacja jakaś rozświetlała szarą kaplicę, w której wężowe, uśpione sploty pięły się wzdłuż ścian i wyrastały ze lśniącej podłogi.

Helena cofnęła się do salonu i wzrok jej padł znów na wenecki pająk, jakby ośnieżony irys, rozpięty w powietrzu. Leciuchne, zielonawe tony igrały pod powierzchnią szkła. Tak był delikatny i nikły, że zdawał się podmuchem wiatru niesiony i wypadkowo w przestrzeni zatrzymany.

Helena stanęła znów chwilę i mimowoli szukać zaczęła „swego kąta", foteli ciemnych na biegunach, niskiego stolika, ryneczki z sewrskiej porcelany, malowanej w róże, w której trzymała papierosy. Nie było nic z tego dawnego kącika. Pozostał tylko zielonawy, malowany w irysy parawanik, na którego tle tak często rysowała się jasna głowa Weryhy. Dziś stał usunięty i osłaniał piec. Zginął po prostu w masie sprzętów i sobą samym nie wywołał w Helenie żadnego wrażenia, żadnego wspomnienia,

Obok Heleny stała etażerka, złożona z kilku jakby drabinek, połączonych lśniącemi deseczkami, oprawnemi w zielonawy bronz. Na deseczkach poustawiano cacka. Kielichy weneckie duchową niemal pięknością pobijały tu szkła angielskie, prześliczne w swej formie. Jeden taki opalowy cud zdawał się bańką mydlaną, której dotknąć się mogły tylko elfy skrzydlate.

Helena spojrzała na tę śliczną, promienną bańkę o tęczowych tonach i nagle drgnęła cała. Ten kielich przywiózł jej kiedyś z Lido — Karol i podając kilka róż o żółtych i bladych tonach, postawił przed nią na stoliku, tam — w słomianej chatce nad brzegiem morza.

Taka drobna, niewielka, opalowa mgła, ujęta w splot zielonawych gałązek, a cały tłum wspomnień zaczął tłoczyć się dokoła Heleny.

Szybko, jakby gnana szpicrutą, przebiegła salon i wpadła znów do swej sypialni. Niskie meble z jasnego orzecha, ma-

lowane w wiśnie, białe portjery obramowane zielonem i purpurowem suknem — cały pokój do połowy obity suknem, szklane tafle tualety, umywalni, stolików, cała wesołość wiosenna, wytworna, owionęła ją dokoła. Lampa u stropu biała na srebrnych łańcuszkach, brak najzupełniejszy złoceń, a wszystko co świecić mogło, srebrne, działało na Helenę uspokojająco, lecz zarazem zimno i bez jakiejkolwiek spójni duchowej.

Usiadła na niskim fotelu, obitym kretonem w pęki wiśni, i zaczęła teraz zastanawiać się nad odniesionem wrażeniem.

Nowo tu, czysto, jasno. Inaczej, przedewszystkiem... inaczej!

A więc — może i to, co ją gryzie, co ją moralnie wyniszcza, zaginie i ona w tem otoczeniu nowem zdoła odnaleść siebie inną, zdrową — bezmyślną — taką jak dawniej była.

Tak. Lecz i z tamtemi meblami nie wiązało się wspomnienie Karola. Przeciwnie nie znała go, nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Żyła tu życiem artystycznie tresowanego zwierzątka.

I całe dawne gniazdo zburzyła dobrowolnie. To nowe wiązało już ją raczej z tem wyfrunięciem w świat, z tem wybiegnięciem pod pałac tęczy miłosnej, pod którym czekał na nią — nieznany a wyśniony rycerz.

W tym samym rogu, gdzie dawniej stała lustrzana szafa — inna w rysunku, inna w pomyśle — lecz jednakowo odbijająca postać naprzeciw siedzącej Heleny.

Wzrok młodej kobiety padł teraz w to zwierciadło a myśl cofnęła się nagle wstecz o kilka miesięcy — i oto — nastąpiło w umyśle Heleny porównanie. Jak w ów wieczór pamiętny rozwiewała dokoła siebie muśliny szat na wzór tancerki, muśliny szat i przeźrocza złudzeń.

Złocisty blask świec płonących w kandelabrach na wskróś przenikał białe, lekkie tkaniny, a marzenie jej płonącej wyobraźni przeświecało jasno przez opary złudzeń. To wszystko owiewało dziwną mgłą dokoła jej ciało, jej duszę — i łączyło się w rozwiewny akord, drżący całą ciekawością i pragnieniem.

Ciało jej było młode, dusza jej była młoda i choć ciemne tkaniny i ponure meble zdawały się chcieć przytłaczać tę bujną młodość — przecież jakby z grobowców kwiat, przeświecała ona nadzieją, nienasyconem pożądaniem szczęścia, gracją i wdziękiem romantycznych uniesień.

Tak było w ów pamiętny wieczór.

A dziś?

Wczesny ranek — słońce jesienne wstaje powoli, krwawo — rozdziera gwałtownie osłony chmur.

Odziana szaro, zasunięta w głąb fotelu siedzi Helena martwa i przygasłym wzrokiem śledzi swą postać odbitą w lustrze. Ma przed sobą — starą kobietę.

Tak. Przeczyć niepodobna. Ta kobieta, owinięta od stóp do głowy w szarą wełnę, z włosami niedbale sczesanemi po obu stronach głowy — ma wszystkie cechy starości ciała i duszy.

A więc przedewszystkiem to pochylenie, to dźwiganie ciężaru — jeśli nie lat, to ciężaru życiowych przejść. A potem kąty ust — ich osunięcie, wygięcie dziwnym łukiem ku dołowi. Takie usta, ciążące już bez wysiłku, mają tylko płaczące dzieci i znękane bólem kobiety.

Helena takie usta przywiozła ze swej tęczowej wycieczki. Były to usta kobiety trzydziestoletniej, która dbać o swój wdzięk przestaje, lub która przestała się nagle uśmiechać.

Oczy także miały wyraz senny — jakby patrzyły poza przedmiot, do którego się zwracały.

W oczach tych jednak koncentrowała się cała tragedja przeżyta przez dni ostatnie i oczy te cierpiały tak strasznie mimo swej pozornej nieruchomości, że Helenę wielka litość ogarnęła nad tą nagle i przedwcześnie postarzałą kobietą, jak nad uwiędłym, rzadkim, a niedawno czarującym kwiatem.

Przed własnym grobem siedziała i obliczała mimowoli szybkość z jaką ruina ją ogarniała.

Wychudła, ręce złożyła na kolanach i patrzyła ciągle, jakby nasycić się nie mogła tym widokiem, którego nawet nie przeczuwała.

— To ja! — myślała gorzko — to ja!

Cały ekstrakt bólu koncentrował się w jej postaci, cała energia zła, wyładowującego swą siłę w serca ludzkie. I ból jej własny potęgował się na widok ten żałobny, rósł i olbrzymiał z każdą chwilą.

Poiła się tą żałobą, chłonęła ją w siebie i każda minuta czyniła ją jeszcze starszą, jeszcze więcej złamaną.

— To ja!

Do przyczyn bólu dosięgnąć nawet nie mogła, tak strasznie silny był pokład cierpienia, który jej duszę okrywał.

Wiedziała, że ta przyczyna istnieje — czuła jej cierń w przepaścistej głębi swego serca.

Nazwać jednak, postawić przed sobą to, co ją w ten bezmiar rozpaczy wtrąciło — nie chciała. Łękała się chwili, gdy wydobędzie się to straszne, strząśnie skrzydła i stanie naprzeciw niej twarz w twarz.

Czuła, iż tej chwili nie zniesie.

Tymczasem — siedzi i patrzy, patrzy na siebie „starą“ — na siebie „starzejącą się“ — spowitą w mgłę bezbrzeżnej rozpaczy.

Dokoła niej biel draperyj, bukiety, wieńce, rozrzucone pękami na tle mebli, kretonu, jakaś młodość, czar, świeżość — coś, co prosi o uśmiech, o wesołą kaskadę głosu.

I smutek jej tak wielki, że ogarnia duszę tych martwych rzeczy, ziębi je, matuje połysk srebra, gasi wesoły ton wisien, sypie popiół na biel draperji.

Esencja smutku rozpływa się niejako w przestrzeni. Milczenie przygniatające bez szelestu życiowych skrzydeł. Urna żałobna, okryta czarnym całunem. Pochodnia gaśnie bez protestu, bez buntu.

Fatalność spłaty chwili rozkoszy ciąży dokoła w swem banalnem, musowem następstwie wypadków.

Coś tragicznego jest w tej rezygnacji, z jaką ta kobieta przyjmuje wypadek, łamiący ją jakby kołem wozu triumfatora. Zda się tak siedząc czekać na jeszcze większe fale cierpienia, które i tak zatapiają jej wolę, duszę, serce i ciało.

XXXIII.

Rezygnacja Heleny nie trwa zbyt długo.

Przechodził powoli w stan tak strasznej nerwowej nadczułości, iż we dwa dni po przyjeździe do Lwowa Helena nie jest w stanie wstać z łóżka. O wyjściu na miasto myśleć nawet nie może.

Powoli świadomość niedalekiej obecności Hawrata zaczyna ją przejmować strasznym niepokojem.

Przez pokłady nieruchomej — zda się — apatji przedostaje się do niej to, czego lękała się tak strasznie, to jest wrażenie zbliżenia do tego człowieka.

Po jego odjeździe w Lucernie przepędziła całe dwa tygodnie, jakby w śnie somnambulicznym, nie zgłębiając swego stanu, przyjmując go, jakby wypadkową a masową katastrofę, w jaką wtrąconą została.

Wiedziała, że go utraciła, że zniknął z jej życia na zawsze i zdawało się jej, że jest to śmiertelna katastrofa, coś graniczącego z trumną bardzo kochanej i wybranej istoty. Rozpaczała z pewną godnością, jak umie rozpaczać serce wyszkolone w uczuciach szlachetnych, co zgadywała instynktem, gdyż do tej chwili nic graniczącego z rozpaczą nie miało z nią bliższego kontaktu.

Ból jej był cichy i zamknięty w granicach wyższych cierpień, bez łamania się bezsilnego kobiet, zwyczajnie zdradzonych. Nie chciała zastanawiać się nad „oszustwem“ Hawrata, nie przypominała sobie jego kłamstw i perfidji. Nie mówiła „niegodny“, lecz błądziła wśród lodu i zimna, wśród przerażającej pustki życiowej, jaką wokoło niej zostawił.

Żalu „do niego“ nie czuła, natomiast czuła żal „za nim“ i w tem leżała szlachetność jej cierpienia.

Otoczenie czarujące, złożone z kwiatów i gór, opalowe ranki i wieczory, to jakieś wyniesienie fizyczne, które ją odgraniczało od reszty ludzi, dodawało wiele do tego nastroju. Zdawało się jej, że to cierpienie porwało ją na swe lodowe skrzydła i niesie wzdłuż bezbrzeżnej, chłodnej pustki.

Niesie ją daleko i nigdy nie zatrzyma się już ani na rozrywkę, ani na powtórzenie się pchnięcia sztyletu, jakiem bezwarunkowo była dla niej godzina agonji, w której Hawrat ją opuścił.

Lecz oto wróciła.

I teraz zmieniło się wszystko.

Wróciła do dawnego życia, do drobiazgowych, niemiłych zajęć, do materjalnych obowiązków swego istnienia.

Musiała słuchać relacji stróża, kucharki. Musiała regulować rachunki tapicera i innych dostawców. Musiała zająć się życiem i wejść w nie, pomimo swego bólu. W ten sposób zbudziła się z letargu.

Lecz było to straszne przebudzenie. Razem z niem powróciła świadomość spadłej na nią katastrofy, która w całej grozie i z brutalnem natręctwem nastręczała się przed jej oczy...

Odpychała ją i walczyła. Napróżno. Materjalne i drobiazgowe strony życia nasuwać jej zaczęły drobiazgowe przyczyny jej cierpienia.

Zajęcia domem wywołały wspomnienia domowego napozór, a tak słodkiego pożycia z Hawratem.

Pierwszy obiad spożyty na rogu stołu, spożyty samotnie, nasunął jej na oczy trattorie na Lido, nadbrzeżne namioty, któremi wiatr od lagun poruszał, podczas gdy Hawrat nalewał do szklanek ciemno rubinowe Chianti.

Śniadanie podane jej do łóżka — przypomniało balkonik wśród rozkwitłych nasturcyj na Wilhelmshöhe — klomby kwiatów, płomienną kokardę Lili i ten sygnał z dołu w formie pęku purpurowych róż, wzniesiony ku niej ręką Hawrata.

Te drobiazgi zrobiły swoje. Tysiącami szpilek, jak rój strasznych i bezlitosnych os, rzuciły się na jej serce.

Wyjęte przez świeżo przyjętą pokojowę z kufrów suknie szarpnęły nią w straszny sposób. Białe wełny, liliowe muśliny, przepojone heliotropem, rozwiały się dokoła nakształt mar.

Biały szal, rzucony na poręcz fotelu, dopełnił miary. Z całą szybkością kobiecej wrażliwości Helena w tych fałdach białej tkaniny odnalazła siebie dawną, tę inną, tę jego, tę — Hawrata.

Rzucił się na nią cały straszny wampir, opadł na jej kark i wtrząsać nią zaczął.

— Weź to! weź to — zawołała rozdzierającym głosem do zdumionej tym nagłym wybuchem pokojowej.

Zostaw mnie!...

Dziewczyna wyszła, przymykając cicho drzwi.

Instynktem kobiecym wyczuła, iż pozostawia Helenę sam na sam z jej nieszczęściem.

Jakaś trwoga przejęła jej naiwne serce. Helena po wyjściu pokojowej ukryła twarz w poduszki, jakby sądząc, że w ten sposób uwolni się od swego wroga.

Lecz ogrom cierpienia, jaki się w niej nagromadził, był tak wielki, iż dłużej znieść go nie mogła.

Podniosła głowę i wyciągnęła ręce. Twarz jej stała się nagle trupio bladą. Na szyję wybiegły żyły. Była straszną, była maską tragiczną, wyobrażającą w tej chwili ból graniczący z obłędem. I nagle z oczów jej, które szklane zaświeciły matowo w przestrzeni, polały się dwie strugi łez, a z piersi, wezbranych łkaniem, wybiegł straszny jęk dławionej ofiary. Gestami krótkiemi, urywanemi, ręce przecinały powietrze. Zęby dzwoniły jak w febrze, dolna szczęka wysunięta naprzód, kaleczyła wierzchnią wargę.

Helena, wijąc się, upadła na łóżko. To był pierwszy płacz, który wstrząsnął nią tak strasznie od chwili opuszczenia jej przez Hawrata. Łzy płynęły bezustannie strugami, nie sprawiając jej żadnej ulgi.

Jak zwierzę cierpiące i pozostawione sobie samej, tak wiła się Helena w swym bólu, wyciągając napróżno ręce, jakby szukała jakiegoś oparcia. Zdawało się jej, że w tej chwili niema nad sobą dachu, że jest na pustem polu i że wicher szarpie nią, a grom po gromie mózg jej druzgoce. Dopiero teraz przejrzała cały ogrom swego bólu i nieszczęścia, które ją spotkało. Wyjąc tak poprostu z żalu, odzyskiwała całą przejrzystość i przytomność myśli.

Ból jej spychał ją na dno przepaści, zdzierał z niej iluzję szlachetności jej cierpienia. Była w tej chwili przeciętną, opuszczoną, oszukaną kobietą. Mężczyzna spotkany przez nią wypadkiem, nadużył jej zaufania, rozkochał ją i rzuciwszy jej „jestem żonaty“ — odszedł.

Taki był fakt nagi bez osłonek, taką była przyczyna jej rozpaczy. Po co miała się stroić w szaty niezwykłości, skoro czuła, że to, co ją spotkało, jest zwykłą koleją kobiet, pragnących zaznać niezwykłych dreszczów miłosnych. Pogarda straszna, jaką miała dla siebie, zaczęła łączyć się do bólu rozdzierającego jej duszę.

— Nędzna jestem! Nędzna! Marna... — powtarzać zaczęła wśród łkania.

Równocześnie to coś lepszego buntowało się i przeczyło.

— Nie wziął cię przecież na lep jedynie zmysłów i pięknych słów. Przypomnij sobie — dusza twa odlatywała, on cię odczuł, on odkrył przed tobą tajemnicę twej wielkiej, twej świętej, śmiertelnej trwogi...

— I odszedł! odszedł!... — rozległ się jęk, który mimowoli wydzierał się na jej usta.

Zaczęła teraz płakać cicho, lecz niemniej boleśnie. Wypłakiwała sobie zamiast serca, ranę. Ta myśl, że on odczuł

ją i pojął, a mimo to rzucił ją dalej na życie samą, przejmowała ją bezbrzeżnym żalem. Gdyby to był człowiek, którego zbliżenie było powierzchowne, zmysłowe, bolałaby może mniej, a pogarda dla siebie i wstyd zbudzony dopomógłby do odzyskania pewnej równowagi. Lecz tak jak było, równowaga ta przyjść nie mogła.

Gdy zmysły pokonane cierpieniem milkły, krwawiło się serce. Gdy serce na chwilę wyczerpane zdrętwiało, umysł zaczynał swą bolesną, tęskną pracę, rwąc i dręcząc mózg tęsknotą za tym, w którym znajdował najczystsze, kryniczne, zasilające źródło. Umysł wreszcie uśpiony wysiłkami woli umilkł, gdy oto występowała dusza i ta niepokojem swoim najwięcej przyczyniała cierpienia.

Jak ptak oślepły rzucała się, obijając skrzydła o pręty, pragnąc ulecieć ku temu, który z taką potęgą, z taką siłą ujarzmił ją i poddał pod swoją wolę. Całe poprzednie istnienie zdawało się dla tej duszy tonąć we mgle niebytu. Narodzenie jej rozpoczynało się od chwili, gdy tam daleko na wybrzeżu morskiem, w chwili śmiertelnej i nadzwyczajnej trwogi ulatająca w przestworze, zatrzymana została rozkazem tego człowieka.

Jak Amfitryta wyszła wtedy z piany niepewności i trwogi, czysta, piękna i zrozumiana. Odczuto ją i pojęto. Wiedziano, że ulatuje w swój zaświat, z którego przybyła. Nie szarpano jej wzmacnianiem sztucznem nerwów, lecz pozwolono na chwilę jak znużonej gołębicy odpocząć na swobodzie i zanurzyć się w przedsionku Nirwany. I wdzięczną, korną niewolnicą — królewną, przylgnęła do stóp Hawrata. Dziś, błądzić sama nie chce.

Buntuje się, łka, szaleje — wstrząca nędznem, wycieńczonem ciałem tej kobiety, która nie potrafiła ochronić jej od zawodu i nie umiała tak przykuć do siebie tego człowieka, iżby odejść od niej nie był w stanie. Mogła to uczynić, mogła, posiadając przewagę nad jego duszą, tak jak on posiadł przewagę nad jej duchową istotą. Była ta chwila. Mogła ją wyzyskać. Nie uczyniła tego.

Życie swoje strawiła na błahostkach, upiększając swe ciało. Nie upiększyła niczem ducha. Był piękny i wrażliwy sam przez się. Lecz był słaby. Nie wzmocniła go. Pozostał dziecięcy.

I oto dlaczego dziś pozostała sama i wije się bezsilna, szarpana szponami nastraszniejszego cierpienia.

I oto dlaczego nie tylko ona, oczyma ciała, ale wszystko w niej, a najwięcej jej dusza, łka, kona i płacze.

XXXIV.

Pod pozorem choroby Helena nie wychodzi za próg swego pokoju.

Leży nieruchomo teraz, wyczerpana fizycznie, i tylko bezustannie prawie dwie strugi łez płyną jej z oczu.

Nie je, żywi się przeważnie herbatą, którą pije ciągle trawiona gorączką. Oczy jej zapadają coraz głębiej, siatka zmarszczek pokryła jej skronie. Ręce nieruchome, jakby woskowe, spoczywają na białem tle kołdry.

Widoczne jest, że cierpi.

Tak przechodzi dzień.

Lecz oto zbliża się noc i ta jest dla niej pewną ulgą. Helena ma zapisane dawniej już środki usypiające. Bierze je z chwilą zmroku. Szybko wyczerpana zapada w sen kamienny, lecz serce jej pełne jest bezbrzeżnej trwogi. Często budzi się nad ranem wtedy, gdy świt walczy z resztkami nocy. I to przebudzenie jest tak strasznie bolesne i brutalne, że lęka się go tak, iż na samą myśl drętwieje.

— Boże! — modli się, usypiając — Boże! daj, ażebym się rano nie obudziła...

Lecz oto świt. I Helena nagle porywa się na posłaniu blada, z wzrokiem obłąkanym, trwożnie utkwionem w przestrzeń. Jakby ktoś umyślnie pastwiący się nad bezsilnem stworzeniem, tak staje przed nią cała prawda jej położenia.

To szarpnięcie jest tak okrutne, tak bolesne, iż równać się może najgorszej torturze. Nie ma jednak siły ją zwalczyć, bo sęp ten spada nagle, rzuca się zdradziecko wtedy, gdy na chwilę pogrąża się w niepamięci snu...

I wtedy szalone myśli wirować zaczynają dokoła niej, jak szatany — wyciągają swe szpony, wgryzają się w jej mózg, ssą strugi gorących łez.

Cały korowód niskich uczuć ogarnia jej łoże.

Świt leniwo wkrada się przez zasłony okien. Dziwaczne, pokręcone linje mebli występują niepewnie, robiąc wrażenie uśpionych potworów. Coś brzydkiego przepełnia tę senną

przestrzeń pokoju. W umyśle Heleny powstaje cała serja obrazów fatalnych, które szarpią jej nerwy, wyczerpane usypiającemi sztucznie środkami.

Czuje obecność Hawrata niedaleką i cierpi bardzo, niemogąc uprzytomnić sobie warunków, w jakich żyje.

Jest żonaty!

Lecz z kim, od jak dawna? Kto jest tamta kobieta? Czy kocha go? Jaki jest ich wzajemny stosunek?

Żmija zazdrości owija się dokoła serca Heleny. Po raz pierwszy doświadcza tego uczucia, po raz pierwszy analizuje na sobie to cierpienie. Wszystko, co dotąd przeszła, nie może porównać się z tą straszną męczarnią. Fizycznie jest to skurcz serca, który oddech tamuje, myśli zabija. Moralnie jest to jakieś bezsilne błąkanie się wśród mgieł najniższych domysłów, które osaczają dokoła duszę jak knieja nieprzebyta. Dusza rwie się w szalonych wysiłkach, chce odetchnąć, odpocząć, zaprowadzić pewien ład, wydobyć ze wspomnień wrażenia dodatnie, które mogłyby zniweczyć choć częściowo fatalny ból, wypływający z utonięcia w nieświadomej, ślepej zazdrości — lecz to wszystko napróżno. Zazdrość bierze górę. Wszczepione zasady samolubnego posiadania wytwarzają katusze, którym kresu nic położyć nie jest w stanie. Kobiety czują ten ból podwójnie, gdyż subtelność i lotność ich fantazji jest niezmierzona. To, co dla mężczyzny w szczegółach miłości jest niczem, dla kobiety przedstawia niemal wszystko. I o te drobiazgi, o te „nic“ — kobieta najwięcej jest zazdrosna. Cierpi z powodu zamienionego wejrzenia, odbytego wspólnie spaceru, przyjęcia wdzięcznego drobnej usługi, kupienia pary rękawiczek, zainteresowania się odbytą spowiedzią, podania lekarstwa. Te tysiące drobiazgów, łączących jej kochanka z inną kobietą, żrą ją i dręczą. Do tego głównego faktu — o który mężczyznom w wybuchach zazdrości chodzi, nie przywiązują wagi, a to, co stanowi nieraz przyczynę śmiertelnej tragedji w życiu zazdrosnego mężczyzny, to kobiety nie interesuje.

Czy ogrom katastrofy tak ją przeraża, iż ustępuje milcząca i jakby z dobrej woli, czy jest w tem jakiś inny fizjologiczny objaw z pewnym podkładem psychicznego wstydu i wstrętu, dość, że kobieta daruje prędzej mężowi brutalne wiarołomstwo, niż drobne fakty, dowodzące iż jest „coś“ łączącego owego mężczyznę z inną kobietą.

I z tego wywnioskować można, iż mężczyzny miłość dla kobiety jest więcej zmysłowa, kobieta zaś kocha bardziej sercem, uczuciem i duszą. Cierpi na myśl połączenia się dusz, nie ciał, cierpi nad objawami uczucia, nie szału.

I tak też cierpiała Helena.

Cierpiała czysto po kobiecemu, drobiazgowo, odgadując z intencją ślepo rozkochanej, jaki to musiał być stosunek Hawrata do żony.

Przypuszczała, iż tamta druga musi być do niej podobna. Nie chciała przyjmować teoryj kontrastów. Hawrat zdawał się jej człowiekiem wyjątkowym, nie tym, który szuka w kobiecie innego typu, lecz raczej, urobiwszy do swych duchowych i cielesnych pragnień jeden typ, za typem tęskni i pragnie go, gdy nagle znajdzie się sam jeden.

To więc wszystko, czem Helena byłaby w pożyciu z Hawratem, odtwarzała niezmiernie subtelnie i drobiazgowo z tą różnicą, iż zamiast siebie stawiała tę drugą i jej oddawała swe miejsce. Widziała, jak tamta kobieta, pięknie ubrana, z estetycznemi ruchami wypełnia swą istotą dom, który jest ich domem. Rano łączy ich przy śniadaniu tak, jak tam, w Lucernie, łączyli się przy małym stoliczku, zastawionym porcelaną i srebrem, w którem odbijały się purpurowe, świeżą rosą skąpane róże.

A dalej, dzień cały snuje się na wspólnej wymianie zdań, myśli, na tej serji małych ustępstw, drobiazgowych dowodów przywiązania, na wymianie przelotnych pieszczot lekkich, jak muśnięcie wiatru lub dotknięcie płatków kwiatowych.

I gdy zmrok zapada, gdy szara godzina ogarnie wnętrze domu, oni oboje siadają naprzeciw siebie i mówią, mówią ze sobą, odsłaniają swe dusze, prostują swe ścieżki, oddają sobie wzajemnie to, co zaczerpnęli przez dzień cały czy to z nastrojów estetycznych, czy z udoskonaleń swego moralnego ja, czy z silnych, groźnych wrażeń życiowych. Głosy ich płyną łagodnie, cicho, on mówi więcej, teraz ona słucha, zapatrzona w znikającą w wieczornym zmroku postać mężczyzny.

Na kolanach jej leżą kwiaty, które on jej „z miasta“ przyniósł, pies wierny i cichy spoczywa u jego stóp.

W cieniu czerwieni się ogień papierosa, przed nimi, na stoliku leży pakiet jeszcze nie rozciętych książek.

— Mam czas dziś wieczorem, słychać głos jego — czytać będziemy do późna. Chcesz?... Ona wstaje, zapala lampę... światło oblewa zaciszny gabinet. W przyległym pokoju służba przygotowuje do herbaty...

W piersi Heleny coś taką torturą zwija się boleśnie, iż na usta jej wydziera się jęk.

Zasłania oczy rozpuszczonemi włosami. Sądzi, że za tą ciepłą i wonną zasłoną odzyska choć chwilę spokoju.

Już napróżno, bo oto cała serja nowych obrazów zaczyna się przedostawać do jej wyobraźni:

Widzi — widzi „tamtą“ chorą, tak chorą jak ona, Helena, jest w tej chwili. Gorączkę ma — zimno jej — cierpi. — Lecz oto on otacza ją swoją najczulszą opieką. — Otula ją, zasłania okna, podaje chłodzący napój. Na rozpaloną skroń

przykłada swoje chłodne dłonie i ona zasypia uspokojona i szczęśliwa. — Gdy wieczór nadchodzi — on siada obok jej łóżka i śledzi z uwagą postępy choroby.

Pogorszenia się nie lęka — zbyt gorliwie czuwa i strzeże swej chorej. Ona uśmiecha się do niego z poza pasm włosów, spływających jej z czoła. — Chce mówić, dziękować mu za jego słodycz, opiekę. On łagodnie przykłada palec do ust, nakazując jej milczenie. „Lekarz zakazał" - i dodaje z pieszczotą w głosie: „a ja proszę"... ona milknie i teraz tylko patrzą na siebie z miłością i przywiązaniem, patrzą długo, jakby widzieli się po raz pierwszy lub po raz ostatni.

Oczy Heleny zalewają łzy.

To jest, czego ona zazdrości, czego pragnie i za czem myśl jej goni. — Helena ma w głębi swego charakteru właśnie ten ekstrakt „kobiecości" — i teraz w rozżaleniu swojem wszystko, co jest najpiękniejsze w tym kierunku życiowym, wydobywa. Jak artystyczne cacko, jak przedmiot rzadki i kunsztownie cyzelowany, lepi ideał takiego życia we dwoje i po nad nim ręce łamie w rozpaczy bezsilnej. A gdy już taki wycieniowany najwyższą subtelnością kobiecą obrazek rozwinie jej gorączkowa wyobraźnia, a nerwy rozigrane spotęgują to rozkoszne wrażenie do rzeczywistości — nagle doznaje strasznego ciosu i uderzenia gromu. — Nie ona, lecz „tamta" — groźna i nieubłagana, zjawia się ciągle w świetlanych promieniach, ciągle Helena widzi ją otoczoną ciepłem, pięknem i pieszczotą. — Ona sama zaś doznaje jeszcze oprócz zazdrości strasznego wrażenia upokorzenia i wstydu. Gdy tak wywoła żywą postać tamtej kobiety, gdy nada jej ruchy, myśl, głos, serce, charakter, gdy przeleje w nią swego ducha — zdaje się jej, że ona wie o niej tak, jak Helena zna jej istnienie. Wie i pogardza.

I to jest jeszcze jeden odcień bólu, który niby identyfikuje się z zazdrością, a przecież ma swój odrębny sposób cierpienia, cichszy, lecz może jeszcze więcej bolesny.

XXXV.

Wreszcie w tydzień po powrocie Heleny służąca podała jej bilet w kopercie, na której adres nakreślony był ołówkiem.

W pierwszej chwili nie poznała pisma. Doznała olśnienia. Sądziła, że Hawrat pisze do niej. Rozerwała prawie bezprzytomna kopertę.

Na bilecie nakreślone były słowa:

„Wiem, że pani chora — czy mogę Cię przywitać".

— Weryho!...

Chciała odpowiedzieć „nie" — lecz usta jej mimowoli odpowiedziały „tak". Naznaczyła godzinę i gdy pozostała sama, zaczęła zastanawiać się nad tem, czy dobrze zrobiła.

— Nie powiem mu nic, nie mogę... będę musiała męczyć się, grać komedję... po co! po co?...

Teraz wszystko w niej ograniczało się do owego „po co". Nic jej nie interesowało, nic dla niej nie istniało. Piękno, sztuka, artyzm, ten urok dawnych gawęd z Weryhą — wszystko nikło i nie nęciło jej więcej. Ugrzęzła w czarnej, błotnistej kałuży i tonęła w niej zrozpaczona. Jak poganka kochała własne piękno i kult siebie stawiała na pierwszym planie. To jej „ja" — ukochane i pieszczone, sprowadziło na nią tę straszną katastrofę. Zrzuciła siebie z piedestału i deptała po sobie z rozkoszą. Teraz rada patrzyła na swą zrujnowaną piękność. Podkreślała tę ruinę brakiem zupełnej kokieterji. Najczęściej, gdy snuła się po pokojach, odziana była w swój szary, podróżny płaszcz. Czuła się brzydką i chciała nią być jeszcze więcej. Sprawiało jej to rodzaj ulgi. Katowała siebie samą i długie chwile spędzała, siedząc skurczona na fotelu przed lustrem.

— Och!... jaka piękna!... mówiła do siebie z gorzką ironią.

Były to początki nienawidzenia siebie samej, które często występuje u kobiet przechodzących jakieś miłosne katusze. Pastwią się wtedy nad sobą, jak nad istotą, z której winy cierpią tak bardzo. Odmawiają sobie wszystkiego i nienawiść

ta dochodzi do pewnego stopnia aberracji. Znajdują w tem dręczeniu siebie pewien rodzaj ulgi i jakby zemsty. A potem, cierpienie jakie sobie zadawała, zagłuszało choć na chwilę tamto, pochodzące z innych przyczyn, jakkolwiek w rzeczywistości mających jedno źródło.

. . . . . .

Weryho zjawił się przed nią nagle w chwili, gdy mając go tak blisko siebie, nie myślała o nim zupełnie. Zbolała na wskroś, nie pragnęła przyczyniać sobie niemiłych wrażeń zejściem się z tym człowiekiem, z którym łączyła ją mglista pamięć otrzymanego pocałunku. A potem era odbierania listów przypomniała jej Reichenhall, Durantina i te inne niemiłe zajścia początków jej podróży. Jakiś niesmak przejmował ją. Lecz powiedziała mimowoli „dobrze“ i oto Weryho miał za kilka godzin zjawić się przed nią i mówić z nią tak, jak dawniej.

Tak jak dawniej?

Ależ to niemożliwe! Między tą, która go tu dawniej witała w lila szlafroczku, uśmiechnięta z ciekawości, a temperamentu pełna, a tą nią — teraźniejszą, znękaną, zranioną i tak zdenerwowaną, że każde słowo wypowiedziane głośniej opłacała łzą, była różnica tak wielka, jak pomiędzy irysem wykwitającym z głębi kunsztownej, kryształowej czary, a takim samym irysem uwiędłym i sczerniałym na wieku trumny. I czuła, że napróżno wysilać się będzie, aby nie zdradzić swej tajemnicy, zdradzi ją jej zmieniona i postarzała twarz, jej oczy wyżarte od łez, jej usta nagle opadłe bolesnym łukiem i wiecznie niedopowiedzianą skargą drżące.

— Pozna, pozna!... myślała, chodząc gorączkowo po sypialni, ledwo odziana, z włosami rozpuszczonemi na nagie ramiona.

I tak jej zeszły owe godziny oczekiwania. Chwilami przecież ów niesmak, budzący się w niej na wspomnienie Weryhy i łączących się z nim faktów, ustępował miejsca jakimś piękniejszym uczuciom. Coś łagodnego, spokojnego majaczyło jakby we mgle. Ten jego miły, dziwnie miękki układ, ten artyzm, promieniejący od jego istoty, przedzierał się przez chmury jej duszy.

Była więc niepewna i niezdecydowana, gdy wreszcie zadzwonił do jej drzwi. Sama nie wiedziała, czy wdzięczną mu jest za to, że wyrywa ją z błędnego koła jej cierpień, czy żal ma do niego za to, że przerywa to pasmo bólu i wdziera się niejako przemocą w królestwo jej smutku.

Służąca wpuściła Weryhę do salonu. Helena słyszała jego kroki — słyszała wybornie, jak szedł i drzwi się za nim zamknęły. Musiała wyjść do niego, musiała koniecznie.

Bezwiednie spojrzała w lustro. Dnia tego była jeszcze bledszą, jeszcze starszą, niż dawniej. Jakaś bolesna determinacja odbiła się na jej twarzy.

Heroiczne postanowienie kobiet, które... abdykują.

Zaczesała szybko włosy po obu stronach twarzy i związała je w węzeł nisko na karku.

Na jedwabną lila halkę zarzuciła wełnianą szarą angielską spódnicę, a na to wdziała swój długi płaszcz podróżny.

— Tak... tak... szeptała do siebie gorączkowo — tak będzie najlepiej... niech odrazu zobaczy mnie taką, jaką jestem obecnie. Nie chcę już teraz nikogo oszukiwać.

Nie spojrzawszy nawet w lustro, wyszła pospiesznie do salonu. Idąc, miała sztywne ruchy kobiety zmuszonej skoczyć w zimną bardzo wodę lub idącą do spowiedzi z ciężkim grzechem na sumieniu.

Gdy otworzyła drzwi i znalazła się w salonie, zastała Weryhę stojącego przed gablotką, w której rozstawione były artystyczne cacka. W ręku trzymał ów wenecki kielich nie kielich, tęczową bańkę i przeglądał się mu ze ślicznym uśmiechem. W jednej chwili Helena stwierdziła, że Weryho nie zmienił się nic, a jeśli nawet, to możliwie stał się jeszcze delikatniejszy i subtelniejszy w swej wielkiej piękności. Złote włosy miękkiemi falami otoczyły jego spokojne czoło — błękitne oczy miały śliczny, senny wyraz dziecięcego rozmarzenia.

Na odgłos kroków Heleny podniósł głowę i spojrzał na nią szeroko otwartemi źrenicami. Coś na kształt zdziwienia przemknęło w jego wzroku, ale było to mgnienie jedno i nagle twarz jego spoważniała, jakby tchnienie śmierci przesunęło się pomiędzy nimi.

Helena podała mu rękę i drżała cała tak, że wzroku jego przenieść nie mogła. Pierwsza to była przychylna twarz, którą spotkała od chwili owej katastrofy.

Chwila milczenia nastała długa i ciężka.

— Usiądźmy! — przemówiła Helena.

On obejrzał się dokoła.

— Szukam swego kąta... niema go! Tak się tu wszystko zmieniło.

— Tak... nowe meble... secesja... Pan wie... zapowiadałam przecież, że przywiozę to wszystko.

— Wiem!

Obco im było i nie swojsko. Te zimne mahonie, te pokręcone linje, niby miękkie i harmonijne, a tak twarde i sztywne, nie zachęcały do obrania sobie zacisznego i miłego „kącika".

— Gdzież „nasze" fotele? — zapytał Weryho, oglądając się dokoła.

Helena nie odpowiadała nic, jakiś straszny smutek za tem, co było, zaczął ją dławić i dręczyć.

Jakby zrezygnowana usiadła wreszcie na jednym ze sztywnych foteli, usiadła bez wdzięku, jakby umyślnie, zaniedbując linje.

On usiadł także i Helena zauważyła, że unikał jej wzroku. Mrok już zapadał, wczesny jesienny zmrok pełen niewypowiedzianej melancholji. Helena siedziała zwrócona twarzą do światła i pragnęła, aby on spojrzał na nią więcej badawczo i zajął się zmianą niekorzystną, jaka w niej zaszła.

Lecz on na nią nie patrzył, tak jakby owa jedna chwila wystarczyła mu do objęcia całej sytuacji. Zrozumiał, że miał przed sobą ruinę serca, piękna i życia tej kobiety. Głos jego przyciszony, ruchy prawie żadne, coś łagodnego, a przeniknionego wielką litością, zaczęły przepełniać zimną i ponurą atmosferę saloniku.

Wolno, spokojnie, po „swojemu" mówić zaczął, nie pytając jej o wrażenia, odniesione z podróży, nie drażniąc jej niczem, co mogło powiększyć jej ból. Odrazu znalazł pośrednie tematy, spokojne, i teraz powoli kołysał ją prawie melodją głosu i intonacją.

Za temat posłużyły mu meble, ów „styl" nie będący stylem, lecz wystawą indywidualnych pojęć piękna i szybko zaczął analizować każdy mebel, tak jakby to czynił ogrodnik, znajdujący się przed kłębem rzadkich a sztucznie wyhodowanych, dziwnych i różnobarwnych tulipanów.

— Nie czuję się tu swojsko! — wymówiła wreszcie Helena.

— Tak... — odparł Weryho — ale dlaczego pani chce swe otoczenie, stworzone dla innych, przystosować do siebie. Niech pani śledzi poczucie piękna tych, którzy meble te, obrazy i przedmioty sztuki wyrabiali. Zachwyci się pani „ich" wyobraźnią. Powoli na ich tle utworzy sobie odpowiednią swoją koncepcję piękna. Jeśli będzie się nawet różnić, jeśli linje ukochane przez panią będą się rozbiegać z ich linjami, to i to jeszcze da pani zadowolenie pewnej niemej dyskusji i opozycji artystycznej i szlachetnej.

Z upodobaniem przypatrywał się sprzętom i ścianom.

— Ile ja tu widzę połączeń tajemnych ze sobą, ile!... całe światy! Niech się pani tylko wpatrzy... proszę... i pani to samo znajdzie.

Lecz te artystyczne dyssertacje nie porywały Heleny. Na króciuchną chwilę zajęły ją, ale było to mgnienie oka, teraz znów cała hydra smutku ogarnęła ją brutalnie, pomimo obecności Weryhy.

Hawrat, jego żona... wszystko stawało jej w pamięci.

Siedziała milcząca, z oczami wbitemi w desenie dywanu.

Wówczas Weryho spojrzał na nią i znów to samo uczucie litości zadrgało mu w głębi źrenic. Lecz dyskrecja delikatna,

która była jedną z głównych zalet jego duszy, kazała mu nie wywoływać żadnych wyjaśnień, które widocznie jeszcze w głębi duszy Heleny spoczywały.

— A ja tu żyłem po dawnemu! — zaczął powoli, jakby próbując, czy ją ten przedmiot zainteresuje. — Żyłem ot jak w przyrodzie. Światła, cienie, mroki, gwiazdy, wielkie światła, rozświecające przyszłość — to znowu rozchylające się zawrotne głębiny jakichś przepaści. Przesuwa się to wszystko, i są to wizje, które stanowią całokształt człowieka. Jest w nich teraźniejszość, obramowana wypadkami chwili, harcująca przeszłość co chwila inne wysuwa postacie płaczące... śmiejące się. Temu przedstawieniu towarzyszy groza przyszłości lub jej uśmiech... Często mam wrażenie, że jestem, w przestrzeni, a moja głowa stanowi aparat fotograficzny, przenoszony coraz to w inne miejsce. Jednak moja świadomość silna i rutyna życiowa powstrzymuje mnie od upadku i utraty równowagi...

Bolesny, zgrzytliwy umiech przerwał mu mowę.

— Szalony i śmieszny jesteś... — wyrzekła z tym śmiechem Helena... — szalony!... Rutyna życiowa... świadomość silna...

Zanosiła się spazmatycznym śmiechem, on spokojnie wytrzymał ten atak, rad, że choć w ten sposób zdołał ją wyprowadzić z apatji.

— Wiem, z czego się pani śmieje — wyrzekł powoli — sądzisz, że ja według swej woli układam wypadki.

— Wola? — przerwała Helena — wola? Oszukańcze słowo. Niema z nas nikt woli. Gdybym miała wolę, ziściłabym w tej chwili coś, do czego dążę całą siłą. A przecież się nie ziszcza.

— Sądzę, że gdy pani będzie naprawdę „chcieć“, i to się stanie.

— Och gdyby!

Całe serce pragnące wyzwolenia i końca męczarni, ozwało się w tym krzyku. Było to tak silne pragnienie i przyzwanie końcowej katastrofy, zapewniającej możliwy spokój, że lodowe tchnienie przeniknęło i duszę Weryhy.

Zapanowało znów milczenie, przerywane tylko turkotem zdaleka jadących dorożek. Weryho coraz więcej rozumiał, że wszedł do domu żałoby, w którym zbolała dusza czuwa u wrót świeżo zamkniętego grobowca.

Oparł głowę na ręku, smutek powlókł jego jasną twarz, słowa płynęły mu z ust prawie bezwiednie.

— Niech pani pomyśli, życie faluje, burzy się. Ile z tych objawów mija dla nas niepostrzeżenie, zwłaszcza jeśli własne cierpienie lub szczęście nas pochłania. Nie spostrzegamy, że jesteśmy chwilowemi, przemijającemi objawami otoczenia chwili obecnej. Fala nad nami przepłynie... jednemu zerwie

głowę, drugi utrzyma się trochę na powierzchni i utonie również wśród rozkrzyczanych głosów pieśni, wołań, płaczu i jęków, z których się składa istnienie...

Zdawała się znów nie słuchać, nie rozumieć. Patrzyła przed siebie ponuro, otulona szczelnie w szary płaszcz. Zasunięta w wysoki, szaro lakierowany fotel, tworzący poza nią rodzaj niszy, miała pozór szarego, kamiennego anioła, czuwającego u wrót grobowca.

Popiół zgryzoty przysypał bladość jej. twarzy i zmiótł barwę ust. Oczy tylko ciemniały jak dwa onyksy wśród długich rzęs.

— Tak... wyrzekła przez zęby — utonie, lecz choć chwilę był na powierzchni.

— Każdy w życiu ma taką chwilę — odparł Weryho.

— Och! lepiej jej nie mieć...

— Dlaczego, nie mielibyśmy wtedy rozkoszy wspomnień. Wzrok jego mimowoli zabłądził we framugę okna, w której ona poddała swą nieruchomą twarz jego delikatnej pieszczocie.

— Wspomnienia — nazywasz rozkoszą?...

Zapytanie to rzuciła gorzko ze śmiechem bolesnym.

Lecz on odparł, ożywiając się nagle:

— Tak... można stworzyć sobie cały świat i żyć wśród nich jak wśród kwiatów. Dowolnie rozchylać zasłony, wyprowadzać na światło ten lub ów kwiat jakiejś ukochanej chwili... słowem przeżywać tysiąc razy to, co stanowiło czar naszego życia. Czyż to nie rozkosz prawdziwa?

Lecz ona potrząsnęła chmurnie głową.

— Nie — wspomnienia bolą. Przeżywa się wtedy po sto razy większy ból. Na niezabliźnione rany leje się gorący ołów...

— Dlaczego wspominać złe chwile? Należy wspominać piękne i dobre...

— Co?... Czyż nie wiesz najwyższej prawdy, jaką zawierają słowa „nic tak nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli."

— Rimini... Dante...

— Tak... piekło i ból piekielny...

— W tem filozofja życia. Wybierać nawet w ogrodzie wspomnień same piękne i wonne kwiaty.

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

— Filozofja życia — dobra dla takich, jak ty ludzi, którzy nic nie czują, nie kochają i niczego nie pragną.

Nie odpowiedział odrazu, tak jakby chciał, aby ten zarzut dobrze wypełnił przestrzeń i zarysował się przed jej oczami...

Wreszcie — powstał i ujął jej rękę.

— Odchodzę... jutro powrócę.

Bezwiednie prawie zatrzymała swą rękę w jego dłoni.

— Tak... i pochylając się ku niej dodał nadzwyczaj łagodnym, pieszczotliwem głosem:

— Nie zostawię pani sam na sam z sobą...

— A!...

— Tak! — należy panią bronić przed jej największym i najstraszniejszym wrogiem; do widzenia! Podniosła się i odprowadziła go po dawnemu do przedpokoju. Oparła się o ramę drzwi i patrzyła na niego załzawionemi oczyma.

— Połóż się pani — wyrzekł, stojąc przy drzwiach, a skoro nie będziesz mogła zasnąć — pomyśl, że ja jestem niedaleko i że myśl moja nad tobą czuwa!

Wyszedł, cichutko zamykając drzwi za sobą.

Powiedział te ostatnie, trochę sentymentalne słowa, z taką śliczną prostotą, że pozostały one po nim, jakby smuga woni, którą pozostawia po sobie wiązanka kwiatu.

Helena odczuła to wrażenie i pozostało w niej lekkie i nieuchwytne nawet wtedy, gdy powlokła się do sypialni i tam, tak samo jak dawniej, usiadła na fotelu, naprzeciw lustra.

Pogrążyła się znów w swej rozpaczliwej apatji, lecz musiała przyznać, że koło Hawrata i jego żony stanęła teraz postać Weryhy i jak lekki biały cień, rozświetlony dokoła złotawym blaskiem, tak wnosiła pewne światło w mrok jej myśli.

I mimowoli oczy jej zwróciły się w stronę okna, z którego widać było zamek i okna oficyny. Jedno z okien Weryhy — to niezaciemnione czarną zasłoną, błyszczało światłem lampy.

— Czuwa... jego myśl!... powtórzyła Helena.

Zdawało się jej, że przyciska do ust medalik, który ktoś na szyi zawiesił.

— Czuwa!

I po raz pierwszy od chwili powrotu Helena nie uczuła się tak samą na świecie.

XXXVI.

Zbudziwszy się nad ranem Helena doznała tego samego bólu, którym witała przyjście do świadomości, lecz równocześnie przemknęło jej przez umysł:

— „Czuwa jego myśl"!

Spojrzała ku oknu. Łóżko jej, wysunięte ukośno w rogu sypialni, pozwoliło jej ogarnąć przez niezasłonięty otwór okna całe drugie piętro oficyny.

W oknie Weryhy świeciła się ciągle lampa. Na szarem tle powstającego świtu miała pozór zapóźnionej, anemicznej gwiazdy. Niemniej Helenę światło to pokrzepiło jakoś i wzmocniło.

— Czuwa — jego myśl!...

Łzy popłynęły jej z oczu, ale był to jakiś inny odcień w tych łzach. Głowa jej zbolała, która tak rozpaczliwie, a bezradnie zwracała się, szukając punktu oparcia, obecnie uparcie dążyła w kierunku płonącej wysoko lampy. Przez mgłę łez Helena patrzyła na to biedne, żółte światełko, jak rozbitek patrzy na daleki blask portowej latarni.

Światło to działało na nią prawie uspakająco. Miało w sobie coś z Weryhy — było równe, bez drgań — jednakowe, prawie senne.

Helenę powoli ogarniała także jakaś senność. Nie wierzyła sama sobie. Od tak dawna nie zasnęła o świcie, męcząc się gorzko bezsenną rozpaczą. Ułożyła się na poduszkach, ciągle wpatrzona w światło lampy, jakby tam zaczęła dostrzegać źródło swego uspokojenia, choćby chwilowego.

Czuwa — jego myśl.

I przed jej wyobraźnią majaczyć zaczęła postać Hawrata, przewijały się tysiące kobiecych postaci, z których każda była jego żoną.

On jeden był pomiędzy niemi i tak jak szarfę mglistą, tak cały długi szereg tych kobiet o smukłych sylwetkach stylizowanych kwiatów rozwiewał dokoła siebie.

Helena ze strasznem wytężeniem śledziła te mgliste obrazy, chcąc ze spojrzeń Hawrata wywnioskować, która z tych aterycznych postaci jest żoną Hawrata. Lecz próżne były jej wysiłki. Oczy Hawrata, te dwa wspaniałe, migocące szafiry, oprawne w maskę imperatorską jego bladej twarzy, z jednakowym wyrazem śledziły każdy ów kwiat-kobietę i — wypuszczając lotną postać ze swych długich, patrycjuszowskich palców, bez żalu za nią spoglądały.

Wreszcie owa mgła rozwianych włosów, rąk o hieratycznych gestach, stóp lekko wzniesionych, zginęła, pokryta żółtawem światłem wysoko świecącej gwiazdy. Sama postać Hawrata rozpłynęła się wolno, jakby z żalem, w tym złotym, bladym blasku i Helena uczuła wielką ulgę, pewien stan odpoczynku, błogości.

Coś nakształt uśmiechu podniosło na sekundę opadłe kąty jej ust. Czoło rozgładziło się, z pod rzęs oschły łzy.

Była to chwila, mgnienie oka — ale była już taka chwila i Helena bez ruchu, bez tchu prawie, przeżywała ją, zanurzając niejako swą zbolałą duszę w mglistej, złotawej światłości, jaka ją otoczyła.

— Czuwa — jego myśl!...

XXXVII.

Nad wieczorem zjawił się znów Weryho i Helena wyszła do niego natychmiast, jakby na niego czekała, z nietajoną niecierpliwością.

Owinięta była znów w swój szary płaszcz i włosy miała sczesane tak samo w gruby węzeł na karku.

Ów sen poranny nie pozostawił na niej dodatnich śladów. Trwał krótko a raczej dał jej pewien żal za możliwą widocznie, a tak trudną do osiągnięcia, pewną równowagą.

Po przebudzeniu hydra cierpienia, jakby rozżarta za to, że ofiara jej ośmieliła się choć na chwilę odetchnąć, rzuciła się znów na serce kobiety i szarpać je zaczęła całą skomplikowaną torturą zazdrości, tęsknoty i urażonej ambicji.

Niemniej Helena podniosła się z łóżka i starała się przez chwilę zająć czemkolwiek. Nerwy jednak nie wytrzymały rozkazu i znów Helena zaczęła tonąć we łzach, powstrzymując z wysiłkiem rwące jej sercem spazmatyczne jęki.

W takim stanie duszy zastał ją Weryho.

Gdy posłyszała jego dzwonienie, porwała się, otarła łzy i wybiegła do niego, sądząc, że przy nim znajdzie uspokojenie choć chwilowe, to samo, jakie dało jej światło jego lampy.

Przywitali się gorącym uściskiem ręki i zaraz ona usiadła na tem samem miejscu, co wczoraj; on zajął, fotel na którym wczoraj siedział.

Pomiędzy nimi znajdował się mały stolik o zielonym, gładkim blacie. Jakiś „kącik“ już się wytwarzał bezwiednie, zastępując ich dawny „kącik“.

Niedaleko znajdował się parawan w irysy — i oto Weryho, zanim usiadł, szybkim gestem parawan ten posunął i ogrodził ten kącik salonu od całej reszty.

Nie było tam jeszcze atmosfery sympatycznej, tej mowy „rzeczy“, która ma swój odrębny sposób przemawiania do dusz ludzkich, ale — przecież coś wytwarzać się zaczynało

— coś, co mogło wyprowadzić ich oboje z ogólnego świata i dać im ich własny światek, zamieszkały tylko przez nich moralnie i fizycznie.

— Tak — wyrzekł, siadając — teraz nam będzie lepiej rozmawiać. Nie jestem stworzony do szerokich przestrzeni. Nad morzem szukałem zawsze skał, grot, w których mógłbym poprostu zamknąć przed sobą pewną ścianę i powiedzieć myśli: „możesz mieszkać w tym małym domku".

Helena nie mówiła nic, śledziła go tylko z pod oka.

Doznała napozór pewnego zawodu. Uspokojenie, które sądziła, iż spadnie na nią jak deszcz kwiatów akacji, nie przychodziło. Przeciwnie, — ta mała przestrzeń, to odcinanie się od świata przypomniało jej Wenecję — słomianą chatkę, kąpiel z róż i pocałunki Hawrata, składane w muszlach jej rąk.

Przymknęła oczy, zagryzła do krwi usta i to, czego się lękała najwięcej, to jest płacz w obecności Weryhy — przyszedł na nią straszny i nieubłagany.

Nie mogła powstrzymać łez. Siedziała wsunięta w niszę fotelu, drżała w fałdach swego płaszcza, z twarzą posypaną popiołem cierpienia, z ranami ócz spłakanych, z których płynęły teraz strugi łez.

Weryho zdawał się być przygotowany na ten objaw i pozwolił Helenie płakać długo, jak gdyby czekał, że ze łzami spłynie jej ból największy.

Wreszcie ujął jej wychudłą i jakby wystygłą dłoń.

Ona, nie otwierając oczu, wyszeptała:

— Przepraszam...

Lecz on odparł natychmiast:

— Owszem, wolę to!

I znów zapanowała cisza, wreszcie on mówić zaczął. Nie mówić, ale raczej szeptać, jak szepcze się przy łożu kogoś, kto leży, walcząc między życiem a śmiercią.

— Wiem... pani ma jakieś ciężkie, straszne chwile. Co? O tem nie chcę wiedzieć, dopóki dusza twoja sama nie otworzy się przedemną. Skoro uznasz mnie godnym, zaprowadź mnie do twego grobu. Nie spłoszę ci twego smutku, nie wyrwę ci z serca rozkoszy twego bólu.

Z po za łez spojrzała na niego zdumiona.

— Rozkoszy bólu?... Czy dobrze słyszałam, rozkoszy bólu?

— Tak! Wczoraj mówiłem o rozkoszach wspomnień. Dziś chcę z panią pomówić o rozkoszy bólu...

Lecz ona uczuła się zbuntowaną.

— Rozkosze wspomnień... na to się zgodzić mogę warunkowo. Lecz nie mów nic o rozkoszach bólu!... Bo to zakrawa na zbyt wielkie szyderstwo, na krwawą ironię...

Słowa jej płynęły z ust lawiną, nagle wezbrałą w jej

piersi. Milczenie kilkutygodniowe, milczenie bólu, który mógł się tylko zdradzać stłumionemi jękami, zaczynało zrzucać swe pęta.

— Ach!... — zaczęła, drżąc cała i łamiąc ręce — mówisz o rozkoszy bólu! Spójrz na mnie, spójrz, co się ze mną stało! Lata całe, starość cała rzuciły się na mnie jak hyeny, jak wampiry i stoczyły mą piękność, zdławiły me siły. To sprawił ból!... To sprawił ból!...

Porwała się z krzesła i stanęła na środku salonu, w tem miejscu, gdzie zachodzące słońce, przelewając swe promienie przez pryzmaty weneckiego pająka, rozkładało na szarawem tle dywanu tęczowe pasma, drżące jakby całe sznury djamentów. Z całą odwagą i energią poddała pod to czarujące oświetlenie swoją twarz o ziemistej cerze i krwawych źrenicach, swe wychudłe policzki i szyję, swe włosy, w których bielała przedwczesna siwizna.

Wyciągnęła w przestrzeń swe ręce chude i wystygłe, i tak stała strasznie tragiczna, bez śladu piękna, na wzór spopielalego drzewą, które umarło pod uderzeniem bezlitośnego gromu.

Podkreślała niejako swą ruinę, z okrucieństwem, z dzikością tą samą, z jaką wpatrywała się w lustro.

— Oto... rozkosz bólu...

Weryho nie drgnął nawet w fotelu, tylko rozmarzone, błękitne źrenice utkwił w tę zjawiskowo smutną kobietę, po której szarej, jakby pokutniczej szacie ślizgały się drżące, tęczowe blaski.

— Czy chcesz pani wiedzieć, dlaczego tak cierpisz? — spytał wreszcie.

Ona roześmiała się, ścierajac strugi łez, płynące po jej twarzy.

— Ty mi to chcesz powiedzieć? Ty?

— Tak, ja. Oto dlatego cierpisz, że nie umiesz pięknie i szlachetnie cierpieć.

Słowa te padły na nią niespodziewanie. Rzeczywiście w ogromie swego bólu nie zastanawiała się nawet nad tem, że cierpienie jej jest gorzką w smaku, ale piękną z powierzchowności rośliną.

— Piękno złagodzić może ból — mówił dalej Weryho — naucz się pani cierpieć cicho i pięknie. Otocz się swem nieszczęściem, jak welonem krepy delikatnym i miękkim. Nie walcz ze swym smutkiem, krzykiem i łzami. Przeciwnie, kołysz się nim do snu i witaj go rano jak ciemnoskrzydłego a przyjaznego ci ducha...

Powróciła na swe miejsce ponura i zamyślona.

Trudno mi kochać swe nieszczęście... Zanadto cierpię.

— Im większe nieszczęście, tem je więcej kochać można.

— Nie znasz, co jest nieszczęście, dlatego mówisz tak do mnie.

Na delikatnych ustach Weryhy wykwitł smutny, trochę ironiczny uśmiech.

— Skąd pani wiedzieć o tem możesz?

— Wiem — patrząc na twój spokój. Człowiek nieszczęśliwy nie może być tak spokojnym.

— Przeciwnie. Tylko człowiek nieszczęśliwy może być tak spokojnym.

Zdania ich skrzyżowały się i nastąpiło milczenie. Z oczów Heleny przestały płynąć łzy. Oczy jej natomiast zapłonęły jakimś gorączkowym blaskiem.

— Widzi pani — podjął znów Weryho — ja z nieszczęścia i cierpienia mojego wyciągnąłem tylko samą essencję melancholji i tę w duszę moją wchłonąłem. To, co ludzie mają za moją powolność wrodzoną, za brak temperamentu, to jest ciężko i boleśnie nabyty spokój, ten, jaki panuje za cmentarną bramą.

Helena zapomniała na chwilę o swojem cierpieniu. Wpatrzyła się w twarz Weryhy i cichym głosem spytała:

Ty... ty cierpiałeś?

— Tak, I... zdaje mi się z tego, co i pani powodu.

Helena niespokojnie poruszyła się na fotelu.

— Nie, nie... to zupełnie co innego.

— Daruj pani, to zawsze jedno.

— Więc.

— To... miłość.

— A!...

Słowo to napozór banalne i tak fatalnie zużyte, padło w tym półszepcie dziwnie, jakby ktoś nazwał głośno po imieniu umarłego, o kim już nikt w domu nie mówi, lecz każdy myśli. Uczuł to widocznie Weryho, bo natychmiast dodał, jakby się tłumacząc:

— Daruj mi pani, że musiałem użyć tego słowa. Nie określa ono ani w setnej części tego uczucia, które dla pani i dla mnie było w życiu katastrofą. Ludzkość jednak nie pomyślała, aby wynaleść inny, szlachetniejszy wyraz dla określenia miłości.

— Kochałeś... byłeś nieszczęśliwy?

Spojrzał na nią, jakby się wahał, a dostrzegłszy, że zdawała się zapominać o swoim bólu, ciekawa i żądna analizy innych uczuć, z odcieniem szczerego smutku składał niejako jej na ofiarę wspomnienia uczucia, które przetworzyło go, tak silnie i niezachwianie.

— Kochałem... — wyrzekł cicho i jakby warząc każde słowo. — Czy pani sądzi, że ja umiem kochać tylko martwe piękno sztuki. Kochałem dziewczynę... ot... przeciętną. Kochałem ją dla linji jej smukłego ciała, dla karnacji jej twa-

rzy. Kto wie, może i dla czaru i gracji jej gestów i pewnych porywów nerwowych, które brałem za objawy duszy. Znudziła się mną, rzuciła, poszła w świat...

Zawiesił głos, a potem dodał cicho:

— To był dla mnie wielki, wielki ból.

Krótka, zwyczajna historja nie wzruszyła Heleny. W egoizmie swoim — swą miłość dla Hawrata przedstawiała sobie jako olbrzymią katastrofę, zdolną zdruzgotać najsilniejszą wolę.

— Och!.. wyrzekła prawie niedbale — to nie był silny związek... nic was nie łączyło nazbyt wielkiego.

Oczy Weryhy pociemniały.

— Daruje pani. Nas łączyło wiele... nas łączyła świeżość naszych wiośnianych, pierwszych uczuć i... dziecko.

O!

Zamilkła. Przypomniała sobie fotografję ślicznej dziewczynki w pokoju Weryhy. —

I wobec tego jednego, drobnego słowa uczuła się zwyciężoną i jakby onieśmieloną.

Milczała długą chwilę. — Coś dziwnego się z nią stało. Jakaś pokora wstąpiła w nią nagle. Coś świętego trąciło jej duszę swem skrzydłem.

— Gdzie jest to dziecko? — spytała wreszcie.

— Przy mnie — odparł Weryho — zdołałem je odebrać, wychowuję je sam o własnych siłach. — Jest u moich znajomych...

Pochylił głowę i on teraz z kolei wpatrzył się smutnie w deseń dywanu.

Helena siedziała chwilę, rozrzewniona jakaś i zmieszana — wreszcie szybko szepnęła:

— Przyprowadź mi kiedy twą córkę!

Podniósł głowę, popatrzył na nią, jakby tknięty jakąś myślą i odparł:

— Chętnie!

Po chwili krótkiej dorzucił:

— Nie o to jednak chodzi. Chciałem tylko panią przekonać, że i z nieszczęścia można wyciągnąć woń i pewną słodycz. — Wierz mi pani! Niema nic milszego i słodszego, jak taka atmosfera smutku szlachetnego i pięknego. — Pomyśl, jak rażą południowe promienie słońca, a ile wdzięku ma w sobie zachód jesienny. — Melancholia spadających liści budzi drogie i czyste refleksje, prowadzi nas łagodnie do ostatniej katastrofy, którą zakończymy swoje istnienie.

— Zakończymy? Nigdy!... Ja wiem, że tak nie będzie! Ja wiem!...

Z egzaltacją uniosła głowę do góry! Przypomniała sobie, że ona jest tą wybraną, która nosi w sobie słaby promień, rozświetlający tajemnicę śmierci. — Przypomnienie to przyszło

na nią jak objawienie. — Wiedziała, a więc mogła śmiało zaprzeczyć słowom zwątpienia.

On nie podnosił jej słów, jakby lękając się podniecić jej egzaltację. Widoczne było, iż całe jego usiłowanie było skierowane tylko ku wprowadzeniu ją w stan zupełnego spokoju i równowagi.

— Sądzę — mówił dalej — że smutek pani jest beznadziejny. Tem lepiej. Nadzieja odbiera spokój i migoce zawsze światełkiem tam, gdzie powinna panować jednostajna mgła. I pomyśl pani, od codziennych, trywialnych zajęć, gdy zechcesz, pospieszysz do tej ciszy, do tej melancholji, która cię otoczy jakby miękkiemi skrzydły i nada myślom twoim piękny, spokojny kierunek. W niej czerpać będziesz smutne lecz piękne wspomnienia, jak żałobne irysy... Róże narzucają się impertynencką barwą i wonią. Irysy mają powab odzianych w żałobę aniołów. I wypiękniejesz duchowo i fizycznie. Inną będzie ta piękność, ale czyż urna żałobna nie ma równie szlachetnych linji, jak amfora przeznaczona do przechowania pobudzającego wina? Czy ja nie przedstawiam dostatecznie takiej istoty zrównoważonej, z rękami pełnemi irysów, skąpanej w melancholji, a mimo to, a może dlatego odczuwającej Piękno i żyjącej i oddychającej tem pięknem? Powiedz pani sama.

Nie odpowiedziała nic, bo czuła, iż rzeczywiście on jest tym zrównoważonym: spokojnym i pięknym. Atmosfera spokoju, wśród której żył, przenikała go całego i gesta jego, głos, spojrzenie, wreszcie to, co się ujawniało z jego ducha, było przepojone rzeczywiście jakąś pięknością, co jeśli nie było już szczytem owego piękna, to dążenie do osiągnięcia tego szczytu było tak silne, iż miało w sobie już wiele czystej i zakreślonej linji, do której jego świadomość dążyła.

Tak, bezwątpienia. Lepiej i milej dla duszy zbolałej było zanurzyć się w takim ożywczym zdroju piękności wypromienionej z łez i melancholji, niż szarpać się i łamać w kontorsjach bezsilnej i szpetnej rozpaczy.

— Czytałem wczoraj — podjął znów Weryho, a głos jego w tych blaskach zachodzącego słońca dzwonił lekko jednostajną nutą, jakby kojące szmery strumienia — czytałem prześliczną rzecz Maeterlincka, o piękności wewnętrznej. Ten poeta duszy mówi tam wiele o tem, co ja wprowadziłem bezwiednie w czyn i co starałem się w panią wpoić jeszcze przed wyjazdem zagranicę. Jest tam mowa według słów Plotinusa, że jesteśmy piękni wtedy, gdy znamy samych siebie, a brzydcy, gdy siebie nie znamy. Lecz teraz, zastanów się pani tylko, kiedy można poznać samego siebie? Czy w hałasie i wirze powodzeń i szczęścia? Nigdy! Jedynie tylko w cierpieniu, w bezsilności, znękaniu objawia się pierwotna dusza ludzka. A dusza ludzka jest piękną, słyszysz

mnie pani? Nasza „pierwotna" dusza jest właśnie skończoną pięknością.

Helena słuchała Weryhy zamyślona i powoli jej ciało przybrało powabny układ i miękkie linje kobiety zasłuchanej w sympatyczne dla niej dźwięki. Oczy oschły z łez, pociemniały i rozświecały lekkim blaskiem zajmującą bladość twarzy.

Kąciki rozchylonych ust wznosiły się ku górze, odbierając rysom ten wyraz przedwczesnej starości, który je tak nagle oszpecił. Ręce, złożone na kolanach w hieratycznej pozie, szara, fałdzista odzież, na której migotały tęczowe, słoneczne blaski, czyniły z niej coś nakształt lekko zabarwionej, kamiennej, pomieszanej z onyksem i kością słoniową statuetki, budzącej się do życia pod czarodziejskim wpływem szeptanego zaklęcia.

— Być może, iż pojęcie takie życia — ciągnął dalej Weryho — wyda się pani nadto egoistyczne. To pielęgnowanie ciągłe swego „ja", to przebywanie ciągłe w świątyni przepełnionej kwiatami, które wykwitają z gruzów pozornych szczęścia i roztaczają upajającą woń i delikatne barwy, przeznaczone jedynie dla pani samej, wyda się pani jałowe i bez celu. Nie zastanawiaj się jednak pani nad tem! To, co będzie dla innych egotyzmem, to w przebiegu czasu okaże się bezwiednym altruizmem. Doskonaląc siebie, działasz dla drugich. Piękność twoja będzie jak promienie słońca. Dobroć jej i szlachetność nie mogą zginąć, bo nic ginąć nie może, a zwłaszcza to, co się przyczynia do upiększenia i wydobycia na jaw pierwotnej formy duchowej. Czy słuchasz mnie?

— Słucham, mów dalej.

— Czy w tej chwili, będąc tak spokojną i jakby pogrążoną w cichej melancholji twego cierpienia, nie czujesz ulgi, nie czujesz się jakby dumną z tego, że tak pięknie cierpieć umiesz? Szlachetnie ułożyć się może twe życie w smutku, piękne może być nawet twe istnienie w cichej, spokojnej ekstazie przyjętego jako konieczność cierpienia.

— Piękne!...

— Tak! Bo hałaśliwa muzyka marszów weselnych, czem jest w porównaniu ze słodyczą smutnych, nastrojowych pieśni? Natury trywialne, muszle uszne, grubiańsko sklepione lubują się w szczęku kotłów i tamburyn. Delikatne tony harfy lub starego szpinetu, na których kobieca, subtelna ręka leciuchno rzuca w przestrzeń rzewne, przejmujące serce tony, zachwyca dusze wyszkolone czy to cierpieniem, czy artyzmem szlachetnym. To jest prawdziwe piękno i dusza pani, która jest wrażliwa tak bardzo, z całą swobodą odnajdzie swój żywioł w piękności, którą tylko stwarza cierpienie.

Powstał i ona podniosła się także, ciągle zadumana i jakby nagle uspokojona.

— Noś pani „pięknie“ swój smutek, tak jak pewne kobiety umieją pięknie nosić żałobne krepy. Spokój posągu jest sto razy szlachetniejszy niż trzepotanie się wróbla.

Uścisnął jej rękę i skierował się do przedpokoju. Gdy był już u progu, ona wstrzymała go gestem.

— To całe otoczenie szarpie mną... — wyrzekła, wskazując na niespokojne, kontorsyjne linje secessyjnych sprzętów.. — Nigdy wśród „tych“ linij nie zdołam odnaleść równowagi.

Spojrzał dokoła zdziwiony.

— Cóż znowu? — odparł — To są motywa kwiatowe, to są przeważnie linje skradzione z roślin architektonicznych. Niech ci się zdaje, że jesteś na łące mistycznej, pełnej czarownych lian i paproci. Gdzieniegdzie zabłąkane szkło kładzie w tę roślinną zieleń jakby rosę i tęczę. Te stylizowane kwiaty na storach tworzą zasłonę przed światem ulicznym. Czy może być właściwsze, godniejsze otoczenie dla objawienia się piękności prymitywnej duszy, jak ten kląb nieruchomych i zaklętych w spokoju linij kwiatów? Rodzaj skamieniałego raju otacza cię dokoła. Ty błądzisz wśród niego owiana melancholją twego smutku. Będziesz tą duszą, która poznała cierpienie i cofnęła się na zawsze w głąb czarownego edenu.

Helena, oparta o drzwi, słuchała tych słodkich słów, wypowiedzianych cichym, harmonijnym głosem. Coś, jakby lekka jasność, przedzierała skłębione przed nią zasłony jej bezbrzeżnej i żałobnej krepy.

Wyszli już teraz do przedpokoju i stali tam oboje naprzeciw siebie, jakby czując przykrość rozstania się. Ona widocznie taiła w sobie jakąś myśl, którą wypowiedzieć pragnęła, a lękała się, aby nie doznać przykrego wrażenia.

Wreszcie z półuśmiechem i dziwnem jakiemś zmieszaniem, — wymówiła:

— Kiedy mi przyprowadzisz dziecko?

On zawahał się, wreszcie odrzekł z pewną łagodnością w głosie:

— Później... gdy pani będziesz trochę spokojniejsza.

Doznała ukłucia w serce.

— Lękasz się, aby twoja córka nie odniosła przykrego wrażenia?

Odpowiedział wymijająco.

— Staram się chronić moje dziecko przed wszystkiem, co nie jest samą pięknością.

Zabolały ją te słowa.

— Szpetna więc jestem w twych oczach?

— Jesteś niespokojną, i cierpisz nieszlachetnie. To bije od ciebie, jak łuna. Zechciej, wypięknieszesz. To nie jest trudne. Mówię z doświadczenia.

Był już na progu.

— Do jutra!

Coś ją próbowało godzić z istnieniem. Była to jednak zaledwie próba. Westchnęła ciężko i ujęła wyciągniętą rękę Weryhy.

— Dziękuję ci za te słowa — wymówiła mimowoli.

Chwilę panowało pomiędzy nimi milczenie.

Wreszcie Weryho wysunął się za próg i rzucił zwyczajne, ciche:

— Do jutra!

Tego dnia Helena siedziała długą chwilę przed lustrem w swej sypialni. Lecz już w głębi jej duszy nastąpiła pewna przemiana. Bez goryczy, bez gryzącej ironji, wpatrywała się w siebie i w zmianę swej twarzy. Jakaś litość smutna i przyjacielska zdawała się wybiegać z niej ku tamtej postarzałej i biednej. Łzy tylko krótką chwilę zaświeciły w jej oczach.

Łagodna zaduma zajęła powoli jej duszę. Łagodność ta sprawiała jej ulgę. Sprawdziła to z radosnem zdziwieniem. Pierwszy to raz na chwilę zabłysnęła przed nią możliwość zniesienia spokojnego cierpienia.

— Piękność bólu — myślała, powtarzając sobie słowa Weryhy, — czy to możliwe odnaleść piękno w tem, co jest bolesne, a więc szpetne, bo tylko błogi spokój i zadowolenie wydaje ze siebie piękno i szlachetność.

Cofnęła się myślą wstecz, o dni kilka i w analizie swego stanu odnajdywała nowe prawdy i potwierdzenia swoich słów.

— Żyłam w bolu i byłam szpetną moralnie, fizycznie... Zazdrość mną szarpie, gniew mi kontorsjami wykręca rysy... Złe mam myśli, złe pragnienia...

— Mam?

I znów ta słodycz błoga i łagodna, którą zdawał się delikatnie rozbudzać dokoła niej Weryho, neutralizowała gwałtowność szpetnych nastrojów jej duszy. Nie mogła już czuć z taką gwałtownością niskich, zazdrosnych, szarpiących ją uczuć.

Żona Hawrata stanęła przed nią po raz pierwszy, nie sprawiając jej piekącego bólu serca, który ją przytomności pozbawiał.

Gorąco jej było i duszno.

Zesunęła ze siebie płaszcz i suknię podróżną i mimowoli obejrzała się za jakiemś chłodniejszem okryciem. Biały peniuar z miękkiego zefiru leżał obok łóżka. Wsunęła się w niego miękkim, ładnym ruchem. Włosy ledwo spięte, opadły jej na ramiona. Nagie ręce zabłysły w fałdach śnieżnej, skromnej tkaniny. Coś z dawnej Heleny powracało w barwach i linjach ciała. Mimowoli spojrzała w lustro. Była blada, smutna, ale nie żałobna.

Zamiast szarego, zestarzałego posągu u stóp sarkofagu, miała wygląd białego anioła, rzeźbionego lekko w przejrzy-

stym i trochę żółtawym marmurze. Tylko oczy ciemniały i włosy — oczy ciemnią agatu, włosy refleksami miedzi.

I nigdy może Helena nie odczuła się tak nagle sharmonizowaną z tem secessyjnem otoczeniem sprzętów, jak w tej chwili. Posąg smutny, marmurowy, z kaskadą miedzi i plamami agatu. Było wiele śmiałości w tym pomyśle i sploty jej włosów wężowemi skręty wiły się po żółtawej bieli szlafroka, tworząc dekoracyjne i piękne linje.

Twarz jej wychudła i napiętnowana cierpieniem, cofnięta w gąszcz tych głosów, majaczyła niepokojąco. Ręce, wyciągnięte po obu stronach fotelu, oparte na bukietach wiśni i srebrnych rozetach, bielały dziwnie, jak ręce madonny na obrazie Hansa Holbeina starszego.

Ogromny, wielki spokój, w tem dziwnem złączeniu barw i nastrojów, roztaczał się dokoła — spokój, graniczący z pięknem, mimo, że miał źródło w niepokojącej trochę dysharmonii tonów i linij i powstał z burzy cierpienia.

Helena wrażliwością swej duszy odczuła ten artyzm i piękno, które nieśmiało, powoli zaczynało już opływać ją, jakby odtrącona przez nieszczęście, ciepła i wonna fala.

Odczuła już i nie zrywała, jak poprzednio, tej czarującej siatki, łkaniem i krzykiem nie budziła nietoperzy szpetnych, które słowa Weryhy zdawały się zapędzać do głębokich legowisk.

Nie umiała jeszcze być piękną w cierpieniu, lecz doznawała przeczucia, iż takie piękno istnieje i może być i dla niej dostępne.

XXXVIII.

Jak fale jedna po drugiej, jak zagony zieleniejącego żyta, szumiące lekko, kolejno poruszane przelatującym wichrem, tak teraz zaczęła następować przemiana w duszy Heleny, przemiana czarowna, cudowna, której ona sama asystowała w podziwie, bo przemiana ta przychodziła z zewnątrz bez jej udziału, bez pomocy jej ducha.

Cała jej istota wyniszczona cierpieniem, doprowadzona do kulminacyjnego punktu rozpaczy, zdawała się witać z radością ten jaśniejszy punkt świetlany, w którym dojrzeć mogła nadzieję odpoczynku.

Nadto wycieńczona i jeszcze przygłuszona katastrofą, aby módz wziąć czynny udział w przetwarzaniu się rodzaju bólu, w jakim żyć miała, poprzestała na niezmiernie łatwem i podatnem przyjmowaniu tego, co jej przynosiły chwile, układające się delikatnie i kołyszące ją prawie coraz nową, a nieznaną jej przedtem, łagodną słodyczą życiową.

Zamknięta w domu, wśród ścian swego mieszkania, zaczynała powoli z lubością najwyższą wpatrywać się w linje i barwy, któremi otoczoną była.

To, co Weryho powiedział, iż powinna czuć się zaklętą królewną w ogrodzie pełnym nieruchomych ljan i czarujących roślin — dało jej punkt wyjścia i wniknęło tak silnie w jej umysł, że istotnie od tej chwili podziwiała głównie roślinne i kwiatowe motywa w sprzętach, któremi była otoczoną.

Co chwila odkrywała nowe piękno i nieraz stawała długie chwile przed jakąś statuetką, wysuwającą pół-nagie ciało z olbrzymiego liścia, zabarwionego lekko niezrównanej piękności seledynem.

Linje niespokojne nie raziły jej — przeciwnie zdawały się jej łatwe, naturalne i zawsze dążące do harmonijnego odpoczynku oka.

To samo działo się z barwami draperyj — i zieleń sukna, biel pasów, szaro-mchowe tła dywanów ciągnęły ją ku sobie nieprzepartym urokiem.

Nie zbliżała się nigdy do okien ulicy.

Nie chciała wiedzieć nawet, że istnieje Lwów, że tam o parę kroków wre życie pełne krzyku, hałasu, trywialnych uciech i brutalnych cierpień.

Nigdy nie czuła tak dobroczynnego wpływu dostatków, jak w tej chwili. Niezależność jej pozwalała na zbytek pielęgnowania smutku, jako rzadkiej rośliny w oszklonej i przepysznie urządzonej oranżerji.

Zdawało się jej, że każdy wpływ, choćby najlżejszy, pochodzący z zewnętrznego świata, wtrąci ją napowrót w ten szał bólu, z którego słowa Weryhy ją wydobyły.

Oprócz Weryhy nie widywała nikogo.

Zamknęła drzwi przed wszystkimi i dnie zaczęły mijać z przerażającą napozór monotonnością.

A jednak tak nie było.

To, co teraz Helena odczuwała, to było dla niej wrażeniem nowem i dziwnem.

Hawrat, jego żona, wszystko to, co było straszną raną jej serca, a torturą jej duszy — powoli, stopniowo zaczęło znikać w jakiejś mgle, która ją otoczyła.

Oni byli, istnieli — bo istnieć musieli, lecz nie tak okrutnie, nie tak cynicznie, nie tak brutalnie narzucali się jej myślom.

Te drobne szczegóły z ich wspólnego pożycia, które ona jak truciznę zbierała i poiła się nią w noce bezsenne — zanikały i zacierały się.

Oboje oni urośli w jej oczach i przybrali dziwne kształty.

Widziała ich jako dwa posągi, olbrzymie, nadnaturalnej wielkości, całe białe i zimne, trzymające się za kamienne ręce. Wizja ta dziwaczna, niezrozumiała, zjawiła się przed nią nagle i w ten sposób Hawrat i jego żona z krainy istot żyjących, przenieśli się w wyobraźni Heleny w jakieś mistyczne sfinksy, bezcielesne, groźne i tajemnicze.

Była to dla niej wielka ulga i główny a dodatni czynnik jej przetwarzania się. Wobec kamiennego spokoju tych dwojga Helena przybrała także skamieniałość bólu i znikły powoli wszystkie owe nerwowe szarpania się, które ją tak niszczyły i wyczerpywały fizycznie.

Owa melancholja i cicha zaduma nie odstępowały jej na chwilę. W ślad za niemi przyszła dobroć, ujmująca w wysłowieniu się i szlachetna powaga gestów. Pod dobroczynnym wpływem palącej się co noc w oknie Weryhy lampy Helena przesypiała teraz noc bez chloralu i innych środków nasennych. Budziła się tak smutna, jak zasypiała. Nigdy uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy, ale nigdy też dawne, gorżkie, szarpiące łzy nie krwawiły jej oczów. Czasem, o zmierzchu zamigotało coś w jej źrenicach, lecz była to łza ulgi, która jakby rosa zawisła na jedwabiu jej rzęs.

Gdy spała, wyraz jej twarzy, układ jej ciała, opuszczenie ręki z niskiego łóżka na białą skórę niedźwiedzią, przypominały ową cudowną „sleeping beauty“ Reynoldsa Stephensa.

Powoli powróciła jej nie młodość, bo tę zabrały bezpowrotnie łzy i cierpienie, lecz szlachetny czar jej piękności, podniesiony jeszcze matową bladością jej lic i powabną powagą układu ust. Ile zaś teraz było smutnej głębi w jej spojrzeniu, odczuwał to każdy, na kogo się zwróciły jej smutne, obramowane lekko sinym kręgiem oczy. Weryho głównie odnosił wrażenie tej przemiany, jaką wywołał, gdyż na niego chętnie i z całą ufnością patrzyła Helena.

Codziennie o piątej rozlegał się dzwonek i Weryho witał ją w progu salonu. Jesienne słońce grało prawie zawsze zachodzącemi blaskami w delikatnych szkłach weneckich i tęczą kolorów słało się po szarem tle dywanu.

W tęczy tej stała najczęściej Helena i wyciągała ku Werysze rękę, podobną do jakiegoś śnieżnego kwiatu, tak białą i delikatną była ona. Jakby żałobny strój owiewał jej postać, lecz był to strój dziwnie harmonijny i spływający niejako tonem i linjami z całem otoczeniem. Suknia domowa, którą Helena zrobić sobie kazała, była szarą, lecz mchowa zieleń wysuwała się, jakby nieśmiało przez srebrzyste nitki.

Kształt do tej sukni znalazła Helena w kopji czarującej statuetki Reynoldsa-Stephensa, noszącej nazwę „Guinevre and the nestling“.

Suknia wąska, z jedwabiu, miała przód z szarej gazy, jakby fala morska, spływającej po smukłej postaci Heleny i zakrywającej szaro-obute stopy.

Niezwykły amulet srebrny, nanizany turkusami, zwieszał się na srebrnym łańcuszku z jej szyi. Włosy, nisko sczesane po obu stronach twarzy, dodawały jej powagi i wdzięku.

Lekki zapach werweny płynął z fałd jej sukni. Ta zmiana perfum zdziwiła Weryhę. Zapytał o zmianę.

Helena nie dawała odpowiedzi. Lecz on ją wyręczył. Powiedział, że zrozumiał, iż chciała odpędzić wspomnienie. Czy tak?

Powieki kobiety drgnęły. Widocznie przykro jej było, że została zrozumianą.

Lecz Weryho zdawał się nie zważać na to wrażenie.

I powoli, cicho zaczął znów mówić wiele i pięknie — na temat czaru wspomnień, na ten szlachetny nastrój, jaki wynieść można z błąkania się po cmentarzysku chwil dawnych a drogich.

— Ja wracam z takiej wycieczki lepszy i bardziej zbliżony do ideału doskonałości, jaki sobie zakreśliłem. Nie tęsknię do powrotu tych chwil, które przeglądam jak za-

suszone kwiaty — lecz poję się niemi i do woli upiększam je nabytem przez czas pojęciem o pięknie i szlachetności. W prawdzie ich, w realnem ich przeżyciu nie było ani śladu, ani części tego czaru, w jaki przystroić je można, patrząc na nie z oddalenia. A skoro się ma dość siły, aby skupić się, aby oderwać się na chwilę od teraźniejszości, przeżywać można te sane rozkoszne wrażenia po lysiąc razy z tem jeszcze przeświadczeniem, iż pozostały dla nas i są naszą wyłączną własnością.

Helena nie zaprzeczyła.

Siedząc na swem zwykłem miejscu, w tej niszy dziwacznej, którą krzesło poza nią tworzyło, słuchała teraz słów Weryhy tak, jak spragniony podróżny pije wodę z przeczystego źródła, tak jak chory ciężko i śmiertelną zdjęty trwogą, słucha głosu lekarza, dolatującego do niego z po za ciemnej kotary. Słuchała i czując wielką ulgę w zastosowaniu się do jego rad — już ślepo pragnęła słuchać jego wyrazów i odgadywać ducha jego myśli.

I długie, napozór monotonne a przecież pełne pożytku dla jej duszy i serca rozpoczęły się rozmowy pomiędzy nimi dwojgiem w rozkosznej ciszy czarownej jesieni, pozwalającej im uwielbiać złotawe blaski słońca zachodzącego powoli i w triumfie swej piękności. Na te tęcze drżące w kwiatach szkieł weneckich czekali oboje, jak na zjawisko i gdy wreszcie zadrgały mleczne róże i tulipany szafirem, ametystami i rubinową barwą — oczy ich rozjaśniały się i biegły do tych tęczowych czarów, a potem, pełne jeszcze blasku i barw, spotykały się wolne od namiętnych wzruszeń, a wyrażające coraz większe, coraz silniejsze przywiązanie.

Szczególniej wzrok Heleny biegł z całą ufnością ku źrenicom Weryhy i smutny, lecz coraz szlachetniej smutny, zdawał się błagać o tę opiekę, o tę siłę, którą w nich czerpał.

W oczach Weryhy zaś była cała szczera, najszczersza chęć dania ze swej głębi duchowej wszystkiego, co dać mógł w formie przystępnej, podatnej, aby tę smutną kobietę ocalić, wyrwać ze śmiertelnej toni szpetnej rozpaczy i przywieść ją powoli, spokojnie, na piedestał szlachetnego i pełnego rezygnacji cierpienia.

XXXIX.

Była to pora chryzantemów i Helena, przywoławszy swego ogrodnika, kazała mu dostarczyć sobie tych dziwnych, fatalnych i tak smutnych pomimo roztargnionego wyglądu kwiatów.

One jedne godziły się złotą lub ciemno-brunatną barwą z umeblowaniem mieszkania i nie odbijały żywością istot żyjących od martwych okazów architektonicznych roślin, zaklętych w meble i sprzęty.

Całe pęki chryzantemów wykwitały teraz z delikatnych, długich kielichów szklanych, porozstawianych na stolikach i etażerkach. Prześliczna, srebrna żardinierka, przedstawiająca dwa nixy odwrócone do siebie plecami, a złączone kaskadą włosów, napełniona była cieniowanym klombem żółtych chryzantemów, rozsypujących się niedbale po za krawędzie srebra.

Była to jesień — lecz jesień piękna i jakby nakreślona mistrzowską ręką jakiegoś japońskiego Baileia. Brakowało tylko drobnych i delikatnych ptaszków, które ten mistrz potrafił z takim wdziękiem rozrzucać pośród gałązek kwiecia. Ręce Heleny z lubością nurzały się w chłodnych listeczkach chryzantemów i było to dla niej miłą i rozkoszną pieszczotą.

Początkowo kwiaty te przypominały jej owe żółte, nicejskie róże, któremi na Lido Hawrat zarzucił jej chatkę — i porównanie to zabolało ją strasznie. Lecz łagodny wpływ słów Weryhy wziął górę. Pierwszą wiązankę chryzantemów niepewna i wahająca nie śmiała włożyć do wazonu, w którym kiedyś stały purpurowe, luzernskie róże Hawrata.

Nagle jakaś dziwna myśl przeszła jej przez głowę. Wszak on był tam, gdzieś wśród miasta, którego słabe echo czasem dolatywało po za story jej okien, story silnie przysłonięte i słońcem oblane. I powoli, ze smutnym uśmiechem Helena podeszła do jednego z okien, uchyliła storę i pierwszą wiązankę chryzantemów, białych, śnieżnych prawie, wdzięcznym ruchem rzuciła za okno.

— Tak — jakby na... grób!... wyszeptała, zapuszczając storę.

To było rodzajem przełomowej chwili.

Jeśli w jej duszy jeszcze pasowały się i rwały dawne bunty i krzykliwe objawy rozpaczy, z tem rzuceniem kwiatów zagasły zupełnie. Często dzieje się tak z duszą kobiety. Jeden gust, jedna chwila, jedna myśl i odwraca się karta, coś zamiera i następuje zupełnie inna faza czynów i myśli.

Nawet wspomnienie żony Hawrata nie zepsuło jej pewnego spokoju tej chwili.

— Na grób! — myślała, wracając do kwiatów, które z całym artyzmem i smakiem dekoracyjnym rozmieszczać zaczęła dokoła.

Gdy dnia tego Weryho wszedł do jej salonu, rozejrzał się z lubością po tym ukwieconym pokoju.

— Jesteś pani na dobrej drodze!... wyrzekł — znosisz już kwiaty...

— To cmentarz!...

— Tak. Idź pani na prawdziwy cmentarz i wniknij w to, ile ulgi kwiaty przynoszą tym, którzy cierpią. Te schylone, czarne postacie nad grządkami niezapominajek i bratków nie płaczą. Pielęgnując kwiaty, doznają największego i bardzo czystego ukojenia... Rób pani to samo!

— Znieść mogę tylko chryzantemy

Weryho popatrzył uważnie w oczy Heleny.

— To samo, co ze zmianą perfum — wyrzekł powoli — lękasz się wspomnień? Nie potrafisz jeszcze znaleźć w nich czaru? To źle!..

Helena zaprzeczyła szybko.

— Mylisz się! odparła — szukam czaru i zdaje się, że jestem właśnie na dobrej drodze. — Jeśli, wskazując na te kwiaty, nazwałam je cmentarnemi, toć przecież wniknęłam w twą radę... Chcę błądzić po cmentarzu wspomnień i dziś przystroiłam swoje grobowce na pierwsze moje wśród nich odwiedziny!

Weryho zbliżył się ku niej i tak jak dawniej, przed jej wyjazdem za granicę — pochylił się prawie nad jej fotelem.

— Czy jesteś pani szczerą? — zapytał.

Ona zawahała się chwileczkę — lecz prawie natychmiast podniosła na niego swe smutne, głębokie oczy.

— Tak... Jestem szczerą.

I natychmiast jakby w umyśle jej to pogodzenie się z cmentarną czcią pamiątek skojarzyło się z pięknością duchową i spytała:

— Czy przyprowadzisz mi dziecko swoje?

Lecz on nie dał jej na to pytanie odpowiedzi, tylko wyrzekł spokojnie i łagodnie:

— To jeszcze nie dosyć — to wszystko.

— Nie dosyć?

Helenie zdawało się, iż uczyniła tak wielki wysiłek i osiągnęła tak olbrzymie rezultaty, iż słowa Weryhy przejęły ją głębokiem zdziwieniem.

— Nie dosyć? — powtórzyła.

— Tak — odparł Weryho — bo nie dosyć jest uporządkować swą przeszłość w pewien rząd grobowców i narzucić na nie deszcz kwiatów. Błądzić wśród tych grobowców martwo potrafią umysły dotknięte tylko nieuleczalną chorobą melancholji. — A ci nie żyją w Pięknie i nie są sami Pięknem. — Są to mary, koło których przechodzi się, nie czując ich istnienia. — Na cmentarzysku wspomnień należy umieć żyć i siłę do życia twórczego, przepojonego szlachetnością uczuć czerpać właśnie z tych grobów. — Po cmentarzyskach uwija się cała moc motyli. Z grobowych kwiatów unoszą słodycz i pożywienie. Te lotne, tęczowe motyle nie troszczą się o brzydki proces rozkładu, jaki odbywa się pod ziemią. Wabi ich tylko blask i woń kwiecia i z niego czerpią swą siłę życiową, którą później w formie piękna oddają światu, barwiąc powietrze tęczami swych rozwianych skrzydeł... Jeżeli pani dojdzie do tej doskonałości, na jakiej się znajdują motyle i pozostawiwszy szpetotę, jaką kryją groby, potrafisz tylko kochać i pielęgnować kwiaty, a z tej miłości wyciągać siłę szlachetną i piękną — wtedy — powiem ci, że jesteś... ocaloną.

Błysk w oczach Heleny przerwał mu mowę.

— A więc jestem ocaloną! — zawołała z dźwiękiem triumfu w głosie — dziś, jeden taki czyn, jeden taki gest zrodził się we mnie na samym wstępie do mego cmentarzyska wspomnień. — Oh! to był drobiazg, to było może nic, ale to jest z pewnością już początek tego, o czem przed chwilą mówiłeś.

Coś jasnego zapanowało w tej chwili dokoła. Coś jakby powiew świeżości moralnej i pewnego objawienia się trochę swobodniejszego, weselszego nastroju. Oczy Heleny błyszczały dawno niedostrzeganem światłem. Pod wybladłą skórą przewijało się coś nakształt różowej łuny.

Ta jej przemiana oddziałała i na Weryhę.

I on — rozjaśnił się, a błękitne jego oczy zdawały się przejmować trochę blasku, jaki bił ze źrenic Heleny.

— Zdobyłaś się na taki czyn, zdobyłaś się na taki gest? — zapytał.

— Tak... lecz nie powiem ci, co to było właściwie takiego. W dźwięku tych słów mógłby ten czyn zmaleć, kto wie, stać się śmiesznym. — A w głębi mej duszy zachowany, jest on właśnie zaczątkiem takiej siły życiowej, jaką mogę zebrać z cmentarza mych wspomnień.

— Tak! tak!... dorzucił Weryho — zachowaj świadomość tego faktu dla siebie i gdy cię zwątpienie ogarnie,

powracaj do niego z całą ufnością. — Niech on będzie zaczątkiem perłowego sznura, który wzrastać będzie codzień wspanialszym i cenniejszym klejnotem...

Zmrok zapadał powoli, owijając ich obie postacie szarawą, o liljowym odcieniu mgłą. Zółte chryzantemy w kryształowych kielichach jaśniały tylko, jak złote gwiazdy, przedzierające się przez chmurę. — Srebrne nixy żardinierki bielały znów wśród powodzi ciemno-brunatnych kwiatów, które miały pozór zgaszonych i wystygłych słońc.

Helena siedziała spokojna i ufna po raz pierwszy w możliwą trwałość tego spokoju! Zdawało się jej, że ktoś dobroczynną ręką nakreślił przed nią ścieżkę i że ta ścieżka wyprowadzi ją nietylko z dusznych wąwozów, wśród których przebywała, lecz da jej możność wydostania się na zieloną, pełną powietrza i przestrzeni łąkę, wśród której odetchnie pełną piersią, a serce jej dozna ulgi rzeczywistej i zupełnej

I po raz pierwszy od chwili owej tragicznej, lucernskiej katastrofy — Helena odczuła w głębi swej piersi coś nakształt dobroczynnego dla niej rozrzewnienia, które kojąco zaczęło rozlewać w jej duszy — niezwykłą błogość i ukojenie. — Przymknęła oczy i siedziała tak cicha, jakby zasypiając powoli w letniej, wonnej kąpieli, przepojonej zapachem róż i tuberozy.

Nagle na wyciągniętej wzdłuż ramienia krzesła ręce, poczuła delikatny pocałunek. Nie otworzyła oczu.

Pocałunek ten przypomniał jej uczucie, jakiego doznawała, gdy chłodne, a delikatne płatki chryzantemów dotykały jej rąk. I siedząc tak półsenna, nie wiedziała, rozróżnić nie mogła, czy to były usta Weryhy, czy którykolwiek chryzantem nagle na jej rękę upadł.

Gdy po chwili podniosła senne powieki i spojrzała dokoła — była samą.

Weryhy nie było w salonie.

Cichy skrzyp zamykających się wchodowych drzwi doleciał jej uszów.

I była mu wdzięczną za to, że pozostawił ją pod urokiem tego pocałunku, była mu wdzięczną za łagodny ton jego głosu, który do tej chwili drżał w powietrzu, była mu wdzięczną za to, że wziął na swe ręce jej zbolałą, moralną istotę i kołysał ją, wprowadzając w stan pewnej błogości, choć błogość ta wypływała z cierpienia.

I w tej chwili zdawało się Helenie, że zaczyna już wysnuwać ze swego nieszczęścia jakąś dozę rozkoszy. Było to jeszcze niejasne przeświadczenie, ale przewijało się przed nią jak srebrna nitka pośród mgieł i mroków.

Delikatna, pajęcza, srebrna nić!

XL.

Budząc się rano, Helena doznała wrażenia, jakby coś bardzo jasnego i promiennego rozświetliło nagle jej sypialnię,

Różowy promień wiosennego słońca, gałąź wiśniowych kwiatów na jej pierś rzucona...

Lecz to było niemożebne.

Na niebie był jesienny, chłodnawy poranek, a kwiaty wiśni pojawiają się tylko na wiosnę.

Niemniej jednak to wrażenie trwało.

Helena podniosła się na łóżku wśród powodzi koronek i srebrnych tonów białej, atłasowej kołdry. — Usiadła, odgarnęła włosy i nagle ujrzała przed sobą tę wiosnę, ten kwiat wiśniowy, ten różany promień młodego słońca.

Tuż przy jej łóżku stała mała dziewczynka, odziana biało i trzymała w ręku duży pęk śnieżno - białych chryzantemów.

Dzieciątko to miało gładziutko na główce zaczesane jasne włoski, przycięte nad trochę wypukłem czołem i spadające na ramionka leciuchną, wijącą się falą. Główka trochę duża i jakby ciężka, lecz bardzo wdzięczna, wysuwała się z po za kwiatów, jakby zjawisko różowe, białe i złote. — Kawałeczek szyjki tłustej i poprzecinanej fałdkami, widać jeszcze było pośród kwiatów. — Ramionka, pół korpusu, kryły chryzantemy, lecz na łodygach widać już było maluchne, pokryte dołeczkami, troszkę sinawe rączki, trzymające silnie kwiaty. Dalej bielała wełniana spódniczka i nóżki proste, równiutkie, kształtne jak nóżki posążka, odziane w białe kamaszki i trzewiczki.

Dzieciątko to z kwiatami było tak jasne, tak piękne, tak anielskie, iż Helena nie mogła powstrzymać się od radosnego okrzyku.

Nie wyciągnęła jednak rąk, nie robiła żadnego gestu.

Lękała się poprostu spłoszyć to czarowne zjawisko. Siedziała i patrzyła, a uśmiech mimowolny, ten uśmiech, który wykwita na usta każdej kobiety na widok pięknego dziecka — okrasił jej twarz od snu pobladłą.

Lecz mała dziewczynka, widząc, iż Helena zbudziła się i na nią patrzy — posunęła się parę kroków i srebrnym głosikiem wydzwoniła:

— Dzień dobry tobie!

I równocześnie podniosła wysoko chryzantemy tak, że przez chwilkę widać było tylko czubek jej złotej główki przez masę kwiecia.

Helenie się zdawało, że owe japońskie ptaszki zaświergotały nagle wśród tej masy złocieni.

Oczarowana pochyliła się i odbierając od dziecka kwiaty, spytała:

— Jak się nazywasz?

— Lala.

— Czyjaś ty?

— Tatusina!

Dziecko patrzyło teraz wprost w twarz Heleny i modre jego źrenice, zasłonięte przedwczesnym wyrazem melancholji i smutku, rozjaśniły przed Heleną zagadkę, kim jest owe dziecko.

— To córka Weryhy!

I znów pochylona ku dziecku, spytała.

— Kto cię tu przyprowadził?

— Tatuś! — Kazał dać ci te kwiaty i powiedzieć, że Lala... że Lala...

Usiłowała sobie przypomnieć, wreszcie ze zmartwioną minką dodała, rozkładając rączkami.

— Zapomniałam.

Helena siedziała ciągle oczarowana i zachwycona. To dziecko o smutnych oczach i różanej karnacji ciała, zjawiające się wczesnym rankiem przy jej łóżku, zdawało się do reszty płoszyć jakiekolwiek złe i nieszlachetne myśli, które do niedawna jak wampiry pełzały ku niej o świcie.

Spojrzała w okno.

Lampa Weryhy nie płonęła, okno jego nawet zdawało się być zasłonięte ciemną firanką, lecz ten człowiek zrobił dla niej więcej.

Oto przysłał jej i postawił na straży jej duszy najczystszy twór po kwiatach, najczystszy i najpiękniejszy, bo kilkoletnie dziecko, piękne całą Pięknością, na jaką zdobyć się może istota ludzka w swem fizycznem i duchowem objawieniu.

— Tatuś powiedział — mówiła biała dziewczynka — że Lala będzie do ciebie codzień przychodzić...

— Codzień!...

Błoga radość napełniła serce Heleny.

Wyciąga ręce i delikatnie, ostrożnie podejmuje malutką z ziemi i sadza ją na łóżku.

Dziewczynka z ufnością, z prostotą dobrze chowanego dziecka garnie się do Heleny i odsuwa rączkami opadające pasma włosów na czoło kobiety:

— Rozburzonaś — mówi z niezrównaną intonacją w głosie — uczesz się... wstań!...

Helena całuje te drobne, pulchne łapki. Do oczu jej cisną się łzy.

Spaczone życie młodej żony zbyt starego męża, bezdzietnej kobiety, samotnej i znękanej, ujawnia się całe w rozrzewnieniu, jakie przepełnia jej serce.

Lala nagle podnosi wysoko maluchną nóżkę i mówi rozkazującym tonem:

— Zawiąż hywićek!..

I Helena zawiązuje ten biały „hywićek" — malutki i cacany, jakby trzewiczek lalki lub zaczarowanej królewny.

. . . . . .

Od tej chwili co rano Lala zjawia się u łóżka Heleny. — Co rano przynosi jej trochę chryzantemów białych, czystych, śnieżnych i woła srebrnym głosem:

— Dzień dobry tobie!

Helena tak przywykła do tego głosiku i rannego powitania, iż nie otwiera oczów, zanim nie posłyszy tupotu małych nóżek i owego „dzień dobry — tobie" — wykrzyczanego czasem z pewną nerwową niecierpliwością, czasem znów wyszeptanego jakby lękliwie.

Lala pozostaje u Heleny całe rano, je z nią obiad i około czwartej przychodzi służąca, która dziecko ze sobą zabiera. — O piątej zjawia się Weryho, który wychodzi późnym zmrokiem, a wtedy Helena udaje się do swojej sypialni i z książką w ręku spędza samotnie resztę wieczoru. — Od czasu do czasu spogląda w okno Weryhy i widzi tam ową zapaloną lampę, która śle ku niej swe dobroczynne, opiekuńcze światło.

Otoczona więc jest jak kręgiem kwiatów, tak ciągłym wpływem Weryhy. — Jego dziecko głównie przyczynia się do pogodzenia jej z życiem. Weryho nigdy nie zjawia się razem z dzieckiem. Jest w tem jakaś bardzo piękna i subtelna dyskrecja, tak jak wtedy, gdy usunął się po owym pocałunku, złożonym na ręku Heleny.

To sam na sam kobiety i dziecka, to zetknięcie się duszy zbolałej i zdręczonej fatalizmem życiowym z czystym i niewinnym duchem dziecka — nie powinno mieć świadków, gdyż inaczej straciłoby na uroku i czar, wypływający z tego kontaktu, mógłby stracić swoje dobroczynne skutki. — Weryho to czuje i dlatego nigdy nie staje pomiędzy Heleną i swą córką. — Nawet nie mówią ze sobą o chwilach spędzanych przez Lalę w mieszkaniu Heleny, nie mówią tak samo, jak milczą o losie chryzantemów, codzień rano przez nią przynoszonych. — Dziecko się zjawia jak promień słońca,

jak pęk kwiecia z rączkami pełnemi kwiatów i duszyczką pełną źródeł krystalicznych, czystych pociech.

Pociechę tę i piękno piła Helena spragnioną duszą.

Weryho śledził już tylko objawy i to, co przetrawione w duszy Heleny, uzewnętrzniało się w jej postępowaniu.

Postępy były ogromne.

Helena piękniała z dniem każdym, piękniała moralnie i fizycznie.

Raz jeden wszedłszy na ową ścieżkę udoskonalenia się przez ból, oddała się tej pracy z całą siłą, na jaką się zdobyć mogła...

I niewiele wysiłku potrzebowała zużywać, bo ta fala, podnosząca ją na wyżyny, sama ku niej się garnęła i odcinała ją niejako od dawnego świata. — Artystyczne struny jej duszy zaczynały już dźwięczeć chwilami w jej gestach, jej myślach, jej słowach.

Lecz to nie była ona, to nie była powrotna fala jej dawnej istoty. Nic tu nie wracało, lecz wszystko zdawało się nowe, choć jakąś mistyczną nicią z poprzednią egzystencją złączone. Mistyczna nić ta jednak była tak tajemniczo ukryta, iż Helena musiała całą siłą wniknąć w siebie, aby ją wyczuć wśród chaosu innych wrażeń, z których się jej nowe „ja“ — tworzyło. Tak jest — powstało z chaosu i Helena z radosnym podziwem była świadkiem narodzin i rozwoju swej innej duszy, spokojnej, o zarysach posągowych, która coraz jaśniej się tłumaczyła i coraz lepiej zapowiadała.

. . . . . .

Lecz siła tego spokoju chwilami przerażała Helenę. — Lękać się zaczęła, aby jej duch nie zaczął przedstawiać się przed nią tak, jak obecnie uosabiała sobie Hawrata i jego żonę. Dwa milczące głazy kamienne, nie zdolne wzbudzić w niej ani tęsknoty, ani zazdrości. Dwa nie istniejące w rzeczywistości sarkofagi — bez źrenic, bez ducha, oplecione pajęczyną niebytu. Czy i ona miała stać się takim kamiennym sarkofagiem, stojącym naprzeciw nich bez czucia, z zanikiem nawet bolesnych wrażeń?

Zwierzyła się z tem przed Weryhą, któremu teraz postanowiła mówić o wszystkiem, co się w jej duszy dziać mogło.

— To źle — powiedział po chwili namysłu — najstraszniejszą jest skamieniałość ducha — strzeż się pani tego!...

— Co mam czynić?

— Poddaj się czarowi Lali — stań się taką czystą, jasną duszyczką, wrażliwą na świeżość i poznane piękno.

— Trudno... przeszłam tyle.

— Każ sobie zapomnieć, co przeszłaś. — Nawet na czas jakiś odłóż ten sznur pereł — wspomnień, który zbierasz

wśród grobów. Żyj życiem dziecka i kształć swą duszę tylko pośpiesznem tempem, olbrzymiemi kroki. W świeżości swej nabierzesz siły i oprzesz się wtedy owej kamiennej martwocie, która może być twą zgubą.

Z całą siłą woli Helena rzuciła się za tą wskazówką. — Zeszła z dzieckiem w krainy baśni i legend, w świat zaczarowany naiwnych złudzeń i szczebiotów. — Dobroczynne wróżki, błękitne ptaki, śpiące w szklanych trumnach królewne rozwielmożniały się w tym światku, w pałacach z cukru i marcepanów. A przytem tkliwość dla nędzy, zachwyt nad łatwą melodją katarynki, ekstaza wobec dawno w szafie zapomnianej szopki i czarujące chwytanie tęczy na różowem tle ręki.

— Ł[illegible]a Lala!... uwielbiała siebie samą jasnowłosa miniaturka, nie spętana jeszcze tem, iż samouwielbienie jest rzeczą karygodną.

Ta mała poganka odrzucająca formy, dzikie stworzonko, pogardzające widelcem i kłamstwem — przez jakiś czas pociągała za sobą duszę Heleny w swobodę, w jakiej żyła. Lecz moc długoletnich nałogów brała górę. — Co więcej, Helena nie mogła powstrzymać się od wszczepiania w małą zasad „dobrego wychowania".

Dziecko często siedziało chmurne, jak kwiat skrępowany i przywiązany do pręta. Jakieś nieporozumienie zaczęło występować pomiędzy temi dwiema „kobietami". — Dusza prymitywna, dusza Ewy błądzącej jedynie w kaskadzie swych złotych włosów, ścierała się ciągle z duszą tej Ewy, którą raniły fiszbiny gorsetu i płaskość światowego układu, który ludzie w egoizmie swoim zawierali ze sobą.

— Lalu... nie można...

Często bezwiednie takie słowa wyrywają się na usta Heleny.

— Dlaczego? — pyta srebrny głosik.

— Bo... nie można!

Dziecku wygodniej jeść paluszkami — lecz układ światowy każe jeść widelcem. I śliczne małe serduszko urażone, dotknięte, smutne, cofa się, zamyka.

Helena czuje drobiazgowość przyczyn, które wywołują tak przygnębiające zjawisko, jak „smutne dziecko", lecz powstrzymać się nie może.

I znów „nie wolno" — i znów usta w podkówkę — rączki zaciśnięte w piąstki.

Wreszcie Helena zwraca się do Weryhy.

— Chcę!... Nie potrafię się nagiąć do poziomu Lali... Zamiast odżywać jej życiem, dręczę ją mimowoli tem, co we mnie wszczepiono...

Weryho zastanowił się chwilę.

— Uwielbiaj ją tylko, jak piękny kwiat, patrz na nią, słuchaj nie długo. Niech pozostawi ci na cały dzień wrażenie porannej jutrzenki.

— To chętnie, to mogę!

Od tej chwili Lala nie jadała więcej obiadu u Heleny. Odchodziła w południe i stosunki ich się naprawiły. Wizyty dziecka pozostawiały rzeczywiście Helenie wrażenie jasności niezwykłej i drogiej.

W tym czasie, zupełnie nagle i niespodziewanie nadeszła na Helenę chwila owej śmiertelnej trwogi, którą po raz ostatni doznała w gondoli na lagunach. Porwało ją to podczas bytności Weryhy, właśnie wtedy, gdy oboje zajęci byli pomieszczeniem dekoracyjnego „panneau“ pędzla Paula Ranson'a.

Na blado zielonem tle — kobieta o żółtej barwie ciała podnosi ku górze amforę, z której wydobywa się w spiralnych skrętach dym. — Na zielonawem tle tapet obraz ten, oprawny w szare, wąskie ramy, wybornie sharmonizował się z całem otoczeniem.

Weryho pomieścił go sam na ścianie i stał jeszcze z młotkiem w ręku na krześle, gdy spojrzawszy na Helenę, przeraził się straszną zmianą, jaka zaszła w jej twarzy.

Trupio blada — z opadniętą szczęką — z oczyma wpatrzonemi w przestrzeń, stała koło ściany tragiczna i dziwnie przerażająca.

Coś groźnego było dokoła niej. Coś, co wyodrębniało ją w tej chwili z pośród żyjących.

Weryho poskoczył ku niej — chciał porwać ją za rękę, lecz przeraził się i zaniechał zamiaru. Dawniej widział ją czasem omdlewającą i strwożoną, lecz tak strasznie zmienionej, tak pełnej grozy nie widział jeszcze nigdy. Sądził, że upadnie i w pomieszaniu podsunął jej krzesło, a potem zaczął szukać wody.

Ona tymczasem doświadczyła tego samego, co w poprzednich atakach, lecz była w tem różnica, którą mimo stanu swej bezświadomości odczuła.

Pod stropem nieba, to coś, co się od niej odłączało, co wydzierało się z niej samej, odpływało wolno i swobodnie w przestrzeń, potem skupiało się niejako w pewną formę i oto znajdowała się ona naprzeciw samej siebie, jedna lekka i swobodna prawie, gdyby nie pewna moc, łącząca ją subtelnie z ciałem, a ta druga wyczerpana, strwożona, z kroplami potu na pobladłem czole. Lecz tu, w zacieśnionej przestrzeni pokoju, to coś subtelne i dziwne, co oddzielało się od niej, zdawało się cierpieć także, obijać niejako boleśnie o kraty i stąd Helena doznała tym razem podwójnego i niewysłowionego cierpienia.

Z nadzwyczajną nadczułością przyjmowała w takiej chwili każdy ruch, każdy szelest dokoła siebie. Przyjmowała te wrażenia podwójnie. Szybkie, bezładne poruszenia Weryhy sprawiały jej ból. Chciała, aby zbliżył się do niej — porwał ją za ręce jak „tamten“ — i dopomógł jej, aby stała się znów jedną, każąc jej mieć wolę, mieć siłę, mieć chęć.

Bo mimo wszystko chciała jeszcze żyć, a ten moment, który przywołała tak chętnie w pierwszych dniach po doznanej katastrofie — ten moment, mogący ją uwolnić od życia — był dla niej teraz zbytecznym i strasznym. Czepiała się jeszcze życia, sądziła je możliwem w tem otoczeniu, jakie sobie stworzyła.

Jakiś nieokreślony, chrypliwy jęk wydarł się z jej piersi. W ten sposób chciała przyzwać do siebie Weryhę, aby w jego oczach, jak w oczach Hawrata, zaczerpnąć siły i mocy życia. Lecz gdy spotkała zmęczone i senne oczy Weryhy, zrozumiała, iż tu nie ma dla niej ratunku. Przestrach jej wzmógł się, zdawało się jej, że kona. Rozpaczliwie wbiła paznogcie w ścianę i przyzywać poczęła ulatującą część swej istoty, konieczną widocznie do życia. — Oddech jej był ciężki, krople potu spływały wzdłuż policzków. Lecz zwyciężała. Powoli wracała do siebie pełnej, całej — i wyczerpana osunęła się na krzesło.

Przed nią stał Weryho blady i zmieszany. W ręku trzymał szklankę wody.

— Co mogę dla ciebie uczynić? — zapytał — chciałbym ci dopomódz.

Spojrzała na niego z najwyższą boleścią i przerażeniem nad tem, co odkryła w tej chwili.

— Ty dla mnie nic uczynić nie możesz! — odpowiedziała zmienionym głosem.

XLI.

Była to straszna dla niej rewelacja.

To wszystko, co uczynił dla niej Weryho, ten gmach spokoju, jaki wzniósł dokoła niej, to wywyższenie ją szlachetne i nadanie linji piękna jej cierpieniu — to było wszystko niczem w porównaniu z tem, co zrozumiała w tej chwili.

Ten spokój, to pozorne wyszlachetnienie uczuć, to było wszystko drobnostką, niczem w porównaniu z potęgą, z mocą jaką objawił Hawrat w chwili tej śmiertelnej trwogi, która właściwie ich ze sobą zbliżyła. Cała przewaga duchowa tego człowieka, jego tragiczna nad jej duszą władza, odczucie i zrozumienie jej stanu — to była podstawa miłości, która potem tak strasznym płomieniem ogarnęła jej duszę.

Drobiazgowy spokój Weryhy, jego artystyczny lecz nie potężny duch, niejako niższy od jej wysubtelnionej i skrzydlatej duszy, nie mógł przynieść jej nic w tej strasznej chwili, przed którą drżała najwięcej.

Po raz pierwszy może — od chwili wstąpienia na jej próg Weryhy po powrocie z Lucerny — Helena nie zasnęła ukojona jak zwykle. Światło lampy płonącej w oknie Weryhy wydało się jej mdłem i bezsilnem światłem. Wrzała w niej burza — szarpał nią jakiś straszny niepokój i nieokreślone cierpienia. Były to zupełnie różne uczucia od tego bólu, jaki doznawała poprzednio. Zdawało się jej, że jest przytłoczona jakąś kamienną płytą i pod nią szamocze się bezsilna i wyczerpana.

Tymczasem poza tą kamienną osłoną przeczuwała coś strasznego, jakąś tajemnicę, która jej groziła katastrofą, druzgocącą ją do reszty.

Orkany wyły dokoła niej i obijały łoskołem głuchych gromów o powierzchnię głazu. Rwała się w ostatku sił, woląc stawić czoło całej grozie, niż konać tak w kamiennej osłonie. Wysiłki jej były nadaremne. Cierpiała ciągle jednako.

Nad ranem zasnęła tak twardo i chorobliwie, że nie słyszała nawet wejścia Lali — i zwykłego „dzień dobry tobie".

Gdy otworzyła oczy — i nie unosząc głowy z poduszek spojrzała przed siebie, dostrzegła dziecko oparte o łóżko i drzemiące wśród rozrzuconych chryzantemów. Złota główka z rozsypanemi dokoła włoskami spoczywała na białym atłasie kołdry. Rączki, z których bukiet wypadł na ziemię, leżały nieruchomo wyciągnięte. Cała postać dziecka wskazywała znużenie a w tym geście przytulenia się do nóg Heleny było coś tak pokornego, tak nieśmiałego, iż serce Heleny wstrząsnęło się naglą i niespodziewaną myślą.

— To dziecko, opuszczone przez matkę, bezimienne i bezdomne... Czy nie uczynić sobie z niego celu życia?

I w tej samej chwili przyszła na Helenę myśl abdykacji z rozkoszy życiowych, jej śmierć już jako kobiety ustępującej przed matką i opiekunką. Coś nakształt wahania przebiegło po jej umyśle, lecz szybko stłumiła ten odruch, zwracając się całą myślą, całą chęcią ku uśpionej dziewczynce.

— Nie jako „*objet d'art*", nie jako źródło, przy którem miał się duch mój odżywiać i przemieniać — lecz jako cel życia chcę mieć to dziecko przy sobie.

Z gorączkowym zapałem chwyciła się tej myśli. Odżyła w niej „matka". Lala w tej postaci wydała się jej rzeczywistym aniołem opiekuńczym i cichą przystanią, do której wejść miała.

— Żyć będę w niej i dla niej! — wyrzekła. Delikatnie ułożyła dziecko na swem łóżku i otuliła szalem. Lala przyzwyczajona do tego, iż traktowano ją w tym domu, jako kosztowne cacko i przedmiot zabawy — z pewną rozkoszą poddawała się tej pieszczocie i prawdziwej domowej wygodzie, jaką ją otaczano. Trochę zabrudzone trzewiczki spoczęły bez ceremonji na atłasie kołdry. Nie posłyszawszy „nie można" — ułożyła się na dłuższą drzemkę, bo dzień był dżdżysty i pochmurny. Helena całe rano spędziła w gorączce i w krzątaniu się dokoła dziecka. Pieściła je i całowała bez przerwy. Przemawiała do niej najczulej i nie puściła na obiad pod pozorem słoty. Przy obiedzie pozostawiła zachwyconemu temu dziecku swobodę — słowem nie kazała dziecku siebie bawić i rozrywać — lecz ona raczej dziecko rozrywała i bawiła.

Lala, dziwnie kochające i pieszczotliwe stworzenie, instynktem odczuła tę przemianę i kilkakrotną śliczną pieszczotą odpłaciła Helenie za jej nagle zbudzone serce. Wielkie rozrzewnienie ogarnęło Helenę i przejęło ją do głębi. Z uśmiechem niemal szczęścia przygarnęła dziewczynkę.

Tak zastał je Weryho, w objęciach — Lala uśpiona na piersi Heleny. Po raz pierwszy znaleźli się razem we troje. Helena siedziała na swym fotelu w salonie i na kolanach trzymała dziecko. Blada jej znużona twarz, oparta o złote włosy dziecka, miała wyraz szlachetnej egzaltacji.

Gdy Weryho wszedł, wyciągnęła ku niemu rękę, mówiąc szybko i jakby w podnieceniu:

— Pomyliliśmy się oboje... nie na cmentarzu wspomnień, ani na terenie artyzmu jest dla mnie ocalenie... Znalazłam cel, znalazłam drogę. Los nie dał dziecka, lecz nie mniej silną struną w mych nczuciach jest struna macierzyńskiej miłości. Kazałeś mi patrzeć na Lalę, jak na kwiat — ja patrzę na nią jak... matka. I w tem dopiero znalazłam ukojenie.

Weryho patrzył na obie te kobiety, jedną u wrót jesieni, drugą u wrót wiosny. Zdawały się dopełniać wzajemnie, Czar młodości, urok przebytych i przecierpianych chwil. Róże lic i matowa bladość twarzy. Oczy modre, niezmącone, jak tafla jeziora i oczy ciemne, zgaszone łzami.

Prześliczny układ ciał — to czarujące przytulenie główki dziecięcej — splatanie rąk — tworzyło grupę dziwnie powabną, pełną gracji i wdzięku.

Miłość łagodna i uczucie spokojne i pewne owiewały dokoła tę grupę, jak mgła delikatna i pociągająca.

Weryho uległ temu urokowi. Z uśmiechem wpatrywał się w te „dwie“ — i życzył sobie patrzeć na nie jak najdłużej — złączone tak uściskiem.

Nagle zabrzmiał cichy głos Heleny:

— Daj mi twą córkę!

Drgnął prawie. Dziecko to było dla niego wszystkiem. Żądano od niego... wszystkiego.

Łagodnie odpowiedział:

— Nie mogę się rozłączać z Lalą — nie wymagaj tego odemnie!

Ona otuliła dziecko silniej ramieniem, jakby lękała się je utracić.

— Więc co poczniemy? — zapytała błagalnie.

Nie odpowiedział nic. Tego wypadku nie przewidywał, przysyłając dziecko po raz pierwszy. Spojrzał na Helenę i w tem ujęciu rozpaczliwem dziecka, w jej oczach — wyczytał, iż rzeczywiście była to może prawdziwa ścieżka, która ją ocalić mogła. Dziecka jej oddać nie mógł, a czuł, że ona pragnie mieć je na wyłączną własność i przywiąże się do niego z całą namiętnością bezdzietnej kobiety.

— Nie mogę wyrzec się dziecka! — powtórzył ze smutkiem.

Ona powstała nagle i wyciągnęła ku niemu uśpioną dziewczynkę.

— Zabierz ją!... — wyrzekła ze łzami w głosie — czuję, że mogłabym przywiązać się do niej teraz, gdy zrozumiałam, jak ją kochać powinnam. Nie miałabym siły znów przeżyć bólu rozstania i nowego zawodu. Więc... lepiej weź to dziecko... i zostaw to mnie...

Wziął Lalę na rękę i przygarnął do swej piersi.

Helena upadła na swój fotel i siedziała na nim zrozpaczona, z oczyma łez pełnemi. Przed nią znów otwierała się pustka. To dziecko, ten człowiek — gdy odejdą, zabiorą resztę światła, które ją otaczało.

Co uczyni wtedy?

Długa chwila milczenia zapanowała pomiędzy nimi. Oboje czuli, że położenie to niema wyjścia. Powoli jednak w umyśle Heleny wyłaniać się zaczęła jakaś myśl i ta przybierać zaczęła silniejsze zarysy. Zdawała się odsuwać ją — parę razy twarz jej zmieniła się, usta otwierały i znów zacinały.

Krople potu wystąpiły na jej czoło. Helena powstała i zaczęła przechadzać się po poknju — rzucając co chwila dziwne wejrzenie na Weryhę i na śpiące dziecko.

Wreszcie jakaś determinacja ogarnęła jej rysy, coś stałego, pewnego odmalowało się w jej oczach — powaga wyszlachetniła jej postać i nadała jej wyraz stałości i rozumu.

Zbliżyła się do Weryhy i bez cienia zakłopotania wyciągnęła do niego rękę.

— Zostań moim mężem! — wyrzekła dobitnym i pewnym głosem.

On pobladł, tak ta propozycja była dla niego nadzwyczajną i niespodziewaną. Czy kochał Helenę — do tej chwili nie umiał jeszcze sobie zdać sprawy.

Kochał ją może taką, jaką sobie w swych pojęciach urobił, a nie taką, jaką ona w rzeczywistości była. Tymczasem miał zostać mężem tej rzeczywistej, nieznanej — a miał utracić tę, która była dziełem jego poetycznej i artystycznej pracy duchowej.

Ona prawie odczuła, co się w nim dzieje, bo mówić dalej zaczęła, lecz głos jej stracił teraz na pewności i sile a nabrał wdzięku i łagodnej kobiecości.

— Wahasz się... gdyż nie wiesz, jakiego rodzaju masz dla mnie uczucie... Nie jest ono miłością, bo tak nie objawia się miłość — wiemy o tem oboje. Ty, ja — rozbitków dwoje, bankrutów na giełdzie miłości, zeszliśmy się na jednej ścieżce życia. Dla ciebie los był łaskawszy. Obdarzył cię spokojem i równowagą duchową i pozostawił ci dziecko. Ja nie mam nic! Jak żebraczka przychodzę do ciebie i proszę — podziel ze mnę jedno i drugie!...

Nie odpowiedział jej wprost, tylko podnosząc na nią swe spokojne, zamglone oczy, zapytał:

— A więc mnie kochasz! Odpowiedz mi szczerze!

— Nie kocham cię — odparła z całą szczerością — lecz zdaje mi się, że to, co czuję dla ciebie, jest bardzo silne, szlachetne i dobre uczucie!

Znów zapanowało milczenie, aż wreszcie ona, jakby tknięta jakąś myślą, zapytała go nawzajem:

— A ty? Wszak i ty mnie nie kochasz?

— Nie wiem... — brzmiała jego odpowiedź — nie wiem. Nie mogę sobie zdać sprawy. Muszę zbadać dobrze rodzaj uczucia, jakie mam dla ciebie. Pomyślę, gdy zostanę sam! To wiem jedno. Jeżeli zrozumiem, że cię kocham, nie zobaczysz więcej ani dziecka, ani mnie. Nie mógłbym połączyć się z tobą, kochając cię, a wiedząc, że ty mnie nie kochasz. Jako dwoje przyjaciół, którzy sobie wzajemnie przynoszą jeden rodzaj uczucia, możemy przejść przez życie wspólnie, jeżeli jedno wniesie za sobą gorącą namiętność, drugie zaś darzyć go będzie wystygłem, smutnem uczuciem życzliwości — sama to odczuwasz, iż — podobne pożycie byłoby tylko fatalną tragedją, w której zginęlibyśmy oboje.

Umilkł, a po chwili dodał, wskazując na dziecko.

— Ofiarą tej pomyłki — padłoby tylko... ono!

Powstał — rozbudził dziecko, okrył je i skierował się ku wyjściu.

— Odchodzę! wyrzekł już w progu — muszę pozostać sam i zbadać dokładnie swe serce! Żyłem wobec ciebie w tak spokojnym stosunku, iż w tej chwili czuję chaos, z którego nic zrozumieć nie mogę.

Ujął jej rękę.

Byli oboje bardzo wzruszeni, ona drżała jak liść, on był blady i bardzo smutny.

— Bądź zdrowa! wyrzekł, uprowadzając dziecko.

— Dobranoc tobie! — zadźwięczał srebrny głosik.

XLII.

Gdy Helena pozostała sama, udała się do sypialni i tam zaczęła niespokojnie chodzić we wszystkich możliwych kierunkach. Tren jej sukni ze świstem jedwabiu wił się za nią w zygzakowatych skrętach. Drżenie, które ją ogarniało podczas odpowiedzi Weryhy — potęgowało się z każdą chwilą. Dziwne uczucia szarpały jej sercem. Słowa Weryhy wpiły się w jej mózg z dokładnością najwyższą.

— Jeżeli cię kocham — nie zobaczysz więcej ani mnie, ani mego dziecka.

To było najsilniejsze i nieubłagane. — Życzyć więc sobie powinna, aby Weryho jej nie kochał. Wtedy była uratowaną i życie jej układało się w możliwy sposób. Zachowa dokoła siebie tak Lalę jak i jej ojca, pozostaną przy niej i utworzą ten świat, który teraz powoli się przed nią zarysowuje. Bezbrzeżny spokój i płynięcie jakieś w przestrzeń. Wiadome jutro, choć na pozór mdłe i bez wybitniejszych linij.

Lecz coś w głębi Heleny nurtować zaczęło.

Żyć obok człowieka, który jej nie kocha... Brutalna to prawda i dziwnie dręcząca.

Ona go także nie kocha, powiedziała mu to szczerze i otwarcie. Kobiecą jednak fantazją wiedziona, pragnie, aby on ją kochał i czuje, że nie będzie w stanie przyzwyczaić się do tej myśli, iż mąż jej nie ma dla niej miłości w sercu. Przytem niewyraźny, lekki ból ją przejmuje.

Sama nie wie, co czuje w tej chwili dla Weryhy. Nie rozumie, iż tylko podrażnienie jej miłości własnej spowodowało pewne spotęgowanie jej uczucia dla Weryhy. Gorączka ambicji rozpala w niej jakieś iskierki, które ona tłumaczy sobie coraz fałszywiej.

Dochodzi do tego, że Helena już nie wie sama, co ma życzyć sobie w tej chwili. Ciągle chodzi po pokoju, łamiąc nerwowo ręce.

Deszcz bije o szyby i już słychać jęk przeciągły jesiennego wichru.

Północ dawno minęła.

Helena spogląda w okno.

U Weryhy, tak jak codziennie, płonie lampa.

To światło dziś nie uspokaja zupełnie Heleny. Przeciwnie, działa na nią denerwująco. Wie, że tam ważą się jej losy. Może w tej chwili, tak samo jak ona, Weryho chodzi po swoim pokoju, sondując i badając swe serce.

Nie zużył wiele słów, aby przedstawić jej jasno sytuację. Określił ją i ustawił należycie.

„Jeśli cię kocham, nie zobaczysz nas więcej".

To słuszne. I onaby tak samo zrobiła.

Odeszła od okna i usiadła na fotelu.

— Tak — jeżeli jej nie kocha, może zupełnie śmiało przyjąć jej rękę, którą ona często przyjacielskim gestem do niego wyciąga. Żyć tedy będą oboje w dziecku i dla dziecka, wiedząc, po co się zeszli i dlaczego się połączyli. Żądnego kłamstwa, żadnego oszustwa.

Na miłosne uniesienia oboje kładą kamień grobowy.

Lecz jeśliby on ją kochał i zdecydował się, mimo braku jej wzajemności, zostać jej mężem — ona nie mogłaby mieć do niego zaufania i zawsze coś niepewnego, fałszywego byłoby między nimi.

Podniosła się znów z fotelu i zbliżyła się do okna.

Lampa ciągle płonęła.

Przed oczyma jej stanęli oboje, — on, piękny, łagodny, pełen artystycznego wdzięku i duchowego spokoju, ona — śliczna, wytworna, jak kosztowne cacko, z duszą przejrzystą, jak kryształowa gwiazda.

I to wszystko mogło być jej, mogło otoczyć ją wdziękiem, powabem, pięknem i łagodnem ciepłem.

Nagle — w oknie Weryhy lampa zgasła...

Helena doznała jakby pchnięcia sztyletu. Od tylu dni ta lampa płonęła do świtu, nie gasnąc nigdy, podsycana troskliwą ręką czuwającego nad nią człowieka.

Zimno przebiegło jej ciało.

Co mogło znaczyć to zgaszenie lampy? Czy w ten sposób Weryho zrywał węzeł, jaki łączył go z Heleną? Czy w tej ciszy nocnej zrozumiał, jakie to uczucie kazało mu podtrzymywać to światło noc całą — i razem z tem zrozumieniem postanowił zniknąć z życia Heleny, tak, jak nikła gwiazda tej lampy wśród ciemności nocy?

Helena strwożona i prawie nieprzytomna dowlokła się do łóżka i rzuciwszy się na posłanie, zasnąć pragnęła. Lecz sen nie przychodził.

Zmęczona, wypiła podwójną dozę chloralu i zasnęła ciężkim, wyczerpującym, sztucznym snem.

. . . . . .

Zbudziła się późno.

Pierwszem jej wrażeniem był straszny ciężar, jaki tłoczył jej głowę, i uczucie dziwnego wyczerpania.

Serce jej biło nadzwyczaj słabo i nierówno. Myśli wirowały i zdawały się kłębić, jak gnane wichrem liście. Długa chwila minęła, zanim z tego chaosu Helena zdołała coś uporządkować.

Wreszcie wypadki dnia wczorajszego zaczęły zjawiać się przed nią i nagle uprzytomniła sobie wszystko.

Przypomniała sobie, że obecność Lali miała zwiastować jej decyzję Weryhy.

Porwała się z pościeli i spojrzała dokoła.

Lali nie było.

Ta pustka koło jej łóżka była tak wymowna, że Helena odrazu zrozumiała wszystko.

Weryho ją kochał i odszedł z jej życia, uprowadzając dziecko.

Zwyczajem kobiet, chciała się jeszcze łudzić.

Zadzwoniła.

Weszła służąca.

Helena możliwie spokojnym głosem zapytała o godzinę.

Dziewczyna odpowiedziała jej, że jest już dwunasta.

Helena po chwili, jakby od niechcenia, rzuciła pytanie, czy nie przyprowadzono dziecka.

— Nie, proszę pani — odparła pokojówka — a nawet pan Weryho dziś rano się wyprowadził.

— Jakto?

— Tak... O godzinie ósmej, kiedy pani spała, pan Weryho sprowadził posłańców, którzy jego rzeczy na wózki zabrali. A tu list do wielmożnej pani.

Podała jej kopertę, której format przypomniał listy Weryhy, przysyłane do Reichanhall.

Wzięła list i zbielałemi usty wyszeptała:

— Dobrze, odejdź!

Siedziała z tym listem długą chwilę, nie mogąc zdecydować się otworzyć go.

Znów list! I znów zwiastun nieszczęścia i osamotnienia.

Wreszcie otworzyła kopertę: W krótkich, prostych słowach Weryho wyznawał jej swą miłość i zawiadamiał, że odchodzi z jej życia wraz z dzieckiem. „Kochałem już raz, nie będąc wzajemnie kochany, męczyłem się bardzo. Nie mam sił przechodzić po raz wtóry podobnej męczarni, a to jeszcze byłoby straszniejsze..."

Helena zasłoniła oczy i długo tak siedziała nieruchoma.

Powróciła więc do tego punktu, na którym stała w pierwszych chwilach swego powrotu do Lwowa.

Ów spokój, poszukiwanie piękna w cierpieniu, stopniowe uszlachetnienie swej boleści, to było wszystko tylko wynikiem suggestji i wpływu, jaki Weryho na nią wywierał. Gdy on zniknął z jej życia, dawne usposobienie wracało

z całą siłą, spotęgowane jeszcze świeżo doznanym zawodem i bólem.

Serce jej zaczęło bić tak nierówno i chorobliwie, że chwilę nie mogła zaczerpnąć oddechu. Potem dwukrotnie ból dojmujący przeszył jej lewą stronę płuc i wydarł cichy jęk z piersi.

Zakotłowało, zawirowało dokoła niej i nagle ciemność ją ogarnęła, ciemność tak straszna, iż zdawało się jej nagle, że wtrącono ją do jamy mogilnej.

To co przeżywała, to jest śmierć duchowa, ta śmierć słodka i piękna, pełna poezji pod sklepieniem nieba, nie miała nic wspólnego z tem okrutnem, strasznem pogrążeniem w czarną otchłań, podczas gdy serce przeszywały ostrza niewidzialnych sztyletów.

I z krzykiem uciekającej przed śmiertelną bronią ofiary, Helena porwała się z łóżka i wyskoczyła na środek pokoju. Całą siłą zaczęła przywoływać się do przytomności. Skropiła twarz swą zimną wodą — wciągała woń angielskiej soli z kryształowego flakonu.

— Nie tak! Nie tak! — mówiła, szczękając zębami i odziewając się pospiesznie.

Bezwiednie z szafy zaczęła dobywać buciki, suknię, kapelusz podróżny. Dom ten, w którym za wpływem Weryhy stworzyła sobie rodzaj sztucznego ogrodu, w którym przebywała, wydał się jej straszną pustynią, wspomnieniem męczarni i katusz nie do zniesienia.

Chciała koniecznie uciec z niego, uciec choć na chwilę... odetchnąć, srukać jakiegoś możliwego ukojenia.

— Pójdę... pójdę... mówiła drżąc cała, jak w febrze, pójdę... co tu będę robić? Lala nie przyjdzie, Weryho nie przyjdzie!...

Bolesny spazm wykrzywił jej usta.

— Zanadto mnie kocha! — pomyślała z ironią i zaraz w myśli dodała.

— Mnie? — On kocha zanadto siebie. Wszak najwyraźniej napisał mi, że odchodzi odemnie, bo lęka się przechodzić znów męczarnie, jakie raz przeszedł, kochając, nie kochany. Gdyby mnie naprawdę kochał, nie dbałby o to, co z nim będzie, lecz o to, co ze mną dzieje się w tej chwili. Była już prawie ubraną. Narzucała na siebie płaszcz swój podróżny i kapelusz pomięty i zakurzony.

— I tamten odszedł odemnie tak samo — myślała dalej z ironją — i tamten troszczył się tylko o siebie, o swój spokój domowy, o opinję dobrego męża i uczciwego człowieka.

Czuł, że, pozostając przy mnie i we Lwowie, może utracić to wszystko, a więc pozostawił mnię samą i ocalił siebie, nie zważając, co ze mną się stanie.

Od tej chwili postać Hawrata ogarnęła całą jej istotę. Odpędzona siłą woli przez ten czas, powróciła straszna i nieubłagana, pastwiąc się prawie nad znękaną duszą Heleny.

Ona już nie broniła się przed tą wizją — owszem, z dzikiem jakiemś okrucieństwem rozrywała świeżo zabliźnione rany swego serca — jakby mścić się chciała nad sobą samą za tę iluzję spokoju, w którym istnieć chciała.

— Będziesz myśleć o nim! Musisz myśleć o nim... To twoje przeznaczenie — mówiła do pobladłej, tragicznej postaci, którą dostrzegła w lustrze.

I nagle zbudziło się w niej szalone pragnienie. Oto Helena zapragnęła zobaczyć znów Hawrata.

— Widzieć go! Widzieć muszę choć na chwilę!...

Wydało się jej to rzeczą zupełnie naturalną.

Był tu, w tem samem mieście, tak łatwo mogła go odnaleść. Czuła to, że instynkt ją zaprowadzi.

Moc duchowa, jaką miał nad nią, ta potęga, która ją wlokła za nim po wybrzeżu morskiem w Lido, odżyła i rozpostarła nad nią panowanie swoje.

Nieujarzmiona, nieokiełzana siłą woli, rozkochana istota Heleny szalała teraz w bezbrzeżnej tęsknocie.

„Muszę go widzieć“ — stało się dla niej prawem, przykazaniem.

Jak ptak oślepły na uwięzi, ciągniony za łańcuch, tak ona wyszła teraz z domu na ulicę miasta, które kryło w swej głębi Karola.

Szła z głową podniesioną, wpatrzona przed siebie, z nerwami tak strasznie napiętemi, iż nie czuła nawet ich drgania. Egzaltacja jej rosła z każdym krokiem. Coś popychało ją i kierowało jej krokami. Żelazna dłoń chwyciła ją za kark i popychała naprzód.

Była znów straszna, postarzała, twarz jej pokryła mgła popiołu. Kosmyki włosów bezładnie spływały jej na oczy i policzki. Ona szła ciągle, usuwając sztywną ręką tych, którzy tamowali jej drogę.

Ten i ów obejrzał się za tą dziwną, szaro odzianą postacią, która zdawała się raczej sunąć, a nie iść po ziemi.

Wyraz jej oczu był nieokreślony. Przeważał w nich dziwny stan nieruchomości, wpatrzenia się w jakiś tylko dla nich dościgły przedmiot.

Muszę go znaleść — oto były jedyne słowa, około których krążyła jej wola i myśli.

XLIII.

Korzystając z wejścia kilku naraz osób, Helena wsunęła się do sali sądowej.

Gdy weszła w ścieżkę, rozgraniczącą dwa rzędy ławek, natłoczoną publicznością zaczęła torować sobie drogę z tą śmiałością i pewnością siebie, z jaką weszła do gmachu sądu krajowego przy ulicy Batorego.

Nie była tu nigdy, a przecież szła pewno i śmiało.

Ten stan wpół przytomny nie opuszczał jej ani na chwilę. Tajemnicza siła gnała ją wśród ulic i przygnała ją tutaj.

W życiu wystarczy coś chcieć całą duszą, całą silą, całą potęgą swej istoty, to aby się stało. To jest wielka tajemnica tych, którym się wszystko spełnia. Oni mają siłę chcieć.

I oto dlaczego Helena znalazła się w sali sądowej, a w tej sali sądzono właśnie zbrodniarza, mordercę, a obronę tego zbrodniarza wygłaszał w tej chwili... Hawrat.

Cisza panowała w sali natłoczonej po brzegi, cisza przeogromna.

Głos Hawrata rozlegał się jak dzwon, a każde słowo padało jak dobroczynna kropla deszczu w czasie posuchy.

Przysięgli w ławach swoich, wpatrzeni w twarz i gesta obrońcy, mieli pozory stworzeń, w których budzi się pewien zmysł krytyczny.

Na ławie oskarżonych, naprzeciw trybunału, siedział ów zbrodniarz w szarej płóciennej odzieży. Lękliwe oczy tropionego zwierza utkwił w krzyż, stojący na stole pokrytym zielonem suknem. Tak blisko niego, że dotykał prawie niespokojnemi rękoma, leżała skrwawiona odzież zamordowanej dziewczyny, jej szkaplerz i małe, blaszane pudełeczko, w którem znaleziono parę centów.

Niepewne światło chmurnego, jesiennego dnia padało na tę grupę — człowieka i niemych świadków jego zagadkowej zbrodni.

Spiczasta czapka Fedka sterczała prawie tragicznie w samotnej pustce, którą dokoła niego zostawiono.

W kącie, przed ławą dziennikarzy przysiadł siwy chłop w sukmanie. Oczy krwawe sączyły dwie strugi łez.

Był to ojciec mordercy.

Wpatrzony w swe dziecko, szeptał ciągle:

— Fedku, Fedku, szczo ty zrobyw!

Hawrat mówił, mówił gorąco, chwilami tak szybko, jak huragan, to znów jakby ważył każde słowo na szali.

I wtedy w sercach słuchających powstawał niepokój i coś jak wielkie miłosierdzie, jak jasność niezwykłej miłości i przebaczenia, przebiegało salę.

Hawrat na jaw, na dzień jasny wyprowadził to skurczone pół-zwierzę, splamione krwią, i dzieckiem go przed oczy sędziów wywłóczył.

Z ciemni mogilnej wstawała matka alkoholiczka, rodzeństwo epileptyczne, on sam pół-kretyn, zwiędły w wiośnie życia kwiat, zmieniony w mordercę pod tchnieniem nędzy miejskiej i alkoholu.

Wielki, wspaniały dech przeleciał salę i targnął ludzkiemi duszami.

Sądzić miano tego, który stał tu bez winy — winny i do którego wyciągnął z krzyża ręce Ten, który jest Sędzią Najwyższym.

Przebaczcie mu, albowiem nie wiedział, co czynił!

Helena, oparta o środkową ławkę, stała wpatrzona w Karola, którego widziała, ale poznawała z trudnością.

Ten człowiek, wyniesiony swem posłannictwem nad innych, ten człowiek, który w tej chwili stawał jak wał ochronny przed jeszcze żywym, broniąc go, aby nie stał się trupem, ten człowiek, który roztrząsał sumienia tych, którzy za chwilkę mogli wydać wyrok śmierci — byłże to ten sam Karol, który na Lido zarzucał ją różami, a w Lucernie szalał w ekstazie miłosnej, wyciskając jej krwawe piętna na ręce?

Co miał wspólnego z tamtym rozkochanym i wysubtelnionym w miłości ten silny i potężny mówca, walczący o życie człowieka, walczący stokroć potężniejszą niż oręż bronią, bo myślą własną, krzykiem swego ducha, silnego poczuciem sprawiedliwości i miłości bliźniego.

W rękach swych, wyciągniętych ku ławie przysięgłych, Hawrat zdawał się trzymać duszę Fedka i niejako odpowiadać za nią. Od niego, od jego słów, od gorącego przekonania jego ducha zależało rozbudzenie sprawiedliwości tych kilkunastu ludzi.

Za parę godzin może padnie słowo: „na śmierć przez powieszenie“ — może jednak Hawrat zatrzymać je w powietrzu i od głowy Fedka odwrócić, ocalić mu życie.

Helena patrzy na Hawrata i nagła, szalona gorycz przepełnia jej duszę.

— Jak on się troszczy o tego zbrodniarza, jak bardzo

mu chodzi o to, aby on nie umarł! Pot spływa mu z czoła, oczy błyszczą fosforycznym blaskiem, usta drżą, głos chwilami łamie się ze wzruszenia.

A ona? A o jej życie czy troszczy się ten człowiek? Wytęża wszystkie siły, aby odwrócić wyrok śmierci z nad głowy Fedka, a wyrok śmierci na nią wydał tam w Lucernie i oddał go jej sam do ręki.

Zaczyna w tej krótkiej chwili rozumieć i pojmować wiele. To, co się nazywa miłością dla społeczeństwa, nie musi mieć nic wspólnego z miłością dla jednostki. Fedko przedstawia dla Hawrata społeczeństwo, ona zaś jednostkę. Hawrat kocha „ogół", kocha go tak gorąco, iż głos jego jak huragan, wstrząsa duszami wszystkich... lecz względem niej okazał się zły, marny i nieludzki...

Helena wytęża wszystkie siły, aby to pojęcie utrwalić w sobie. Powoli zaczyna przychodzić do pewnej równowagi. Karol wydaje się jej coraz straszniejszy, coraz okrutniejszy. Dokoła wszyscy przejęci podziwem dla jego humanitarnych zasad, dla jego nadzwyczajnych pojęć o szlachetnej sprawiedliwości, rozgrzewają się i rozrzewniają pod wpływem jego słów.

W duszy Heleny przeciwnie — odbywa się dziwny, dla niej tylko zrozumiały proces. Karol na tej wyżynie idealnej — przenika ją chłodem i bolesnem odrętwieniem. Dualizm jego postaci staje przed nią jasny i nieubłagalny. Gdy on woła „sprawiedliwości" — a jeśli już nie sprawiedliwości to „miłosierdzia" — ona zaciska zęby, aby nie wybuchnąć ironicznym, strasznym śmiechem.

On woła... miłosierdzia.

Gorąco panujące na sali jest straszne. Atmosfera zdaje się przeładowana elektrycznością. Jakieś tajemnicze prądy przebiegają przestrzeń.

Na nich zawisają słowa Hawrata. Mówi teraz o dziedziczności, mówi o fatalizmie, jaki zawisł nad głową tego nieszczęśliwego.

— Gdyby on miał tę równowagę ducha, jaką mam ja, jaką macie wy wszyscy i popełnił zbrodnię — mielibyście prawo zupełnie powiedzieć „winien"...

Helena oddychała ciężko. Uczepiła się ławki, ledwo ustać jest w stanie. To straszne, te jego słowa. Gdyby Fedko miał tę równowagę, którą ma Hawrat i popełnił zbrodnię, byłby winien... śmierci.

A przecież Hawrat popełnił taką zbrodnię z całą równowagą — i żyje! i żyć będzie — i nikt nie wyda na niego wyroku śmierci, przeciwnie — życie jego płynie normalnym szlakiem, bo oto jest przed Heleną zdrów, pełen siły, o jasnej, pogodnej cerze, oczach pełnych blasku, bynajmniej nie udręczony przebytą katastrofą.

Coś w głębi Heleny nurtuje, lecz co? Sformułować tego nie potrafi. Och! gdyby pogarda, nienawiść — byłaby ocalona... Siłą przepycha się do pierwszego rzędu. Chce lepiej go widzieć, chce słyszeć wszystko, poić się tą dwoistością człowieka społecznego i człowieka jednostki. Poddaje się tej torturze jak chory, który zbyt długo cierpiał i który odczuwa dziką rozkosz na widok lancetu.

Mów, mów jeszcze, myśli z rozpaczliwą ironią, kłam! Udawaj!... Może choć w ten sposób zdołasz mi wynagrodzić krzywdę, jaką mi uczyniłeś.

Wpatruje się w twarz Hawrata, wsłuchuje się w jego głos.

Tak, kłamie on — myśli z całą siłą, tak, kłamie on, i tak zdrowo, tak dobrze wygląda — podczas kiedy ja...

Nagle nastąpiła cisza. Silnym, pełnym potęgi i porywającym zwrotem zakończył Hawrat swą mowę. Rozwinął skrzydła jak orzeł i zaszumiał niemi. Wszyscy są wyczerpani. Ten człowiek przygnębia dusze ludzkie, wlokąc je zbyt bezwzględnie po drogach swojej duszy. Przewodniczący zapowiada półgodzinną pauzę.

I oto w mgnieniu oka sala pustoszeje. Hawrat znika w drzwiach prowadzących na kurytarze. Fedko siedzi na ławce, a ku niemu kilka kroków podchodzi ojciec i przedzielony strażnikami w fioletowych kołnierzach staje i wpatrując się łzawemi oczyma w twarz syna, powtarza znów:

— Fedko, szczo ty zrobyw...

Helena nagle przytomnieje. Razem z Hawratem znika jej nerwowe podniecenie. Teraz doznane wrażenia cisną się do niej z szaloną szybkością. Nie jest w stanie zdać sobie z nich sprawy. To wie jedno, że Hawrat uczynił na niej wrażenie wręcz odmienne od tego, jakiego się spodziewała. Lękała się bólu strasznego, rwania się ku niemu całej swej istoty — tymczasem coś odpychającego wyradza się powoli.

To jedno wie napewno. Chce odejść, ale nie ma siły. Musi pozostać, bo coś ją spętało do tego miejsca, w którem on przebywa.

— Czyżby nawet nienawistny był mi do życia konieczny? — myśli z wzrastającą trwogą.

XLIV.

Nagle zachodzi fakt, który odrazu Helenę rzuca na inny tor myśli.

Po lewej stronie w pierwszej ławce poza ławką dziennikarzy siedzi kilka dam bardzo strojnie i dodatnio ubranych.

Rozmawiają ze sobą pochylone i odwrócone plecami do Heleny.

Są bardzo swobodne, rozmawiają wesoło i śmieją się dyskretnie. Nagle dwie powstają, żegnają się z trzecią, ubraną w duży, aksamitny kapelusz i bardzo piękne, gronostaowe boa i wychodzą.

Dama w gronostajach i aksamitnym kapeluszu pozostaje sama. Chwilę siedzi spokojnie, lecz widocznie szuka kogoś oczami. Nie znalazłszy, przechyla się przez ławkę i zwraca się do jednego z temperujących ołówek dziennikarzy.

— Czy niema tam gdzie mego męża? — zapytuje z wdzięcznym uśmiechem.

Dziennikarz odpowiada również uprzejmie:

— Niech pani mecenasowa zaczeka — pójdę i przyprowadzę pana mecenasa.

Helena nie zwraca uwagi na ten manewr, lecz dama tak szeleści jedwabiem i dzwoni branzoletką, iż Helena mimowoli odwraca się od niej.

Krótką chwilę oczy tych dwóch kobiet zbiegają się ze sobą.

Fizycznie rzecz biorąc, są one najzupełniej do siebie podobne. To samo zabarwienie i oprawa oka, te same powieki trochę sine i ciężkie. Lecz oczy damy w gronostajach są pełne życia i gorączkowego blasku. Jakiś triumf, radość w nich się przebija.

Heleny oczy mętne, od łez spłowiałe i jakby strwożone.

To samo jest i z całą twarzą i postacią.

Dama w gronostajach zdaje się być odbiciem Heleny, lecz tej Heleny, która wyjeżdżała za granicę, a nie tej, która powróciła.

Ten sam delikatny podbródek — owal twarzy, linja nosa — śliczny kolor włosów. A ponad wszystko powab, gracja niewieścia, artyzm statuetki w każdym ruchu i układzie linij.

Helena patrzy długo w tę strojną postać, tak jakby podziwiała w tej chwili zjawienie się siebie dawnej, strojnej i czarującej. Zbiedzona i przysypana popiołem, cera jej twarzy odnajduje swą dawną karnację w świetnym kolorycie twarzyczki zaróżowionej pod rondem aksamitnego kapelusza. Nie może sformułować swego wrażenia, bo oto nowe, a tak silne uderza w jej duszę, iż chwilę pozostaje bez tchu, z sercem zamarłem i unieruchomionem.

Do damy w gronostajach podchodzi teraz szybko Hawrat. Zanim podał jej rękę, zanim zamienił słów parę, Helena wiedziała, iż ta kobieta jest... jego żoną.

. . . . . .

Tak! Ma ich teraz przed sobą — oboje — o kilka zaledwie kroków i z intencją szaloną, właściwą tylko zrozpaczonym i kochającym kobietom, odczuwa rodzaj stosunku, jaki tych ludzi łączy.

Hawrat z całą miłością ujął rękę żony, palce ich splotły się tak silnie, jak w lecie splatały się palce Heleny i Hawrata. Ona, pochylona ku niemu, cała pod wpływem jego mowy, mówi do niego cicho, szepcze prawie, serdecznie i żywo. Widać, jak gorący udział przyjmuje w jego umysłowem życiu i jaką część lepszą w niem zabiera. On słucha jej słów uważnie, widocznie, że ona jeszcze w sercu swojem znalazła coś więcej na obronę owego mordercy. Bo oto ślicznym gestem wskazuje mu ojca Fedka i Helenie zdaje się, że słyszy słowa:

— Jeszcze o nim mogłeś coś powiedzieć...

Teraz Helena odczuwa, widzi pożycie Hawrata z żoną. Rozumie, iż tej kobiety, którą przypuścił do swej pracy duchowej, która współdziałała z nim niejako w pracy jego społecznej — porzucić dla niej nie mógł, nie chciał. Ogromny, śmiertelny wstyd ogarnia ją nagle. Chciałaby zapaść się w ziemię....

Czuje się niczem, intruzem, głupią, przelotną miłostką, która musiała w tej chwili napełniać pamięć Hawrata niesmakiem. Ten jej pomysł małżeństwa — wtedy, gdy on od lat dawnych złączony był z tą śliczną i dobrą kobietą — i to jak złączony, ciałem i duchem! Lub to narzucanie się i wdzieranie gwałtem do przybytku jego ducha wtedy, gdy tam była już inna i to jaka inna!

Podobieństwo żony Hawrata do Heleny, dodaje jeszcze straszniejszej goryczy. Widocznie tęsknota na obczyźnie i osamotnienie wpłynęły na Hawrata, że wybrał ją na kochankę

z pomiędzy tylu innych. Widocznie był to człowiek, który nie mógł istnieć sam, bez tamtej kobiety.

Traf zrządził, iż Helena była tym samym typem, „jego typem". A więc zadowolnił się kopią, lecz powrócił do oryginału.

Jednego teraz Helena pragnie. Zostać niepostrzeżoną. Co z nią potem będzie, mniejsza! Ale teraz niech jej nie zobaczą. Lecz oto Hawrat, rozmawiając z żoną, spogląda po sali. Helena czuje, że jego wzrok padnie i na nią. Chce odwrócić się, zasłonić twarz, nie może uczynić żadnego gestu, jest jakby sparaliżowaną.

I oto Hawrat dostrzega ją. Chwilkę ich źrenice toną w sobie. Na twarzy mężczyzny wybiega wyraz zdumienia na widok zmiany, jaka zaszła w twarzy Heleny. Zdumienie to szybko i po mistrzowsku zostaje powściągnięte. Helena nie widzi już tej zmiany, bo prawie omdlała, przymyka powieki.

Lekki szelest jedwabiu przyprowadza ją do przytomności. To żona Hawrata opuszcza salę. Hawrata także niema. Widocznie, dostrzegłszy Helenę, pod jakimś pretekstem oddalił żonę i sam znikł na korytarzu. Helenie to już jest obojętne. Od tej chwili zaczyna żyć jak we śnie i nic jej nie może wyprowadzić z tego sennego stanu.

Powstaje z ławki i wychodzi z sądowego gmachu. Na korytarzach, na wschodach ludzie rozmawiają, gestykulują żywo. Helena schodzi powoli, widzi przejeżdżającą dorożkę, wsiada i mówi adres swego pomieszkania.

Dzieje się z nią coś dziwnego.

Słyszy swój głos, ale nie wie poprostu, że to ona mówi. Ktoś inny kieruje jej wolą, jej myślami, jej czynami. Tak jak poprzednio, gdy szła do sądowego gmachu, doznawała wrażenia, iż ktoś goni ją i kieruje nią „po za nią", tak teraz zdaje się jej, że ktoś prowadzi ją „za sobą" i, co więcej, mówi, odpowiada ludziom, wykonuje gesty. Stan ten sprawia jej niewymowną ulgę. Jakieś uczucie wdzięczności rodzi się w niej dla tej, która ją wyręcza. I jedno powstaje w niej pragnienie.

Niech jej nie opuszcza i nie pozostawia samą i odpowiedzialną za jej czyny.

XLVI.

Cichutko służąca wyszła z pokoju, zaniepokojona milczeniem i nieruchomością Heleny.

Zmierzchało się już zupełnie. Lila sinawy zachód przechodził w ciemną szarość. Niebo, nadzwyczaj pogodne, miało jednak tę niezdecydowaną barwę, którą miewają tła niebieskie o jesiennych zachodach słońca. Helena leżała na szezlągu, odwrócona twarzą do ściany, w płaszczu i bucikach tak, jak powróciła z ulicy.

Była tak blada, iż zdawało się, że wszystka krew z niej spłynęła. Długie rzęsy przymkniętych powiek rzucały cień na jej blade policzki. Oddychała tak lekko i wolno, że zdawać się mogło, iż nie oddychała wcale.

Od chwili powrotu do domu, nie wymówiła ani jednego słowa. Lekko dostrzegalnym gestem usunęła służącą i odrazu upadła na szezląg, aby pozostać na nim, jak martwa długie godziny popołudnia.

Kilkakrotnie pokojowa zaglądała do sypialni, wreszcie sądząc, że Helena śpi, usunęła się zupełnie.

Tymczasem Helena była wpół przytomna i doznawała uczucia, jakby bezustannie płynęła w lodowato zimnej przestrzeni. Nie mogła zebrać myśli — nadto wielką pustkę czuła pod czaszką, a z zewnątrz nie spływało ku niej żadne wrażenie.

Leżała tak długo, aż nagle oprzytomniała. Otworzyła oczy i wśród zupełnej prawie ciemni starała się rozróżnić otaczające ją przedmioty. Gdzieniegdzie bielał jakiś mebel, migotał słabo srebrny punkcik. Helena z szalonym wysiłkiem zaczęła przypominać sobie wszystko. Przeszła tak całą swą cierniową drogę miłosną, punkt po punkcie i zatrzymała się na chwili, w której oczy Hawrata i jego żony spoczęły na tragicznej postaci ojca Fedka, który zdawał się straszną boleścią swoją łączyć ich myśli i duszom dawać źródło do jednych i tych samych dążeń, czynów i pojęć.

— Tak, oni się rozumieją — pomyślała i to przeświadczenie przejęło ją strasznym bólem.

— Czem jestem w jego wspomnieniu? — była to myśl następna — czem?

Jęknęła cicho i z wysiłkiem zwlekła się z szezląga. Czuła, że znów zapada w to odrętwienie, w ten stan półsenny, który przejmował ją odrazą i trwogą. Niedołęstwo — brak sił nawet do cierpienia — lepiej znosić ból, niż leżeć tak nakształt kamiennej bryły.

Ku oknu się powlokła, roztrącając wyciągniętemi rękami porozstawiane sprzęty. Czuła, iż na jej czoło występuje zimny pot. Chwilami nie widziała już nic — czarna płachta, gęsta i nieprzebita wzrokiem, zasłaniała jej wszystko. Wówczas orjentowała się dotykaniem przedmiotów.

— Tu fotel, tu tualeta, tu etażerka... zaraz będzie okno.

I dostała się wreszcie do owego okna, które teraz wydawało się jej upragnionym portem. Uczepiła się rygla i otwarła je na rozcież. Prąd zimnego powietrza uderzył na nią całą falą, przywracając jej znów wzrok i przytomność.

W dużym kwadracie nieba, widocznego pomiędzy oficynami, dostrzec było można gwiazdy, niepewne jeszcze i lekko drgające, tak jak tam w Luzernie nad tarasem Wilhelmshöhe.

Helena wzniosła swe oczy ku górze i nagle jakaś dziwna, niewytłómaczona otucha wstąpiła w jej serce. Zdawało się jej, że niema dla niej miejsca na świecie.

— A przecież...

I to, co odczuła w Luzernie, gdy garnęła się do czystości gwiaździstej przestrzeni, gdy rwała się na wyżyny nie spodlone dłonią ludzką — spotęgowało się w niej w tej chwili z taką mocą, iż rwało nią całą, tak, jakby wyrosły jej skrzydła i niecierpliwie podrywały się do lotu. W tej chwili potężnej i wielkiej odzyskała swą piękność, szlachetność i stała się tem dziełem sztuki, podniesionem do wysokości ideału — duchową wyższością.

— Taką umrzeć! Taką!... — myślała z coraz więcej potęgującą się mocą — czuję, że jestem w tej chwili oczyszczoną i udoskonaloną!

Wpatrzyła się w gwiazdy szeroko otwartemi źrenicami. Bladość jej twarzy miała tony alabastru. Ręce nerwowo wzniesione w górę błagały miłosierdzia. Szare fałdy jej szaty opływały ją majestatycznie i surowo. Linje jej ciała ginęły, lecz smukła, szara sylwetka przecudnie rysowała się na tle roztwartego okna.

Lecz najbardziej czarujący był wyraz jej twarzy, która nigdy jeszcze nie nosiła piętna tak wzniosłego uduchowienia, jak w tej chwili.

Było tam tyle rezygnacji jakby dobrowolnej i bolesnego pragnienia ku uduchowieniu się zupełnemu, że niemal łuna biła z tej twarzy, bielącej się wśród rozwianych, ciemnych włosów.

— Taką umrzeć! Taką!...

I oto, jakby przyzwana siłą woli, nadeszła na Helenę chwila trwogi, chwila śmiertelnej agonji, która nieraz już spadała na nią, jak potwór ukryty. Lecz teraz to śmiertelne zimno, zwiastujące jej zbliżanie się owej chwili, było raczej powitane przez nią radosnem pozdrowieniem i rozkoszą.

Odgarnęła włosy z czoła okrytego potem i był to jej ostatni gest.

Bo od tej chwili, asystowała już nieruchoma i niema tej mistycznej, tajemniczej tragedji, która ją dawniej wprawiała w stan walki i szału.

Tak, dawniej walczyła, aby tę część siebie, która odłączała się od niej i stawała się nią drugą, powstrzymać i zmusić do powrotu. Lecz w tej chwili z całą słodką rozkoszą Helena wytęża wszystkie swoje siły, aby ułatwić tej drugiej to oderwanie się i skoncentrowanie się w lekką, doskonałą, czarującą całość.

Bo czarem było to, czem stawała się w tej chwili, czarem, wonią, jasnością, światłem. To wszystko, co przeczuwała w sobie, zaczęła teraz wyczuwać dokładnie. Hawrat, Weryho — zginęli — nie istnieli w jej pojęciu obecnem. Jedynie tylko Lala zamajaczyła gdzieś w przestworzu, Helena jej ducha prymitywnego, kryształowo czystego w tej chwili zrozumieć i przejrzeć mogła, bo sama stawała się tą prymitywną, kryształową lampą, w której wieczny ogień i światło płonąć mogło.

— Najdoskonalsza piękność... najwyższy spokój. — Była to jej ostatnia myśl.

Cicho, prawie bez szelestu — szaro odziane ciało Heleny zsunęło się na ziemię. Duch jej uleciał w przestwór, unosząc ze sobą z rysów jej twarzy, wyraz czarującej piękności, jaką przed chwilą przepojone były.

. . . . . .

Nazajutrz dzienniki doniosły, iż pani Helena W., właścicielka kamienicy przy ulicy Zygmutowskiej, zmarła nagłą i niewytłómaczoną śmiercią. Sekcja nie wykazała żadnego zaburzenia w organiźmie. Śmierć tę podciągnięto pod kategorję — śmierci nerwowych.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W GDAŃSKU

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA „LEKTORA".

JAN HENRYK EWERS

ALRAUNE

DZIEJE ISTOTY ŻYJĄCEJ

POWIEŚĆ

Za najwięcej sharmonizowany twór Ewersa można uważać „Alraune". Sięga tam autor w jedno z najciemniejszych i najgłębszych zagadnień duszy ludzkiej, nad jakiemi umysł ludzkości do dziś dnia się biedzi: do zagadnienia czarownicy — naśladowania wszystkich — tak zwanych — złych, ujemnych, demonicznych mocy w człowieku — „symbolu północnej sfery życia". I z tych wszystkich pierwiastków, które każdy człowiek, mniej lub więcej świadomie, w sobie nosi — stworzył Ewers swą powieść, wysoko przerastającą poziom wszystkiego tego, co się w literaturze niemieckiej w ostatnim dziesiątku lat okazało.

Powieść ta w niezliczonych wydaniach porywała i porywa zastępy czytelników nadzwyczajnie pomysłową koncepcją sztucznego człowieka i niezwykle oryginalnem ujęciem duszy kobiecej.

Zajmie każdego, wielu co prawda, także oburzy. Dla literackiego smakosza zaś będzie cennem wzbogaceniem jego bibljeteki.

CLAUDE FARRÈRE

LUDZIE CYWILIZACJI

POWIEŚĆ.

Szczęśliwy kraj wymarzonego, z bajek nam znanego jedynie wschodu, — oto tło obrazów, zawartych w tej niezwykłej powieści. A na tem tle zestawił autor obok siebie dwa światy ludzi, żyjących pełnią życia niczem nieskrępowanego i rozkoszy, Europejczyków i tubylców. Obie strony — to ludzie cywilizacji. Która z nich lepsza, nasza czy wschodnia, oto problem, jaki pozostaje czytelnikowi do rozwiązania.

ANATOL FRANCE

CZERWONA LILJA

POWIEŚĆ

Czarowne choć zabójcze — niby kwiaty trujące — kaprysy kobiet, oto zagadka, którą napróżno od wieków całych najwięksi badają myśliciele świata nie mogąc jej zgłębić ani motywów wyświetlić. Niezmiernie ciekawym przypadkiem takiego kaprysu zajmuje się również głęboki w swojem psychologicznem zajęciu tematu, wielki France, w „Czerwonej lilji". Lilja czerwona to herb Florencji, miasta, gdzie się istotna część akcji rozgrywa; jest ona zarazem niby symbolicznym znakiem bohaterki powieści, kobiety, która w motywach swych kaprysów jest niby lilją niewinną, lecz czerwone — krwawe zadaje rany tym, którzy ją kochają. Powieść ta, ze względu na los bohaterki, powinnaby się stać lekturą niejednej „Królowej kaprysu".

RACHILDE

ŻONGLERKA

POWIEŚĆ

Powieść z zakresu satanizmu, oparta na głębokiej niecodziennej znajomości duszy kobiecej. Bohaterka, wcielenie ogniem płonącej zmysłowości, hołduje zasadzie, że najcenniejsze są te róże, których rwać nam nie wolno. Konflikty z tego powstałe składają się na całość o głębokiej wartości estetycznej i literackiej.

MIECZYSŁAW SROKOWSKI

KULT CIAŁA

POWIEŚĆ.

Pożądliwość, głód młodych zmysłów, ciekawość oczu i królująca, wszechwładna miłość na czele, oto gwiazdy przewodnie, które bohaterkę powieści ku niebezpiecznym grom wiodą. I sama w nich skrzydła opala i mężczyznę od wzlotów ku słonecznym krainom sztuki odwodzi. Całość tchnie żarem namiętności zmysłowej, a mimo to pełnej poezji i niewysłowionego wdzięku.

WILLY

MAŁŻEŃSTWO KLAUDYNY

POWIEŚĆ

Rozkwit wysokiej nader i wybujałej kultury idzie od wieków w parze z zepsuciem obyczajów. Mistrzowskiem takiem zwierciadłem zepsucia obyczajów i ich deprawacji, której chwilowo ulegają pewne warstwy społeczne współczesnej, przerafinowanej Francji — jest powieść „Małżeństwo Klaudyny".

GABRJELA ZAPOLSKA

ANTYSEMITNIK

POWIEŚĆ

Utwór powieściowy na tle walk wyznaniowych piętnuje bezmyślnych podżegaczy w sposób bezwzględny. Z samozwańczych trybunów ludu zdarto tu maski i ukazano wszystkie metody ich niezdrowej działalności.

GABRJELA ZAPOLSKA

FIN-DE-SIECLE'ISTKA

POWIEŚĆ

Kobieta wieku nerwów, histerji, błądzenia! Kobieta bez woli, bez indywidualności, bez szczególnych wartości duchowych, ale i nie najgorsza zarazem — szuka drogi życia. Zraniona w swej dumie u progu pożycia małżeńskiego, nie mogąc w mężu szukać oparcia, szuka go kolejno u spotykanych na swej drodze życiowej mężczyzn, szuka u nich programu istnienia... Cztery duchowe przechodzi przemiany, lichych chwytając się podpór, nie widząc — niby w błędzie — drogi jedynej, drogi prawdy.

GABRJELA ZAPOLSKA

JANKA

POWIEŚĆ

Dzieje t. zw. „rodu". Bohaterami powieści są przedstawiciele sfer arystokracji, przeżyci i już od kolebki prawie skazani na śmierć i zagładę. Treść zajmuje się dziwnie smutnemi losami dzieci, pozbawionych błogosławionego wpływu matki, wychowywanych nieodpowiednio, a raczej niewychowywanych wcale. Janka, będąca „całym człowiekiem" i niby kwiatem bagna, przeżywa dramat, wynikły z nieprzystosowania jej do życia realnego.

GABRJELA ZAPOLSKA

SEZONOWA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

Zakopane, letnia nasza stolica, gdzie pod wpływem cudów przyrody, widoku niebosiężnych — zda się — złomów granitowych, upojnej woni sosnowego lasu i wszechpotężnego wichru halnego — niewolnik, olbrzymem poczuć się może chwilowo, zlewając się w jedność z żywiołowością zjawisk natury, wielu znalazło piewców w literaturze. Nikt jednak nie uchwycił zręczniej od Zapolskiej tego, co jest w niem cechą istotną, t. j. sezonu. Sezonu zjazdu gości i sezonu miłostek — krótkich i przelotnych, jak sny letnich nocy. I tylko tak subtelne oko, jakiem na świat patrzy Zapolska, dostrzega, jak głębokie się nieraz na tem tle tworzą życiowe dramaty. Taki właśnie dramat, rozgrywający się w Zakopanem, skreśliła autorka w swej „Sezonowej Miłości".

GABRJELA ZAPOLSKA

SZALEŃSTWO

POWIEŚĆ.

Przez znawców i smakoszów literackich wyżej ceniona z wielu dzieł swoich jako przedstawicielka naturalizmu, niż Zola, poruszyła Zapolska w „Szaleństwie" temat nigdy dotąd w literaturze nie poruszony, choć w życiu jakże zapewne częsty. Jeden krok fałszywy, a raczej właśnie w kobiecie naturalny, krok dyktowany żądzą macierzyństwa, mści się na niej, mącąc na zawsze jej myśli i odbierając spokój.

GABRJELA ZAPOLSKA

Z PAMIĘTNIKÓW MŁODEJ MĘŻATKI

POWIEŚĆ

Z szarych dni i drobnych zdarzeń splecione jest treść owego pamiętnika, ale zdarzenia te, pozornie nikłe i nic nie znaczące, wystarczają przecież do złamania życia kobiety słabej, na kobietę w pełnem tego słowa znaczeniu nie wychowanej. W każdem słowie szarość przebija, płytkość i beznadziejna rezygnacja, ale kto umie czytać, najgłębszą — bo powszednią — w tem wszystkiem wyczuje tragedję.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
128329
Biblioteka WSP Kielce
0146036



Z DRUKARNI »DZIENNIKA POLSKIEGO«
LWÓW, UL. CICHA L. 5. — TELEFON 238.